



FARBA ZNACZY KREW



ZENON
KRUCZYŃSKI

Zenon Kruczyński

Farba znaczy krew

Przedmowa Olga Tokarczuk



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Łukasz Zbieranowski / Fajne Chłopaki

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © by Zenon Kruczyński, 2008

Copyright © for *Przedmowa* by Olga Tokarczuk

Korekta Monika Pasek / d2d.pl, Ewa Czernatowicz / d2d.pl

Redakcja techniczna i skład Robert Oleś / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-536-4

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Wołowiec 2017

Wydanie 2 rozszerzone

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Przedmowa

Ojciec i syn

Rogacz

Ojciec, pan Romek i ja

Co widzi dziecko?

Lis i zając

Wieczorem nie ryczały

Dubeltówka, dzik i słonka

Dwa strzały

Znajomości i przyjaźnie

List do przyjaciela

Koronne argumenty

Kupki buraków

Humanitaryzm a etyka myśliwska

Jesienne ptaki

Bóg się pomylił

List do Jacka M.

HORN

Rozmowa z prof. Rafałem Kowalczykiem, dyrektorem Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży

Rozmowa z łowczym wojewódzkim Piotrem Ławrynowiczem

Wypadki

Dlaczego mężczyźni zabijają? Rozmowa z Wojciechem Eichelbergerem

Rozmowa z Anną Dodziuk

Gosie. Rozmowa z Małgorzatą Szczygieł-Reutt i Małgorzatą Grabarczyk

Rozmowa z roshi Sunyą Kjolhede

Ja-byk

Rozmowa z Ruth Rosenhek w Białowieży

Rozmowa z Bożeną Montwiłł

Wszystko może być proste

Sen

Przypisy

Przedmowa

Ta książka jest bardzo niewygodna. Mówi wprost o tym, o czym wolelibyśmy nie wiedzieć, co odpychamy od siebie, co ośmieszamy i bagatelizujemy, kiedy inni o tym mówią. Co wydaje się „nawiedzone”, niepoważne, zastępcze, marginalne. O zabijaniu zwierząt.

Jej autor, Zenon Kruczyński, był przez długie lata myśliwym. Polował na zające, dziki, sarny i jelenie. Nagle, pewnego dnia, zdał sobie sprawę, że nie może dłużej tego robić.

Wgląd to nagle, całościowe, spontaniczne uświadomienie sobie za jednym razem istoty tego, co spostrzegamy. Jest to szczególny rodzaj percepcji – wielopoziomowej i równoczesnej. CO, GDZIE, JAK, DLACZEGO i W JAKIM CELU mieszczą się w jednym; to rozpoznanie zarazem intelektualne, emocjonalne i intuicyjne. To uderzenie sensu. Wgląd jest jednorazowy i nieodwracalny – nie można już wrócić do stanu sprzed. Nowa świadomość, która po nim następuje, często bywa bolesna i straszna.

Autor tej wstrząsającej książki zdaje się należeć do ludzi, którzy zobaczyli, uświadomili sobie, czy może lepiej byłoby powiedzieć – ujrzeli jakąś podstawową, przerażającą naturę świata, jego piekielność. To, że jej nie dostrzegamy na co dzień, że nam umyka, że nie zastygamy w grozie, jest zdumiewające. Czy tak silnie działają mechanizmy obronne? Czy to może zwykła ludzka obawa przed wstrząsem, nawyk percepcyjnego lenistwa, brak refleksji, komfort ignorancji? Wystarcza nam po prostu to, że świat jest dany, że jest, jaki jest. Lecz nasza percepcyjna bierność ma znaczenie moralne, ponieważ utrwała zło. Nie chcąc ujrzeć, stajemy się współuczestnikami zła i współwinnymi. Wysiłek moralny jest więc w istocie wysiłkiem poznawczym – musimy ujrzeć w nowy, bolesny sposób.

Tak właśnie patrzy na to Autor. Jego opowieść porusza, ponieważ dotyczy ogromnego, zbiorowego, skrzętnie wypieranego poczucia winy, wskazuje jego istnienie i odsłania przyczyny jego powstania. Autor nie oszczędza w niej siebie,

a jego szczerść jest bolesna; w swojej spowiedzi potrafi być szczegółowy i okrutny w tej szczegółowości. Jak pątnik udaje się do innych, szuka mistrzyń i mistrzów, przyjaciół i podobnych sobie, żeby wytłumaczyli mu powód zła, które wyrządził, i sens przemiany, jaka się w nim dokonała. Na jego determinację odpowiadają taką samą szczerścią. Starannie zapisuje ich słowa.

Od tego momentu książka przestaje być opowieścią jednego człowieka. Nagle okazuje się, że myśliwy i polowanie to tylko pretekst do dużo szerszych i głębszych rozważań, których punktem centralnym jest stosunek ludzi do zwierząt.

Rozmawia z psychoterapeutą, z mistrzynią zen, z psycholożką uzależnień, z innym myśliwym, z żonami myśliwych, z ekolożką i lekarką weterynarii. Każde z nich patrzy na fakty z innego punktu widzenia. Te perspektywy łączą się, uzupełniają, odkrywając kolejne wymiary problemu. Polowanie uzbrojonego człowieka na zająca staje się wierzchołkiem góry lodowej, drobną sceną z ogromnego, powszechnego koszmaru, który otacza nas zewsząd, ponieważ zabijanie zwierząt dotyczy każdego z nas. Tego, kto poluje, ale i tego, kto to akceptuje i stanowi prawo. Tego, kto nosi futra, skórzane buty, kto je mięso i kto używa testowanych na zwierzętach leków oraz kosmetyków. Wszystkie te rozmowy orbitują bezradnie wokół prostego, wydawałoby się, pytania: jak to możliwe, że zabijamy zwierzęta?

Nasza świadomość różni się przecież od świadomości myśliwego na sawannie, różni się nawet od świadomości biedaka, który kłusuje w lesie, by przeżyć. Żywności roślinnej starcza dla wszystkich. Gdybyśmy nie jedli mięsa, byłoby jej jeszcze więcej. Nie ma powodu, żeby zabijać dzikie zwierzęta. Nie zagrażają nam. Poza tym istnieje antykoncepcja dla zwierząt, jest nowoczesna etologia. Dziś nie możemy powiedzieć, że zabijanie to przymus czy smutna konieczność. Nie musimy zabijać. Tam, gdzie byłby przymus biologiczny, tam nie byłoby moralnego wyboru. My jednak nie jesteśmy w żaden sposób zmuszeni ani do polowania, ani do jedzenia mięsa. A jeżeli polujemy i jemy, to za każdym razem dokonujemy moralnego wyboru.

Jaki jest błąd w tym rozumowaniu?

Peter Singer, najbardziej radykalny współczesny etyk, od wielu lat wykazuje, że w gruncie rzeczy nasz stosunek do zwierząt jest irracjonalny i nielogiczny. Jego metodą jest metoda filozofa – ustanowić porządek rozumu tam, gdzie rządzą nami uprzedzenia i niekonsekwencje.

Singer wychodzi z założenia, że fundamentalną zasadą, na której opiera się równość wszystkich istot ludzkich, jest zasada równego rozważenia interesów. Zgodzi się z nią każdy, kto uważa dyskryminację rasową czy dyskryminację kobiet za jedną z najważniejszych kwestii moralnych i politycznych. Dziś nikt nie będzie miał już żadnych wątpliwości, że taka dyskryminacja byłaby zła moralnie. Jednak Singer idzie dalej i domaga się rozszerzenia tej zasady na relacje ze zwierzętami. Dlaczego? Dlatego że troska o innych nie powinna zależeć od tego, jacy oni są, czy i jakie mają zdolności (choć, oczywiście, to, co możemy zrobić dla innych, będzie się różnić w zależności od tego, jakie cechy posiadają ci inni). Przecież fakt, że niektórzy ludzie nie należą do naszej rasy, nie upoważnia nas do ich wykorzystywania. To samo dotyczy zwierząt – fakt, że nie należą one do naszego gatunku, nie upoważnia nas do tego, by sprawiać im cierpienie.

Singer jest utylitystą, co znaczy, że uważa za etyczne takie sposoby postępowania, które będą miały najlepsze konsekwencje dla tych, których dotyczą. Przez „najlepsze konsekwencje” rozumie to, co ogólnie sprzyja realizacji interesów, a nie – jak utrzymuje klasyczny utylityzm Benthama – co jedynie zwiększa przyjemność, a zmniejsza ból.

Za Benthamem Singer wskazuje zdolność cierpienia jako istotną cechę, która upoważnia daną istotę do tego, by mogła być traktowana na równi z innymi.

To właśnie Singer ukuł termin „gatunkowizm”, który jest jakby trzecim ogniwem trójcy uprzedzeń – po rasizmie i seksizmie. Gatunkowizm to dyskryminowanie drugiej istoty ze względu na przynależność do innego gatunku.

Singer jest filozofem, który wierzy w rozwiązanie sprzeczności i nieporozumień w myśleniu na temat praw zwierząt za pomocą rozumu. Dowodzi, że nasz pełen okrucieństwa stosunek do zwierząt jest w swej istocie bezrefleksyjny, stanowi wyraz uprzedzeń i nie ma nic wspólnego z logiką, że to błąd w logicznym

myśleniu, podtrzymujący samolubne i prymitywne pragnienie zachowania przywilejów wyzyskiwaczy.

Ratuje w ten sposób nasz ludzki honor, bo zdumiewające wydaje się, jak rozum, często przypisywany tylko człowiekowi, bywa wykorzystywany w perwersyjny, makabryczny sposób. W książce Zenona Kruczyńskiego znajdziemy rozprawę z logiką myśliwych i myśliwskim etosem. Zobaczymy, że myślistwo może być nie tylko prymitywnym atawizmem, ale i chorobą uzależnieniową, neurotycznym zaburzeniem wyalienowanego z całej przyrody ludzkiego „ja”, dysfunkcją ludzkich samców owładniętych potrzebą dominacji albo psychopatycznym brakiem wrażliwości. Takie spatologizowanie myślistwa (tak jak niedawno spatologizowano pedofilię) przyniesie nam ulgę, ponieważ w głębi duszy czujemy, że zabijanie zwierząt nie jest czymś normalnym i że zabijając, wykraczamy poza fundamentalne zasady etyczne.

W dawnej Grecji obowiązywał trilog. Był to potrójny prosty nakaz, sformułowany przez Pitagorasa: „Czcij rodziców, bogów czcij owocami, szczerdź zwierzęta”. W najbardziej lakoniczny sposób trilog wskazywał trzy najważniejsze sfery życia człowieka: po pierwsze – najprostsze więzi społeczne, po drugie – szeroko rozumiany wymiar religijny, duchowy, i po trzecie – godziwe postępowanie ze światem przyrody, ze zwierzętami. Chciałabym, żebyśmy wrócili do takich najprostszyc etycznych intuicji. Sądzę też, że ludzka wrażliwość powoli, ale w zauważalny sposób się zmienia i za jakiś czas polowanie zostanie zdelegalizowane.

Jakkolwiek paradoksalnie to zabrzmia, cieszę się, że taka książka została napisana. Nie wstydzę się ani mojego wzburzenia, ani wzruszenia podczas jej czytania.

Często śni mi się, że ktoś mnie tropi, a ja uciekam przez pole i las. Przypadam do ziemi, próbuję się na niej rozplaszczyc, stać się niewidzialna; albo chowam się w zbożu, w trawie i boję się, żeby nie odsłonił moich bezbronnych pleców powiew wiatru. Skulona słyszę kroki i głosy moich prześladowców, gdy się zbliżają. To chwila pełna grozy, bo wiem, że im nie umknę, że ich przewaga nade mną jest miazdząca. Czekam, aż to się stanie.

Myślę, że w tym powtarzającym się śnie jestem zającem, sarną, dzikiem i każdą istotą, na którą urządza się polowania. Także człowiekiem. Że w jakiś sposób ten moment grozy staje się doświadczeniem podzielnym, wspólnym. Być może pamięta go moja atawistyczna część mózgu. Możliwe jest także, że ta dziwna pamięć dowodzi czego innego: iż owa jedność człowieka ze światem, którą mamy za utraconą na zawsze, w rzeczywistości trwa nadal. Tylko przestaliśmy ją widzieć.

Olga Tokarczuk

Ojciec i syn

Jak to się stało, że ojciec zabrał mnie na polowanie? Byłem przecież dzieciakiem, małym chłopcem. Dla ojca taki towarzysz na polowaniu to tylko kłopot – musi coś jeść, trzeba go położyć spać i powinien być odpowiednio ubrany. Poza tym należy nauczyć go różnych zachowań w lesie, odpowiednich do sytuacji – przecież to jest polowanie! Oj, walczyłem o swój wyjazd z ojcem z użyciem wszelkich dostępnych środków. Pamiętam, że popierała mnie matka. W końcu dopiąłem swego – „Jadę z tatą na polowanie!”. Przyjechał po nas pan Brun swoją deką – to taki nieduży dwusuwowy samochodzik o stalowej konstrukcji, z drewnianymi drzwiami. Ten miał jeszcze składany dach – bo to kabriolet! Pierwszy raz w życiu jechałem samochodem. Siedzieliśmy na tylnym siedzeniu z Jurkiem, kilkunastoletnim synem pana Bruna. Było sobotnie popołudnie, pełnia lata. Jechaliśmy najpierw brukowaną, później asfaltową, dość krętą drogą z dużymi drzewami po obu stronach. Siedemdziesiąt kilometrów.

Samochód został zaparkowany na skraju lasu przy owsie, obydwaj myśliwi gdzieś poszli, a my zostaliśmy. Po zapadnięciu zmroku mieliśmy wejść do samochodu i spać. Ależ było niewygodnie! Pamiętam zamglony brzask, było mi zimno. Przyszedł ojciec i nas obudził. Świeciło już słońce. Po chwili przyszedł Brun.

- Co strzeliłeś?
- Rogacza.
- Gdzie dostał?
- Tu.

Nie podobała mi się mina Bruna, gdy pokazywał palcem to miejsce na swojej szyi. W drodze do leśniczówki podjechali samochodem po wiszącego w lesie rogacza i włożyli go do bagażnika. W Zdunowicach leśniczym był pan Zygmunt Lorkowski. Za leśniczówką, od strony jeziora, panowie rozłożyli koc na trawie, jakieś jedzenie i wódkę. Ta wódka też mi się nie podobała. Jadłem kruche żółte papierówki – niektóre pękały po upadku na trawę. Patrzyłem na wiszącego

w cieniu jabłoni kozła. Nie miał przedniej nogi poniżej kolana. Kończyła się w tym miejscu, zarośnięta skórą z sierścią. Było mi go żal... Taki kaleka.

Na szyi miał mały, okrągły, poczerniały ślad po kuli.

Wracaliśmy do domu samochodem ze złożonym dachem. Wiał wiatr i było ciepło. Po drodze tata poprosił Bruna, żeby zatrzymał się nad jeziorem, i mogłem się kąpać. Udawałem, że umiem pływać – odpychałem się jedną nogą od dna. „Tata, patrz, ja pływam!” Byłem zadowolony, że to nie ojciec zabił tego kalekę.

*

Prawie rok później zrobiłem sobie jedzenie na drogę i ruszyłem za ojcem do Sulęczyna. Tata pojechał z Brunem na polowanie i po raz kolejny nie wziął mnie ze sobą. Pamiętałem, że trzeba pójść najpierw tą brukowaną, a potem asfaltową drogą. Ktoś zaopiekował się małym chłopcem, który wieczorową porą szedł skrajem drogi. Ten ktoś odwiózł mnie do domu. Nie dotarłem do ojca do lasu, ale od tej pory częściej wyjeżdżaliśmy razem. Ojciec odkupił od innego myśliwego, pana Kasprzykowskiego, motor wufemkę. Gdy pierwszy raz zajechaliliśmy pod domek myśliwski, rozplakałem się ze szczęścia, że staliśmy się niezależni i możemy przyjeżdżać tu, kiedy chcemy. Miejsce za ojcem, na siodełku motocykla, staowało się coraz bardziej moje. Z czasem nauczyłem się też prowadzić motocykl w lesie. Niekiedy wieczorem patrolowaliśmy las i pola – ja prowadziłem, a ojciec siedział z tyłu z dubeltówką w rękach. Zwierzęta uciekały przed motorem dopiero z odległości kilkunastu metrów. Nie bały się, bo były osłuchane z tym charakterystycznym gangiem silnika 125 ccm, powszechnych tu wuesek i wufemek.

Innych marek motorów prawie nie było. Bardzo rzadko spotykało się czeską jawę albo ruską emkę czy urala. Potem pojawiły się groźnie huczące, szybkie i duże polskie junaki, niezbyt udane gazele, niezłe eshaelki i osy, enerdowskie emzetki i avo napędzane wałem kardana. Ktoś miał nawet nortona.

Nie chodziło oczywiście o to, by strzelać z motoru! Jechaliśmy wolno, zaglądając w różne zakamarki, i jeśli pojawiał się rogacz, dzik albo jelen, to nie uciekał, tylko stał i odprowadzał wzrokiem motocykl. Ja jechałem dalej i zniknąwszy mu z pola widzenia, przystawałem na sekundkę, oczywiście nie wyłączając silnika, ojciec zaś zsiadał i próbował podejść żerujące zwierzęta. Kiedyś jechałem wzdłuż lasu i nagle parę metrów przed sobą zobaczyłem

wystającą z paproci głowę sporego dzika. Gwałtownie wdepnąłem na hamulec i motor wywrócił się razem ze mną na tym piachu. Ojciec zdążył zeskoczyć i wymierzył z dubeltówki do uciekającego dzika, ale nie strzelił, bo gdy dzik wybiegł z paproci, pędziło za nim pełno malutkich, pasiastych dziczków. Ależ się ojciec przestraszył!

– Mały figiel, a bym strzelił!

Widać było, że poczuł wielką ulgę. W naszym wydaniu był to dość rzadki i całkiem nieskuteczny, choć bardzo dla mnie przyjemny sposób polowania – oglądałem sporo zwierząt i do tego miałem przyjemną wieczorną przejażdżkę przez las i pola. No i ja prowadziłem, a ojciec siedział z tyłu! Czułem się bardzo dorośle i odpowiedzialnie, no nie ukrywajmy – po prostu wspaniale. Mieliśmy szorstkowłosego wyżła i jakoś mieściliśmy się wszyscy troje na tym dzielnym motorku, chociaż Aza ważyła niewiele mniej ode mnie. Wyglądało to tak: ojciec prowadził, plecak miał założony z przodu i oparty o bak, ja siedziałem z tyłu, z Azą na kolanach i dubeltówką na plecach. Torbę wiązało się do małego bagażnika z tyłu.

Och, jakże ważny był deszcz! Gdy padało, chodziło się od okna do okna, wpatrywało w niebo i czekało. Przejdzie czy nie przejdzie? Pojedziemy czy nie pojedziemy? Przystawało padać, my wyjeżdżaliśmy – a w połowie drogi jak nie lunie! Staliśmy pod drzewem i czekaliśmy... Jeśli nie przechodziło, jechaliśmy w takim siąpiącym deszczu.

Chowałem się za plecy ojca i tylko nogi mi mokły. A tata deszcz brał na siebie. Czasami w drodze łapaliśmy „kiche”. Trzeba było wtedy demontować koło, ściągać oponę, szukać przebitego miejsca w dętce i kleić łatkami na zimno, czyli na butapren. Niektórzy mieli łatki na gorąco, podobno lepsze. Każda dętka miała kilka łatek, zanim ojciec decydował się na wydatek i kupował nową.

Zatrzymywaliśmy się w domku myśliwskim. Była to mała budka z dwoma oknami, z zewnątrz pomalowana na zielono. W środku stała koza – żelazny piecyk opalany drewnem. Domek stał na skraju wysokiego sosnowego lasu, frontem do płytkiego jeziora. Gdy pływało się po nim łodzią, widać było podwodny dywan różnorodnych roślin – takie wielgachne, imponujące akwarium. Na drugim brzegu zawsze stały dwie rybackie drewniane łodzie wypełnione wodą po brzegi. Wylewało się z nich wodę specjalną drewnianą szufelką i długimi pociągnięciami

ciężkich, litych wiosł przecinało łodzią jezioro. Na górze, ponad jeziorem, otoczony sadem stał dom Edwina Lehmana – pogodnego i bardzo miłego właściciela jeziora. Jeszcze wyżej, na szczycie wzgórza, stał samotnie potężny buk. Pan Edwin, gdy trzeba było określić to miejsce, mówił „pod buczkiem”. Latem wschodzący ogromny żółty księżyc przez parę chwil zawierał w sobie, wprost obejmował całą majestatyczną koronę tego drzewa.

Dookoła myśliwskiego domku rosły jagody, wrzos, tu i tam maliny, borówki, mchy w różnych kolorach, duże sosny i jałowce. W swoim czasie pojawiały się grzyby. Salonowy las rozciągał się górkami i dolinkami. Gdzieniedzie można było spotkać oczka wodne otoczone uginającymi się mszarami, przetykanymi karłowatymi sosenkami i brzożami. W dobrym roku – kiedy nie podtopiło i nie wysuszyło – na tych podmokłych mszarach zbierało się żurawiny. Ach, jak ja lubiłem tam buszować! Ileż tam było przez okrągły rok wszelkiego życia i kolorów! Te stare, wycofujące się jeziora są duszą i sercem tamtego lasu. To uroczyśka.

W większych oczkach wodnych pływały karasie, płotki, okonie i szczupaki. Polowało się tam również na kaczki – najczęściej krzyżówki i podgorzałki, rzadziej na bajecznie kolorowe cyraneczki. Łatwo było spotkać rogacza lub sarnę. Niekiedy udawało się zabić piżmaka, lisa lub dzika.

*

Z czasów, gdy ojciec łowił ryby, pozostał krótki spinning z dużym, okrągłym obrotowym kołowrotkiem i grubą żyłką. Teraz, uzbrojony w duży korek z rozcapierzoną kotwicą, używany był przez ojca do wyciągania zabitych piżmaków z wody. Jakoś ciągnęło mnie do tej wędki. Znalazłem w rzeczach ojca kilka ciężkich błystek i na łące przed domkiem myśliwskim uczyłem się rzucać spinningiem. Ależ ta żyłka na kołowrotku umiała się splątać! Raz za razem długi czas spędzałem na cierpliwym rozplątywaniu wszystkich poprzetykanych wzajemnie węzłów. Nie można było rzucać za mocno, bo wtedy rzut był niecelny i błystka lądowała byle gdzie – czasami na drzewie. Potem musiałem włączyć wysoko i wisząc na gałęzi, odczepiać błystkę od żyłki i jeszcze uwalniać samą żyłkę wplątana w listowie i patyki. Po zbyt słabym rzucie błystka lądowała za blisko. Tylko jeden sposób był dobry: rzut i jednoczesne hamowanie kciukiem rozpedzonej tarczy kołowrotka z siłą „w sam raz”, czyli odpowiednio dobraną do

ciężaru błyski, odległości, na jaką chciało się rzucić, wiszących nad głową gałęzi oraz siły i kierunku wiatru, gdy mocno wiało. Uff! W końcu udało mi się osiągnąć ten stan równowagi i zacząłem trafiać błyską tam, gdzie chciałem.

Był ciepły lipiec. Wstałem, gdy jeszcze było ciemno, i poszedłem parę kilometrów przez las nad głębokie leśne jezioro. Rozwidniało się. Prawie od razu, po kilku pierwszych rzutach, poczułem mocne szarpnięcie i opór – szczupak! Serce tłukło się jak oszalałe i chciało mi wyskoczyć z piersi. Jakoś doholowałem go do brzegu i próbowałem wysunąć ślizgiem z wody. Zrobiłem to jednak zbyt gwałtownie i zerwałem go, a szczupak odwrócił się i wolno odpłynął w toń. Patrzyłem na to osłupiały. Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Nie wierzyłem, że mogę złowić następnego. Ale nie musiałem rzucać zbyt długo, by ponownie poczuć mocne targnięcie w dłoniach, w rękach, w całym sobie! Zacinam i znowu holuję sporego szczupaka, doholowuję do brzegu i teraz już płynnym ślizgiem wyciągam na trawę. Uderzam kijem w nasadę głowy – znieruchomiał. Zawinałem go w trawy i schowałem w krzaki. Idąc wzdłuż brzegu, łowiłem dalej i dalej. Dokuczała mi woda wlewająca się do moich krótkich gumowych kaloszy. Jeszcze jeden szczupak i jeszcze, i jeszcze. Słońce podniosło się wyżej nad las i oświetliło dolinę jeziora. Zrobiło się ciepło. Wyciągnąłem z zarośli cztery szczupaki. Przez ich zębate paszcze przetknąłem kij i na ramieniu niosłem lasem do domku. Po drodze trzeba było przejść obok bardzo niskiego, krytego słomą domu Jana Pałubickiego. Na podwórku przed drzwiami chaty stały jego dzieci. Gdy je minąłem, dobiegł mnie głos: „Ale bym chciała zjeść takie ryby na śniadanie”.

Zakłuło mnie serce i pomyślałem: „Nie mogę zostawić im żadnego szczupaka, muszę wszystkie pokazać ojcu, bo mi nie uwierzy”. Bardzo pragnąłem pochwały! I szedłem dalej – taki chudy piętnastoletni patyczak – teraz już tylko z górki na dół. Lżej się niosło.

Położyłem ryby pod sosną rosnącą przy ścianie domku i wywołałem ojca:

– Patrz, co złowiłem!

– Sam złowiłeś takie ryby?! – Był bardzo zaskoczony i uśmiechnięty. Pokazał mi, jak się skrobie łuski i patroszy.

– Patrz, to jest serce szczupaka.

Wziąłem w dłoń zimny, czerwony kawałeczek i patrzę. I to serce zaczęło bić!

Czekałem, aż przestanie, ale ono wciąż biło i biło, i biło... Chciałem, żeby przestało! Moja dłoń jakby mdląła, ale nie mogłem go wypuścić. W końcu nie wytrzymałem i położyłem je na mchu, przy innych wnętrznościach. Jeszcze parę skurczów... nareszcie przestało bić. O matko! Tak jakby wielka ryba wróciła tu na chwilę... a teraz już odeszła na zawsze.

*

Kilka dni później dostałem nabitą brenekami drugą dubeltówkę ojca i wieczorem siedziałem na leśnym przesmyku. Miałem strzelać do dzików, gdyby się pojawiły, a po zmroku pójść do domku. Pojawił się rogacz, a potem, gdy zaczęło się ściemniać, coś szeleściło i trzaskały gałązki. Serce biło mi tak szybko – myślałem, że umrę. Najpierw liczyłem do dziesięciu, potem złapałem się za puls i zacząłem mierzyć tętno, by się uspokoić. Doliczyłem się prawie dwustu uderzeń na minutę. Wróciłem do domku, ale gdy przyszedł ojciec, nie przyznałem mu się do swoich słabych nerwów. Z tego wszystkiego zapomniałem rozładować z brenek dubeltówkę i wstawiłem ją tam gdzie zwykle, do szafki przy drzwiach. Rano jechaliśmy na kaczki. Zwykle najpierw szedłem z Azą piechotą kilkaset metrów na górę, bo motor nie mógł „wyciągnąć” nas wszystkich po piaszczystej drodze, i czekałem, aż podjedzie ojciec. Niosę więc broń na ramieniu i prowadzę psa na smyczy. Opieram dłoń na spustach – czuję, że są twarde. Patrę – zabezpieczone. Odbezpieczam i ciągnę za spust – BABACH!!! obok prawego ucha. Rozładowuję szybko z drugiej kuli i wyciągam pustą łuskę. Biegnie ojciec.

– Co się stało? Strzelałeś?

– Tak, chciałem trafić w tamto drzewo – kłamię. Ale widzę, że wszystko wie. Jest przestraszony.

Wtedy bardziej chciało mi się łowić. Wędrowałem po uroczysskach. W oczkach wodnych na bagnach były ryby. Kiedyś, blisko Pałubickich, stałem na uginającym się mokrym mszarze i rzucałem spinningiem. Jeśli dłużej stałem w jednym miejscu, woda podchodziła do krawędzi kaloszy. Z drugiej strony patrzyła na mnie Bernadka. Zeszła z góry, z domu, przez las nad wodę. Złowiłem przy niej niedużego szczupaka, a Bernadka zniknęła. Po kilku chwilach pojawiła się z powrotem na drugim brzegu. Wyciągnęła przed siebie trzymaną w obu rękach rybę:

– Ja też mam szczupaka!

Jej wielkie oczy błyszczały. Moje chyba też, bo mocno biło mi serce. To było ciepłe lato.

*

Przygotowania do jesiennych i zimowych polowań zaczynały się od wyciągnięcia zamykanej na kłódeczkę drewnianej skrzynki z przegródkami. Przedmiotami ze skrzynki można było zrobić naboje śrutowe i breneki na grubą zwierzynę. Najpierw z wystrzelonych łusek odpowiednim wybijakiem usuwało się zdetonowane spłonki z wyraźnym śladem po uderzeniu iglicy dubeltówki. Z płaskiego, okrągłego pudełeczka ze sztywnego, jakby naoliwionego kartonu wybierało się nową spłonkę i drewnianym kołeczkiem wpychało się ją w otwór w denku łuski. Potem wsypywało się miarkę prochu, tak by dokładnie wypełnił część naboju o podwójnej ścianie. Następnie szła tekturowa przybitka, filcowa przybitka, znowu tekturowa przybitka i dopiero śrut – jaki się chciało. Na to wszystko ostatnia przybitka, a pozostałą krawędź łuski palcami lekko zbierało się do środka i wkładało do zadziwiającego urządzenia: do zawijarki do nabojów. Kręciło się korbką, krawędź łuski pięknie się zaokrąglala i nabój był gotowy. Jeszcze trzeba było przesunąć gilzę w mosiężnym kalibrowniku, by nabój nie zakleszczał się w komorze nabojej. I tak przez cały wieczór, siedząc przy kuchennym stole, patrzyłem na pracę ojca, wybijałem spłonki, kalibrowałem albo zawijałem. W woreczkach z brązowego, mocnego materiału znajdował się różnego kalibru śrut, w metalowych puszczkach zielonkawy, lekki, szeleszczący proch, cały z maleńkich zielonych kwadracików. W słoiczkach przybitki tekturowe i filcowe. W taśmach zwinięty był ołów do odlewania brenek. Odlewało się je w małej, ale bardzo ciężkiej formie. Jednorazowo można było odlać dwa pociski. Był jeszcze ręcznie wystrugany stożkowy kołeczek do przywracania formy wystrzelonym łuskom. Świeżo zrobione naboje wkładało się w odpowiednim porządku do pasa na amunicję.

Jesienią polowało się na kaczki i kuropatwy. Z domu mieliśmy blisko na Żuławy. Zaraz pod Gdańskiem, w widłach Motławy i Wisły, rozciągały się poprzecinane siatką melioracyjną pola. Tam zawsze czymś pachniało. Gdy dojrzewały zboża, wieczorem po ciepłym dniu podnosiła się wilgoć, a z nią chlebowe zapachy. Ścierniska pachniały wieczorem jak... ścierniska. Na łąkach pasły się stada krów – też pachniały – najmocniej wieczorem, gdy na pastwisko

wjeżdżał ciągnik z baniakiem, a krowy, mucząc, schodziły się do wody. W czasie podorywek zapach się zmieniał – nie było w nim lekkiej letniej radości, tylko zapach żyznej, czarnej, ciężkiej ziemi. Zimą przeważnie był tylko zapach zimy. Gdy oparłem się o stóg w polu, przypominało się lato. W przerwie zbiorowego polowania na zające odpoczywaliśmy przy stogu – jeśli akurat był – z innymi naganiaczami, w oczekiwaniu na ustawienie się myśliwych i sygnał do ruszenia nagonki, dawany na blaszanym rogu. Po nim szliśmy ławą do przodu, starając się trzymać równe odstępki i klekocząc drewnianymi kołatkami. Gdy było mroźno, zające zrywały się daleko od nas. Czasami pomimo zimna leżały „twardo” – to oznaczało, że nazajutrz będzie odwilż. Niektóre wręcz szarżowały na nagonkę i uciekały tuż przy naszych nogach. Myśliwym się to nie podobało i mówili, że źle naganiamy. Nam nie podobało się to, co mówią. Niechby sami spróbowali! Czasami, jak było za mało chłopaków do nagonki, część myśliwych szła z nami. Najczęściej nie mieli się czym pochwalić – myśliwi jako naganiacze to ofermy. A jeszcze się przy tym kłócili. Może dlatego, że wszystko „wiedzieli lepiej”, a może dlatego, że przyjemniej jest stać sobie na stanowisku i strzelać do zajęcy i lisów, niż chodzić po zamarzniętych skibach czy skakać przez rowy melioracyjne.

Gdy byliśmy już blisko linii myśliwych, podnosiło się leżącego zająca za tylne skoki i niosło do myśliwego, który go zabił. Czasami zając jeszcze żył. Brało się go za nogi, on podnosił głowę i trzeba było energicznie uderzyć brzegiem dłoni w kark, by przerwać rdzeń kręgowy – wtedy głowa zwisała bezwładnie. Jeśli zając jeszcze kicał, próbowaliśmy go łapać. Niekiedy, chociaż krwawił, a nawet miał odstrzeloną tylną nogę, biegł po strzale jeszcze kawałek i chował się gdzieś w rowie albo w skibie ziemi. Myśliwy szedł za nim po krwawych śladach na śniegu i gdy był już blisko, zając podrywał się i machając odstrzelonym kikutem, uciekał. Wtedy myśliwy strzelał do niego ponownie. Najczęściej celnie, choć zdarzało się kilka kolejnych pudeł. W końcu go jednak dobijał, bo zając biegł już wolno, czasami bardzo wolno. Nazywało się to dochodzeniem postrzałka. Niekiedy po strzale zając biegł pełnym pędem, tak jakby żadna śrucina go nie trafiła. Ale w pewnym momencie zwalniał... uciekał coraz wolniej i... po prostu się przewracał. Zazwyczaj oznaczało to, że jedna ze śrucin trafiła go w płuca i zostało mu życia tylko na przebiegnięcie tego kawałka. Zawsze wtedy ścisnął mnie jakiś żal. Właściwie lubiłem, jak myśliwy spudłował i zając gnał, aż się za nim kurzyło,

i znikał. No chyba że strzelał mój ojciec. Bardzo nie lubiłem, gdy pudłował – wolałem, gdy trafiał.

*

Najbardziej lubiłem jeździć z ojcem na kaczki, na ich zloty, gdy kończące się lato pachniało ścierniskami. Kaczki wybierały jedno miejsce po zżętej pszenicy lub jęczmieniu i po zachodzie słońca przylatywały na nie licznymi stadkami jeść resztki leżącego na ziemi ziarna. Trzeba było wcześniej schować się w rowie, okopać słomą i czekać. A potem strzelać raz za razem przez niecałe pół godziny, aż zrobiło się ciemno. Wtedy latały jeszcze pojedyncze kaczki, ale było już widać tylko cień na niebie, i to tylko przez moment. Rzadko dawało się jeszcze strzelić. Gdy ojciec strzelał, ja patrzyłem, gdzie spada kaczka, i biegłem po nią. Im bardziej szarzało, tym trudniej było znaleźć zabita albo ranną kaczkę. Żyjące trzeba było dobić. Można było chwycić za łeppek i naderwać, ale tylko naderwać, a nie urwać! Czasami jednak głowa zostawała w dłoni, a z tułowia kaczki sterczał goły kikut skrwawionej szyi, bo skóra z piórami obsuwała się natychmiast w dół. Skuteczne było ściśnięcie kaczki z całej siły tak, jakby ścisnął ją paszczą wyżeł. Psom to dobrze wychodzi, ale tu trzeba było ścisnąć rękoma dłuższy czas, a kaczka żyła i żyła, dopóki jej szyja z głową bezwładnie nie opadła i nie zwisała swobodnie, gdy się ją bujnęło.

Było już całkiem ciemno, gdy szliśmy do motoru. Ubieraliśmy się w leżące na siodelku kurtki, ojciec wycierał wieczorną rosę z baku motocykla, przypinał do pasa troki z kaczkami i jechaliśmy do domu. Najpierw wzdłuż rzeki, długą polną drogą. Światła motoru czasami wyławiały z mroku zające. Potem wjeżdżaliśmy w parterowe, stare i biedne przedmieścia i przez śródmieście docieraliśmy do naszego domu. To była niespieszna jazda. Przecinaliśmy wyraźnie oddzielone warstwy ciepłego i zimnego powietrza. Wieczne zapachy późnego lata kondensowały się w tych warstwach. W mieście było już tylko ciepło – mury i asfalt są długo rozgrzane po ciepłym dniu. Kaczki bujały się w trokach, motor równomiernie pyrkotał. Cichł smutek i niepokój, które pojawiały się, gdy trzeba było dobijać.

W domu matka bardzo cieszyła się na kaczki – „było co do garnka włożyć” – a my z ojcem byliśmy bardzo dumni i tacy jacyś spokojni po udanym polowaniu. Do późnej nocy skubaliśmy kaczki w zamkniętej kuchni. Wszędzie unosiły się

kacze pióra. Resztę puchu na kaczych tułowiach opalało się nad gazem. Patroszenie nie należało do miłych zajęć – jeśli jelita były przestrzelone, śmierdziało. Nazajutrz zjadaliśmy serca, wątróbki, żołądki i ogryzaliśmy kacze skrzydełka, nóżki i piersi. Czasami trafiało się na trochę zdeformowany śrut, niektóre piszczele były pęknięte i bardzo ostre. Po obiedzie zostawała kupka starannie ogryzionych kości.

*

Motor stał w piwnicy i aby wyprowadzić go na dwór, wypychało się go do góry po długiej desce położonej na schodach. W pojedynkę było to prawie nie do zrobienia, chociaż kilka razy mi się udało. Lepiej było wypychać we dwóch – ojciec z przodu za kierownicę, a ja z tyłu za bagażnik. Kiedyś zacząłem go podkradać i wyprowadzać z piwnicy sam. To było jak nałóg. Po prostu musiałem, chociaż dokuczały mi wyrzuty sumienia. Mrocznym piwnicznym korytarzem przeprowadzałem motor do schodów w ostatniej klatce kamienicy. Wypychałem go i po wyjściu na zewnątrz natychmiast znikałem za rogiem domu. Odkręcałem linkę licznika kilometrów i jechałem do podmiejskiego lasu. Cóż to było za wspaniałe uczucie wolności! Kiedyś pojechałem z kolegą na dłuższą wyprawę, drogą w kierunku Sulęcyna oczywiście.

Inne drogi w tamtym czasie dla mnie nie istniały.

Prowadziliśmy na zmianę. Wojtek słabo jeździł, zarzuciło nas i prawie otarliśmy się o samochód jadący z naprzeciwka. Odechciało nam się dalszej wyprawy i postanowiliśmy wrócić do domu. Już zmierzchało. W pewnym momencie coś trzasnęło na dole w silniku, motor zgasł i stanął. Pękł łańcuszek sprzęgłowy, a w dodatku wybił w pokrywie sprzęgła dziurę. Polał się olej. Dniało już, gdy dopchałem motor do domu i wprowadziłem go do piwnicy. Tego dnia nie poszedłem do szkoły. Do wczesnego popołudnia, jakimś niezwykłym wysiłkiem i szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zdobyłem wszystkie potrzebne części i naprawiłem uszkodzenia. Pokrywę od silnika – identyczną, co za szczęście! – miał mój starszy kolega ze szkoły, z którym potem serdecznie się przyjaźniłem – Mietek Król. Dał mi ją, a ja ją elegancko przykręciłem. Ślad nie pozostał! Jeszcze tylko trzeba było wlać olej do silnika i koniec, załatwione. Robię to, a tu... szur... szur... ktoś idzie! Do piwnicy wchodzi mój ojciec! Uciekłem do domu i zamknąłem się na klucz w łazience. Krzyczał, że mnie zabije. Wierzyłem mu. Po długim czasie, dzięki obecności matki, dałem się przekonać, że jak wyjdę

z łazienki, nie zginę na miejscu. I rzeczywiście, nawet mnie nie pobił, chociaż gdy przez moment był za mną, czułem mróz na plecach.

Po kilku latach, gdy zrobiłem prawo jazdy, mogłem już czasami jeździć motorem ojca. Nawet pojechaliśmy z młodszym o cztery lata, kochanym bratem Bogdanem do Sulęcyna na ryby. W dziesięć dni złowiliśmy dziewięćdziesiąt osiem szczupaków. Większość trafiła do Pałubickich.

*

Zaczął się taki czas, w którym miałem coraz więcej własnych spraw. Chłopaki i dziewczyny, czyli paczka. Papierosy i wino. Zakochiwanie się i całowanie z Ewą. No i Raisa, jak się okazało, na długie, długie lata. To wszystko było najważniejsze. Ważniejsze nawet od ojca i polowania. Na długo. Miałem dwadzieścia jeden lat, gdy wyprowadziłem się z domu. Po kilku latach jeszcze na parę miesięcy dom rodzinny mnie przygarnął. Jednak polowanie wydawało mi się dalekie. Chociaż nikt mnie o to nie pytał, mówiłem, że to nie dla mnie, że nie chcę, że wystarcza mi łowienie pstrągów i szczupaków.

*

Zatem jak to się stało, że zanim skończyłem trzydzieści lat, zacząłem polować? Kupiłem motor i jeździłem nim do Sulęcyna z dubeltówką na plecach schowaną w charakterystycznym futerale. Plecak miałem przytroczony do małego bagażnika z tyłu. Jak to możliwe, że na tej trasie zajeździłem trzy motocykle i kilka samochodów? Nie wiem. Po prostu pewnego dnia postanowiłem, że będę polował. I tak się stało.

Rogacz

Od maja na Żuławach wśród łąk i zbóż polowało się na rogacze. Czasami wyjeżdżaliśmy specjalnie na rogacze, a niekiedy polowaliśmy na nie przy okazji wyjazdów na kaczki. Tak jak to miało być właśnie tej sierpniowej niedzieli. Jeszcze nocą wypychamy motor z piwnicy, a ojciec odprowadza go kawałek dalej, za blok, żeby hałas uruchamianego silnika nie niepokoił śpiących ludzi. Jedziemy przez wciąż całkiem uśpione miasto. To dziwne uczucie – wszyscy głęboko śpią, wszystkie okna ciemne, a my jedziemy bezludnymi ulicami przez chłodne powietrze.

Tak jakby na świecie były tylko niewidome budynki z czarnymi, bezludnymi prostokątami okien i my dwaj na motocyklu.

Gdy zaczynało się rozwidniać, już zaglądaliśmy na miedze i łąki skryte za łanami pszenicy.

Wychyłamy się z za kolejnego łanu i widzimy dosyć daleko od nas sarny. Patrzymy na nie przez te poranne mgły i opary – tata w lornetce widzi, że jest z nimi rogacz. Sarny czekają, aż słońce obsuszy zboża z wielkiej rosy. Wtedy wejdą w nie i gdzieś pośrodku łanu umoszczą sobie małe legowisko bezpośrednio na ziemi, i będą leżały tam przez cały dzień.

W tych warunkach nie ma możliwości, by je podejść bez spłoszenia. Cofamy się za róg łanu, a ojciec pokazuje mi ręką i szeptem mówi:

– Jak pójdziesz dookoła, zajdziesz je od tamtych wierzb i ruszysz na nie stamtąd, to będą chciały przedostać się na tę stronę przy końcu łanu.

Ruszam. Chłopaki lubią takie samodzielne zadania. Okrążam sarny dużym łukiem, niewidzialny i niesłyszalny dla nich. Nie widzę ich zupełnie, lecz we właściwym momencie obieram kierunek wprost na nie i przez pszenicę, mokry po pachy od wielkiej rosy, idę w ich kierunku. Nie wiem, kiedy się podnoszą i odchodzą z miejsca, gdzie stały, ale słyszę następujące po sobie, szybkie dwa głuche strzały. Między łanami znajduję ojca. Pokazuje mi krew na trawie i w połowie wysokości źdźbeł pszenicy.

– Farbuje, wysoko dostał, chyba na komorę – mówi cicho ojciec.

W pszenicy widać wyraźny, ciemniejszy, zakręcający szlak – ranny rogacz, umykając, otrząsnął srebrzystą rosę z kłosów.

– Nie mam już brenek, ale pójdziemy za nim pomalutku. Nie mógł pójść daleko – słyszę szept ojca.

Idziemy, stawiając krok za kroczkiem, ojciec rękoma rozsuwa przed sobą pszenicę, by być jak najciszej. Przystaje. Milcząc, pokazuje mi dłonią parę metrów przed nami wolny od kłosów placek. Tam leży. Robimy jeszcze kilka powolnych kroków. Widzę go! Podnosi się! Z przestrzeliny w brzuchu wypływają mu jelita. Ojciec rzuca się na niego i zduszonym głosem woła: „Łap go za nogi!”. Łapię! Rogacz kopie i przeraźliwie beczy! Słabną mi ręce! Nie utrzymam! Boję się, że - kopnie mnie w brzuch! Ale rogacz kopie coraz słabiej – ojciec podrzyna mu gardło – zwierzę straszliwie beczy i wiotczeje.

I wszystko przestaje szarpać się i krzyczeć. Wszędzie zapada wielka cisza. Wracamy motorem do domu, trzymam ciało rogacza na kolanach. Czuję, że stało się coś bardzo złego. Jestem głęboko smutny. Przez zieloną kurtkę i plecy prowadzącego motor ojca wyraźnie odczuwam jego przygnębienie. Siłę kopiających nóg rogacza czuję w rękach do dzisiaj, a jego śmiertelny głos wbił się we mnie na zawsze.

Ojciec, pan Romek i ja

Ojciec polował z panem Romkiem Sadowskim. Jeździli razem czarną eshaelką, już wtedy starodawną. Siodełko prowadzącego było niżej, a pasażera wyżej. Przypominały staroświeckie siodełka rowerowe, tyle że były znacznie większe i na dwóch sprężynach. Pasażer miał przy siodełku przed sobą półokrągłą, niedużą rączkę. Z panem Romkiem jeździł czarny, kudłaty pies. Wabił się Kleks. Pan Romek dawał mu komendę: „Kleks, hop!” – i już pies wskakiwał! Jakoś kładł się z przodu, trochę na baku motocykla, a trochę na nogach pana, i tak jechali sobie przez miasto i dalej. Na polowaniach zbiorowych po zachowaniu Kleksa można było się zorientować, że w pędzonym zagajniku są dziki – Kleks wówczas zwiewał do pana. Nie było siły, żeby odstąpił od jego nogi. Gdy ojciec kupił wufemkę, przez miasto i dalej pyrkotały już dwa motory wiozące dwóch myśliwych i mnie na siodełku za ojcem oraz dwa psy: Kleksa na baku i naszą wyżlicę Azę na moich kolanach. Do tego jeszcze flinty i bagaże na dwa dni. Wyjeżdżaliśmy w sobotę, po powrocie ojca z pracy. W soboty ojciec pracował w stoczni od szóstej do dwunastej, tylko sześć godzin. Tak samo jak pan Romek. Ze stoczni wychodził trzecią bramą i szedł przez długi drewniany most, potem kawałeczek przez park, aż docierał do przystanku tramwajowego. Jeszcze dwadzieścia minut jazdy tramwajem, pięć minut piechotą i za dwadzieścia pierwsza był w domu. Tę drogę do pracy, do stoczni rano na szóstą, a potem z powrotem do domu ojciec pokonywał przez prawie trzydzieści lat. W stoczni zacząłem pracować, gdy skończyłem siedemnaście lat, i przez ładnych parę lat jeździliśmy rano tramwajem razem. Do stoczni, tak jak ojciec, wchodziłem trzecią bramą, w szatni przebierałem się w kombinezon, kufajkę, jeśli było zimno, wkładałem brązowy kask i sznurowałem robocze buty z noskiem z blachy. Ale to nastąpiło parę lat później.

Teraz, gdy ojciec wychodził z za rogu domu, matka stawiała na stole obiad. Wszystko robiliśmy szybko – matka przygotowywała jedzenie na wyjazd, przede wszystkim kiełbasę i chleb, my ubieraliśmy się do jazdy, wypychaliśmy motor z piwnicy, troczyliśmy bagaże, braliśmy psa i już, gotowe, uff... Jeszcze czekaliśmy na pana Romka. Nasłuchiwaliliśmy jego motoru. Już jest! W połowie

drogi, za Kartuzami, wjeżdżało się w kaszubskie lasy i jeziora. I wtedy cały ten pośpiech i jakaś twardość minionego tygodnia oddalały się i rozpraszały niczym mgła. A gdy zajeżdżaliśmy do domku myśliwskiego – były już tylko las i jeziora.

Polowało się wtedy wyłącznie z dubeltówkami. W kole był tylko jeden sztucer bez lunety.

Ojciec był łowczym koła łowieckiego, a pan Romek skarbnikiem i dlatego spotykali się czasami w tygodniu u nas w domu, aby pogadać o sprawach. Kiedyś ojciec był bardzo chory i pan Romek przyszedł postawić mu bańki. Potrzebne były denaturat, wata, dłuższy patyk i szklane bańki. Ależ ten ogień buchał! Potem ojciec miał plecy całe w granatowe placki, a po dwóch dniach był zdrowy. Czasami się kłócili. W ogóle raczej burczeli na siebie, pewnie bywało im ze sobą trudno, ale nigdy się nie rozstali. Pod koniec lat siedemdziesiątych pan Romek zaczął coraz poważniej chorować na serce. Sztucer po panu Romku od wdowy odkupiłem ja.

Ojciec został sam. Ale byłem ja. Od czasu do czasu wjeżdżaliśmy we dwóch na zajęcia, na kaczki czy na dziki. Czasami razem wypływaliśmy łodzią na jezioro i łowiliśmy szczupaki. Ale nie mogłem mu zastąpić pana Romka. Nie mogłem też bardziej zbliżyć się do ojca, chociaż... jednak było bliżej. Bardzo chciałem mu zaimponować, by zobaczyć w jego oczach uznanie. To musiało być dla niego męczące. Zresztą buchający energią trzydziestolatek i starzejący się ojciec to niełatwa para. Kiedyś powiedział: „Nie pędź tak, chłopcze” – a ja zdałem sobie sprawę, że gnam samochodem na zakrętach leśnej szosy jak na jakichś zawodach, i zawstydzilem się. Jak chyba wszyscy młodzi mężczyźni, myślałem, że dobrze prowadzę. Ale tata nie lubił szybkiej jazdy. Zwolniłem, i już zawsze jeździłem z nim tak, by czuł się dobrze. Byłem stale gotów dostosować się do potrzeb ojca. Wiecznie spragniony jego obecności. Kochałem go.

Miałem wtedy najbardziej ludzkiego psa, jakiego wychowałem – niezwykłą szorstkowłosą jamniczkę – Pańkę. Gdy odwoziłem ojca swoim samochodem do lasu na polowanie na parę dni, Pania zostawała z nim. Zakochała się w ojcu po psiemu – czyli na zabój. Dobrze im było razem. Ojciec brał ją ze sobą wszędzie: na łódkę, na polowanie, do miejscowych znajomych i do sklepu we wsi. Podchodziła z nim dziki czy rogacze i nigdy niczego nie spłoszyła. Byłem trochę zazdrosny. Ale w końcu jakoś wewnętrznie podzieliłem się z ojcem swoim psem. Pania stała się ojca i moja jednocześnie – i tak też się zachowywała. Miała pojemne serce.

Nauczyłem się od nich, do jakiego stopnia pies może być towarzyszem i przyjacielem. Taka bliska, kochana psia osoba.

Kiedyś, już pod koniec życia ojca, byliśmy w lesie we dwóch przez parę dni, na styczniowym polowaniu na dziki. Było w sam raz mrozu i śniegu, w ciągu dnia szliśmy otropić lub odpoczywaliśmy, a w nocy polowaliśmy przy księżycu. Wkładaliśmy białe stroje i ruszaliśmy w las i na pola, każdy w swoją stronę. Niekiedy chodziliśmy razem.

Była już druga w nocy, gdy spotkaliśmy się przy domku i pomimo zmęczenia postanowiliśmy jeszcze kawałek podejść przez zaśnieżony las do małej enklawy pól. Śnieg był miękki, cichy, puszysty. Pomału wychodzimy z lasu i... jest dzik! Duży samotny dzik buchtuje na polu. Musimy jeszcze go podejść – jest za daleko na strzał. Pomalutku, przystając, gdy dzik się przemieszcza i ma głowę w górze, przesuwamy się w stronę zaśnieżonego kartofliska.

Jesteśmy już blisko, nie można nawet szepnąć, ojciec podchodzi jeszcze parę kroków i bezszelestnie znika w księżycowym cieniu kilku sosenek. Ja zostaję pod brzozą przy polu. Zdejmuję sztucer z ramienia i biorę dzika w krzyż lunety. Czekam, aż ojciec strzeli, wtedy natychmiast poprawię, w razie potrzeby. Ojciec dawno nie upolował dzika. Czekam na strzał, dzik przesuwa się to tu, to tam, ja się denerwuję, że za chwilę zniknie, w rosnącym napięciu czekam na strzał ojca – a dzik rzeczywiście po prostu znika za jakimś ośnieżonym pagóreczkiem. Po dłuższej chwili ojciec wynurza się spod drzew i podchodzi do mnie parę kroków.

– Czemuś nie strzelał? – pyta.

– Bo czekałem, aż ty strzelisz.

– A ja czekałem, aż ty strzelisz – odpowiada mi ojciec.

Stoimy pośród tej księżycowej zaśnieżonej nocy i patrzymy na siebie.

Po latach, już po śmierci ojca, zacząłem rozumieć to, co zaświtało w mojej głowie tamtej nocy. To było jak przekaz: „Teraz ty!”.

Miałem trzydzieści trzy lata.

Co widzi dziecko?

Jovan miał osiem lat, gdy razem w ciągu dnia starannie przygotowaliśmy miejsce zasiadki na dziki. Wziąłem go na wieczorne polowanie. Dla niego – pierwsze w życiu. Czerwcowy wieczór po upalnym dniu był ciepły i jakby miękki. Siedzimy we dwóch nad położonym trochę niżej starym bagnem, zarośniętym mchami i pojedynczymi karłowatymi sosenkami i brzózkami. Jesteśmy dobrze ukryci w małym zagajniczku na stoku. Za dnia wyciąłem parę gałązek zasłaniających widoczność i linię strzału, przygotowaliśmy sobie też miejsce do siedzenia. Jovan siedzi przy mnie cicho jak myszka. Dobrze pamięta instrukcje. Jest bardzo przejęty, ja też. Szarzeje. Przed nami w trawach pojawił się zając, siedzi, czasami coś tam skubnie, z rzadka kicnie. Miło jest patrzeć na niego.

Niegłośno trzaska gałązka w lesie z drugiej strony bagna. Elektryzujący dźwięk! Kładę palec na ustach i pokazuję Jovanowi, żeby był całkiem cicho. Czekamy. Szarzeje coraz bardziej. Nic się nie dzieje, ptaki ucichły zupełnie. Krąży malutki nietoperz. Zając gdzieś zniknął. Cisza opada na wszystko, ściemnia się.

Nagle coś jest! Dzik! Cień jego sylwetki przesuwa się z drugiej strony bagna. Wydaje mi się, że to odyniec. Sprawdzam: biorę lornetkę i szukam pędzla pod jego brzuchem. Jest! Będę strzelał. Duży odyniec. Idzie do środka bagna, słychać, jak pije wodę, jak ciamkają w mokrym mchu jego kroki. Bezszelestnie opieram lufę sztucera o przygotowaną właśnie do tego gałązkę na sosence przede mną. Ponad lufą dosłownie wbijam oczy w majaczącą w mroku sylwetkę. Mijają minuty. Wychodzi na wolne pole. Składam się, grot lunety na komorze... BABACH!!! – trzaska strzał. Dzik pada! Natychmiast repetuję i trzymam go w lunecie. Widzę, jak leżąc, rytmicznie i mocno się rusza, jakby chciał biec. Coraz wolniej... aż przestaje. Uff... doszedł. Przypominam sobie o Jovaniu. Odwracam się do niego. Jovan płacze. Patrzę na niego i w jednej chwili czuję, jakby mi wszystko w środku zamarło. W głowie wybucha mi myśl: „Chciwy głupiec!”.

– Czemu płaczesz? – pytam odruchowo.

– Bo on przed chwilą tak sobie chodził, a teraz nie żyje.

Nie wiem, co powiedzieć ani co zrobić.

Niczego nie rozumiem, czuję się jak ogłuszony. Nie będę przy nim patroszył. Sprawdzam jeszcze, co z dzikiem, i odprowadzam Jovana do domku myśliwskiego, do żony. Jest już całkiem ciemno. Wracamy nad bagno z kolegą myśliwym wypatroszyć i ściągnąć zwierza. Przy domku wieszamy go na sośnie. Nacinam skórę pod pachami i rozpieram grubszym patykiem – tusza wtedy lepiej stygnie.

Na wschodniej stronie niebo zaczyna się już rozjaśniać. Jezioro jest jak lustro. Ciepła, cicha letnia noc. Siedzę pod sosną. Czuję ogromne zmęczenie, jakoś mi bardzo ciężko, ale nie idę spać – wiem, że nie zasnę. Poczekam jeszcze trochę, aż się bardziej rozwidni, może pójdę na szczupaki. Dzisiaj już nie chce mi się polować. Nęka mnie męczący żal do siebie o to, że się popisywałem. Cały czas pieką mnie jego łzy. Czuję, że coś się stało, ale boleśnie nic nie rozumiem, nie mogę tego ogarnąć.

Lis i zajac

Pod koniec kwietnia zaczynało się już wierzyć, że wiosna jednak idzie, chociaż wieczorami czuło się jeszcze twarde, jakby zimowy chłód. Ale oziminy już ruszyły i zakończyły się wiosenne siewy. Gdzieniegdzie przygotowywano pola pod sadzenie ziemniaków, które tu zawsze odbywa się z początkiem maja. Zapadał wieczór. Szedłem sobie niespiesznie i cicho wzdłuż zagajników z jednej strony i większej, sfałdowanej enklawy śródleśnych pól z drugiej. Wychyłam się zza pagóreczka i przed sobą widzę siedzącego na środku oziminy zająca. Przystaję sobie za sosenką, biorę lornetkę i patrzę, cóż to za leśny obywatel siedzi przede mną. Lubię patrzeć na zające. To bardzo miłe zwierzaki.

Kiedyś, siedząc na myśliwskiej drabinie, obserwowałem zająca, który dosłownie pode mną poskubywał różne trawki i zioła. Gdy wzeszło słońce i zaczęło ogrzewać łąkę, zając położył się na brzuszku i z prosto wyciągniętymi tylnymi nogami, podciągając się przednimi łapkami, podczołgiwał się od roślinki do roślinki i skubał, i ruszał po zajęczemu pyszczkiem. Ten to dopiero lubił życie! Widać było, że robi to wszystko dla przyjemności.

Ale ten zając, na którego właśnie patrzę, siedzi klasycznie – po zajęczemu. Opuszczam lornetkę i obserwuję pole oziminy. Nic, nawet sarny. Tylko ten zając, tuż przede mną.

Pojawił się lis.

Jest ponad sto metrów od nas i wyraźnie, chociaż wolno, idzie w kierunku zająca. Nie wiem, czy lis go widzi. Chyba nie – może idzie po tropie – w każdym razie wygląda na to, że go nie widzi. Gdy dociera jakieś trzydzieści metrów od zająca, ten, dotąd odwrócony do niego tyłem, robi zwrot bez wstawania i teraz siedzi tak, by widzieć lisa. Rudy jak po sznurku podchodzi bliżej, coś tam wacha na ziemi, zwleka, przystaje i zachowuje się tak, jakby zając w ogóle go nie obchodził. I jak na prawdziwe lisie niewiniątko przystało, najbardziej zainteresowany jest wachaniem polnych kamyków. Stale jednak przesuwają się w kierunku zająca. Patrzę na to wszystko przez lornetkę z wielkim zaciekawieniem. Co będzie dalej? Lis podchodzi do zająca na trzy, cztery metry – a ten nic! Lisiura zachowuje się, jakby

omijał duży kamień, i zaczyna zająca obchodzić po półkolu. Szarak, siedząc, obraca się za nim i wtedy w lornetce widzę, jak zając szczyrzy zęby do lisa! Obraca się za nim i po prostu co chwilę unosi wysoko górną wargę, pokazując mocne żółte zębiska. Lis zatacza półokrąg i gdy jest na przedłużeniu sznurka, po którym przedtem szedł, rusza dalej, jakby tylko ominął kamień. A zając siedzi, jak siedział.

Pan Zając.

*

Lubię odrastające zręby. Oprócz tego, co robotnicy leśni na nich posadzili, rośnie tam to, co ocalało po ścinaniu drzew, krzesaniu gałęzi, zrywaniu kłód przez Leśny Kombajn Terenowy, czyli w skrócie LKT, w pobliże drogi, paleniu pozostałości. Niewiele tego zostaje, bo jest to zniszczenie totalne, „spalona ziemia”. Później zrąb przez rok, częściej dwa, odpoczywa, dochodzi do siebie. Odradzają się mchy, wrzos, odrastają jagodziny przy pniakach pozostałych po drzewach i wyrasta trawa. Taka średnio wysoka, z kitką na końcu. Ta trawa pięknie faluje i kładzie się na wietrze, a od końca sierpnia nabiera intensywnych płowoczerwonych odcieni. Gdzieś tam pozostaje nieduży jałowiec lub mała brzoźka. Potem leśni znowu psują odnawiający się zrąb – odkrywają pasy ziemi i w nich równymi rządkami w jednakowych odstępach sadzą maleńkie drzewka. Znowu mijają dwa, trzy lata i uprawa z tym, co wsadzone przez człowieka, i z tym, co urosło „samo”, harmonizuje się z otoczeniem, lasem, przyrodą. Przestaje być obca, nabiera swojskości, po ciężkiej chorobie zostaje z powrotem przyjęta przez otoczenie. Jest przy tym świeża, przez pierwsze sześć, siedem lat zaskakuje bujnością życia. Ale uprawa to uprawa. Potem znowu wchodzą leśni ze spalinowymi piłami i siekierami, tną według swoich upodobań i zagajnik wygląda jak połamany. Czasami tną bez sensu. Widziałem ścięte młode klony, leżały pokotem. Na litość boską! Po co?! Stały w miejscu, w którym mogły wspaniale rosnać dalej, ale nie miały szczęścia, zdaniem leśnych – „urośli same”. A to je w ich oczach dyskwalifikuje. Tak jak i pobliski sosnowy zagajnik widoczny z naszego okna. Miejsca, w których sosenki przyroda zasiała rzadziej, zostały wycięte do gołej ziemi – według ludzi natura się pomyliła: „Ma być gęściej i w rządkach”. Jaś płakał, gdy Rysio Sylka szedł z wyjącą piłą łańcuchową i rznął. „Wyjeżdżamy stąd!” – chlapał rozpaczliwie. Byłem przybity, lecz gdzie moglibyśmy razem z Jasiem uciec? Teraz ludzie posadzą inne drzewa – gęściej. Po co? I tak później

zrobią przecinkę, bo musi być rzadziej! Widoczne z naszego okna drzewka zasadzone przez ludzi w miejsce wyciętych – nie przyjęły się i uschły. Wycięte sosenki samosiewki w porównaniu z drzewkami, które sadi człowiek, wyglądały jak dorodne, zdrowe borowiki w porównaniu z pieczarkami. To były cudowne, mocne, bujne drzewa z dwu-, trzyletnim igliwem. Inne zagajniki sosnowe chorowały – ten nigdy. Spotkała go egzekucja z rozpędu, z bezwładności ludzkich przekonań.

Klony w czasie kwitnienia przepięknie pachną. A jesienią... ech, szkoda gadać. Teraz razem z sosnami leżą ścięte jednym wprawnym, śmiertelnym dotknięciem piły łańcuchowej. A przecież tak naprawdę zostały ścięte cudowny aromat, żółto-czerwone płomienne barwy jesieni i rydze, które pod nimi wyrastały. Coś, co przez nosy i oczy kojąco kołysze nasze obolałe serca. Tęsknimy do tego, czyż jest inaczej?

Na podrośniętych leśnych uprawach polowało się na rogacze albo na jelenie. Zapewne rosną tam zioła, bardzo przez nie lubiane. Chętnie pożywiają się w tych miejscach. Trudno zauważyć, co taki rogacz podgryza, gdy się schyla. Ma przecież głowę schowaną w trawie. Ale czasami, gdy ją podnosi, trzyma w pyszczku dłuższe zielsko. Rozgląda się nieco i spokojnie wciąga resztkę zieleniny. Zdarzyło mi się zaobserwować, jak dwie sarny i rogacz, zawsze te same, przychodzą ciągle w jedno miejsce na zrębie, żeby zajadać łądyżki zakończone ślicznymi niebieskimi kwiatkami. Najpierw w ich pyszczkach zniknęła zielona łądyżka, a na końcu niebieskie kwiatki. I co ciekawe, te kwiatki urosły w tym miejscu tylko raz. W następnym roku już ich nie było. Kiedyś usiadłem nad sporym zrębem, czekając na rogacza. Był maj. Słońce dopiero zaszło i jak to o tej porze roku bywa, przy bezchmurnym niebie prawie do jedenastej wieczorem wszystko było widać. Po pewnym czasie po drugiej stronie zrębu pojawił się lis. Zachowywał się całkiem dziwnie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Chodził sobie wzdłuż uprawy i co jakiś czas wyskakiwał do góry. Wyglądał przy tym jak sęp wyskakujący z wody. Hop! Wyprężone w pionowym skoku ciało i ogon. Hop! Jakby coś od spodu go dźgało i wręcz wysadzało w górę. Nastawiam lornetkę najostrej, nie spuszczać z niego wzroku, a on sobie chodzi to tu, to tam i... hop! Wysoko w górę. Co tu się dzieje?! Znowu hop! Jest już blisko mnie, zaledwie kilkanaście metrów i... hop! Robi świecę do góry. Czy mi wychodzą z orbit, w lornetce mam

go jak przed swoim nosem, a on... hop i hop! Nagle widzę! Jest! Mam! Mykita łapie chrabąszcze! Zobaczyłem w lornetce, jak w skoku złapał majowego chrabąszcza. I rudzielec poszedł sobie dalej po zrębie, co chwilę zaskakująco hopkając, jak gdyby nigdy nic. Posiedziałem jeszcze trochę, chrabąszcze buczały w sośnie... i spacerkiem poszedłem do domu.

Ach, ten maj.

Wieczorem nie ryczały

Wieczorem nie ryczały. Mżyło. Taki już był ten koniec września – zimny i mokry. Zaglądaliśmy to tu, to tam, aż do zupełnego zmroku. Nigdzie nic. Nawet saren nie było widać. Wszystko jakby rozpułnęło się i po prostu rozpuściło w tym deszczu. Ciemno choć oko wykol, mimo że jest tuż po pełni księżyca. Niebo przykrywa gruba warstwa chmur. Trudno, wracamy do domku. Zjemy kolację, napijemy się herbaty, poczekamy. Może się przetrze. Wycieram do sucha sztucer, wydaję zamek, przeczyszczam wyciorem lufę i oliwię. Spiralny gwint połyskuje, gdy patrzy się pod światło w ciemne wnętrze lufy. Osuszam lunetę. Kładę na sofie amunicję z ciężkimi, jedenastogramowymi pociskami z kryzą i nóż. Taki z piłą do kości i zatrzaskiem, który przy patroszeniu chroni przed zamknięciem się ostrza na dłoni. Suszą się ubrania. Jemy coś, siedzimy i pogadujemy z Grzegorzem – kolegą i przyszłym myśliwym – o polowaniu, o dzikach, bykach, lisach, o broni i rykowisku.

To najważniejsze polowanie w roku. Gdy zbliża się połowa września i niektóre drzewa nabierają kolorów, myśli się tylko o tym i zasięga języka: „Ryczą?”. A gdy pada odpowiedź: „Ryczą”, nic nie jest w stanie utrzymać człowieka w domu. Nic!

Co jakiś czas wychodzę na taras zobaczyć, co z pogodą. Bez zmian. Wieje i leje. Postanawiamy trochę się przespać. W nocy coś mnie budzi z tego czujnego snu nie snu. Jest trzecia. Wychodzę na taras. Już nie pada. Wiatr znacznie ucichł i tylko chmury szybko płyną po niebie. Zza nich co chwilę ostrym światłem prześwituje księżyc. Stoję i nasłuchuję. Są! Ryczą! Jeden, dwa, może trzy byki. Daleko. W myślach odtwarzam tamtą część lasu i pól, skąd dobiega mnie z wiatrem ich głos. Tak jakby były na ugorach. Szybko się ubieramy, łyk kawy, ładuję pięcioma pociskami magazynek, trzy sztuki amunicji kładę do różnych kieszeni, żeby nie podzwaniały o siebie, nóż, lornetka, czapka, sztucer na ramię, krótki pastorał za pas i wychodzimy. Zaraz za progiem wprowadzam nabój do lufy. Zawsze słyhać charakterystyczny grzechot pocisku o zamek i lufę. Mańka zostaje. Zza drzwi słyhać jej skomlenie. Idziemy dość szybko, a gdy byki ryczą, przystajemy. Słucham, próbuję dokładniej je zlokalizować. Droga zmienia kierunek, raz jest

górką, raz obniżenie, a w sosnach szumi wiatr. Ich głos jakby gdzieś pełgał, zmieniał kierunek. Po jakimś czasie wiem jednak na pewno: są na ugorach. Przy tym kierunku wiatru najlepsze będzie podejście ścieżką między dużym lasem a zagajnikami przy zdunowickiej drodze. Ruszamy dalej, już wolniej, uważnie, przystając i milcząc. Teraz słychać, że ryczą dwa – jeden bardziej z lewej strony, na ugorach, drugi z prawej, w lesie. Jesteśmy blisko. Słychać je mocno i wyraźnie. Bije mi serce. Między drzewami widać już większe prześwity – za chwilę odsłonią się pofałdowane, porośnięte płowymi trawami przestrzenie. Ręką daję Grzegorzowi znak, żeby został. Dalej będę podchodził sam. Przystaję na długą chwilę na skraju lasu i nasłuchuję. Nie widzę go. Ani łań. „Muszą być w tym obniżeniu terenu na lewo” – przelatuje mi myśl. Blisko. Zdejmuję buty, dalej pójdę bez nich. Nie chcę, aby pod stopą trzasnęła ukryta w mchu gałązka – bo wtedy koniec, spłoszone ujdą. Pomalutku przesuwam się od sosny do sosny. Wypatruję łań – jeśli mnie zoczą pierwsze, dadzą sygnał i cała chmara ucieknie. Jeszcze kilkanaście kroków.

Jest!!!

Widzę go! Rycząc, unosi potężny łeb i wtedy wyłania się zza górkę po nasadę karku. Są łanie – cztery, może pięć. Przyklejam się do drzewa, pomalutku zdejmuję sztucer i opieram o pień. Czekam. Może podejdzie do przodu, wynurzy się zza górkę i da komorę na strzał. Czas przestaje istnieć. Zimno mi w stopy.

Nagle słyszę tętent!

Pędzi prosto na mnie!

„Nie! – wybucha mi w głowie – spłoszyłem!”

Kilkanaście metrów przede mną, z pełnego galopu, tuż przy ścianie lasu zarywa się w miejscu wszystkimi czterema badyłami! Fontanna piachu i kamiaków smaga po gałęziach. Zza jałowców biegiem w las uchodzi byk. Ten drugi! Podszedł tam, do samego skraju lasu, niewidoczny dla mnie. Prawie nie oddycham, mowy nie ma, by się ruszyć po broń. On stoi chwilę, krótko się odzywa, robi w tył zwrot i wolnym truchtem wraca do łań. Znowu znika w tym obniżeniu. Jestem gotów. Biorę sztucer do rąk. Ryczy, widać go jak przedtem. Składam się, opierając się o drzewo. Ryczy raz, a gdy ponownie podnosi głowę, lokuję krzyż lunety na nasadzie karku i... TRRRACH!!! – słyszę swój strzał. Byk łamie się w ogniu i znika. Łanie rozpierzchły się i stają. Patrzą w to miejsce, gdzie leży. Czekają na niego. Po chwili znikają jak duchy. Już niczego nie słychać. Koniec. Szary, wilgotny jesienny

początek dnia. Cisza, jakby ktoś zdmuchnął świecę. Jest już jasno, ale takim martwym światłem. Wszystko zniknęło – trwa tylko ta śmiertelna cisza. Podchodzi Grzegorz, niosąc moje buty. Idziemy razem do niego. Leży. Już nie żyje. Jest... nie... już nie jest – był potężny.

Koniec polowania.

Trzeba patroszyć. Będzie co robić, bo duży byk może ważyć nawet dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Rozbieram się do koszuli i podwijam rękawy do łokci. Nóż zawsze jest bardzo ostry. Grzegorz chwytą za tylny badył i odchyła. Widać mokry brzuch – pewnie niedawno krył łanię. Nacinam mosznę i wyłuskuję jądra. Ciągną się nasieniowody. Wypreparowuję penis, głęboko i mocno zakorzeniony między udami. Wycinam dookoła odbytu. Rozcinam skórę na szyi wzdłuż tchawicy i uwalniam ją. Rozcinam brzuch, uważając, by jelita pozostały w całości. Wkładam rękę głębiej, wycinam przeponę i wygarniam na trawę wszystkie wnętrzności. Odcinam od nich wątrobę. Rozcinam żołądek – jest w nim garść małych zielonych jabłuszek. Rogacze w tym czasie prawie nie jedzą. Wkładam rękę głęboko w ciało od strony brzucha, chwytam za tchawicę oraz serce i silnym szarpnięciem wyciągam na zewnątrz. Kolej na głowę z porożem. Przecinam skórę na karku, potem mięśnie, wbijam nóż za ostatnim kręgiem i tnę po wiązaniach. Łapię za wielkie poroże i obracam w lewo i w prawo – chrzęści. Odcinam głowę. Jakoś groteskowo wygląda „ostatni kęs” – gałązka wetknięta między zęby a przygryziony w chwili śmierci język. Uszy zostają przy ciele. Podnosimy nieco za przód tuszę i wylewamy krew – kilka litrów wypływa na trawę przez otwór po odbycie. Zrobione. Nad nami zaczęły krążyć pierwsze kruki. Bezgłowe ciało wraz z płucami, sercem, wątrobą i penisem odstawia się do skupu: takie jak to warte jest około tysiąca sześciuset złotych. Z żołądka robi się flaki. Głowę z oczami i mózgiem zanurza się w kotle tak, aby woda nie dotykała poroża. Można przedtem odpiłować puszkę mózgową i wyciągnąć mózg, by potem usmażyć go z cebulką i zjeść. Wygotowaną czaszkę preparuje się na biało.

Wracamy z polowania. Do naszych domów, do żon i do dzieci. Trzeba iść do pracy. Dziwnie się czuję, jakieś myśli mi się snują. Właściwie cholernie mi go szkoda i nie chciałem go zabić. To znaczy chciałem go zabić, ale tak, żeby jednocześnie żył. A może po prostu chciałem, żeby wszyscy widzieli, że go pokonałem, że jestem silniejszy i że dałem mu radę. Gdyby wszyscy już to

zobaczyli i uznali, on mógłby sobie spokojnie żyć. I nawet bym go lubił. Ale gdybym nie odciął mu głowy, to kto by mi uwierzył, że go pokonałem? Dlaczego więc to zrobiłem? Dlaczego zabicie potężnego, pięknego, jurnego samca coś znaczy dla myśliwego? O co tu chodzi? Dlaczego właśnie to polowanie jest tak ważne? Dlaczego zabicie byka, a mocnego w szczególności, wzbudza u innych myśliwych zazdrość? Dlaczego trzeba być dumnym, gdy się zabije byka? Co to za głód? Kto miałby mnie podziwiać?

W głębi duszy każdy czuje, że to taki sztuczny powód do dumy. Bo każdy wie, że tu nie ma żadnych rzeczywistych powodów do dumy lub przechwałek. Przecież zabicie byka jest w gruncie rzeczy łatwe. W czasie godów są jak ślepe i głuche – łatwo je podejść. Głośno ryczą, przez co nietrudno je zlokalizować i odnaleźć, nawet w puszczy czy w górach. A trafić celnie i śmiertelnie ze współczesnej broni jest banalnie łatwo.

Dlaczego ważne jest, by zabić właśnie samca, a nie samicę? Zabicie stukilowej dziczej pani lochy to dla myśliwego hańba, a takiego samego pana odyńca to chwała. A one w lesie przy gorszej widoczności są prawie nie do odróżnienia i zachowują się identycznie. Na czym więc polega różnica? Co się naprawdę czuje przy wycinaniu jąder i penisa? Niektórzy jądra tną na plasterki, smażą i zjadają.

Dlaczego zabiłem? Przecież nie jestem głodny, wręcz przeciwnie.

Wszystkie byki, jeszcze przed urodzeniem, skazane są na zastrzelenie. Liczy się je jak najdokładniej w corocznych obowiązkowych inwentaryzacjach zwierzyny łownej. Podzielone są na trzy klasy wiekowe oraz na selekcyjne i łowne – wszystko to według przeżytych lat i mocy poroża. Przed rykowiskiem przydziela się na specjalnych drukach indywidualne zezwolenia na odstrzał. Prawo do zabicia byka sprzedaje się myśliwym krajowym i dewizowym. W sezonie 2014/2015 zabito w Polsce osiemdziesiąt trzy tysiące jeleni. Około dwudziestu siedmiu tysięcy z nich to byki. Prawie nie zdarza się, że umierają śmiercią naturalną. Byki muszą zginąć od kuli!

Dubeltówka, dzik i słonka

W późne majowe popołudnie siedzimy w kuchni, Bożena z Ireną się krzątają, pogadujemy o tym i owym z Grzegorzem i Rafałem. Jest chłodno, chociaż słonecznie i całkiem bez wiatru. Oni wybierają się na słonki, ja nie wchodzę w rachubę jako uczestnik tego wieczornego polowania. Nie mam odpowiedniej broni. Jakieś dwa, może trzy lata temu sprzedałem swojego bocka. Wtedy nie chciałem już polować na leśny i polny drobiazg – na kaczkę, kuropatwy, gołębie, gęsi, kuny, borsuki, zające, lisy, bażanty, słonki. Zostawiłem sobie sztucer.

– Chodź z nami – mówi nagle Grzegorz. – Co będziesz tu siedział? Taki piękny wieczór. Dam ci swoją dubeltówkę.

Znałem jego broń. Świetny merkel kaliber 12 mm, dla mnie idealnie składny, z klasycznymi zdobieniami, o bardzo ładnej linii. Sam go wyszukałem dla niego, gdy zaczynał polować. Nawet przez jakiś czas jej używałem, gdy Grzegorz był na morzu.

Z tą bronią wiąże się wspomnienie, które głęboko we mnie zapadło, i gdy jestem w pobliżu tego miejsca w lesie, zawsze ożywa, jak jakiś zaklęty na wieczność film.

Na zimowym polowaniu zbiorowym zamykaliśmy z Rafałem flankę. Jeszcze nagonka nie ruszyła, jeszcze jest zupełnie cicho i nagle z zagajnika przed nami słychać szybko przesuwające się trzaskanie gałązek. Patrę w napięciu w to miejsce i widzę odyńca w pełnym biegu. Niczym czarna torpeda przesywa ośnieżony zagajnik i przeskakuje leśną drogę. W tym samym ułamku sekundy strzelam! I słyszę drugie BACH! – Rafał strzelił! Dzik pędzi dalej przez puszysty śnieg w wysokim lesie za drogą, aż zaczyna zwalniać, zwalniać, całkiem przystaje... i kładzie się na śniegu tak, jakby po prostu chciał odpocząć. Na zawsze. Pęd się skończył. Puszczam Mańkę, ta wpada na trop na miejscu strzału i po chwili jest przy dziku. Szarpie go, warcząc. To bardzo mocny wycinek, piękny, taki „prawdziwy dzik”, z czarnobrazową, bardzo gęstą, połyskującą sierścią. Rafał chybił, breneka wystrzelona przeze mnie trafiła w samo serce.

Wyprawiłem jego skórę i położyłem przy kominku w leśniczówce, w pokoju na górze. Czasami jakiś cień smutku przemknie przeze mnie, gdy przeciągnę po nim

wzrokiem. Tak chciał się uratować! Jego desperacka ucieczka przed rozpoczęciem pędzenia świadczy o tym, że kiedyś musiał się już znaleźć w takiej sytuacji. Może strzelano do niego, może psy go kąsały? Wtedy się uratował. Większość dzików musi umrzeć tak jak on, prawie nie zetknąłem się z naturalną śmiercią wśród dzików.

Był wspaniały, zachwycający, gdy pruł jak strzała przez zaśnieżony zagajnik.

– To co, jedziesz? – nalega Grzegorz.

– No to jedźmy!

Wskoczyłem na motor, oni do samochodu i pojechaliśmy parę kilometrów przez większe i mniejsze lasy na Lesytcie – tak nazywa się to miejsce po kaszubsku. Rozstawiliśmy się nad dosyć rozległym, niewysokim zagajnikiem. Przed nami, za młodnikiem horyzont zamykał się Dużym Lasem, jak go nazywał ojciec, pan Romek i ja. Słońce właśnie zaszło – bez czerwonych i pomarańczowych kolorów. Stoję wśród rzadkich, niskich sosenek, za plecami mam stare sosny. Jest cicho i spokojnie. Nic się nie dzieje. Na słońki jest jeszcze za wcześnie. Przy takiej pogodzie zazwyczaj zaczynają latać, gdy jest już prawie ciemno.

Robi się coraz chłodniej. Szarzeje. Wszystko wokół nieruchomieje. Przybywa tej ciszy, nawet trawka nie drgnie. Przechodzi mnie dreszcz.

Wtem tuż nad wierzchołkami sosen Dużego Lasu, na tle perłowoszarego nieba pojawia się charakterystyczna kropeczka. Słonka. Jedna jedyna na całym znieruchomiłym niebie. Jak zaczarowana leci prosto na mnie. Już słyszę jej chrapanie. Nigdzie nie skręca, nie kołuje, tylko leci prosto jak strzełił nad moją głowę. Podniosłem broń, widzę, jak ptak łamie się w locie i spada na sosenkę parę kroków ode mnie. Odgłos strzału dobiega do mnie jak przez watę. Tam gdzie spadła, jeszcze lekko ruszają się gałązki. Jakby nic nie przerwało tej ciszy. W ręku mam brązowego, ciepłego ptaszka z ciemnoczerwoną kropelką krwi na końcu długiego dziobka... Jestem jak odrętwiały. Martwy. Zakładam dubeltówkę na ramię i już jej nie ładuję. Jest mi bardzo zimno.

Jeden jedyny ptaszek na całym niebie miał przelecieć wprost nad moją głowę.

I spadł na ziemię.

Dwa strzały

Umówiliśmy się z Januszem na dziki – przez wieczór, noc i rano mieliśmy przebywać w jego obwodzie łowieckim. Zapowiadało się miłe polowanie. Chcieliśmy wieczorem pochodzić, w nocy rozpaść małe ognisko, coś zjeść, napić się dobrej herbaty zagotowanej na ogniu, pogadać, a o brzasku poszukać dzików. Był początek lipca z przyjazną, łagodną pogodą. To bardzo ładna okolica – pagórkowaty teren z bukowymi i sosnowymi lasami, gdzieniegdzie enklawy pól, wśród nich zaś, od czasu do czasu, naturalne oczka wodne. W największej dolinie rozciąga się duże jezioro otoczone lasami. Z niego wypływa ładna rzeczka o przejrzystej wodzie, ciągnie się parę kilometrów, przecina szeroką, białą plażę i wpada do morza.

Zajechaliśmy, gdy słońce jeszcze było na niebie. Uzgodniliśmy, o której się spotykamy, i każdy poszedł w swoją stronę. Jak zwykle przypiąłem smycz Mańki do paska nieźle już sfatygowanej zielonej „leśnej” kurtki, a krótki pastorał włożyłem za pas. Jak zwykle sztucer zarzuciłem na ramię i niespiesznie ruszyłem dróżką wzdłuż lasu i pól. Na dziki było jeszcze za wcześnie. Zresztą prawda jest taka, że bardziej niż o polowanie chodziło mi o to, by pobyć i pogadać z kolegą, spędzić noc przy ognisku w lesie, no w ogóle pobyć z kimś. Był to bowiem w moim życiu taki czas, że przez całe tygodnie nie miałem nikogo przyjaznego, do kogo mógłbym się odezwać. Wtedy już prawie nie wyjeżdżałem na polowania, a od majowej słonki nie wystrzeliłem ani razu. Ale jak tu tak po prostu pobyć z kimś i pogadać, bez strzelb, gadania o polowaniu i bez alkoholu?

„Przecież bez tego będzie nudno jak na przymusowym przyjęciu komunijnym. Na psa urok, tylko nie to! W takim razie po co w ogóle się spotykać? To nie wchodzi w rachubę. Tak po prostu spotkać się dla samego spotkania i pobycia? O, nie! Tego wariantu nie rozpatrujemy”.

Idziemy sobie z Mańką dróżką, słoneczko właśnie zaszło, pachnie wieczorne lato po rozgrzanym dniu i można by powiedzieć, że jest bardzo przyjemnie. Ale nie jest. Jestem jakiś smutny i nieswój, gdzieś tam głęboko coś się we mnie czai. Jakby lęk? A może raczej niejasne przeczucie, że dzieje się coś niestosownego,

niewłaściwego, ale jakoś nie można tego zmienić, zatrzymać. Lęk jest niezrozumiały i zdławiony, przez to tym bardziej niejasny, a nogi idą, idą i brną w to coraz głębiej. Bezwładność sytuacji, w którą człowiek został złapany, waży tyle, że trzeba chyba nadludzkich sił, by ją zatrzymać i zamienić na lekkość uwolnienia od tego, co się robi „jak zawsze”, i od tego, co się „wie”.

Sarny! W niskim, zielonym owsie stoją dwie sarenki. Coś tam sobie skubią, czasami podnoszą głowy, patrzą chwilę i znowu schylają głowy. Stoimy z Mańką za przydrożnym krzewem. Obserwuję je z przyjemnością. Ależ one są ładne. Ich wyraźnie rudawy kolor pięknie gra z soczystą zielenią owsa. Poruszają się tak lekko i z taką delikatną gracją, są miłe i spokojne. Mijają chwile, ja patrzę. Mańka ich nie widzi, ale z tak niewielkiej odległości na pewno je słyszy. Jak zawsze jest jednak spokojna. Czeka. Tylko czasami podniesie trochę do góry głowę i pociągnie nosem wiatr z ich kierunku.

Nagle jednak sarny nieruchomieją z podniesionymi głowami! Czujnie patrzą w kierunku wysokiego żyta tuż za poletkiem owsa. Ja też tam patrzę! Udziela mi się ich napięcie. Wtem ruszają od razu z pełną szybkością! Z żyta wyskakują dwa psy i pędzą za nimi przez owies. Sarny przeskakują przez dróżkę, na której stoimy, za nimi pierwszy pies, drugiego łapię w lunetę.

BACH!!!

w przybliżeniu lunety wybucha mi w oku jego strzaskana przednia łapa!

wystają ostra kość piszczelowa i czerwone, rozszarpane mięśnie, krew, jakieś ścięgna!

pies zawraca i na trzech łapach szybko przesuwa się przez niski owies!

w głowie wyje mi: „Nie! nie chcę!!!”

ale to dzieje się właśnie teraz!

straszliwie czuję, jakbym sam sobie odstrzelił łapę, prowadzę go w krzyżu lunety i...

„Muszę! Muszę go trafić za wszelką cenę, to się musi natychmiast skończyć!”

strzelam!

nic nie widzę,

pies po prostu znika.

Boję się pójść w to miejsce, w którym zniknął, boję się, że popatrzy mi w oczy, boję się zobaczyć jego agonię, strzaskane kości i krew z nosa. Powinienem pójść sprawdzić. Nie mogę. Nogi nie chcą mnie tam ponieść. Jestem odrętwiała, jakby

mnie coś jadownicie ukąsiło. Wlokę się dróżką dalej, nie mam już sił iść. Widzę jakąś otwartą, małą ambonę. Włazę na nią, taszcząc psa. Czekam, aż się ściemni. Na łąkę wychodzi łania z cielakiem.

Strzeliłem do psa. Jak to możliwe?! O zmroku schodzę po drabinie na dół i tą samą dróżką wracam na umówione miejsce. Moja jamniczka idzie luzem. Robi się coraz ciemniej. Zbliżamy się do tego miejsca i... mój pies zaczyna szczekać w kępie świerków. Nasłuchuję. Dociera do mnie, że ten poszarpany dwiema kulami pies jeszcze żyje i właśnie tam się dowlókł. Mańka szczeka takim niesamowicie grubym, zachrypniętym głosem, w jednym miejscu, niespiesznie, raz za razem – hau... hau... hau. Jeszcze nigdy tak nie szczekała. Znalazła go. Wiem, że on właśnie kona. Jakby oberwała się na mnie pozostała czarna i smolista reszta tego ciężaru.

Boże... tak chciałbym nie żyć.

Stoję i nasłuchuję. Nie idę tych kilkudziesięciu kroków, by go dobić. Zabrać mu również jego śmierć.

Wlokę się dalej, Mańka po chwili mnie dogania. Siadam pod krzyżem i czekam na Janusza. Przychodzi, gdy jest już ciemno.

– Zawieź mnie do domu – proszę go. Nie protestuje.

W bardzo krótkich słowach opowiadam, co się zdarzyło.

– To było moje ostatnie polowanie, Janusz. Ja już nie będę polował. Nigdy.

Musi być w moim zachowaniu coś takiego, że Janusz wie, że jest tak, jak mówię. Nieodwołalnie. Wracam do domu.

Znajomości i przyjaźnie

Poluje się najczęściej w myśliwskich parach. Rezygnacja z polowania lub śmierć jednego z mężczyzn kończy ten szczególny, oparty na wspólnym hobby związek czy po prostu dobrą znajomość. Dla polujących mężczyzn oznacza to bezpieczne przebywanie razem, ponieważ odbywa się ono w ściśle wyznaczonym obszarze. Można poruszać się w nim i komunikować, stosując się do przyjętych i obowiązujących w tej grupie reguł. Należy więc przestrzegać myśliwskich zwyczajów, języka, strojów, sposobu zachowania i konwenansów. Nie jest przyjęte ani praktykowane przekraczanie tych świetnie wydeptanych ścieżek. To jest pewnego rodzaju związek dwóch mężczyzn, którego fundament opiera się na myślistwie. Chociaż obaj często rywalizują ze sobą na różnych płaszczyznach, a najbardziej w zabijaniu zwierząt – wspierają się w tej jednej sprawie. Kiedy poluje się we dwóch, ma się korzyści ze wspólnych wyjazdów. Na przykład podczas nocnych polowań świadomość tego, że jest gdzieś w okolicy kolega, zmniejsza lęk i poczucie obcości, które często pojawia się w środku nocy w lesie. Łatwiej jest też wyjeżdżać razem, dzielić się kosztami, występować we dwóch wobec żon protestujących przeciw kolejnemu wyjazdowi męża, patroszyć i odstawiać zabite zwierzęta do skupu, można też po prostu napić się razem wódki i pogadać. Przyjęte jest, że rozmawia się prawie wyłącznie o polowaniu, broni, amunicji, psach i na „dyżurne męskie tematy”. Dobrze to robić w takiej lekkiej, żartobliwej konwencji i w specyficznym rubasznym sposobie. Opowiada się historyjki łowieckie lub plotkuje o innych myśliwych. Razem się nocuje i je.

To jest myśliwski sposób życia, poza polowaniem podkreślany na co dzień jakimś akcentem ubioru, znaczkiem, piórkiem czy nalepką na samochodzie. Należy także używać specyficznego myśliwskiego języka. Mówi się na przykład „zestrzał”, mając na myśli sierść, krew, treść jelit lub kawałek kości czy wątroby leżący na trawie w miejscu, gdzie stało trafione kulą zwierzę. „Zbarczyć ptaka” to zestrzelić ptaka, który trafiony śrutem, spada na ziemię i ucieka, zaszywa się w trawy. Trzeba „dojść postrzałka po farbie i go dobić”.

Nie mówi się: „przestrzeliłem jeleniowi nogę i złamałem kość piszczelową”, tylko: „dostał w przedni badyl”. Z czasem nasiąka się tym językiem tak, że używa się go bezwiednie.

Wchodzi się w tę konwencję szybko, bo ma czytelny i rozbudowany system wzajemnych gratyfikacji. Są zwyczaje i tradycje, hejnały, hierarchia ważności, przywileje, ważniejsi i mniej ważni, władcy i poddani, myśliwscy bogacze i biedacy, ekstrapolowania z oprawą dla myśliwskiej „szlachty” i biedne koła łowieckie, obowiązkowe składki, legitymacje ze zdjęciem, zezwolenia na broń, święta i dyplomy, nagrody, medale i zawody strzeleckie, jedzenie dziczyzny, zjazdy i bale, stroje, psy i samochody, duży rynek handlowy – w Polsce jest ponad sto dwadzieścia tysięcy myśliwych! Są lepsi i gorsi myśliwi, orły i ofermy, trofea i wyceny, wyścig i rywalizacja, cała struktura z władzami krajowymi, sądy łowieckie i wyroki, obwody łowieckie, domki i domy myśliwskie, i dziczyzna na imieninowym stole. I to wszystko w prawie całkowicie męskim towarzystwie, wśród kolegów połączonych milczącą zgodą, że będą tej konwencji przestrzegać i podporządkują się jej prawom. I jeszcze broń! Mogę mieć w domu broń – dubeltówkę, bocka, sztucer, kniejówkę, ekspres, flower. Do tego specjalna szafa na broń i amunicję, naboje do zabijania większych i małych zwierząt, skóry, rogi zwane porożami, wyrwane dzicze zęby zwane szablami, piórka, noże, pasy, lornetki, lunety, plamki, latarki, ubrania, piersiówki, buty, czasopisma, zezwolenia na odstrzał z odpowiednią pieczęcią, dokumenty. Broń się czyści, konserwuje, „trenuje z nią na sucho”, przestrzeliwuje na strzelnicy, pokazuje i chętnie demonstruje gościom. Do tego dochodzą weekendy poza domem – przecież poluję!

Dopiero gdy ogarnie się to wszystko, można zobaczyć, jaki to ciężki wór bagażu. Ileż różnego rodzaju kosztownych przedmiotów trzeba mieć i ile czasu ze swojego życia poświęcić na polowanie! Trzeba też na to wszystko zarobić i tak zorganizować sobie życie w rodzinie i w pracy, by polowanie było możliwe. Gdy mężczyzna postanawia polować, ten bagaż musi dźwigać on i jego rodzina. Przez całe życie. Gdyby ktoś chciał rozstać się z polowaniem, musiałby tego całego bagażu jakoś się pozbyć. Chyba łatwiej umrzeć. Wdowy sprzątają po nas, dając w „Łowcu Polskim” ogłoszenie w rubryce „Sprzedam”.

Po śmierci pana Romka mój ojciec został sam. Nie szukał nikogo. Gdy przestałem polować – znajomość z Grzegorzem się rozpadła. Jeśli z jakichś

powodów kończy się możliwość wspólnego polowania, bliska znajomość z reguły także się kończy. Potrzeba zachowania męskich relacji utrzymywanych w bezpiecznych ryzach przez myśliwskie konwenanse oraz kultywowania stylu życia związanego z polowaniem jest niebywale silną motywacją do podtrzymywania tego całego myśliwskiego sposobu życia. To bardzo mocne, głębokie powiązania, które są niewidzialnym, ale wręcz stalowym spoiwem tej społeczności. Lobby myśliwskie to bardzo poważna siła polityczna, skutecznie działająca na rzecz swoich interesów w imię wspólnej rozrywki. W Polsce w kolejnych kadencjach bywa, że co szósty senator lub poseł jest myśliwym. Wyobraźmy sobie, że pewien myśliwy jest radnym, posłem, senatorem czy też ministrem w jakimkolwiek układzie politycznym. Co się zdarzy, gdy jakaś sprawa zagrażająca w jakikolwiek sposób myślistwu trafi na jego biurko? Innymi słowy: co się zdarzy, gdy coś lub ktoś zagrozi temu, co jest mu najbliższe i najdroższe? Pewien bardzo wpływowy minister na posiedzeniu rządu dotyczącym parków narodowych walczył jak lew o zmianę w projekcie ustawy wyrażenia „opinia” na „zgoda samorządów lokalnych”. Wywalczył! I premier nakazał wpisanie takiej zmiany do projektu ustawy. O co tu chodzi? O Puszcę Białowieską, w której ów człowiek ma leśny dom i wtedy właśnie tam polował. Pozostawienie słowa „opinia” przybliżyłoby objęcie całej Puszczy prawami parku narodowego. Oznaczałoby to, że w ostatnim pierwotnym lesie na całym Niżu Środkowoeuropejskim, w Puszczy Białowieskiej, wyniszczanej od lat dwudziestych minionego stulecia przez Niemców i Anglików, a obecnie z jakąś ponurą zaciekłością przez polskie państwowe (!) przedsiębiorstwo, skończyłoby się wyrzynanie drzew i zabijanie żyjących tam zwierząt. Nie ma polowań! Wpisanie słowa „zgoda” do ustawy pozwala robić to w Puszczy Białowieskiej jeszcze przez wiele lat, bowiem władze lokalne mają prawo weta i od ich zgody wiele zależy. A wśród lokalnych mieszkańców jest wielu myśliwych. W wyniku zapisu w ustawie na losy tego relikтового lasu wielki wpływ mają władze trzech puszczańskich gmin i firma Lasy Państwowe, która jeszcze niedawno wyrzynała tam i wywoziła stamtąd grubo ponad sto tysięcy metrów sześciennych kłód różnych drzew rocznie. Żeby wywieźć taką masę drewna, w dzień roboczy co dwadzieścia minut, różnymi drogami, wyjeżdża z Puszczy wielki pojazd załadowany po brzegi ściętymi drzewami.

„Dziedzictwo ludzkości” – taki napis widnieje nad bramą niedużego obszaru ochrony ścisłej w Puszczy Białowieskiej. To „dziedzictwo” dotyczy całej Puszczy, co brzmi ironicznie.

Indianie mówią: „Wskocz w jego buty”. Gdybym był w sytuacji tego ministra – właśnie tak bym postąpił, ponieważ nie chciałbym tego całego, naprawdę poważnego zamieszania w życiu związanego z poszukiwaniem nowego łowiska, sprzedażą jednego domu, szukaniem lub budową drugiego, przeprowadzką, poznawaniem nowych ludzi w kole łowieckim. O nie! Tylko nie to! Walczyłbym jak tygrys. Myśliwi na każdym stołku wiedzą, jak chronić swoje interesy. I nie muszą toczyć narad, ustalać strategii, podpisywać porozumień – w każdej chwili doskonale wiedzą, co trzeba robić, ponieważ te sprawy dotyczą najbliższej ich ciału kozuli. Obecny minister środowiska chwali się, że „myślistwo wyssał z mlekiem matki”. W sejmie nowelizowana jest ustawa Prawo łowieckie. Podkomisja nie bierze pod uwagę żadnej propozycji zmiany, choćby nie wiem jak solidnie udokumentowanej naukowo, społecznie i ekonomicznie. Istnieje polityczny układ zawarty przez partię rządzącą z ministrem i Polskim Związkiem Łowieckim. Posłowie z tejże partii, członkowie podkomisji, zachowują się niczym karne stado przeznaczone do głosowania. Politycy, bez względu na opcję polityczną, w zaskakujący sposób tracą dobre rozeznanie w obecności myśliwych. Jakby nagle zapomnieli, że tylko 0,3 procent społeczeństwa poluje, że tylko 10 procent to popiera i że malejąca akceptacja dla tego makabrycznego hobby to trwały trend społeczny. Nie mogą dostrzec, że myślistwo to skamieniałe brzemie, które ciągnie ich obóz polityczny w dół. W poprzedniej kadencji był to jeden z ważnych powodów, dla których obóz rządzący poszedł w odставку. Obecnie rządząca partia zachowuje się łudzaco podobnie. Nie może zrozumieć, że jeżeli popiera niewielką część społeczeństwa kosztem interesów całej reszty, z politycznego punktu widzenia jest to strzelenie sobie w stopę, i to bardzo celne. Myśliwi stoją po stronie zabijania, a 90 procent polskiego społeczeństwa „po stronie życia”. Czy w dzisiejszych czasach da się obronić postawę myśliwych?

Często polowałem z Januszem, towarzyszył mi także w moim ostatnim polowaniu. Rywalizowaliśmy czasami ze sobą – potrafiliśmy w dwa dni i dwie noce zabić cztery dziki, dwie łanie, dwa lisy i jeszcze byka. Janusz był lepszy. Zresztą był to najskuteczniejszy myśliwy, jakiego spotkałem w życiu. Nie wiem,

jak jest teraz, chociaż się widujemy. Pewnie podobnie. W jego domu zaczyna już brakować miejsca na łby i skóry. Na stole króluje dziczyzna. Rzadko rozmawiamy o polowaniu, takiej rozmowie towarzyszy jakieś skrępowanie. Pogadujemy o tym nieco i tak jakoś ostrożnie, gdy w radiu lub prasie ukaże się jakiś poświęcony polowaniu materiał z moim udziałem. On poluje – ja nie. Obaj wiemy dokładnie, co to znaczy „polowanie” – znamy się na tym. Ja wiem jeszcze, co to znaczy „niepolowanie”. Niedawno Janusz powiedział mi o naszym wspólnym znajomym, myśliwym: „To jest twój następca”. Miał na myśli swojego myśliwskiego partnera.

Nasza znajomość jest dosyć bliska, ale bywa, że pojawia się w niej pewien dystans. Powiedziałbym, że jest normalnie. Niekiedy sobie pomagamy, rozmawiamy o tym i owym, a bywa, że się nieźle kłócimy o pierwotny las – Janusz jest nadleśniczym. Wtedy trochę obrażamy się na siebie. Nie umiemy dobrze się kłócić. Gdy on twardo neguje to, co dla mnie jest oczywiste – robi się gorąco. Jeżeli ktoś znajdzie się w pobliżu nas, zazwyczaj szybko się ewakuuje. Po jakimś czasie jednak niemiłe uczucia po spontanicznej kłótni mijają i nasze spotkania, czasami odbywające się w towarzystwie naszych żon i dzieci, na powrót wracają do pewnej normy. Jeżeli jemy wspólnie posiłek codzienny, Dorota, Jaś i ja posilamy się tym, co jest na stole, oprócz mięsa. Jeżeli jest to posiłek uroczysty, zawsze na stole znajdzie się coś smacznego i bezmięsnego, przygotowanego z myślą o nas. Czasami gościmy Janusza samego lub z rodziną w naszym domu i wtedy równie starannie przygotowujemy coś wegetariańskiego. Wszyscy cenimy sobie dobre jedzenie.

Piszę to, siedząc na poddaszu domu, w pokoju, w którym pomieszkuję. Jest środek lutowego dnia, w nocy poproszył śnieg, świeci słońce, trzyma lekki mróz. Gdy spoglądam przez okno, widzę piękny, wysoki sosnowy las z kępą studwudziestoletnich świerków. Na pierwszym planie, na ugorze, wysiały się sosenki. W kominku od rana pali się mały ogień. Podkładałam czasami polanko buka. Gdzieś tam w domu jest mój syn Jaś z Mikołajem – synem Ireny i Rafała. Pewnie siedzą przed komputerem i grają, zamiast być na sankach – Mikołaj jest przeziębiony i nie wychodzi na dwór. Niedobrze, bo właśnie są ferie zimowe.

Kilkanaście lat temu, gdy moje życie brało razem ze mną zakręt śmierci – rozwodziłem się, sprzedawałem letni dom, rozstawałem się z polowaniem, pracą

i całym dotychczasowym sposobem życia – pojawili się w moim życiu Irena i Rafał. A czas zmian, o którym wspominam, był dla mnie próbą z rodzaju „Jak nie umrze, to będzie żył”. I w tym właśnie okresie dostałem od nich ratującą życie pomoc – po tygodniu przeżytym w odmętach i wirach w mieście przyjeżdżałem do pokoju na poddaszu, do ciepła i blasku ognia na kominku, do życzliwych ludzi, do spokoju i ciszy lasu. Mogłoby się wydawać, że różni nas wiele – i jeśli popatrzeć na to powierzchownie, tak to może wyglądać – sposób odżywiania, polowanie, religia, podejście do używek. Ale nie ma między nami napięć. Okresowo żyjemy w jednym domu, tak jak teraz, przez dwa tygodnie, i odnoszę wrażenie, że nie musimy się szczególnie starać, by panowała dobra atmosfera. Współżycie z nimi pod jednym dachem jest miłe, łagodne i życzliwe. Może dlatego, że wszyscy pochodzimy z wielodzietnych rodzin? Jestem im bardzo wdzięczny.

Do pokoju właśnie zapukał Grzegorz. Przywitaliśmy się serdecznie. Nie widzieliśmy się może i rok. Kiedyś byliśmy blisko, rodziła się między nami przyjaźń, gdy kilkanaście lat temu wprowadzałem Grzegorza w myślistwo. Kiedy byłem na zakręcie, ochłodziło się między nami, a gdy do tego jeszcze przestałem polować, coś się gwałtownie zmieniło i kiełkująca przyjaźń nigdy już nie wróciła. Jest między nami sporo skrępowania i rozmawiamy tylko o tym, „co słychać”. Patrzę na jego siwe wąsy, on zapewne na moje.

Schodzę na dół, Irena smaży pączki, bo to tłusty czwartek. Bożena, żona Grzegorza, też przywiozła pączki. Jest herbata i kawa. Przez okno w kuchni widzę Grzegorza ze sztucerem, ubranego i gotowego do wyjścia do lasu. Rafał właśnie się zbiera. Dowiaduję się od niego, że jedzie ze swoim psem Olkiem szukać na Gostomiu postrzelonego dzika, który od dwóch dni zostawia krwawe ślady na śniegu.

Lubię Olka. To średniej wielkości kundel, umaszczonej jak terier walijski. Ma piękne brązowe i spokojne oczy. W ogóle cały jest spokojny i mądry. Dzisiaj był ze mną w lesie na długim spacerze. Pogonił sarenkę, ale ot tak, jak to Olek – wrrr..., warczy i pędzi kilkanaście metrów, sarna ucieka, a Olek zadowolony wraca. Gdy jest sam, nie wysila się zbytnio. Ale Olek to także pies myśliwski – poluje ze swoim panem, umie zabić. Widziałem kiedyś, jak dławił, dobijając, ciężko ranną strzałem w brzuch sarnę z jelitami na wierzchu. Wiem też, że ze swoimi psimi

kolegami, Wackiem i Dingo, którzy mieszkają nieopodal, umie pójść w nocy do lasu i ganiać zwierzaki. Kiedyś przywlókł kawałek sarny, być może chorej, którą te psy dopadły, lub padłej od myśliwskiej rany, a nieodnalezionej. Nie mam do niego szczególnych pretensji, chociaż to wszystko trochę wpływa na mój stosunek do niego, bo po ludzku, oczywiście, wolałbym, żeby tego nie robił. A on zachowuje się zwyczajnie – po psiemu. No i jak tu nie lubić Olka? Nie da się. Tak serdecznie się ze mną wita!

Zaobserwowałem, że tutejsze sarny znają jego sposób zachowania i wcale nie uciekają szybko i daleko. Dosłownie po kilkudziesięciu metrach zwalniają, kontrolując sytuację, po chwili stają w lesie i nasłuchują, co się dzieje. Zazwyczaj nie dzieje się nic. Odchodzą jednak z tego miejsca poskubać gdzie indziej. Wczoraj wieczorem przez okno swojego pokoju na poddaszu obserwowałem, jak rogacz i sarna, idąc wśród niewysokich sosenek, ostrożnie zbliżały się do zakopcowanych przy drodze buraków. Od tego miejsca do stodoły, gdzie w sianie mieszka Olek, jest najwyżej trzydzieści metrów. Podeszły bardzo czujnie, z wyciągniętymi szyjami, kiwając śmiesznie głowami w górę i dół, i cały czas ich uwaga skierowana była na stodołę. Wiedziały dobrze, kto może wypaść z tej stodoły z tym swoim „wrrr!” Ale nic się nie działo. Sarna nawet weszła do dołu z burakami, kozioł znalazł jakiegoś dużego, pojedynczego buraka na skraju sosenek, i skubały sobie przez pół godziny. Posadziłem Jaśka przed oknem, lornetkę oparłem o poduszki, żeby mu nie drżała, i patrzyliśmy do zmierzchu na wyraźnie widoczne na tle białego śniegu zwierzęta. Potem Jasiowi się znudziło i poszedł do Mikołaja, a ja zrobiłem sobie zielonej herbaty, popatrzyłem jeszcze trochę na nie w tym gęstniejącym zmierzchu i chwilę później sarenki poszły sobie do lasu. Z dołu przyszedł Jaś – wszyscy idą na spacer. To ja też idę! Po zachodniej stronie nieba jest kolorowo, coraz mocniej świecą gwiazdy. Chwyta wyraźny mróz. Idzie nas cały tłumek – Kuba z Arturem trzymają się razem, Jasiek raz z nimi, raz z nami, Zuzka na saneczkach, Irena z Bożeną trochę z tyłu. Idziemy drogą przez zaśnieżony las, dzieciaki na saneczkach się zmieniają, trochę biegam z sankami – wszyscy chcą być przewiezieni! – i jest bardzo miło. Już o zmroku na podwórku przy domu zostawiam ich i wchodzę w ciemny las. Co za niebywałe niebo jest dzisiaj! Na przełaj, kopiąc się w śniegu, idę na górę, gdzie z Dorotą pochowaliśmy

Mańkę. Ciągłe boli mnie z tego powodu serce. Już nie tak jak dwa lata temu, ale boli. Długi czas stoję na górze, pod mroźnym zimowym niebem. Ile gwiazd!

Grzegorz z Rafałem wrócili. Nie znaleźli rannego dzika. Umawiają się na sobotę na polowanie na bażanty.

O rany, kto zje tę górę pączków?!

List do przyjaciela

Pytasz, dlaczego zacząłem polować?...

Wiesz, urodziłem się kilka lat po wojnie w rodzinie..., jak pisałem w ankietach: „robotniczej, matka nie pracuje”. Podziwiałem i kochałem ojca. Czasami się go bałem, czasami się go wstydziłem, na przykład wtedy, gdy się upił. Niekiedy strasznie go żałowałem – gdy przez kraty stoczniowej bramy nr 3 matka podawała mu zawiniątko z jedzeniem, bo musiał bez przerwy pracować i był bardzo brudny, zarośnięty i taki smutny. Tak bardzo chciałem mu wtedy pomóc. Żeby było mu dobrze i żeby nie był zmęczony, i żeby nie musiał chodzić do stoczni. Gdyby to mogło zmienić jego los – oddałbym swoje dziecięce życie.

Bardzo chciałem, żeby mnie kochał. I podziwiał! I wiedziałem, że jeśli będę taki jak ojciec, to właśnie tak się stanie – będę podziwiany i kochany. Przez ojca i przez wszystkich. Czyż chłopiec może chcieć czegoś innego? Zapewne może, bo moi bracia nie zaczęli polować. A może po prostu chcieli z mniejszą mocą niż najstarszy brat i inny los był im przeznaczony? No cóż, można gdybać, tylko po co? Kiedy miałem kilkanaście lat, dowiedziałem się, że mój ojciec, tak jak i wujkowie, służył w Wehrmachcie, a potem był w niewoli we Francji. Widziałem jedno zdjęcie taty w mundurze niemieckim i jedno z niewoli. Na tym ostatnim wielu młodych mężczyzn, opalonych i rozebranych do pasa, elegancko, w dwóch rzędach pozowało przed obiektywem. Wyglądali jak na obozie dla starszych harcerzy. Ojciec mógł mieć wtedy dwadzieścia trzy lata. Na fotografii ojca w żołnierskim mundurze wyszukiwałem jakichś dystynkcji. Nie znalazłem jednak żadnych i trochę byłem zawiedziony. Jedno z mojego rodzeństwa zniszczyło te fotografie. Ale czy okazało się przez to, że ojciec walczył na wojnie po „słusznej” stronie?

Pytałem go, czy kogoś zabił. Odpowiadał jakoś tak dziwnie, jakby trochę żartobliwie, niby wprost, że nie, że „służył przy koniach”. Teraz wiem, że moje pytanie, skierowane przecież do żołnierza II wojny światowej, było bardzo naiwne. To o koniach musiało być prawdą – był przecież kowalem, takim prawdziwym, co to umiał wykuwać podkowy i inne przedmioty i podkuwał konie albo naprawiał obręcze do kół wozów konnych. Jego ojciec też był kowalem. Widziałem, jak

dziadek pracował w swojej kuźni z czerwonych cegieł. Było wspaniale i strasznie – w czarnym wnętrzu kuźni były żar rozdmuchiwany miechem, wielkie kowadło, młoty i młotki, szczypce i walenie na przemian dwoma młotami, ojca i dziadka, w rozżarzony metal: Dźwięk!... Dźwięk!... Dźwięk!...

Koń stał uwiązany przed kuźnią i łytał oczami na boki. Taką gorącą podkowę przytykało mu się do kopyta. Był syk, dym i smród, ale koń stał dosyć spokojnie, chyba go nie bolało. Poza tym z przodu trzymał go właściciel, podczas gdy z tyłu pracowało przy podkuwaniu dwóch bardzo podobnych do siebie łysych mężczyzn: ojciec i syn. A wnuk patrzył i wryło mu się to w pamięć tak, że wszystko teraz widzi, słyszy i nawet czuje zapach – jakby to właśnie się działo. Obaj nosili imię Władysław, chociaż to nie ojciec był najstarszym synem z dziesięciorga dzieci dziadka i babci Marii. Tę malutką kobietę nazywano we wsi Kowalką. Bałem się jej. Gdy dziadek się upił, sama waliła młotem w kuźni. Ja też miałem mieć na imię jak dziadek i ojciec, ale moja matka sprzeciwiła się kategorycznie.

W stoczni ojciec na początku też był kowalem i „robił na kuźni”. Budował pierwszy powojenny statek w Polsce, ten, który stoi przycumowany w kanale na Starym Mieście w Gdańsku i służy jako muzeum. Matka mówiła, że czasami przychodził do domu tak zmęczony, że nie mógł podnieść rąk, by zjeść zupę. Potem było źlej, bo został brygadystą, a później mistrzem. Wszyscy w stoczni mieli na noszonych obowiązkowo kaskach ochronnych wypisane numery ewidencyjne. Ojciec miał numer 3401, a ja, gdy w wieku siedemnastu lat zacząłem pracować jako monter wyposażenia okrętowego na wydziale budowy kadłubów K-3, otrzymałem numer ewidencyjny 64 624, wypisany na otoku mojego brązowego robotniczego kasku. Kaski miały różne kolory, w zależności od rodzaju wykonywanej pracy. Ojciec jako mistrz miał zielony, ale były też niebieskie, żółte, czerwone, zielone z otokami oraz białe dla wyższych kierowników i dyrektorów.

Wstawaliśmy o 5.05 rano, matka przygotowywała nam chleb do pracy i jechaliśmy tramwajem do stoczni. Ja pracowałem siedem godzin, o godzinę krócej niż inni, i jechałem do domu na obiad, a potem na 15.00 szedłem do szkoły wieczorowej. Niby nie żyłem życiem ojca, miałem swoje sprawy, jakieś środowisko, przyjaciół, dziewczyny, żonę i rozwód. Zawsze ciągnęło mnie do lasu, nad wodę, na ryby, na grzyby. Łowiłem zapamiętane pstrągi w pomorskich rzekach i szczupaki w jeziorach. Z ojcem spotykaliśmy się w domku myśliwskim – przyjeżdżałem

motorem na ryby sam lub z dziewczyną – ojciec przyjeżdżał z panem Romkiem na polowanie. Pomagałem im czasami, gdy trzeba było szukać rannych dzików, naganiać kaczki albo uprawiać kartofle. Zjadaliśmy złowione przeze mnie szczupaki i okonie, które smażyłem na żeliwnym piecyku – tak sobota i niedziela mijają nam w lesie. Oni wsiadali w syrenkę pana Romka, ja grubo się ubierałem i wsiadałem na moją wueskę i wracaliśmy do miasta. Powrót do codziennego kieratu, do domu, do pracy. Już od wtorku myślałem o wyjeździe. Jakoś trzeba było przeżyć jeszcze środę i czwartek... i nadchodził piątek. Nareszcie! Możemy znowu jechać do lasu!

W któryś z pierwszych upalnych dni czerwca przyjechałem do domku myśliwskiego po raz pierwszy ze swoją dubeltówką. Miałem dwadzieścia osiem lat. Do samego wieczora zajęty byłem łowieniem ryb.

„Wolałbym nie odrywać się od ryb, ale skoro mam tę broń... Ojciec na pewno już poszedł w las” – tak sobie myślałem.

Słońce zaszło, a na niebie wisiał wielki księżyc. Wziąłem swoją dubeltówkę Bajkał kaliber 12, załadowałem dwiema brenekami i poszedłem nad bagna. Zaszyłem się w jałowcach. Nie czekałem długo. Przyszedł do mnie duży dzik, zbliżył się na kilkanaście metrów. Mierzyłem na komorę, ale lufy mi drżały ze zdenerwowania. Po strzale dzik uszedł w las; farby nie znalazłem. Spudłowałem. Następnego dnia złowiłem dziewięć okazałych szczupaków.

Kilka tygodni później pan Jan Czecholiński ze wsi Ogonki przypędził nad jezioro swoje krowy i owce. Podszedł do nas siedzących przed domkiem i zapytał: „Kto strzelał do dzika tam, na bagnach? On leży w moim lesie przy bagnie, dobrze trafiony na komorę”.

Nie przyznałem się. Czułem się okropnie.

Nie ma jakiejś jednej odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego zacząłem polować?”. Wiesz, gdybym ze swoim życiorysem nie zaczął polować, pytanie mogłoby brzmieć: „Jak to się stało, że nie zacząłeś polować tak jak twój ojciec?”.

Dzisiaj można by zapytać: „Dlaczego przestałeś polować?”.

Janusz, a właściwie to dlaczego ludzie zabijają?

Z.

Koronne argumenty

Myśliwi mówią: „My dokarmiamy zwierzęta, dzięki nam mogą przeżyć zimę”.

To jeden z ich koronnych argumentów. Rzeczywiście dokarmiają – a potem te same zwierzęta zabijają.

W obecnych czasach dzikie zwierzęta zabija się masowo. Wwożąc do lasu jedzenie nienaturalne dla określonych biotopów, rozregulowuje im się odżywianie – a w efekcie również naturalne cykle płodności. Takiego pożywienia w lesie nigdy nie było i nie powinno być: kukurydza, kartofle, zboża, buraki, brukiew, kapusta, kalafior. Jedną ręką dokarmia się zwierzęta, a drugą zabija je ze sztucerów i dubeltówek. W Polsce w 2016 roku na dokarmianie zwierząt myśliwi przeznaczili oficjalnie dwadzieścia siedem milionów złotych^[1]. Gdyby dodać dokarmianie na obwodach łowieckich korporacji Lasy Państwowe zwanych Ośrodkami Hodowli Zwierzyny i dokarmianie finansowane prywatnie, kwota ta stałaby się mniej więcej dwukrotnie większa. Wystarczyłaby na skup około dwustu siedemdziesięciu tysięcy ton ziemniaków^[2]. Trudno sobie wyobrazić górę z nich usypaną.

„Dawać leśnym zwierzętom więcej jedzenia, aby móc ich więcej zabijać”. Patrzę na to napisane zdanie.

Jelenie, daniele, muflony, sarny i dziki prawie nigdy nie giną naturalną śmiercią. Duże stworzenie, które umarło śmiercią naturalną, to dla myśliwego czysta strata. Wszystkie te zwierzęta czeka podobny los – zostały sklasyfikowane stworzonym przez ludzi słowem „łowne” i powinny zostać zastrzelone zgodnie z corocznymi „planami pozyskania zwierzyny”. Rokrocznie pozostawia się stado podstawowe do rozrodu. Liczbę zwierząt przeznaczonych do zabicia określa się z tego stada procentowo, biorąc pod uwagę przewidywany roczny przyrost naturalny. Mniej więcej wygląda to tak:

„Ile się urodzi = tyle zabijemy, aby zachować wielkość stada podstawowego, z którego w następnym roku powinien być co najmniej taki sam przychówek...”

zabijemy... i w następnym roku...”

Z czasem wszystkie zwierzęta z tego stada rozrodowego także zostaną zabite – i zastąpione przez inne.

Odstrzał ważniejszych zwierząt łownych w sezonie 2014/2015^[3]

daniele	8616
muflony	518
jelenie	83 262
sarny	195 045
dziki	291 450
lisy	147 242
zające	15 276
bażanty	129 142
kuropatwy	2539
kaczki	105 859

To jest nieustanne potrząsanie przyrodą. Gdyby go zaprzestać, populacja zwierząt, zaburzana z jednej strony przez zabijanie, a z drugiej przez wielkie dokarmianie, wróciłaby do naturalnego stanu. Wystarczy przestać się wtrącać i pozwolić, by zwierzęta po prostu rządziły się swoimi prawami, a wszystko wróci do siebie, do spokoju, którego tak bardzo wszyscy poszukujemy. Jestem pewien, że rezygnacja ludzi z tak wielkiej przemocy w stosunku do otaczającej nas natury zrodzi w niej dobrostan, który udzieli się również nam wszystkim.

Drugi koronny argument myśliwych: „W związku z brakiem drapieżników to myśliwi muszą regulować liczbę zwierząt”.

Kiedyś naturalne rytmy pulsowania przyrody, którym oczywiście podlegały również drapieżniki, zapewniały równowagę w wodzie, w lesie, na polach i na łąkach – ogólnie w naturze. Jednym z czynników decydujących o liczbie zwierząt na jakimś obszarze jest ilość dostępnego tam jedzenia. Wszystkie zwierzęta, drapieżniki również, podlegają temu podstawowemu prawu przyrody. Tam gdzie było mało zwierząt, którymi drapieżniki się pożywiały, była również odpowiednio niewielka liczba zębatach lub pierzastych drapieżców. Przyroda nieustannie dąży do dynamicznej równowagi – drapieżniki stanowią jej część. Tu wszystko jest właściwe, bo to porządek ponadczasowy.

Wszędzie tam, gdzie polowali władcy – a dawniej w Europie polowanie należało do przywilejów przede wszystkim władców – drapieżniki były wybijane. Dzisiaj zabijanie zwierząt stało się pospolitą rozrywką milionów mężczyzn, uzbrojonych we współczesną, precyzyjną, doskonałą broń. Uzyskali oni miazdzącą przewagę nad dużymi drapieżnikami i dosyć szybko wybili je prawie co do nogi. Do tej eksterminacji doszło z trzech powodów:

- drapieżniki polowały na to samo, co myśliwi;
- ich zęby, pazury i szybkość budziły lęk;
- zabicie drapieżnika zapewniało myśliwską chwałę.

W Dolinie Wapienicy koło Bielska-Białej rozciągał się teren łowiecki zniemczonej rodziny Sułkowskich, właścicieli bielskiego zamku. Tam, na polanie Wielka Łąka, do niedawna stały dwa budynki z początków XIX wieku – drewniany tyrolski domek myśliwski księcia, który istnieje do dzisiaj, i murowana gajówka łowczego, rozebrana pod koniec XX wieku. W książce *Bielsko-Biała w starej fotografii* można znaleźć wzmiankę, że około 1910 roku myśliwy o nazwisku Sechet upolował na terenie Doliny Wapienicy ostatniego rysia. Z tej okazji myśliwi pili potem przez cały tydzień, a rysiovi postawiono na pamiątkę – w miejscu upolowania – kamień z napisem „Luchs” – ryś.

Ta „chwała” funkcjonuje także w dzisiejszych czasach, gdy nawet z dwustu metrów jedną kulą zwykłego myśliwskiego sztucera można przestrzelić głowę największemu tygrysowi.

Nie wiąże się z tym żadne ryzyko, myśliwy żadnego bezpośredniego kontaktu z zabijanymi zwierzętami nie ma. Bezpośredni kontakt ma dopiero z trupem.

Ale potem jest dumny i inni myśliwi mu zazdroszczą.

„Myśliwy musi zdawać sobie sprawę z tego, że w środowisku pełni funkcję głównego drapieżcy, stąd decyzje przez niego podejmowane powinny jak najściślej odpowiadać tej funkcji” – z myśliwskiej „etyki wobec zwierzyny”. Który z „głównych drapieżców” ubranych w grube buty, kapelusz z piórkiem i ze stalowym karabinem w ręku stanie obok jaguara, pumy, tygrysa syberyjskiego, wilka, sokoła czy czarnej pantery i porówna się z nimi?!

I powie:

„Jestem jak czarna pantera, wilk, sokół, orzeł!

Jestem stworzeniem wspaniałym, pięknym, podniebnym i sokolookim! Mam waszą grację, szybkość, jestem doskonały i wiem to co wy”.

Czy znajdzie się taki?

Kto ma tyle odwagi i mądrości, by spróbować dorównać wiecznie wiejącemu wiatrowi? Czy tak jak drapieżniki, myśliwi stanowią część subtelnych procesów przyrodniczych? Czy znajdzie się na świecie myśliwy, który może powiedzieć: „Ja wiem”?

Drapieżniki nie muszą podejmować żadnych „decyzji”, nie muszą „zdawać sobie sprawy”, jak napisano w tej niezwykłej etyce – etyce zabijania.

Drapieżniki po prostu są. To wszystko.

Właściwa równowaga była od zawsze, od milionów lat, tam gdzie człowiek nie „reguluje”, przyroda zawsze „wie” i zwierząt jest tyle, ile ma być. Nie więcej i nie mniej.

Człowiek utrzymuje brak drapieżników, by mieć pretekst do zabijania dla rozrywki oraz dla swojego poczucia mocy i władzy nad przyrodą. Dlatego samozwańczo ogłosił siebie głównym drapieżcą.

No cóż, powiedzieć można rzeczywiście wszystko.

W książce pod tytułem *Nie taki straszny wilk*, napisanej przez podróżnika i przyrodnika Farleya Mowata, badającego życie wilków w Kanadzie, można znaleźć jasny opis funkcji, jaką te drapieżniki pełnią w przyrodzie:

Z niedowierzaniem patrzyłem, jak trzy wilki przechodzą o pięćdziesiąt metrów od dwóch młodych jeleni, które leżały, przeżuając. Zwróciły ku nim głowy, obserwując ich przejście, ale nie wstały i nie przestały ruszać szczękami. Ich lekceważenie dla wilków było aż monumentalne. [...] Wyraźna reakcja była widoczna tylko u tych jeleni, które znalazły się wprost na ich drodze. Gdy wilk zbliżył się na odległość mniej więcej pięćdziesiąt metrów, jeleni wydawał chrapnięcie, stawał dęba i rzucał się w bok. Uskoczywszy galopem o kilka metrów z drogi, niekiedy znów się odwracał i z łagodnym zaciekawieniem patrzył, jak wilk mija go, większość jednak zaczynała się znów paść, już nawet nie spojrzawszy na wilka. [...]

Wypytałem Uteka o nie dające się na pozór wytłumaczyć zachowanie wilczej gromadki, jakie zaobserwowałem z eskimoskiego obozu, a on jeszcze raz, na swój cierpliwy sposób, wziął się do prostowania moich poglądów. Przede

wszystkim powiedział mi, że dorosłe i zdrowe karibu łatwo prześcignie wilka, a nawet i trzytygodniowe cielę przegania wszystkie wilki z wyjątkiem najszybszych. Karibu doskonale o tym wiedzą, toteż świadome są, że w zwykłych okolicznościach raczej nic im ze strony wilków nie grozi. Wilki też są tego świadome i jako zwierzęta wysoce inteligentne z reguły nawet nie próbują dogonić zdrowego karibu, dobrze wiedząc, że byłby to wysiłek strwoniony i bez sensu.

Wilki stosują natomiast [...] technikę, polegającą na sprawdzaniu zdrowia i kondycji poszczególnych jeleni, aby wykryć tego, co jest nie w formie. Jeśli karibu występują w obfitości, sprawdza się je, napadając na stada i goniąc je tyle, ile potrzeba, żeby wykryć obecność lub nieobecność osobnika chorego, rannego, czy z innych przyczyn niepełnosprawnego. Jeśli się taki ujawni, wilki osaczają go i próbują zabić. Jeśli w stadzie nie ma takiego zwierzęcia, wilki niebawem rezygnują z pogoni i oddalają się, aby wypróbować następną stadą.

W razie trudności ze znalezieniem karibu stosuje się inne techniki. Czasami kilka współpracujących ze sobą wilków zapędza małe stadko jeleni w zasadzkę, gdzie czekają na nie inne wilki; albo jeśli o karibu jest bardzo trudno, wilki potrafią się posłużyć systemem przekaznikowym: jeden z nich nagania karibu w stronę drugiego wilka, czekającego w pewnej odległości, który wówczas podejmuje ten pościg. Takie techniki oczywiście zmniejszają naturalną przewagę po stronie karibu, ale i wtedy ofiarą wilków pada zwykle najslabszy z jeleni, a w każdym razie ten o najmniejszej sprawności.

Tak jak ci mówiłem – rzekł Utek – karibu żywi swym ciałem wilka, a wilk utrzymuje karibu w sile i zdrowiu. Wiadomo, że gdyby nie wilk, to wkrótce nie byłoby wcale karibu, bo wymarłyby od szerzącej się słabości.

Utek podkreślił też, że po ubiciu zdobyczy wilki przestają polować aż do czasu, kiedy cały zapas żywności się skończy i głód zapędzi je znów do roboty.

Były to nowatorskie koncepcje dla kogoś, komu wpojono wiarę nie tylko w to, że wilki mogą prawie każdego dogonić, ale i w to, że powodowane nienasyconą żądzą krwi wymordowałyby wszystko, cokolwiek im się nawinie.

Z polowań, jakie mi się później zdarzało obserwować, prawie wszystkie odbywały się według schematu pierwszego, z jakim się wtedy zetknąłem. Łowcy, w liczbie od jednego do ośmiorga, ukazywali się, biegnąc wolnym truchcikiem

między rozproszonymi grupkami jeleni, prawie z reguły nie przejmujących się obecnością swoich „śmiertelnych wrogów”. Od czasu do czasu któryś wilk, a czasem dwa albo trzy, odbijały w bok od głównego kierunku i robiły krótki wypad w stronę będącego w pobliżu jelenia, który czekał, aż napastnicy znajdą się w odległości może stu metrów, zanim podniósł głowę i raczył trochę odgalopować. Wilki zatrzymywały się i patrzyły za uciekającym. Jeżeli nieźle biegł i był widocznie w dobrej formie, to wilki zawracały. Próby te nie były przypadkowe i zacząłem w nich dostrzegać pewien wyłaniający się schemat selekcji. Bardzo rzadko zdarzało się, aby wilki niepokoiły grupę doborowych byków, będących wtedy w szczytowej formie, bo przez całe lato nic tylko żarły i spały. Nie, żeby te jelenie były groźnymi przeciwnikami (bo ich rozłożyste rogi jako broń są bezużyteczne), ale po prostu dlatego, że wilki nie miałyby szansy ich dogonić i wiedziały o tym.

Znacznie bardziej interesowały je mieszane grupy łań z cielakami, bo procent zwierząt poszkodowanych, upośledzonych lub słabszych jest oczywiście dużo wyższy wśród cieląt, które nie przeszły jeszcze przez dłuższy okres surowej naturalnej selekcji.

Ulubionym obiektem do sprawdzania były też grupy łań starych i bezpłodnych. Nieraz któreś z tych wiekowych i osłabionych zwierząt kryło się wśród stada osobników silnych i doborowych; ale wilki, z pewnością znające się na karibu niemal tak dobrze jak na własnym gatunku, bezbłędnie wykrywały to zwierzę i poddawały próbie całą gromadę, dla mnie wyglądającą jak stado zwierząt beznadziejnie zdrowych i rącznych.

Cielęta bywały często sprawdzane dużo ostrzej niż osobniki dorosłe i zdarzało się, że wilk ścigał jelenka kilkaset metrów; ale jeśli na tym dystansie młode zwierzę nie wykazywało objawów słabości lub zmęczenia, pościg zwykle się kończył.

Oszczędzanie wysiłku zdawało się być przewodnią zasadą wilków, zresztą bardzo rozsądną, bo procedurę sprawdzania trzeba było nieraz powtarzać przez wiele godzin, zanim wilki trafiły na karibu dość słabe, by je upolować. Gdy z próby wyłonił się w końcu taki egzemplarz, polowanie przybierało nowy obrót. Atakujący wilk szafował wówczas energią, którą tak oszczędzał w toku długich poszukiwań, i rzucał się na swój łup we wspaniałym zrywieniu szybkości i siły, po

którym – jeśli mu się udało – znajdował się tuż za uciekającym jeleniem. Ogarnięty wreszcie paniką jeleni zaczął wtedy biec szalonym zygzakiem – głupio, jak mi się wydawało, bo dzięki temu wilk mógł zastosować skróty i tym prędzej go dopaść.

Wbrew kolejnemu pewnikowi z mitu o wilkach nigdy nie widziałem, aby wilk próbował jeleniowi poderznąć w nogach ścięgna. Zbierając wszystkie siły, wilk dążył do zrównania z karibiu, aby mu skoczyć na bark. Uderzenie to wystarczało zwykle, żeby wytrącić jelenia z równowagi, i zanim ją odzyskał, wilk chwycił go za kark i powalał, starannie unikając dziko młócących kopyt, z których każde mogłoby się jednym ciosem wbić wilkowi w potrzaskane żebra jak w kruchy cukierek.

Zabijał prędko i na ogół czysto, tak iż bardzo wątpię, czy jeleni cierpiął więcej, niż cierpi wieprz, zabijany w rzeźni na spożycie przez ludzi.

Wilki nigdy nie zabijają dla przyjemności, co zdaje się być jedną z głównych cech różniących go od człowieka. Dla wilka dogonić i zabić dużą zwierzynę łowną to ciężki wysiłek. Może polować całą noc i przebiec ze sto kilometrów, zanim mu się uda – jeśli w ogóle mu się uda. To jego zajęcie, jego robota, i kiedy już zdobył dość mięsa na potrzeby własne i swojej rodziny, to woli zużyć resztę czasu na odpoczynek, życie towarzyskie albo też zabawę.

Wbrew jeszcze innemu nieporozumieniu nie spotkałem wiarygodnego dowodu, aby wilki zabijały więcej, niż im potrzeba, nawet jeśli się wyjątkowo nastręczy taka okazja. Zdobyczą ubitą podczas wychowywania szczeniąt w norze odwiedza się raz po raz, aż odarty z niej zostanie ostatni strzępek mięsa. Częstokroć – jeśli jest wiele kruków, mew, lisów i innych padlinożerców – wilk rozdziera tuszę i zakopuje po kawałku w znacznych odległościach od miejsca uboju, aby ją zachować na własny użytek. W późniejszym sezonie, gdy połączona rodzina już swobodnie wędruje po swoim terytorium, cała gromadka biwakuje przy swojej zdobyczy aż do całkowitego jej spożycia.

Z sześćdziesięciu siedmiu karibiu zabitych przez wilki, jakie zbadałem, gdy wilki już się z nimi uporały, w nielicznych tylko pozostało cokolwiek oprócz kości, wiązadeł, sierści i wnętrzości. Przeważnie nawet i podłużne kości były rozłupane dla wydobycia szpiku; a w niektórych przypadkach rozgryziona była i czaszka; ciężki trud nawet i dla wilka.

I to jeszcze ciekawe, że w tych skromnych resztkach, co pozostały, znajdowało się zwykle świadectwo chorób albo poważnego upośledzenia. Nagminne były zniekształcenia kości, szczególnie związane z martwicą czaszki; a starte zęby w wielu czaszkach świadczyły, iż należały one do zwierząt starych i osłabionych. Niełatwo było o świeżą zdobycz, pozwalającą zbadać cały zewłok; ale w niektórych wypadkach udawało mi się dopaść jelenia prawie natychmiast po tym, jak wilki go zabiły, i z niewybaczalnym nachalstwem odpędzić je. Odchodziły dosyć ustępliwie, choć bardzo niezadowolone. Kilka z tych jeleni było do tego stopnia zainfekowanych pasożytami na zewnątrz i od wewnątrz, że były to już wprost chodzące menażerie, które tak czy owak musiałyby niezadługo zdechnąć.

W miarę jak tygodnie upływały ku sчыłkowi lata, stawało się coraz bardziej oczywiste, że pogląd Uteka jest całkowicie słuszny. Podstawowe znaczenie wilka raczej dla utrzymania przy życiu karibu, niż dla jego niszczenia, wydało mi się niezaprzeczalne [...] [4].

Wszędzie na Ziemi jest podobnie – wszak ewolucja wszystkich nas, bez żadnych wyjątków, niesie swoim nurtem. A wilk to *Canis lupus* tak samo w Kanadzie, jak i w Europie. I tak jak jelen – ma zachowania specyficzne dla gatunku i kanadyjski opis można przyjąć za uniwersalny.

Dzięki znakomitym przystosowaniom ssaków kopytnych do unikania drapieżnictwa wilków, drapieżniki te nie zabijają jak chcą i czego chcą. Gdyby bowiem tak było, nie obserwowalibyśmy w przyrodzie przypadków śmierci szczeniąt wilczych z wygłodzenia [...], a wiele gatunków kopytnych zniknęłoby już z powierzchni Ziemi, wytępionych przez wilki.

[...] Ponadto analizuje się tylko pewne cechy ofiar, na podstawie pozostawionych przez wilki resztek (wiek, płeć, zawartość tłuszczu w szpiku kostnym, pewne patologie szkieletowe), a wiele innych cech unika ocenie. Jak na przykład ocenić, jakie cechy fizjologiczne miała dana ofiara? Dlaczego selekcja jeleni nie może także następować na poziomie decyzyjnym: może jelen zabity przez wilki był tłusty, ale głupi i wybrał złą drogę ucieczki?

*[...] Sokolov i in. [...] przeprowadzili eksperyment modelowania selektywnego wpływu wilków na ofiary, używając chartów borzoi jako odpowiedników wilków do odłowu antylop saiga (*Saiga tatarica*). Stwierdzili, że*

sukces łowiecki borzoi w polowaniu na grupy antylop wynosił 5–19%, a wszystkie antylopy upolowane przez borzoi wykazywały patologie organów wewnętrznych i układu szkieletowo-mięśniowego [...].

[...] Zajmując się od wielu lat problemami dotyczącymi etologii wilków, odnoszę wrażenie, że gatunek ten został w pewien sposób wyłączony z grona „normalnych” drapieżników; tak jakby nie miały do niego zastosowania ogólne mechanizmy drapieżnictwa. Wilkom bardzo często przypisuje się, że zabijają nie tylko dla zaspokojenia głodu, ale także z „żądzy krwi”, dla samej satysfakcji, którą mają z zabijania!^[5]

Wilki płacą za mityczne przekonania na swój temat, rodem z bajek o Czerwonym Kapturku, trzech świnkach albo kozłatkach. Zastanawiające, że to płochliwe, ostrożne i unikające kontaktów z ludźmi zwierzę obrosło w bogatą, zróżnicowaną i ambiwalentną mitologię już od starożytności, kiedy to wilczyce wykarmiały ludzkie niemowlęta. Współcześnie wychowały Mowglię oraz połąkły grzeczną dziewczynkę w ładnym czerwonym kapturku. W Polsce prawie każdy zna obraz Józefa Chełmońskiego, na którym w śnieżną noc rozwinięta w szyku bojowym (!) tyraliera wilków goni pędzące jak wicher sanie, ciągnięte przez trzy potężne ogiery. Woźnica z widmem rychłej śmierci na twarzy smaga konie batem, a dwóch mężczyzn raz za razem pali ze strzelb do ścigających ich wilków, kładąc którego co i raz.

No i jak tu się nie bać wilków, które zeżrą i konie, i sanie, i woźnicę, i flintę... I babcię...

Nie znam wiarygodnej historii o ataku wilka na człowieka. Mimo poszukiwań, nie tylko moich, nie udało nam się znaleźć współczesnych lub historycznych zapisków o takim fakcie.

Gdy ludzie przestaną zabijać dzikie zwierzęta, będzie odpowiednia liczba drapieżników i innych zwierząt. To tylko kwestia czasu. I przestaniemy nareszcie mieć do czynienia wyłącznie z przyrodą przerażoną – zwierzęta nie będą już panicznie uciekały na widok człowieka. Teraz muszą!

Bowiem uciekając przed nami, naprawdę ratują życie! Przecież jesteśmy dla nich śmiertelnym zagrożeniem: „kulą na komorę”.

Następnym koronnym argumentem myśliwych jest fakt zakłócenia pierwotnej harmonii przyrody przez człowieka. Ich zdaniem, skoro nie ma już pierwotnych biotopów i brakuje

drapieżników, ktoś musi regulować liczbę zwierzyny, bo jeśli zabraknie myśliwych, zwierzęta...

...dalej ta argumentacja nie sięga.

Właściwie nie wiadomo, co by się miało zdarzyć ze strony jeleni, dzików, zajęcy, dzikich gęsi, bażantów czy saren, gdyby ich nie zabijać. Czy zagrażałyby współczesnym ludziom w miastach i na wsiach? Nie spotkałem badań naukowych, które by wykazały niezbędność istnienia myślistwa w przyrodzie.

Spróbujmy przywołać w wyobraźni obraz przeciętnego myśliwego i zobaczyć go w lesie, z ostrą bronią, strzelającego, później patroszącego jelenia, albo wwożącego do lasu przyczepę buraków cukrowych, pastewnych, kukurydzy, kalafiorów czy też kapusty. Gdy wyobrazimy sobie ten obraz, lub zobaczymy go w rzeczywistości, czy przyjdą nam do głowy skojarzenia z harmonią przyrody? Czy myślistwo jest potrzebne przyrodzie? Właściwie komu jest potrzebne?

Myśliwi nie twierdzą, że przywracają naturalną równowagę – odnoszę wrażenie, że nie jest to problem, który ich obchodzi. Poza tym chyba przeczuwają, że nie są w stanie tego dokonać. Nigdy, w czasach gdy polowałem, nie spotkałem się z myśliwym, który twierdziłby, że poluje po to, by utrzymać harmonię i równowagę w przyrodzie. Ten slogan zarezerwowany jest dla oficjalnej argumentacji kierowanej z myśliwskiego środowiska na zewnątrz, mającej utrzymać w społeczeństwie świadomość konieczności istnienia współczesnego myślistwa.

Używając tego argumentu, myśliwi nie wprost mówią, że skoro równowaga w przyrodzie i tak jest już naruszona, to wolno ją psuć dalej.

To trochę tak, jakby ktoś wspaniały, choć nadający się do naprawy zabytkowy zegar rozbił na kawałki, czując się przy tym bezkarnie, ponieważ „i tak był zepsuty”.

Z drugiej strony łatwo można się dowiedzieć, jak żyją ludzie, zwierzęta i cała przyroda tam, gdzie w ogóle się nie poluje – w największych parkach narodowych na wszystkich kontynentach. Na Ziemi istnieją naprawdę duże obszary, w tym trzy całe kraje, w których nie zabija się zwierząt. Żaden z „koronnych argumentów myśliwskich” tam nie działa.

Pamiętam, jak pojechaliśmy z żoną na pierwszą wyprawę do Białowieskiego Parku Narodowego, w którym myśliwi nie zabijają zwierząt^[6]. Był koniec zimy, ale trzymał duży mróz. Przyjaciel poprowadził nas i objaśniał nam Puszcę.

Obserwując ślady na śniegu, widziałem, że w obszarze ochrony ścisłej była nader umiarkowana liczba zwierząt. Podczas wielogodzinnej wędrówki widzieliśmy jedną łanię. To wszystko. Trochę tropów innych jeleni, saren, dzików, żubrów, wilków i trop rysia. Las żywy, ze zwierzętami, lecz w takiej wyważonej, stonowanej liczbie – ileż w tym było kojącego spokoju! W tym rejonie Puszczy na całe szczęście nie wolno dokarmiać zwierząt. Wychodziliśmy z lasu już w nocy, droga się przeciągnęła. Świecił mały, ostry sierp księżyca, wystarczający do w miarę sprawnego marszu. Janusz prowadził wąską ścieżką, moja żona szła przede mną. Kilka razy widziałem, jak prawie przystanęła, zaczynała się chwiać i... stawiała następny krok – byliśmy wyczerpani. Jeszcze kilkaset metrów marszu ślad w ślad, kopiąc się w śniegu, i zrobiło się szerzej. Mogłem podać Dorocie ramię. Czułem całym sobą, jak bardzo jest mi bliska.

Jeszcze na chwilę przystanęliśmy pod największą lipą, jaką widziałem w życiu. Zapadła całkowita cisza. Niedaleko zawył wilk. Raz... i... drugi. Wyraźne wilcze wycie w mroźną noc pod wielkim drzewem, sierpem księżyca i gwiazdami. Nikt się nie odezwał.

Następnego dnia w rezerwacie pokazowym koło Białowieży smyrałem po głowie i karku łanię – jakże miękkie i delikatne są jej chrapy, jak piękne są jej lśniące, brązowe oczy, jak ciepły oddech! Parę metrów dalej stał potężny byk. Potem tarposiliśmy po łbach dziki – ależ one są żwawe i wesołe. Mają bystre spojrzenie.

Rady wytrawnego myśliwego: byka, żeby po strzale nie odbiegł, trzeba strzelić na łopatkę – ze zgruchotanymi kośćmi zwali się w ogień. Łanię na łopatkę albo w nasadę karku – zostanie w miejscu. Dzika trzeba trafić za ucho – ani drgnie.

Po powrocie do miasta wspomniałem komuś o obszarze ochrony ścisłej w Puszczy Białowieskiej. Tak krótko i ogólnie, oraz o tym, że nawet wchodzić tam nie wolno bez specjalnej przepustki.

– Tylko myśliwi tam chodzą? – zapytał ten człowiek.

– Myśliwi? Po co?! – zdumiałem się.

– Nooo... żeby coś tam regulować... liczbę zwierzyny, czy coś tam chronić.

Ośłupiałem. Poraziło mnie. Wykrztusiłem coś grzecznościowego i się rozstaliśmy.

Ten mężczyzna jest świetnym przykładem na to, jak przeprowadzane z uporem *public relations* mocno wdrukowuje się w nasze umysły, pozbawiając nas

umiejętności samodzielnej, zdroworozsądkowej oceny. Konsekwentnie przeprowadzana od stu lat kampania kształtująca obraz współczesnego myślistwa doprowadziła do utrwalenia się w naszych umysłach przekonania o prawdziwości „koronnych argumentów myśliwskich” i spowodowała ogólne przeświadczenie o dobroczynnej dla przyrody roli myśliwych. A przecież to krew i treść z rozwalonych kulą jelit!

W historii ludzkości nie można znaleźć przekazu o tym, by zwierzęta kiedykolwiek zagrażały człowiekowi. Trzeba przestać dokarmiać i zabijać. Trzeba pozwolić zwierzętom, by żyły na swój sposób, a wszystko wróci do siebie, „do domu”, w którym ludzie i natura czują się najlepiej. Czy boimy się przyrody?

Biofobia jest podtrzymywana przez myśliwych. Sami są jej ofiarami: często boją się lasu i zwierząt.

Zresztą czy można nie bać się tego, co się zabija? Czy można nie czuć lęku, gdy zadaje się śmierć?!

Nagie fakty o „zagrożających” zwierzętach są takie: przez czterdzieści lat polowania nigdy ani ja, ani mój ojciec, ani żaden ze znanych nam myśliwych nie zetknął się z tym, by leśne zwierzę spowodowało zranienie człowieka. Nigdy też nie czytałem o tym w prasie. Sam kilka razy w nocy w gęstym zagajniku „deptałem po piętach” zranionym przeze mnie odyńcom, by je dobić. Zastrzeliłem wszystkie. Bo czy to zazwyczaj śmiertelnie już ranne zwierzę, z którego uchodzą razem z wypływającą z ran krwią siły i życie, może być szybsze od kuli?! Te historycznie niebywale wręcz rzadkie „szarże rannych odyńców” to potrzebny „dzielny” myśliwym mit i legenda.

„Koronne argumenty” próbują przekonać ludzi, że zabijanie zwierząt przez myśliwych wynika wyłącznie z konieczności. Że najważniejsze są hodowla, dokarmianie, regulacja, że to z powodu braku drapieżników i że konieczna jest selekcja: „Według mnie jesteś gorszy i dlatego cię zabiję”.

„No... przyroda jest wspaniała... a ten strzał to naprawdę ostateczność”. Gdy polowałem, spotkania ze zwierzętami, do których nie mogłem strzelić, nie budziły we mnie emocji. Na chwilę zatrzymywałem się, by popatrzeć na łanię z cielakiem, ale po chwili ruszałem dalej, bo szukałem rogacza – jego chciałem zabić! Skupiałem się, tak jak pozostali myśliwi, głównie na dzikach, jeleniach i sarnach. Myśliwi nie są w stanie zrobić nic efektywnego dla ochrony gatunków, które są

zagrożone wyginięciem. Na te gatunki się nie poluje, a to dla myśliwych oznacza, że są one poza ich zainteresowaniem.

Najwyżej mogą nie zabijać jakichś zwierząt. Pamiętam, jak na Żuławach z roku na rok spadała liczba zajęcy. Kiedyś zabiłem na jednym polowaniu dwanaście, a mój ojciec czternaście. W dwudziestu myśliwych jednego krótkiego, zimowego dnia zabiliśmy ponad sto szaraków. Z czasem było ich coraz mniej. Zabijaliśmy czterdzieści, trzydzieści, dziesięć, pięć. Zdarzało się, że polowanie przerywano w połowie dnia. Z nudów, bo padł jeden zając na dwadzieścia strzelb. I co? Przestaliśmy polować w następnym sezonie? Nie! Nie przyszło nam to do głowy, bo liczy się tylko polowanie. A gdyby coś nas tknęło i zaprzestalibyśmy polowań, to co moglibyśmy zrobić, aby zahamować spadek liczby zajęcy? Nic. I dlatego przez pół dnia chodziliśmy za jednym zającem. W gruncie rzeczy przeczuwaliśmy, iż to, że przestaniemy zabijać, niczego nie zmieni. Byliśmy bezradni. Zajęcy będzie coraz mniej. Trzeba poczekać kilka lat, to potem będzie więcej. „Samo się robi”, bo to jest przyroda – i na to liczyliśmy, na cud natury. I przeliczyliśmy się, ponieważ czynniki, które spowodowały prawie całkowity zanik zajęcy, są silne. W takich przypadkach łowiectwo często bywa ostatnim, przechylającym szalę czynnikiem i gatunek znika.

Pewnego razu, w maju, siedzieliśmy wieczorem przy ognisku. Śpiewały ptaki – głównie kosy. Jeden z mężczyzn zapytał: „Ty, a co to za ptak tak śpiewa?”. Chodziło o pospolitego kosa. Mężczyzna, który pytał, był myśliwym. Czy ludzie z taką świadomością przyrody mogą coś dla niej zrobić? Ten człowiek usłyszał śpiew ptaka i zapytał. Teraz wie. Ilu myśliwych nie usłyszy nawet kosa? Odnoszę wrażenie, że większość z nich ma żenująco małą wiedzę przyrodniczą. W czasie, gdy chodziłem na kurs dla kandydatów na myśliwych, w programie nie było nawet okruszka wiedzy o wzajemnych współzależnościach i związkach w przyrodzie. Po co?! Zresztą który z grona wykładowców byłby w stanie podjąć taki temat? To jest przecież kurs dla przyszłych myśliwych! Regulamin polowań, zwierzyna łowna, pies, broń, prawo łowieckie, ambony, statut – to są ważne tematy.

Potem, już jako myśliwi, szliśmy z gładką i ostrą bronią do lasu i na pola, z nagonką i psami, aby „utrzymywać równowagę przyrody”, „regulować populację”, „zastępować drapieżniki”, „selekcjonować”, „gospodarować zwierzyną łowną” i „dokarmiać”. Jestem pod wielkim wrażeniem siły „koronnych

argumentów myśliwskich” i spustoszenia, jakie uczyniły w naszych umysłach. Ludzie w tej sprawie zawierzyli myśliwym – „niech tam sobie regulują”. Częste jest przekonanie, że inaczej nie można, i choć wielu ludzi robi to z niesmakiem, milcząco godzi się jednak na zabijanie zwierząt, sądząc, że to konieczność.

Na jesiennym rykowisku myśliwi dosłownie na samej granicy Białowieskiego Parku Narodowego, na polanie we wsi Masiewo, zastrzelili byka jelenia, w pobliżu domów. Sieją tam śmierć rok w rok, ciągle słychać tam strzały.

Przyjął się pogląd, że przyroda nie da sobie rady bez pomocy ludzi. Co to właściwie znaczy? Otóż to przekonanie każe nam wierzyć, że przyroda nie da sobie rady i zginie, gdy ludzie przestaną zabijać jelenie, dziki, sarny, łosie, muflony, daniele, żubry, wilki, kaczki, kuropatwy, zające, króliki, piżmaki, jenoty, kuny, lisy, dzikie gęsi, głuszce, cietrzewie, bataliony, bekasy, słonki i bażanty! W tym powszechnym sądzie widać dobrze, jak skuteczne jest myśliwskie *public relations*. Zaowocowało zbiorowym przekonaniem, że myślistwo jest konieczne, by przetrwały przyroda i zwierzęta. Bez dokarmiania i regulacji przyroda nie da sobie rady. Czyli:

zabijanie dzikich zwierząt = opieka nad nimi.

Co należało dowieść.

Kiedyś, gdy zaczynałem polować, sam używałem „koronnych argumentów myśliwskich” jak najęty, tak samo jak inni racjonalizujący myśliwi. Uwodziłem nimi ludzi i siebie i udawało mi się wierzyć w to, co mówię, choć czaiła się jakaś cicha, ukryta niepewność. Bardzo potrzebowałem tej wiary, ponieważ za wszelką cenę chciałem polować. Ale tymi racjonalnymi argumentami przekonywałem przecież głównie siebie, bo zabijanie bez jakiejś ideologii byłoby trudniejsze. I tak jak inni polujący nie umiałem zauważyć, że wszystkie nasze myśliwskie koronne argumenty nijak nie pasują do ptaków – ale zabijałem je. Polowanie na ptaki, podobnie jak na pozostały drobiazg leśny i polny, to zabijanie wyłącznie dla czystej przyjemności.

Nie chciałem być złym człowiekiem. Szukałem dla siebie usprawiedliwienia i wiarygodnych powodów konieczności polowania. Kiedy bowiem odzywa się niepokój, trzeba sobie i innym „wy tłumaczyć”. Ale pomimo „wy tłumaczenia” sobie niepokój pozostał, czasami słabszy, czasami silniejszy, lecz prawie bez przerwy obecny. Szczególnie wtedy, gdy po wielu godzinach dochodzenia trzeba

było dobijać konające zwierzę trafione w brzuch, zad, kolana, szczękę, z okiem wylupionym śrutem albo gdy trzeba było ręką dobić kuropatkę czy kaczkę. Dłonią, palcami dobić rannego ptaka z przestrzelonymi skrzydłami – spomiędzy piór wystają ostre, trochę skrwawione kości – to bardzo trudne. Dobija się zwierzęta, żeby skrócić ich cierpienie, ale przede wszystkim robi się to dlatego, że nie można znieść własnego cierpienia spowodowanego bezpośrednim doświadczeniem tego, co właśnie się uczyniło. Inaczej mówiąc, zetknięcie z własnym okrucieństwem jest nie do zniesienia.

„Och, żeby to już się skończyło, dobić, dobić jak najszybciej!”

Dopiero razem ze śmiercią postrzelonego ciała, poszarpanego kulami wewnątrz i z zewnątrz, moje cierpienie powoli maleje. Ale czy się kończy?

Potem trzeba opowiadać sobie i innym o „braku drapieżników” i „regulowaniu populacji”, „zimowym dokarmianiu” i „kontakcie z pięknem przyrody”.

Można też coś wypić. Doraźnie pomaga – ale to wszystko było, zdarzyło się nieodwołalnie i jest nie do cofnięcia. I nie unieważni się w żaden sposób – jest już na zawsze. Mamy to w sobie, zapadło to w nas. Na wieczność.

Kupki buraków

Leśniczy, mój znajomy, opowiadał, jak po silnych mrozach w promieniu kilkudziesięciu metrów od kupki kapusty wwieszonej do lasu w celu dokarmiania znalazł sześć martwych saren. Zostały zakopane nieopodal paśnika. Na pewno jadły tę wwieszoną do lasu kapustę i prawie na pewno miało to związek z ich śmiercią.

Czy zwierzęta potrzebują tego, aby ludzie przywozili do lasu, do ich domu, swoje ludzkie jedzenie?

Przyjrzyjmy się uważnie kupkom buraków, brukwi, kapusty, kartofli albo kalafiorów czy też odpadów spożywczych wysypanych w pięknym drzewostanie – rozgrzebanych przez zwierzęta, później gnijących. Powąchajmy smród rozkładającej się paszy na ńciskach! Widać gołym okiem, że coś tu się nie zgadza. Miejsce stałego karmienia w lesie wygląda tak, jakbyśmy do swojego obiadu podanego na wspaniałej zastawie w pałacowej oranżerii postawili na stole koryto dla świń i wlaali tam zlewki. Las sam w sobie jest tym pałacem i oranżerią jednocześnie.

Rzuca się w oczy naga prawda – las i zwierzęta tego nie potrzebują. Jeśli zwierzęta żywią się wyłącznie tym, co daje przyroda, uroda pałacowej oranżerii zostaje zachowana. Natura bez żadnego wysiłku wykarmi swoimi zasobami wszystkie zwierzęta. I tak właśnie się dzieje od początku istnienia, od milionów lat! Masowe dokarmianie dzikich zwierząt zaczęło się kilkadziesiąt lat temu. Wtedy to powstała, i rośnie do dzisiaj, nadprodukcja żywności – nie jesteśmy w stanie tu, w Europie, zjeść tego wszystkiego, co nam rodzi ziemia. Część plonów myśliwi wwożą do lasu w ramach dokarmiania wolno żyjących zwierząt. Zakładają tym samym, że przyroda nie może sama wyżywić swoich dzieci, choć przecież daje sobie z tym radę od powstania świata. Marnotrawimy w ten sposób dobrą żywność, gdy tymczasem codziennie na świecie wiele ludzi jest głodnych, a nawet umiera z głodu. Bażantom i kuropatwom podsypuje się ziarno. Innych zabijanych ptaków – gęsi, kaczek, słonek, bekasów, łysek, dzikich gołębi – nie sposób dokarmiać.

Na południu Europy w okresie przelotów urządza się ptakom śpiewającym swoistą hekatombę. Nawet powstała specjalna broń: „ptaszarki” i „gołębiarki”, by zwiększyć skuteczność strzałów.

W OHZ-ach z zamkniętych wolier wypuszcza się wieczorem – „żeby się bractwo nie zdążyło rozleźć” – w krzaki setkę, dwie setki bażantów, zależnie od zapotrzebowania. Rano puszcza się psy i nagonkę i strzela się z obu luf do wszystkiego, co zafurkocze w powietrzu. Tu nie obowiązuje zakaz zabijania bażancich kur z oficjalnego Regulaminu polowań. Robimy też, panowie, dublety kogut-kura!

„Brawo, dwadzieścia siedem sztuk na rozkładzie! Został kolega królem polowania!”

„Zapoluj w Ośrodkach Hodowli Zwierzyny” – to reklama z myśliwskiej gazety. Dewizowi myśliwi nie zabili tam całego limitu zwierząt z planu polowań. Coś można jeszcze sprzedać myśliwym krajowym. I kupuje się – za ciężkie pieniądze – możliwość uśmiercenia byka czy dzika, często ze stale podkarmianej ambony, tak zwanego nęciska, które zawsze kojarzy mi się z kaźnią.

Potem w relacji z polowania brzmi to tak: „Upolowałem w dwa dni byka, dwa dziki i lisa na dokładkę”.

W lesie wykłada się w dużych ilościach buraki, kukurydzę, ziarna zbóż, kartofle, kapustę, kalafiory i siano.

Dokarmiają wszyscy – ile się da i ile starczy pieniędzy.

Dlaczego? Ponieważ aby utrzymać duży stan zwierzyny w łowisku, trzeba dokarmiać co najmniej równie obficie jak sąsiednie koło łowieckie. Jeżeli będziemy karmili gorzej, to jelenie i dziki po prostu przewędrują tam, gdzie jest więcej karmy, i „u nas” będzie mniej zwierząt do zabijania – łowisko przestanie być atrakcyjne. Obwód łowiecki, w którym polowałem, sąsiedował z bogatym, bo rządowym terenem polowań, teraz nazwanym Ośrodkiem Hodowli Zwierzyny Lasów Państwowych. Kiedy tam zaczęli bardziej dokarmiać, na przykład przed rykowiskiem jeleni, u nas w lesie robiło się cicho – zwierzyna szła pod lufy rządowych i dewizowych myśliwych.

W Niemczech myśliwi przestali już stwarzać pozory, że panują nad populacją dzików.

Skoro nawet Niemcom, z ich liczbą myśliwych prawie czterokrotnie wyższą niż w Polsce, [...] z większym niż u nas zdyscyplinowaniem myśliwych, z lepszym obecnie niż w Polsce zapleczem naukowym i bardzo sprawnym systemem przekazywania i wdrażania wyników badań naukowych do praktyki łowieckiej, zdarzyło się utracić kontrolę nad dynamiką liczebności jednego z podstawowych gatunków zwierząt łownych, jakim jest dzik – to tylko patrzeć, jak i nam w Polsce się to przydarzy. [...]

Myśliwi niemieccy przyznają też, że wiele nęcisk pod ambonami stało się karmowiskami, przez cały rok obficie zaopatrzonymi w ziarno kukurydzy. Prof. Pohlmeier, dyrektor Instytutu Badań nad Zwierzętami Łownymi Wyższej Szkoły Weterynaryjnej w Hanowerze, który wraz ze swoim zespołem przeprowadził pięcioletnie badania nad dzikami, [...] stwierdził m.in., że tuczenie dzików kukurydzą powoduje, iż na każdy jajnik lochy przypada 6–7 komórek jajowych, zamiast normalnej liczby 4–5. Sprawia to, że potencjał rozrodczy takich loch jest znacznie większy. [...] Z grubsza wielkości te odpowiadają danym uzyskanym w Polsce, m.in. przez prof. Fruzińskiego [...]. Wiele się zmieniło w rozrodczości dzików. Według cytowanych badań niemieckich, obecnie już 60% loszek w wieku poniżej roku zostaje pokrytych i nosi w sobie średnio 4,3 zarodka. Więcej też loch niż kiedyś po utracie całego miotu grzeje się ponownie i w środku lata wydaje na świat kolejne młode. [...] Tytułem uzupełnienia [...] w Polsce obserwujemy ostatnio rosnący udział loszek warchlakowatych w rozrodzie [...]. [Te warchlaki] w wieku 6, 7 miesięcy osiągają dojrzałość płciową^[7].

Mówiąc krótko, na skutek dokarmiania:

- obniżył się wiek dojrzałości do rozrodu wśród dzików;
- zwiększyła się liczba młodych z jednej ciąży;
- okres godowy dzików, który naturalnie wypada późną jesienią, rozciągnął się na prawie cały rok.

Gdyby myśliwi wzięli to poważnie pod uwagę, a właśnie tego nie są w stanie zrobić, polowania na dziki zostałyby prawie sparaliżowane. Praktycznie przekłada się to na sytuację, w której legalne jest zabicie przelatka – loszki w wysoko zaawansowanej ciąży, nawet na dzień przed rozwiązaniem. Pęcherz płodowy z kilkoma martwymi pasiastymi warchlaczkami odciąga się w krzaki. Chyba każdy

myśliwy to widział. Prawie cała żeńska część fauny jest w ciągu całego roku w bardziej albo mniej zaawansowanej ciąży, prowadzi i karmi swoje młode. Albo jest w ciąży i jednocześnie karmi, jak w przypadku jeleni. I zabija się je wszystkie poza niedługimi okresami ochronnymi na wysoką ciążę, połóg i pierwszy okres karmienia. W tej sprawie w środowisku myśliwych panuje wymowna, głucha cisza. Chyba żaden myśliwy w warunkach zazwyczaj towarzyszących polowaniu na dziki nie jest w stanie ocenić, czy ten przelatek, do którego się właśnie składa, jest w zaawansowanej ciąży czy nie.

Im więcej zwierząt w lesie, tym atrakcyjniejsze jest polowanie. O takim bogatym w zwierzynę lesie mówi się: „dobre łowisko”. Liczba zwierzyny podtrzymywana jest w wysokich stanach dzięki powszechnemu dokarmianiu prowadzonemu przez myśliwych i służby łowieckie, ponieważ:

duża liczba zwierząt = duży plan odstrzałów.

Czyli jest co zabijać. I o to chodzi!

Strzela się do zwierząt na polach i w lesie. Na polach zwierzęta robią szkody, czyli zjadają owies, kukurydzę lub ziemniaki. Im więcej jeleni i dzików, tym więcej jest szkód, czyli zjedzonych przez zwierzęta plonów. Najprostszą drogą do zmniejszenia szkód w uprawach jest zaprzestanie wszelkiego dokarmiania. Wtedy sztucznie utrzymywany między innymi poprzez wielkie dokarmianie wysoki stan dzików i jeleni zmniejszy się do stanu biologicznej pojemności ekosystemu. To tylko kwestia czasu, by zwierząt było tyle, ile przyroda może sama wykarmić.

Problem szkód wyrządzanych w lesie przez zwierzynę jest rozwiązywany przez leśników grodzeniem upraw, co stworzyło pułapkę – im więcej grodzień, tym większa presja jeleniowatych na nieogrodzone naturalne odnowienia i uprawy. Pospolite grodzenie kolejnych upraw paskudnymi, fragmentującymi środowisko leśne stalowymi siatkami stało się zdaniem leśników wymuszone. Wyjściem z tej pułapki mogłoby być rozgrodzenie wszystkich upraw w jednym czasie, aby presja jeleniowatych rozłożyła się równomiernie. Ale kto to zrobi? Uprawy leśne kosztują i dlatego żadne większe zwierzęta nie mają do nich dostępu – jest płot z siatki lub innego materiału. Jeśli gdzieś nie ma płotu, zabezpiecza się drzewka chemicznie.

Dziki uważane są za wielkiego sprzymierzeńca lasu. Nikt nie mówi o szkodach w lesie powodowanych przez te zwierzęta. A pola? Można je chronić, stosując różne ogrodzenia, elektryczne pastuchy, odstraszające środki zapachowe, dźwięki

płoszące i z pewnością wiele innych sposobów. Jeżeli będziemy musieli ochronić pola przed dzikami i jeleniami, na pewno wymyślimy dobre dla wszystkich, inteligentne i bezkrwawe rozwiązanie. Obecnie zainteresowanie ochroną upraw przed zwierzyną jest właściwie niewielkie, ponieważ rolnicy otrzymują odszkodowania, żywą gotówkę za każdego przysłowiowego kartofla zjedzonego przez dziki czy jelenie.

Zasadą jest, że gdy na pola owsa, ziemniaków, pszenicy, kukurydzy lub innych roślin wejdą jelenie lub dziki – płaci się odszkodowanie.

W rzeczywistości tu, przy leśniczówce, do której przyjeżdżam od kilkunastu lat, wygląda to tak: pan Kazimierz ogroził pole, ponieważ wiosną dziki weszły mu w oziminę. Powbił kilkadziesiąt centymetrowe paliki, górą przeciągnął drut, środkiem białą, wąską taśmę od elektrycznego pastucha. I już. Problem zniknął. Pan Kaziu woli mieć pole nietknięte przez dziki. Nie chce pieniędzy – woli pełne plony.

Wczoraj spotkałem we wsi Alwinę Browarczykową. Lubimy się, to niezwykle dzielna kobieta. Sama gospodaruje na kilkadziesiąt hektarach. Do wsi przyjechała na swoim starym motorku po zakupy. Czasami w czasie jazdy przez las trzyma w kąciку ust tłącego się papierosa. Lubi palić, jadąc na motorze. Ma prawie siedemdziesiąt lat.

– Te dziki to nas w tym roku całkiem zeżro! – dziarsko pokrzykuje wysokim głosem.

– Pani Alwino, my tak gadamy już czterdzieści lat, co roku mają nas zeżreć, i co?

– Ale w tym roku to już jest całkiem okropnie.

I tak rok w rok. Pani Alwina dostaje co roku odszkodowania wypłacane przez koło łowieckie. Rolnicy zazwyczaj nie grodzą pól. Po co? Grodzenie jest dosyć pracochłonne i kosztuje, chociaż nie jest to droga inwestycja. W każdym razie trzeba ponieść jakieś koszty i trochę popracować. Lecz także pogodzić się z faktem, że od tej pory nie będzie już pieniędzy wypłacanych za zjedzone plony, ponieważ nie będzie szkód. Z drugiej strony myśliwi z ogrodzonych pól mają właściwie tylko straty. Co prawda, nie muszą wydawać pieniędzy na odszkodowania, ale znika im atrakcyjne łowisko – a to jest najważniejsze! To duża strata dla myśliwego, ponieważ

ogrodzone pole = martwe łowisko.

Nie można tam niczego zabić, a pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży mięsa zabitych dzików, jeleni i saren przeznaczyć na wypłatę dla rolnika za szkody w polu. Myśliwi czasami psioczą na to, że ktoś przy samym lesie posadził kartofle czy też wsiał owies. Czasami nawet twierdzą, że ktoś posadził kartofle przy lesie tylko po to, by dostać duże odszkodowanie. Ale później jest to najchętniej odwiedzane przez nich miejsce w łowisku. Często w takim atrakcyjnym miejscu buduje się ambonę lub drabinę z siedziskiem. I strzela przez wiele miesięcy.

Od czasu do czasu rowerem lub motorem objeżdżałem teren, by zobaczyć, gdzie i jakie zwierzęta wychodzą na pola. Robiłem też wywiad, gdzie są największe szkody, i właśnie tam szedłem na polowanie. Nie po to, by „ochraniać pola” przed szkodami, bo to było właściwie nieważne, lecz wyłącznie dlatego, że tam jest największa szansa na spotkanie zwierza. Dla myśliwego ważne jest to, że właśnie tu, na tej uprawie, ma największą szansę zabić dzika czy jelenia.

Szacowanie wielkości szkód wymagało dokładnego obejrzenia pola. Wiedziałem potem, jaka zwierzyna, jak często i na jak długo tu się zatrzymuje. To ważna wiedza dla myśliwego.

Wiele może wyjaśnić zbadanie, skąd się biorą pieniądze na tak wielkie dokarmianie i na wypłaty odszkodowań dla rolników. Spróbujmy się w tym rozeznać.

Cały budżet Polskiego Związku Łowieckiego^[8] w sezonie 2015/2016 to około 306 milionów złotych.

Z tego myśliwi w tymże sezonie sprzedali do skupu i wzięli na użytek własny mięsa z dzikich zwierząt za 143 miliony złotych.

Ze sprzedaży polowań myśliwym zagranicznym i krajowym uzyskali 72 miliony.

Łącznie na śmierci zwierząt zarobili 215 milionów.

Jako odszkodowania łowieckie wypłacili 67 milionów.

Na dokarmianie oficjalnie wydali 23 miliony.

Myśliwym zostało do zagospodarowania 125 milionów złotych pochodzących ze sprzedanego mięsa i sprzedaży komercyjnych polowań. Polowanie generuje dochody organizacji, a także konkretne pieniądze do kieszeni każdego indywidualnego myśliwego.

W skali całego kraju realny wymiar szkód łowieckich to kwota 1,77 złotego na obywatela na rok. To kilka kartofli rocznie. I żeby wyraźniej zobaczyć rzeczywisty wymiar tak zwanej gospodarki łowieckiej, zwróćmy też uwagę na spożycie dziczyzny – to około 0,26 kilograma na osobę rocznie. To jeden mięsny posiłek w roku. Gospodarka łowiecka to w gruncie rzeczy prywatne hobby eksploatujące zasoby skarbu państwa.

Łowiectwo, uprawiane przez 0,3 procent obywateli naszego kraju, to najbardziej prymitywna eksploatacja bogatych zasobów przyrodniczych, których właścicielem jesteśmy my – całe społeczeństwo. To my wszyscy razem, niepolujących 99,7 procent ludzi w kraju. Gdyby postawić na turystykę przyrodniczą, to dochody nie byłyby liczone w milionach jak w przytoczonych danych, tylko w miliardach. W USA turystyka przyrodnicza i ptasia (*bird watching*) generuje rocznie obroty w wysokości trzydziestu dwóch miliardów dolarów^[9]. W Kostaryce, Kenii czy Botswanie, krajach o niebywałej przyrodzie, polowania komercyjne jako przejaw gospodarki rabunkowej są zakazane. Przecież myśliwy, w przeciwieństwie do turysty, widzi żywe zwierzę tylko raz. Po takim spotkaniu zostają jedynie kilka kilogramów jelit, krew i śmierć.

W Polsce to może być całkiem intratne hobby, które jednocześnie generuje konkretne szkody w środowisku. Za przykład niech posłuży ołów, który jest skrajnie toksycznym metalem ciężkim. Jego szkodliwość jest bardzo dobrze rozpoznana i udokumentowana. W warunkach naturalnych pierwiastek ten nie podlega rozkładowi, wchodzi w łańcuchy troficzne i krąży w środowisku. Jest wchłaniany z układu pokarmowego, a sole i tlenki ołowiu kumulują się i odkładają w organizmie. Stanowi zagrożenie nawet w bardzo niskich stężeniach. Nie istnieją minimalne dopuszczalne normy spożycia ołowiu. Ten pierwiastek jest niebezpieczny w każdej ilości dla wszystkich zwierząt i dla człowieka, szczególnie zaś dla dzieci i kobiet w ciąży. Zatrucie ołowiem powoduje problemy neurologiczne, immunologiczne, w przypadku ptaków i innych drobnych zwierząt zwykle kończy się śmiercią^[10]. Jak podają źródła naukowe, każdego roku w Polsce wstrzeliwuje się w glebę, wodę i mokradła od pięciuset do sześciuset czterdziestu ton ołowiu^[11]. Dla porównania dodajmy, że według GUS emisja ołowiu całego polskiego przemysłu i transportu łącznie to około trzystu siedemdziesięciu ton ołowiu rocznie.

Spośród zwierząt najbardziej narażone na akumulację ołowiu, poza rybami, są ptaki wodne, które mogą mylić zalegające w osadach dennych śruciny z kamyczkami, połykając je jako gastrolity. Połykanie ołowiu przez ryby wiąże się z włączeniem go w łańcuch troficzny, co z kolei może powodować wzrost zawartości ołowiu w organizmie ludzkim i w konsekwencji być przyczyną anemii i zaburzeń psychosomatycznych (Chełmicki 2002). W kompleksach stawów, gdzie polowania na ptaki są praktykowane od dziesięcioleci, liczba zalegających śrucin może być bardzo duża. Badania w delcie rzeki Ebro w Hiszpanii wykazały, że liczba śrucin w osadach wynosiła nawet 266 szt./m² (Mateo et al. 1997). Pain (1992) stwierdził, że niemal 9% kaczek pływających i 20% grzązyc zabitych w czasie polowań posiadało w żołądku śrut ołowiany^[12].

Raporty Komisji Europejskiej nie pozostawiają wątpliwości: w miejscach polowań występuje olbrzymie stężenie ołowiu. Stwierdzono występowanie do dwóch milionów śrucin ołowianych na hektar oraz do czterystu śrucin ołowianych na metr kwadratowy. Czyż takie skażenie może nie wpływać na zdrowie ludzi i środowiska?

Zastrzelone przez myśliwych duże zwierzęta płacą najwyższą cenę za każdego zjedzonego kartofla. Dzikie zwierzęta swoimi ciałami po prostu płacą za zjedzone plony. Krwawa cena.

Cennik skupu z 24.01.2017^[13]

	za 1 kg mięsa	waga ciała	wartość w zł	w przeliczeniu na ziemniaki (w cenach skupu)
Dzik	5,00 zł	60 kg	300,00	1500 kg
Jeleń	10,00 zł	140 kg	1400,00	6000 kg
Sarna	15,00 zł	20 kg	300,00	1500 kg

Tak wygląda ta śmiertelna matematyka. Każde koło łowieckie jest małym przedsiębiorstwem, w którym bilans musi wyjść przynajmniej na zero. Z grubsza rzecz biorąc:

suma pieniędzy wydanych na odszkodowania i dokarmianie równa się sumie pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży mięsa zabitych zwierząt plus zysk.

Wygląda to jak jakieś perpetuum mobile z piekła rodem:

...dużo karmy = dużo zwierząt do zabicia = dużo pieniędzy = dużo karmy = dużo zwierząt do zabicia...

Myśliwi dokarmiają przez okrągły rok, ponieważ mają cel – utrzymać zwierzynę w łowisku, by móc ją zabijać. Rocznie przywożą do łowisk około stu tysięcy ton karmy. Na tej ilości karmy w hodowli zamkniętej mogłoby wyrosnąć dwieście pięćdziesiąt tysięcy tuczników świń o wadze stu–stu piętnastu kilogramów każdy. W skali kraju są to ogromne ilości paszy mogące utrzymać przy życiu wiele zwierząt. Oczywiście nie jest to takie proste przełożenie jak u zwierząt domowych, ale w przyrodzie istnieje wyraźny związek pomiędzy ilością pokarmu a liczbą dzikich zwierząt. Populacje dzików, jeleni i saren wymknęły się spod kontroli i cały czas rosną, bo po prostu są tuczone.

U naszych sąsiadów, w Niemczech, obowiązuje zakaz dokarmiania dzikich zwierząt.

Porównajmy ilość karmy wykładanej w paśnikach z ilością karmy dostarczanej na nęciska. Te ostatnie są zakładane po to, by zwabić zwierzęta, które przychodzą jeść, a następnie są zabijane. Zauważmy, że zdecydowana większość wwożonej do lasu karmy trafia na nęciska. Myśliwym, zgodnie z prawem łowieckim, nie wolno zabijać w miejscach stałego dokarmiania zwierzyny, czyli przy paśnikach. W związku z tym inne miejsca stałego dokarmiania zostały w prawie łowieckim nazwane nęciskami i... tam wolno zabijać. A to już jest całkowicie zdegenerowane polowanie. To po prostu zwykła egzekucja, rozstrzelanie, kaźń, jatka robiona z nadziemnej budki żywcem skopowanej ze śmiercionośnych obozów II wojny światowej. Strzał z użyciem lunety na odległość trzydziestu metrów wtedy, gdy zwierzę się pożywia. Bardzo wielu myśliwych praktykuje ten zdradziecki sposób polowania.

Zwierzęta nie odróżniają paśnika od nęciska ani nie czytają prawa łowieckiego. Różnica polega na tym, że pasza w paśnikach jest tylko zimą, może przez dwa miesiące, a na nęciskach przez cały rok. Zresztą gdzie te zimy? Dzicza matka przyprowadza młode na nęcisko, a te z nich, które nie zostaną wcześniej zabite, gdy dorosną i urodzą swoje warchlaki, zrobią to samo – przyprowadzą własne dzieci. I tak bez końca.

Myśliwi, poprzez nieustanny odstrzał stabilizacyjny, czyli wybijanie rok w rok stanu zwierzyny do wielkości stada podstawowego, oraz dokarmianie na wielką skalę, pobudzają mechanizmy rozrodcze populacji zwierzyny do najwyższej

wydajności. To jest nieustanne potrząsanie przyrodą. Skutki widać gołym okiem – niektóre populacje zwiększają swoją liczebność w sposób niekontrolowany.

Według GUS skala roślinnej produkcji rolnej to około 47 miliardów złotych rocznie. Szkody łowieckie to 0,14 procent tej produkcji, czyli 1,77 złotego na osobę rocznie. Patrząc na rzeczywisty wymiar szkód łowieckich w skali krajowej produkcji rolnej, mają one bardzo niewielkie znaczenie ekonomiczne. Myśliwi hałaśliwie wymachują tym sztandarem, tymczasem to zaledwie proporczyk. Oczywiście, w wymiarze lokalnym indywidualnych gospodarstw rolnych czasami może to być problem większy i powinien być uczciwie rozwiązany. Skąd zatem bierze się to trochę historyczne podejście do szkód? Otóż sięga ono czasów, gdy w Europie rolnicy pracowali ręcznymi narzędziami, a z czasem również przy pomocy koni i wołów. Dostępne wówczas możliwości uprawy ziemi pozwalały jedynie na ograniczone powierzchniowo uprawy. Co za tym idzie, plony również były limitowane. Gdy w tamtych realiach zwierzyna pożywiała się płodami rolnymi, był to poważny problem dla ludzi żyjących z roli, grożący nawet niedostatkami jedzenia. Można przypuszczać, że gdy plony były zagrożone, dobrze chroniono pola. Nikt nie mógł sobie pozwolić na to, aby dzielić się swoim jedzeniem ze zwierzyną. Lecz współcześnie jedna osoba zatrudniona w rolnictwie ma wydajność dwa tysiące razy większą niż rolnik pracujący ręcznymi narzędziami^[14]. Na Ziemi mamy nadprodukcję żywności. Nawet jeśli zwierzyna okazjonalnie pożywi się płodami rolnymi, nikomu nie grozi niedostatek. Jest to kwestia pieniędzy w skromnej skali, którą profesor Włodzimierz Jezierski nakreślił w opracowaniu *Realny wymiar konkurencji pokarmowej między zwierzyną a człowiekiem*^[15]. W résumé pisze: „Podsumowując, można powiedzieć, że rzeczywisty wymiar konkurencji pokarmowej zwierzyny względem człowieka jest całkowicie bez znaczenia zarówno w świetle możliwości produkcyjnych gospodarki rolnej, jak i w świetle strat przyprodukcyjnych”.

Gdyby skutecznie ograniczyć dostęp zwierzynie do pól w okresach późnej wegetacji, problem byłby jeszcze bardziej marginalny.

Dokarmianie zimowe jest antropocentryczną i przemocową próbą zmiany naturalnego, odwiecznego porządku, według którego zimą w lesie jest mniej jedzenia. Po prostu! Dla zwierząt nie jest to niczym niezwykłym, żadnym kataklizmem – na tym polega odwieczne pulsowanie serca przyrody: przychodzi

wiosna, później lato, nastaje jesień i zima. Wszystko albo rośnie, albo zimuje. A gdy pada – robi się mokro. To jest prostsze, niż się nam wydaje. Jedzenie dla zwierząt jest dostępne od zarania dziejów, a przez większość roku występuje w nieprzebranej, niewyobrażalnie wielkiej ilości, którą rodzi natura.

Czasowy post służy wszystkim – przywraca zdrowie, równowagę i utrzymuje stada w zdrowiu.

Nasi domowi zwierzęcy przyjaciele sami z siebie, dobrowolnie i kategorycznie odmawiają jedzenia, czasami na dłużej. Szczególnie gdy zwierzęta są chore – post je skutecznie leczy. Łatwo to zaobserwować, gdy nasz kot lub pies choruje. Leśne istoty też potrzebują takiego postu.

Bez jedzenia można przeżyć długo, bardzo długo. Czterdzieści dni na pustyni na pewno.

W szkole mojego syna w ramach zajęć proekologicznych ktoś zaprowadził dzieci do paśnika. Naprawdę! Jakimże zrozumieniem otaczającej nas przyrody może skutkować taka edukacja, przeprowadzana być może nad grobem sześciu saren?

W czasach, gdy polowałem, jakoś łatwiej było mi strzelić, jeśli przedtem wydałem pieniądze i trochę popracowałem przy dokarmianiu. Sumienie mniej bolało. I o tę ulgę także chodziło.

A może przede wszystkim o nią?

Zadajmy sobie uczciwe pytanie, czy przyroda potrzebuje myśliwych? Argument, którym posługują się sami myśliwi – „to wszystko już tak się rozregulowało, że bez pomocy ludzkiej natura nie da sobie rady” – jest nie tylko niemądry, ale to wręcz błąd kardynalny. Powielając go wciąż od nowa, wpadamy w coraz większe kłopoty. W Polsce bytuje około sześciuset gatunków kręgowców. Myśliwi zajmują się trzydziestoma. Co takiego „reguluje” liczbę pozostałych pięciuset siedemdziesięciu gatunków? W ziemskiej przyrodzie, na różnych poziomach złożoności przestrzeni – od poziomu biosfery począwszy, na mikrosiedliskach skończywszy – znane są naturalne i w swym skomplikowaniu niezastąpione mechanizmy regulacji parametrów populacji większości znanych gatunków. Tym mechanizmom, na które składają się między innymi zależności pokarmowe i konkurencyjne, trzeba tylko pozwolić działać, o ile chcemy utrzymać biosferę i mniejsze jednostki przestrzenne w stanie umożliwiającym bytowanie

naszego gatunku na Ziemi. Może przykro to myśliwym słyszeć i trudno zaakceptować, ale przyroda ich nie potrzebuje. Nie są żadną szczególnie uprawnioną grupą, by wpływać na złożone układy przyrodnicze z uwagi na rzekome posiadanie nieprzeciętnej, niedostępnej i nieznannej innym ludziom wiedzy przyrodniczej. Nie mają takiej wiedzy. Twierdzenie, że w naturze trzeba coś regulować, przypomina ręczne sterowanie gospodarką za czasów komunizmu. Prowadzi do nędzy, upraszczania i trywialności, także w przyrodzie. Z przyrodą możemy tylko współistnieć, gdyż sami jesteśmy jej częścią i w egzystencjalnym sensie właśnie od niej zależy. Natura posiada niepowtarzalną umiejętność samoregulacji; ten typ „umiejętności” prawdopodobnie nigdy nie stanie się udziałem naszego gatunku, także myśliwych, o ile w przyszłości ktokolwiek będzie polował. Współczesne myślistwo potrząsa nieustannie wszelką zwierzyną, szczerze szafując śmiercią i w skrajny sposób rozregulowując mechanizmy dynamicznej równowagi w przyrodzie.

Posługując się racjami społecznymi, etycznymi, ekonomicznymi, prawnymi, naukowymi i zdroworozsądkowymi, można podać w wątpliwość racjonalność łowiectwa i jego „koronne argumenty”:

1. o konieczności dokarmiania,
2. o konieczności obrony pól przed szkodami,
3. o konieczności zastąpienia drapieżników myśliwymi.

Tak zwana racjonalna gospodarka łowiecka nie spełnia zdefiniowanych wymogów „racjonalności”. Współczesne myślistwo przeczy zachowaniom zdroworozsądkowym – jest wręcz irracjonalne. Łowiectwo jest podtrzymywane i służy nade wszystko ludziom, którzy znaleźli wielką przyjemność w kultywowaniu hobby polegającego na zabijaniu zwierząt za pomocą wszelkiego rodzaju broni palnej. Dzięki wieloletniej propagandzie, którą wdrukowuje się w umysły kolejnych pokoleń, myśliwym udaje się długo utrzymać przekonanie, że są niezbędni. Ludzie może czasami nie do końca im wierzą, ale nie mają pewności, czują się nieswojo: „To całe zabijanie mi się nie podoba, ale może rzeczywiście trzeba regulować, eliminować. Ktoś to musi robić. Bo jeśli nikt tego nie będzie robił, to...”. I tu rozumowanie się urywa, bo właściwie nie wiadomo, co miałyby się stać. Niektórzy myśliwi wyliczają przyrosty populacji zwierzyny w postępie geometrycznym (sic!) dla sytuacji, gdyby nagle zaprzestali

„regulować”. Jest w tym ukryta groźba i okazuje się, że pod presją lęku można w tę, łagodnie to ujmując, irracjonalną „prawdę” uwierzyć. Nieustannie indoktrynowanemu przez myśliwskie *public relations* społeczeństwu pozostaje przekonanie, że myśliwi być muszą.

Natomiast można się zastanowić, dlaczego myśliwi zabijają kaczki, dzikie gęsi, bażanty, kuropatwy, zające, piżmaki, słonki. Ptaki mają naturalnych wrogów, ludziom nie zagrażają. Dokarmia się je? Nie da się! Jakie szkody rolnicze może wyrządzić kaczka? „Myśliwskie koronne argumenty” mają się tu nijak. Tu naprawdę widać, że chodzi tylko o czyste zabijanie. Ptaki to żywe rzutki. Gdyby myśliwi traktowali swoje słowa o ochronie przyrody uczciwie, sami powinni natychmiast zrezygnować ze strzelania do leśnego i polnego drobiazgu. Myśliwy wydaje się postacią coraz bardziej anachroniczną, wsteczną, reprezentuje nurt, który ludzie muszą porzucić – nurt twardej, jednostronnej eksploatacji przyrody i wszelkiego istnienia na Ziemi. Stają „po stronie zabijania”. Czy to jest postawa, którą we współczesnych czasach da się obronić? Nowoczesne społeczeństwa „stają po stronie życia”.

Opór społeczny wobec łowiectwa rośnie, ludzie zaczynają dostrzegać, że sami zgodzili się na ustanowienie prawa legalizującego tę makabryczną rozrywkę, że myśliwi, mając legitymację społeczną, zabijają także w naszym imieniu. Myśliwi zaczynają doświadczać wykluczenia społecznego, w wielu środowiskach lepiej nie ujawniać tego zamiłowania. Polaryzacja zwolenników i przeciwników myślistwa nie daje szans na zmianę postaw po obu stronach. Ideowi przeciwnicy polowań nie dadzą się przekonać i nie wezmą z ochotą dubeltówek do ręki, by zrobić krwawe pif-paf, a myśliwi nie przejdą na pozycje przeciwników zabijania dla rozrywki. Jak wiele innych zachowań niosących cierpienie, w przeszłości uznawanych za „tradycyjne”, tak i ta tradycja skazana jest na przeminięcie.

Humanitaryzm a etyka myśliwska

Jakiś czas temu myśliwi z Puszczy Białowieskiej starali się o pozwolenie na dobijanie rannych zwierząt w rezerwach. Chodziło im o to, że gdy strzelają do zwierzęcia w pobliżu rezerwatu, nierzadko zdarza się, iż zostaje ono jedynie ranne, uchodzi do rezerwatu i tam zalega. Myśliwy, który je zranił, chciałby na tym chronionym terenie móc je odnaleźć i dobić. Myśliwskie przepisy nakazują mu tak zwane „dochodzenie postrzałka”. Poza tym, gdy jest to samiec, w grę wchodzi trofeum, czasami naprawdę sporo warte, a i mięso zwierzęcia ma konkretną wartość pieniężną, jeśli myśliwy sprzeda je w skupie. Autorzy pomysłu polowania w rezerwach powołują się na artykuły 5 i 6.1 Ustawy o ochronie zwierząt, które według nich mają być podstawą do udzielenia takiego zezwolenia. Zgodnie z tymi przepisami:

art. 5. Każde zwierzę wymaga humanitarnego traktowania.

art. 6.1. Nieuzasadnione lub niehumanitarne zabijanie zwierząt oraz znęcanie się nad nimi jest zabronione.

Wnioskujący myśliwi cytują te przepisy najprawdopodobniej w dobrej wierze i w zgodzie ze swoim sumieniem. Domyślać się można, że mają w głowie wyraźny obraz tego, jak powinno wyglądać humanitarne traktowanie zwierząt. Zbiór zasad zwany Etyką myśliwską ujmuje to tak:

20. Myśliwy dba o etyczny stosunek do zwierzyny. Poszukiwanie rannej zwierzyny myśliwy uważa za swój moralny obowiązek, a odnalezioną sztukę dostrzeliwuje w sposób humanitarny.

Autorzy przepisów myśliwskiego kodeksu etycznego nie określają swojego moralnego stosunku do samego zdarzenia opisywanego słowem „zabić”. W domyśle przyjęli, że zabicie zwierzęcia nie jest moralnie obarczone stygmatem „złe – dobre”.

Etyka myśliwska nie zajmuje się ludzką intencją: „Chcę zabić!”.

Nie zajmuje się też powodem: „Dlaczego chcę zabić?”.

Zajmuje się tylko sposobem: „Jak zabić?”.

Szczegółowo opisuje, jak „zabija się etycznie”, a myśliwy, który zabijając konkretne zwierzę, zmieści się w zakreślonych przez Etykę ramach, uważa się za „etycznego”.

Zastanówmy się, jak zachowują się ludzkie ciało i umysł, gdy podejmujemy działanie „zabić!”. Wszystko w człowieku jest skupione, czujne, mięśnie przygotowane, umysł skoncentrowany na celu jak laser, wzrasta tętno i ciśnienie krwi, z nadnerczy wydzielają się hormony stresu, powieki przestają mrugać, pojawia się tunelowe widzenie, w którym poza celem cała reszta znika. Człowiek skoncentrowany jest na jednym: zabić!!! Pozbawienie życia to najwyższy rodzaj przemocy, tu skala się kończy, nie można posunąć się dalej.

Zastanówmy się, jak się czujemy wtedy, gdy postępujemy etycznie, humanitarnie, najlepiej pokazując to na przykładzie. Wielu myśliwych doświadczyło stanu, w którym z jakichś powodów nie pociągnęli za spust, darowali życie. Można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, jak się wtedy czuli – takie wydarzenia są rzadkie i zapamiętywane na długo. Bez specjalnego ryzyka można założyć, że większość miała wówczas rozluźnione ciało i spokojny umysł. Wypełniało ich ciepłe i nader prawdziwe w tym momencie poczucie „bycia dobrym”. Pojawiał się łagodny, przyjazny nastrój, który mógł towarzyszyć im jeszcze przez wiele dni. Właśnie w taki sposób osoba doświadcza „humanitaryzmu”, czyli mówiąc wprost – doświadcza współczującego serca. Każdy, kto własnoręcznie uśmiercił jakieś zwierzę, dowiedział się wtedy, że nie da się „zabić humanitarnie”. Żeby zabić, ludzkie ciało i umysł muszą się na to przygotować. W całym człowieku pojawia się postawa: „zabić!” – inaczej nie byłby w stanie tego dokonać. Czy kogoś zmobilizowanego na wszystkich poziomach swojego funkcjonowania do zabijania można określić słowem „humanitarny”? Czy osoba skoncentrowana na chęci zabicia może dokonywać czynów humanitarnych? Czyli mających źródło we współczującym odruchu serca, w słowach: „ocalam, szanuję, pomagam”?

W myślistwie wystarczyło przesunąć akcent z budzącego lęk dylematu: „czy zabić?” na jego techniczną stronę: „jak zabić?”, aby postrzeganie problemu się zmieniło. Tym samym ominięto odpowiedzialność za czynność zabijania. Wolno zabić i można nawet nie zaprzętać sobie tym głowy. Cały akcent jest położony na

to, by zabić w określony sposób: humanitarnie. Jeżeli zabijesz humanitarnie, jesteś w porządku. Jednak pojęcie, którym posługuje się Etyka myśliwska: „zabić etycznie, zgodnie z zasadami humanitaryzmu”, jest całkowicie pozbawione sensu i wewnętrznie sprzeczne, paradoksalne. Tego nie da się pogodzić. Nie ma żadnej możliwości, aby te dwa elementy współistniały – są skrajnie spolaryzowane. Nie sposób być etycznym i humanitarnym, a jednocześnie zabijać! Albo zabijam – albo postępuję humanitarnie. To prosty wybór.

Zgodnie z cytowanym fragmentem Etyki myśliwskiej myśliwi zaczynają się przejmować losem zwierzęcia dopiero wtedy, gdy zostaje przez nich zranione, a jako etyczne, moralne, czyli dobre, określają „poszukiwanie rannej zwierzyny” i „dostrzelenie sztuki w sposób humanitarny”. W Polsce jest ponad sto tysięcy myśliwych oraz grupa ludzi, którzy podzielają takie rozumienie humanitaryzmu.

Sądząc po reakcjach na pojawiające się czasami wiadomości o okrutnym znęcaniu się nad zwierzęciem domowym czy też hodowlanym, pozostała część społeczeństwa skłania się do prostego rozumienia tego, czym jest zadawanie cierpienia zwierzętom. Każdy, kto ma otwarte oczy, widzi przecież, że celowe zadanie rany powoduje skrajne cierpienie, przed którym zarówno człowiek, jak i zwierzę broni się z wielkim lękiem. Po przekroczeniu „granicy skóry” są porwane wnętrzności, połamane kości, krwotok i kalectwo, a w przypadku kuli myśliwskiej – zwykle śmierć.

Gdy zwierzę zostaje ranne w wyniku wypadku drogowego, ludzie próbują je ocalić – dzwonią po pomoc i jeśli istnieje taka możliwość, zwierzak jest leczony i przywracany do naturalnego środowiska. Z kolei jeżeli zostaje kaleką, ma zapewnioną dożywotnią opiekę w Ośrodku Rehabilitacji Zwierząt Dzikich. Właśnie tak zdaniem ogromnej większości ludzi wygląda humanitarne postępowanie wynikające z wewnętrznej potrzeby opieki nad cierpiącymi istotami ludzkimi, ale też, jak najbardziej – zwierzęcymi. Postawa humanitarna oznacza wyrozumiałość, życzliwość i szacunek dla wszelkiego istnienia.

Wyobraźmy sobie, że jakiś leśny spacerowicz napotyka ciężko ranne zwierzę, które unosi głowę i patrzy na niego. Wyobraźmy sobie, że u tej osoby pojawia się myśl: „O, ranne zwierzę, dobiję je etycznie, wstrzelę mu kulę w głowę tuż za uchem i w ten sposób postąpię humanitarnie”. Co pomyślelibyśmy o człowieku, który tak właśnie rozumie postawę humanitarną?

Etyka myśliwska, jak każda inna „etyka zabijania”, ustanowiona jest na zdradliwym gruncie. Zręcznie omija najwyższą wartość: życie. I nie chodzi tu tylko o zabijane istoty, ale także o tego, kto zabija. Jakież to trudny ludzki los: zabijać, wciąż zabijać... Ileż razy można mieć ręce we krwi zabitych przez siebie istot?

Jak powiedział profesor Michael J. Sandel, jeden z najwybitniejszych współczesnych filozofów polityki i moralności: „Problem polega na tym, że im bardziej jest ktoś wykształcony i inteligentny, tym łatwiej sformułuje jakąś szlachetną, dobrze brzmiącą zasadę, która usprawiedliwi jego nieprawość”^[16]. W przeszłości, ale także w czasach współczesnych wszelkie zabijanie – to masowe na wojnach, ludobójcze i terrorystyczne – zawsze podszyte jest przebiegłą, pokrętną ideologią, ponieważ bez niej stanowi czyste, wypreparowane zło. Ludzie racjonalizują zabijanie, odbierają życie „w imię czegoś”.

Ideologia myśliwska opiera się na kilku „koronnych argumentach myśliwskich”, które spełniają kryterium profesora Sandela. Myśliwy widzi tylko to, co chce widzieć. Jeżeli zranił dzika w brzuch, nie dzwoni po pogotowie Ośrodka Rehabilitacji Zwierząt Dzikich, alarmując: „Ten dzik ciągnie za sobą jelita po igliwiu, przyjeżdżajcie pilnie!”. Tenże myśliwy, postępując zgodnie z Etyką myśliwską, powinien możliwie szybko dotrzeć do rannego zwierzęcia, najczęściej gryzionego w tym czasie przez psy, i z najbliższej odległości wstrzelić kulę w jego głowę, celując tuż za ucho. W ten sposób kieruje się wskazaniem Etyki myśliwskiej i w swoim mniemaniu „dostrzeliwuje sztukę w sposób humanitarny”.

Ranne zwierzęta nazywane są przez myśliwych „postrzałkami”. Słowem tym określa się większe zwierzęta, trafione kulą, która rozszarpała ich ciało w takim miejscu, że nie spowodowała to ich nagłej śmierci. Zranione śrutem ptaki, na przykład ze strzaskanym skrzydłem, myśliwi nazywają „ptakami zbarchonymi”. Raną może być odstrzelona noga przednia lub tylna, przestrzelone wątroba, jelita, żuchwa z językiem, uszkodzone nerki, pośladki, dół klatki piersiowej – może to być dosłownie każda część ciała zwierzęcia. Ranienie zwierzęcia przez myśliwego jest częstym zjawiskiem^[17], tak częstym, że stanowi oddzielny przedmiot szkolenia dla przyszłych myśliwych. Kursanci zapoznają się na nim z reakcją zwierzęcia trafionego kulą – zwierzę zachowuje się inaczej po trafieniu w serce, a inaczej, gdy kula złamie mu tylną nogę, przeszyje wątrobę albo nerki i tak dalej. Myśliwi dzielą

się na swoich forach wiedzą na temat dobijania poranionych przez nich zwierząt (pisownia oryginalna):

Autor: jany (23.03.2006, 12:50)

Miałem niestety mniej szczęścia od kolegów. Wielokrotnie miałem okzje dobijać postrzeloną zwierzynę. Ma to związek z tym że mam psa chodzącego po farbie i dość często jeżdże szukać kolegom postrzałków. 47 sztuk podniesionej grubej zwierzyny w poprzednim sezonie. Nie stety wielokrotnie musiałem dobijać zwierzynę. Nie za bardzo rozumiem o jakim rozbijaniu tuszy mówią koledzy. Poluję z kalibrem 7x64. I zawsze do dochodzenia zdejmuję lunetę. Zdażyło mi się skłuwać, ale miałem później ogromne wyrzuty sumienia. Od tej pory zawsze dostrzeliwuję postzrałki. Zwierzynę płową w kark(szyję), a dziki w okolicę między świecą, a słuchem. Jest to strzał zawsze skuteczny i śmiertelny^[18].

Zacytujmy fragmenty tekstu z „Łowca Polskiego”, by pokazać, jak sami myśliwi opowiadają o poranionych przez ich kule zwierzętach:

Memoriał św. pamięci księdza Benedykta Gierszewskiego był pierwszym w Polsce konkursem posokowców na tropach naturalnego postrzałka, organizowanym na tak wielką skalę.

W pierwszych dniach listopada w rejonie Kluczborka przeprowadzono ocenę pracy posokowców w naturalnych warunkach. Psy dochodziły zwierzynę postrzeloną podczas polowań organizowanych wtedy na terenie OHZ Kluczbork i w okolicznych obwodach łowieckich. Znaczna liczba polujących w tym czasie myśliwych z kraju i z zagranicy dawała prawdopodobieństwo dużej liczby naturalnych postrzałków.

[...] W ciągu dwóch dni pracy posokowce odnalazły 11 jeleni i dzików. Liczba postrzałków nie najlepiej, niestety, świadczy o umiejętnościach myśliwych. Wiele do życzenia, szczególnie u myśliwych zagranicznych, pozostawia etyka oddawania strzałów. O klasie startujących psów świadczą postrzałki odnajdywane po kilku kilometrach.

[...] Następnego dnia pies podjął pracę na tropie strzelanej 20 godzin wcześniej łani. Według relacji myśliwego, po strzale łania wierzgnęła tylnym badylem [tylną nogą – przypisy w nawiasach kwadratowych Z.K.]. Oględziny zestrzału [to, co leży na ziemi, a co kula wyrwała z ciała] potwierdziły strzał na

badyl. Początkowo farba była obfita, później coraz mniejsza, aż w końcu praktycznie niewidoczna. Po 2 km pracy na otoku pies znalazł 1. łożę [miejsce, w którym położyło się ranne zwierzę]. Po następnym kilometrze pracy na otoku znaleziono następne trzy łoża. Wreszcie pies zgłosił, że ma łanię „na gorąco”. Na polecenie sędziego został zwolniony z otoku. Po dojściu do młodnika wrócił do przewodnika i oznajmił, że znalazł zwierza. Na polecenie przewodnika wszedł do młodnika i podniósł łanię, która zaczęła uchodzić. Pies poszedł w głośny gon i w odległości ok. 700 m, na granicy słyszalności szczekania, stanowił łanię, oszczekując ją do momentu, kiedy doszedł przewodnik i oddał strzał łaski.

[...] Miał do odnalezienia dzika, który 4 godziny wcześniej był postrzelony na miękkie [w brzuch]. Przewodnik na zestrzale nie znalazł farby, tylko ścinę [włosie]. 15 m dalej w głębi młodnika znalazł fragment czystego mięsa. Wszystko wskazywało na postrzał w szynkę. Pies został podłożony na zestrzał i podjął pracę na otoku. Krople farby potwierdzały poprawną pracę psa. Po 400 m pies zgłosił dzika i został puszczony w gon. Po ok. 150 m osaczył dzika. Przewodnik doszedł i dostrzelił dzika ważącego ponad 60 kg. Okazało się, że dzik przyjął [?!] kulę na miękkie, a wyszła ona przez szynkę^[19].

Już wiadomo, skąd się biorą w lesie ranne zwierzęta. Przyjrzyjmy się teraz faktom: „W ciągu dwóch dni pracy posokowce odnalazły 11 jeleni i dzików”. Tyle rannych zwierząt odnaleziono. Sprawozdawca nie pisze, ilu nie odnaleziono – a z całą pewnością takie były. I to pomimo że było tam zgrupowanie psów wyjątkowo wyspecjalizowanych w poszukiwaniu rannych zwierząt. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ odnalezienie zwierzęcia ranionego w mniej newralgiczne części ciała jest niesłychanie trudne!

Ptak, jeleni czy też dzik, sarna, muflon albo daniel, kiedy zostaną zranione, zrobią wszystko, by uratować życie. Gdy ścigający ludzie z bronią i psami zorientują się, że jest to pościg za lżej rannym zwierzęciem, wąż szansę, a jako że z doświadczenia wiedzą, iż są niewielkie... rezygnują. Często po prostu brakuje czasu, zimowy czy jesienny dzień jest krótki, „koledzy polują dalej, a ja biegam za niepewnym dzikiem”. Tak dobrze wyszkolone psy nieczęsto pojawiają się w myśliwskiej szarej codzienności – a bez psa po prostu nie da się skutecznie tropić. Poza tym polowanie to okazjonalne hobby, jest się na nim dzień–dwa,

trzeba wracać do obowiązków, a las, z tym wszystkim, co się tam narobiło – zostawić.

Pomaga myśl o rannym zwierzaku: „Wylize się”. Ale nie wylize się! Nawet lekka rana spowoduje śmierć. Myśliwski pocisk jest tak skonstruowany, by „rozkwitać” i powodować możliwie rozległe obrażenia kawałkami ołowiu i falą uderzeniową. Do niesłychanie wręcz rzadkich przypadków należą te, gdy na skórze ściągniętej z zastrzelonego ciała zwierzęcia odnajduje się zagojoną bliznę po lekkim postrzale, czyli po tak zwanej „obcierce”. Osoby, które na skutek wypadku na polowaniu zostały postrzelone kulą lub śrutem, dobrze wiedzą, jak wielkimi środkami medycznymi i jak długą rekonwalescencją okupione jest względne wyzdrowienie, bo prawie nigdy nie zdarza się wyleczenie całkowite. Dlatego też, jeśli kula pokonała „granicę skóry”, śmierć zwierzęcia jest bliska bez względu na to, która część ciała została rozszarpana.

Dobijane są tylko te ciężko ranne zwierzęta, które razem z masywnym upływem krwi tracą siły i muszą się położyć. „Po 2 km pracy na otoku pies znalazł 1. łożę”. Postrzelona w nogę łania ma siły na przejście dwóch kilometrów i zalega w lesie. Przystanek pierwszy. Leży dwadzieścia godzin. Nie wiemy, czy prowadziła cielaka. Jeżeli tak – młode jest gdzieś w lesie w niedalekiej odległości od matki. Przez ten czas z rany wypływa krew i rozwija się zapalenie. Jest śmiertelnie chora. Leży już prawie dobę, jej życie wraz z szybkim postępem choroby gaśnie. Prawdopodobnie leżałaby dalej, jak to na łożu śmierci – do ostatniego oddechu. Lecz nagle z oddali wyłaniają się śmiercionośne dźwięki – znowu słyszy ludzi i psa. Gwałtowny wyrzut hormonów stresu zmusza ją do dźwignięcia się i daje siły, by oddalić się o kilometr. Zalega. „[...] Po następnym kilometrze pracy na otoku znaleziono następne trzy łoża”. Głosy są coraz bliżej, podnosi się drugi raz, idzie przez chwilę, kładzie się... głosy są wyraźniejsze, wstaje trzeci raz, jeszcze kawałek kuśtyka, znowu się kładzie, może bardziej pada, leży chwilę... Podniecone głosy psa i ludzi są tuż-tuż... „Na polecenie przewodnika wszedł do młodnika i podniósł łanię, która zaczęła uchodzić”. Dźwiga się czwarty raz, dopada do niej pies, może gryzie we wlokącą się strzaskaną nogę. Wyrzut adrenaliny pozwala jej jeszcze na trucht na trzech nogach przez całe siedemset metrów i... dalej się nie da. „Pies poszedł w głośny gon i w odległości ok. 700 m, na granicy słyszalności szczekania, stanowią łanię”. Dała z siebie już wszystko. Stoi, odwraca

się przodem do ujadającego psa. „[...] oszczekując ją do momentu, kiedy doszedł przewodnik i oddał strzał łaski”. W zamglonych już oczach pojawia się sylwetka człowieka... Targnięcie w klatce piersiowej razem z trzaskiem strzału jak przez mgłę...

Teraz jeszcze ciepłe ciało łani zostanie rozcięte myśliwskim nożem. Jeżeli prowadziła cielaka, białe mleko z wymion zmiesza się z krwią, a dłonie myśliwego wyrwą lub wytną serce, płuca, wątrobę, nerki, żołądek i jelita i trzeba będzie z pustego kadłuba wylać resztę krwi. Ciało zamęczonej łani odstawia się do skupu.

Myśliwi nigdy nie biorą dla siebie dobijanych zwierząt, nie jedzą ich – sprzedają je do skupu. Przede wszystkim dlatego, że jest to ciało chore, być może z początkiem posocznicy, w ogólnym stanie zapalnym i wręcz przesiąknięte hormonami śmierci. Poza tym gulasz z takiego zwierzęcia przypominałby budzące grozę cierpienie, którego myśliwy jest sprawcą. Chyba nikt nie chce ranić, ganiać po krzakach, dobijać. Myśliwy chce zabić „czysto”. Lecz gdy zadaje się śmierć, całkiem często zdarzać się będzie to straszliwe wszystko, czego każdy myśliwy chciałby uniknąć. Właśnie tak jest. Zabijanie jest „brzydkie”, nawet to „czyste i bezbolesne”: zawsze jest pełno krwi, są płyny fizjologiczne, przedśmiertne wierzganie, serce, zawartość gruczołów mlecznych, żołądka i jelit.

Świadomość, że gdzieś w lesie leży i umiera ranione przez niego zwierzę, może być dla sprawcy trudna do zniesienia. Łagodzi ją to, że w jego umyśle pojawia się pogardliwe słowo: „zdycha”. Nikt nie chce, myśliwi również, sprawiać cierpienia – naprawdę tak jest, choć może to brzmieć paradoksalnie. Lecz straszne rany postrzałowe się zdarzają i ich sprawcą jest właśnie ten człowiek. Poważny dyskomfort psychiczny zmniejsza się nieco w chwili, gdy ofiarę trafia ostatnia, śmiertelna już kula. I właśnie o zniesienie tego osobistego dyskomfortu przede wszystkim chodzi. Nakazane przez Etykę myśliwską dobijanie rannych zwierząt w imię „humanitaryzmu” nie zmniejsza cierpienia poranionej kulą istoty. Wręcz przeciwnie – zwiększa je niebotycznie. Gdyby przywołana w relacji łowieckiego dziennikarza ranna w nogę łania mogła pozostać w pierwszym „łożu”, jej życie zgasłoby we względnym spokoju, w jej domu, w lesie, bez szarpania przez psy i dobijania. Gdyby doszło do tego na przykład w Puszczy Białowieskiej, może pojawiłyby się wilki – wtedy jej cierpienie skończyłoby się szybko. Również taka jest rola wilków.

Dochodzenie poranionych kulami zwierząt to ostre polowanie – z psami, pomocnikami, czasami zdarza się bezładna strzelanina. Jest to działanie nieprzewidywalne. Może ciągnąć się kilometrami. Gdy uda się w końcu kolejnymi strzałami uśmiercić ofiarę, należy ją w lesie, a bywa że w rezerwacie czy w parku narodowym (!), opróżnić z wnętrzości, po ciało trzeba podjechać samochodem, załadować je na pakę, zebrać psy, ludzi i odjechać.

Nieznana liczba rannych zwierząt nie jest nigdy odnajdywana i ich ciała zostają w lesie. Spotykane dosyć pospolicie w czasie grzybobrania kości najczęściej należą do tych zwierząt.

Cierpienie poranionego zwierzęcia powiększane jest do rozmiarów grozy poprzez ściganie z psami i strzelaninę. Nietrudno to sobie wyobrazić, twórcy mocnych filmów akcji bardzo nam to ułatwili. Pomyślmy, że ranni w brzuch uciekamy przed prześladowcami i ich psami tropiącymi, w końcu patrzymy prosto w czarny wylot lufy, która posyła nam między oczy, jak to określił dobijający łanię myśliwy, „strzał łaski”. Czy wybralibyśmy dla siebie taki koniec?

Jesienne ptaki

Noce są już zimniejsze, na stokach kolory jesieni, a w lasach zapach grzybów. Patrząc na klucze gęsi i żurawi lecące z północy. Gdy wieje silny wiatr i chmury są nisko, pada deszcz lub jest mglisto, gęsi lecą niżej i widać je jak na dłoni.

W taką pogodę gęś prowadząca klucz ani na moment nie przestaje ciężko pracować skrzydłami. Inne ptaki w kluczu od czasu do czasu przez chwilę szybują z rozpostartymi skrzydłami i wtedy mogą odpocząć – zaś przewodnik bez chwili przerwy rozcina powietrze. Ten dzielny ptak toruje drogę i wyznacza kierunek, czasami kluczy, omijając silne prądy powietrza. On może więcej – właśnie dlatego jest przewodnikiem rodzinnego stada. Niekiedy silny wir targnie całym kluczem, przez chwilę stado leci bezładnie, po czym znowu kształtuje się piękna forma przecinająca niebo. Słysząc ich głosy, jakoś tęskne, nostalgiczne...

Dobrze, że one nie wiedzą, co ludzie potrafią zrobić ptakom, że nie wiedzą, co je czeka. Żal mi ich.

W trakcie wędrówki na odwieczne zimowiska po całym dniu lotu gęsi muszą zapaść na odpoczynek. Gdy zniżą lot, będą rozstrzeliwane śrutem. Kiedy minie noc, o brzasku, gdy będą się zrywały do lotu, do dalszej drogi, znowu znajdą się w zasięgu skutecznego, śmiertelnego strzału i znowu będą masakrowane.

Bardzo często myśliwi strzelają ze zbyt dużej odległości, ponieważ gęś to spory ptak i przez to strzelcowi wydaje się, że jest bliżej niż w rzeczywistości. Najczęstszym skutkiem zbyt dalekich strzałów jest zranienie ptaka. Zdarza się, że mniej wprawny myśliwy wystrzela połowę zapasu amunicji, zanim skutecznie trafi odpowiednią liczbą śrucin i zwierzę śmiertelnie złamie się w locie tuż po strzale. Stąd popularne wśród myśliwych jest powiedzonko: „jedna paczka – jedna kaczka”. Słowo „paczka” określa amunicję – dwadzieścia pięć sztuk śrutowych nabojów. Bywa też, że śrucina trafi w kość skrzydła – wtedy żywy ptak ze strzaskanym skrzydłem spada na ziemię lub na wodę. Jeżeli się go odnajdzie – co nie jest pewne, gdyż ptak robi wszystko, by się ukryć – trzeba go dobić. Gdy jest pies – zagryzie ciężko rannego ptaka. Gdy nie ma psa, ptaka dobija strzelec.

Myśliwi w fachowej rozmowie na swoim forum^[20] dzielą się wiedzą na ten temat (pisownia oryginalna):

Autor: Desperado (godzina: 16:10)

predator Czaszka ptaków nie ma klasycznej potylicy tylko kłykiec potyliczny. Dzięki takiej budowie ptak może skręcać głowę o 180 stopni. Połączenie takie jest bardzo delikatne. Ptaki dobija się pociągając albo skręcając łebek w celu zerwania właśnie tego połączenia. Dawniej, w szczególności kuropatwy, gołębie i inne małe ptaki dobijało się uderzając łebkiem ptaka o obcas buta. Kwiczoły i paszkoty nie mogły być troczone bo ich połączenie szyi z łebkiem było tak delikatne że każda próba zawieszenia ptaka na trokach kończyła się oderwaniem od głowy reszty ciała i po prostu zgubieniem pozyskanego trofeum [...].

Autor: kurzeln (godzina: 16:13)

potylicę można jeszcze przekłuć piórem – wówczas przerywa się rdzeń. zdrówko.

Autor: Desperado (godzina: 16:30)

Teoretycznie można, tylko o wiele szybciej i skuteczniej sprawę się załatwia poprzez skręcenie ptakowi łebka.

Autor: czarny predator (godzina: 16:55)

Desperado Gdy przeczytałem Twój post to zwątpiłem... Co do drobniejszych ptaszków – zgadzam się z Tobą... Byłem jednak światkiem hm... nazwijmy to nieestetycznych rękoczynów Kolegi w stosunku do zbarczonej gęgawy zaaportowanej przez wajmara... który troszkę ją wymemlał zanim oddał swemu panu... nie będę opisywał szczegółów... wreszcie na moją WYRAŻNĄ prośbę gęś została skłuta w „potylicę – czyli tył głowy”... do czynności tej idealnie nadaje się rymarskie szydło – szybko, pewnie i bezgłośnie... [...]

Autor: Jenot (godzina: 17:52)

*Ja nie wiem jak myśliwi uśmiercają zbarczone ptaki. Nie miałem „przyjemności” widzieć. Zbyt krótko poluję. Mogę sobie jedynie wyobrazić (sądząc z opisów) że ta czynności wymaga WPRAWY I ZNAJOMOSCI FACHU...!!!
Pozdrawiam DB*

Autor: Desperado (godzina: 20:24)

Żeby była jasność. Nikogo nie potępiam, za to że idąc na ptactwo zabiera ze sobą szydło rymarskie. Potępiam tego kto postrzelonemu ptakowi zadaje dodatkowy stres i cierpienie starając się go nieudolnie dobić. I tyle. [...].

Myśliwy jakoś przytrzymuje tego rannego, szarpiącego się ptaka, któremu ze skrzydła wystaje strzaskana, skrwawiona kość, i wbija mu w głowę, w mózg, rymarskie szydło. A potem strzela dalej i... musi żyć z tym, co zrobił. „Pudło” w języku myśliwskim oznacza tylko tyle, że ptak po strzale nie spadł na ziemię – poleciał dalej. Myśliwy najczęściej nie wie, czy pojedyncza śrucina „przypadkiem” nie trafiła ptaka. Czasami widzi, jak po strzale ptak zakołysał się w powietrzu, lecz leci dalej – ten ptak na pewno jest ranny. Ale już nadlatuje następny! Bach! bach!... Badania szwajcarskie, kiedyś przytoczone przez „Łowca Polskiego”, mówią, że siedemdziesiąt procent ptaków „spudłowanych” zostało trafionych jedną śruciną lub kilkoma. Śrucina przeszływa tkanki i zatrzymuje się w mięśniach albo jelitach. Ten ranny ptak znika z oczu strzelca. Nie doleci na zimowisko, dla niego jest to wyrok śmierci w męczarniach.

Według statystyk łowieckich w Polsce zabija się rocznie dwieście dwadzieścia jeden tysięcy kuropatw, bażantów i kaczek łącznie oraz nieujęta w statystykach GUS liczbę gołębi, słonek, gęsi, łysek i jarząbków^[21]. Jest to jednak liczba poważnie zaniżona, bo nie uwzględnia śmiertelności wskutek postrzałów, płoszenia czy zatrucia śrutem ołowianym. Uwzględnia wyłącznie te ptaki, które myśliwi zabili na miejscu lub ciężko ranne dobili i umieścili w trokach. Według badań naukowych udział ptaków postrzelonych wynosi dwadzieścia–trzydzieści procent całych (!) populacji. Badania europejskie dowodzą, iż w wyniku strzałów oddanych przez myśliwych rannych zostaje średnio dwadzieścia pięć procent wszystkich gęsi jednorocznych i trzydzieści sześć procent starszych gęsi.

Gęsi łączą się w monogamiczne pary i żyją do piętnastu lat. Gdy jedno z pary zginie, drugie do końca życia pozostaje samo. Wędrują w rodzinnych stadach składających się z rodziców i dzieci, dalszych krewnych, a nawet dalekich kuzynów i powinowatych. Ich stadny behavior i wzajemne powiązania rodzinne są dobrze opisane. Stado przemieszczające się na zimowisko jest rozstrzeliwane niczym cywile na wojnie. Z jednej strony ludzie: ubrani w grube buty, z zaawansowaną technologicznie bronią w ręku – z drugiej żywe, nieosłonięte,

miękkie ciała wystawione na uderzenie ołowianego śrutu. Szacując bardzo ostrożnie, można powiedzieć, że w czasie polowań może ginąć w Polsce co najmniej siedemset tysięcy ptaków rocznie. Zadajmy tu pytanie podstawowe: dlaczego w ogóle wolno zabijać ptaki w Polsce? I w związku z tym zapytajmy:

1. Czy ptaki powodują straty w gospodarce rolnej kraju? Jeżeli tak, to jakie? Co ich obecność w przyrodzie, na niebie znaczy dla nas i naszych dzieci?

2. Czy istnieje konieczność regulowania pogłowia jarząbków, słonek, kaczek, kuropatw, bażantów, dzikich gęsi, łysek, gołębi grzywaczy? Przecież ptaki na każdym etapie rozwoju spotykają się z dużą liczbą naturalnych drapieżników.

3. Czy liczba ptaków zagraża w jakiś sposób ludziom?

4. Czy mięso pozyskane z zabitych ptaków ma ekonomiczne znaczenie dla gospodarki kraju? Zauważmy, że sklepowe półki są pełne mięsa. Czy musimy zabijać kolejne istoty? Czy jesteśmy głodni?

Zadziwiająco, jak bardzo głęboko w świadomość Polaków wryły się powtarzane do znudzenia myśliwskie slogany. O zabijanych ptakach wspomniałem znajomej z pracy, doświadczonej i dobrej psycholożce. Trochę pytająco powiedziała: „Ale przecież trzeba jakoś regulować ich liczbę?”. Można przypuszczać, że wielu ludzi uwiedzionych myśliwską retoryką sądzi podobnie. Zadajmy sobie pytania: skąd to wiemy? Kto nam to powiedział? Czy jesteśmy w stanie otrząsnąć się z tych przekonań?

Myśliwi, uzasadniając zabijanie ptaków, mają jeden argument – „tradycja”. W historii ludzkości było wiele tradycji, z którymi musieliśmy się rozstać. Rozstaliśmy się z niewolnictwem, paleniem kobiet na stosach Europy przez trzysta lat, karą śmierci, rozstajemy się właśnie z patriarchalnym zniewoleniem kobiet i dzieci... Prawie nieobecne jest już kartezjańskie postrzeganie zwierząt jako nieczujących biologicznych maszyn.

Między innymi ten do dzisiaj kształtujący zbiorową świadomość pogląd umożliwia istnienie spotworniałej relacji ludzie–zwierzęta. Zabijanie ptaków dla rozrywki mieści się w tej potworności. Ptaki to żywe rzutki. Oto relacja naocznego świadka:

Wiedziałam, że uprawiany jest proceder strzelania do bażantów, które wcześniej hodowane są w klatkach. Nie sądziłam jednak, że będę świadkiem. [...]

Pewnego sobotniego popołudnia wybrałam się z mężem i dzieckiem do lasu na

spacer. Do lasu przylega łąka, na której to myśliwi urządzili sobie strzelaninę do bażantów. Byłam zbulwersowana, ponieważ jest to teren tuż obok wsi. Podeszłam do samochodu, w którym siedział znudzony organizator całej „zabawy”, i zapytałam, jak to możliwe, że urządza się takie polowania. Nie chciał ze mną rozmawiać. Był niegrzeczny. Wiem, że podobne zajścia miały miejsce na łąkach nad Wartą. Mówiono mi, że podrzucano bażanty do góry z za niewielkich wzniesień, żeby panowie mieli bardziej „atrakcyjne rzutki”^[22].

Amunicja, żywe ptaki jako rzutki i cała reszta potrzebna do uprawiania tego hobby kosztują. Bażanty hoduje się w Ośrodkach Hodowli Zwierzyny (OHZ), następnie kontraktuje, umówioną liczbę przenosi z zamkniętych wolier do klatek i tuż przed polowaniem wypuszcza w teren. Obstawia myśliwymi, puszcza nagonkę i psy i... bach! bach!... z obu luf – zabawa trwa.

Żeby zapolować na gęsi, także trzeba wydać pieniądze. Każdy może zajrzeć, choćby pobieżnie, do księgowości, którą myśliwi ujawniają w internecie, swobodnie rozmawiając na swoich forach o polowaniu na gęsi i bażanty (pisownia oryginalna):

KOŁO ŁOWIECKIE NR 68 RYŚ WE WSCHOWIE

KOŁO ŁOWIECKIE NR 68 „RYŚ” WE WSCHOWIE UL. POLNA 39 67-400 WSCHOWA www.rys.wschowa.info Zaprasza kolegów myśliwych na zbiorowe, atrakcyjne POLOWANIA NA BAŻANTY W SEZONIE ŁOWIECKIM 2016/2017 Koszt polowania (wpisowe) wynosi ok. 450 PLN od osoby.

W cenie polowania jest wliczone ok. 7 kogutów do odstrzału, transport do łowiska, śniadanie w terenie, upominki i nagrody, biesiada w świetlicy koła^[23].

Bażantarnia sprzedaje zestawy łowieckie^[24].

Nadleśnictwo Lidzbark

Ptaki pochodzące z wolierowej hodowli, są przeznaczone przede wszystkim do polowań, ale także na inne cele, między innymi do dalszej hodowli, na cele konsumpcyjne, czy zasiedlenia łowisk. Obecna infrastruktura pozwala na wyhodowanie ok. 10-12 tys. szt. bażantów (przy liczbie ok. 14 tys. jednodniówek). Kultywujemy także stare, polskie zwyczaje łowieckie, organizując polowania zbiorowe i indywidualne na bażanty. Całe polowanie odbywa się z zachowaniem tradycji i kultury łowieckiej – odpowiednia

oprawa z wykorzystaniem sygnałów myśliwskich. Łowy kończą się uroczystym pokotem oraz koronacją króla polowania, vice króla i króla pechowców.

Dzięki znajdującej się na terenie OHZ ścieżce edukacyjnej, mamy możliwość popularyzacji gospodarki łowieckiej, szczególnie wśród dzieci i młodzieży^[25].

Gęś bez limitu! Najlepszy obszar w Polsce – tylko 1020€

- 1 myśliwy/ 5 nocy/ 4 dni polowania
- zakwaterowanie i wyżywienie
- organizacja polowania
- przewodnik dla myśliwych
- przygotowanie dokumentacji

Witam!

Koło Łowieckie „Łyska” z siedzibą w Słońsku (woj. lubuskie) umożliwia kolegom z całej Polski polowania na gęsi. Związane jest to z bezpośrednim sąsiedztwem z Parkiem Narodowym „Ujście Warty”.

Sam jestem z koła łowieckiego „Łyska” w Słońsku i odstrzał u nas kosztuje 50 zł za dzień. DB^[26] od ubiegłego roku sprzedajemy polowania na gęsi dewizowcom, głównie Włochom. Ubiegłoroczny rekord w 4 myśliwych 380 gęsi.

Otóż włosi mają do dyspozycji zrobione przez nasze koła takie czatownie z trzciny na ewentualnych żerowiskach. Rozkładają wokół nich bałwanki, tj. plastikowe imitacje gęsi. Są to różne pozycje tych gęsi. Jedne żerujące, inne stojące jeszcze inne obserwujące (tzw. strażnicy). Następnie chowają się do tych czatowni w których na dwóch myśliwych stoi załadowanych 5 automatów. Wtedy zaczynają je wabić elektroniką. Mają tak silne wzmacniacze że potrafią przyciągnąć gęsi z 2-3 km. Kiedy gęsi nadlatują i obniżają lot chcąc siadać na żerowisku zaczyna się kanonada z 5 automatów. Co ciekawe strzelonych gęsi nie zbierają tylko mają takie widełki i na tych widełkach kładą łepki strzelonej gęsi aby te które zostaną zwabione za chwilę miały jak najbardziej wiarygodny obraz. Obraz siedzącej najedzonej gąski.

Otóż oni nie płacą za strzelona gęś tylko płacą za dzień pobytu. Czy strzelą czy nie strzelą płacą tyle samo. Ubiegły rok był słaby ponieważ wiele grup odwołało swój przyjazd ze względu na ptasia grypę. Ale i tak do kasy koła wpłynęło ponad 40 tyś. zł tylko z gęsi a naszym kosztem jest jedynie wykonanie

z trzciny czatowni. Zapomniałem dodać że polują cały dzień z krótką przerwą na obiad.

Pozdrawiam

DB

W jaki sposób możemy cokolwiek zmienić, zatrzymać to zabijanie i zatrucie gleby oraz wody? Możemy po prostu się na to nie godzić. Okazywana na różne sposoby postawa osobistej niezgody jest decydująca – zmiana musi nastąpić, to kwestia czasu. Jednak kluczowe jest bezpośrednio zaangażowanie – nawet w pozornie małe działania w najbliższym otoczeniu. Jak ujął to Chad Halstead z Sea Shepherd: „Uważam, że akcja bezpośrednia zawsze była najskuteczniejszym sposobem walki z niesprawiedliwością wobec środowiska i zwierząt. [...] Jesteśmy jedyną obroną”^[27].

Ale nie naprawiamy świata myśliwych. Nie to powinno być naszym celem. Myśliwi żyjący wśród nas, mężczyźni i kobiety, zdecydowali się na to, aby w ich codziennym życiu obecne było zabijanie. Niełatwo jest żyć z krwią na rękach, nierzadko aż do łokci, zostawiać za sobą smugę krwi, śmierci i cierpienia. To jest wielki ciężar. Ci ludzie muszą poradzić sobie z tym sami.

Gdy leci się samolotem nad Europą i patrzy na gęsto rozsiane miasta i miasteczka, drogami różnej wielkości połączone w jednolitą infrastrukturę, wydaje się cudem, że dzikie zwierzęta jeszcze żyją na swoich zielonych wysepkach z nami, ludźmi.

Dwa tysiące lat temu na Ziemi żyło dwieście pięćdziesiąt milionów ludzi, przez półtora tysiąca lat liczba ta podwoiła się i w XV wieku było nas pięćset milionów. Po kolejnych trzystu dziesięciu latach było nas dwa razy więcej – w 1810 roku liczba ludzi na Ziemi po raz pierwszy osiągnęła miliard, a sto dwadzieścia lat później, w roku 1930 – na naszej planecie żyły dwa miliardy ludzi. Obecnie jest nas ponad siedem miliardów. W ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat na Ziemi przybyło pięć miliardów ludzi i ta liczba rośnie.

Zajmujemy coraz więcej miejsca na Ziemi, coraz bardziej rozsiadamy się na ławce istnienia. Czy musimy wyjadać wszystko, co nam wpadnie w ręce? Zwierzęta zamieszkują razem z nami ten sam jeden Dom. Czas przestać się rozsiadać całym ciężarem na tej ławce, zrobić miejsce dla istnień, z którymi

dzielimy to jedno jedyne miejsce do życia. Musimy sobie uświadomić, że współistniejemy na Ziemi z naszymi sąsiadami, innymi czującymi istotami, które również, jak cała ludzkość, mają wrodzone prawo żyć, jeść i mieć potomstwo na tej Ziemi – wszak tu się urodziły.

 Nie zgadzajmy się na zabijanie ptaków!

 Nie wahajmy się zaangażować. Stwarzajmy pola działania i wpływu. Każde z tych działań jest, w dosłownym tego słowa znaczeniu, na wagę życia. Tym ptakom nie jest wszystko jedno, jak bardzo się zaangażujemy i kiedy nastąpi zmiana.

Bóg się pomylił

Siedzimy z Ireną przy drewnianym stole przed leśniczówką, pijemy herbatę i patrzymy, jak czternastoletni Adam, jedenastoletni Kuba, siedmioletni Mikołaj i jego rówieśnik, mój Jaś, ze sterty na podwórku zwożą taczka połupane drzewo i układają w drewnitni. Kręci się przy nich półtoraroczna Zuzka. Nikt się z tego powodu nie niepokoi. Chłopcy pracują, a ich mała siostrzyczka kolebie się przy nich. Nawet chciałem powiedzieć: „Uważajcie na Zuzkę”, ale w porę się powstrzymałem. Nie trzeba im zwracać uwagi. Oni wiedzą, co trzeba robić. Zuzka jest z nimi bezpieczna.

Patrzymy na zapełniającą się drewnitnię, przy niej kilka wielgachnych daglezi i klon, i rozmawiamy z Ireną o zabijaniu dzikich zwierząt.

– No tak, ale to wszystko posunęło się w takim kierunku, że trzeba je zabijać, bo inaczej całkiem by się rozpleniły i nie mógłbyś dziecka do lasu wypuścić.

– Dzikie i jelenie nigdy człowieka nie skrzywdziły. Zwierzęta nie rozpleniają się bez końca, tu decydują prawa przyrody, która zawsze dąży do zrównoważonego stanu. Tam gdzie człowiek nie ingeruje, trwa miła równowaga.

– Nie! Wydaje mi się, że cywilizacja poszła już tak daleko, że trzeba nad tym jakoś panować. Nie można zostawić zwierząt samym sobie!

Irena wchodzi na wyższe tony. Oboje robimy się trochę podenerwowani. Nie kończąc rozmowy, każde z nas oddala się do swoich spraw.

Idę na górę. Zastanawiam się, dlaczego próbujemy mieć wszystko pod kontrolą. Czy rzeczywiście wierzymy w Boga, jakkolwiek go rozumiemy? Tam gdzie w przyrodzie ludzie nie są w stanie „poprawiać” i „regulować” za pomocą swoich pił spalinowych, wielkich maszyn i karabinów, istnieje spokój i harmonia właściwa dla działania boskich sił. Jest w czasie mroźnej nocy w górach odbijających światło księżyca, w nietkniętych ludzką ręką fragmentach Puszczy Białowieskiej, w środku pnia wielkiego dębu, w niebieskawym jajeczku kosa, soczystej czereśni, w ziemniaku, w padającym śniegu i w ziarnie żyta – czyż nie? Jest też w bijącym sercu, w moich żyłach i tętnicach. Inna niż osobowa nadenergia to wszystko kłębi w beczasowej, nieustannej przemianie. Nie mogę bić swoim sercem czy kazać

płynąć mojej krwi. Nie mogę też przestać oddychać. Czasami miewam zachwycające poczucie, że „coś” mną oddycha i to coś bije także moim sercem. Znika cichy lęk przyczajony na dnie duszy. Gdy ten stan mija, wciąż do niego tęsknię.

Pierwotna, nienaruszona przyroda ma najważniejszy dla nas komunikat – o nas właśnie. Gdy ona zginie, zostanie dobita naszymi człowieczymi dłońmi, na długi czas zniknie możliwość poznawania tej podstawowej zasady. Ta prawda jest bardzo zwiewna. Spłoszyć ją może zgubiona rolka dropsów lub śmieć w miejscu świętym. Wykopaliska czy kłoda drzewa, które kończąc życie, padło na ścieżkę do zwiedzania w rezerwacie ścisłym i ktoś je przepiłował tylko po to, by ścieżka pozostała nadal prosta. Żelazna ręka człowieka. To wszystko płoszy krystaliczność niosącą poczucie niemierzalnej głębi i ciepłe tchnienie wewnętrznej wolności. Kiedyś dążyłem do tego, by jak najwięcej spraw mieć pod kontrolą. To był niezbyt świadomy proces. Wydawało mi się, że czymś kieruję i „panuję nad całością”. Zawsze łączył się z tym wielki wysiłek, który rodził stan nieustannego, mniejszego lub większego napięcia. I w końcu... zawsze, ale to zawsze pojawiała się „za krótka kłoda”. Gdy umęczony, choć na chwilę starałem się uwolnić od tej kompulsywnej kontroli, inaczej mówiąc – gdy próbowałem oddać się w ręce opatrności, by sprawy toczyły się samoistnie, najczęściej szybko ogarniał mnie narastający niepokój. Z upływem czasu i zdarzeń coraz uważniej, w napięciu obserwowałem boskie ręce i sprawdzałem, czy aby na pewno wszystko idzie po mojej myśli, czyli zgodnie z moim wyobrażeniem – sztywną matrycą w umyśle zatytułowaną: „Powinno być...”. Gdy robiło się niewygodnie i trudno, to natychmiast gdzieś z głębin ego wyłaniało się stale czujne: „Nie lubię, nie chcę”. To odruchowe „nie lubię” w jednej chwili przejmowało całą inicjatywę i narzucało swój absolutny, bezwzględny dyktat. A ja, powodowany wewnętrznym przymusem, „brałem sprawy w swoje ręce”: ma być przyjemnie! Jak to ktoś napisał, „Ciągłe wpadanie w swe lubię – nie lubię jest chorobliwym nawykiem umysłu”. To było tak, jakbym przesądzał, że Bóg się pomylił – według mnie powinno być inaczej! I wówczas zwykle ze zmartwienia zaczynała mnie boleć głowa. Kiedyś cierpiałem na przewlekłe migreny. Trzy dni niszczącego bólu, parę dni odpoczynku i od nowa...

Gdy się martwiłem, byłem przecież – dosłownie! – jakby w zamartwicy, przede wszystkim w swojej głowie. A płynący w niej nieustający strumień myśli i stanów mentalnych zabierał mnie w wykreowany przez tę energię świat projekcji daleki od *tego-co-jest*. Z głową wypełnioną myślami, sądząc, że myśli = ja, jednocześnie byłem jakby niewidomy i głuchy na płynące obok realne życie. Tylko czasami udawało mi się naprawdę usłyszeć szum drzewa na wietrze, śpiew ptaków, brzęczenie pszczoły, poczuć smak właśnie wyjętego z pieca w naszej kuchni razowego chleba z masłem, ciepło Doroty i słońce na twarzy, chłód wdychanego powietrza na chrapkach nosa i zobaczyć, czym jest skarb. Wysięk, by szeroko otworzyć oczy i być zadowolonym z okoliczności, w których się jest, bardzo pomaga.

Wczoraj byliśmy na plaży. Pierwszy raz, bo lato tego roku nie rozpieszcza słońcem. Czasami nawet rozpalało się w kominku. Ale akurat dzisiaj jest ciepło, wieje miły wiatr i jest trochę chmurek. Nieliczne dzieciaki kąpią się w chłodnym morzu, dorośli nie. Nasz chudy Jaś też się moczy i przeskakuje przez fale. Potem kopie naprawdę duży dół w piachu. Trochę mu pomagam, dół ma już ponad metr głębokości. W pewnym momencie łopatką, którą wybieram mokry piach z dna, odkrywa okrągły ślad.

– Jasiek, patrz!

– Ooo, co to?!

– Moneta.

– Pokaż!

Podaję mu zapiaszczoną, dziwną, żółtawą monetę. Bez okularów nie widzę na niej żadnego rysunku, tylko kształt. Jasiek bierze ją ode mnie i z entuzjastycznym okrzykiem „Umyję ją!” pędem rusza do morza. Nie zdążyłem nawet otworzyć ust w proteście. Po kilku krokach moneta z impetem wypada mu z ręki w piasek plaży. Nie odnajdujemy jej. Ogarnia mnie złość, żal, że nawet jej nie widziałem, że zabrano mi mój skarb, że „tylko mnie to się mogło zdarzyć” – jestem przygnębiony i zły. W środku cały czas coś mi warczy na syna. Patrząc na niego twardym wzrokiem, Jasiek coś tam dłubie w piasku ze schyloną głową i nagle w głowie mi się przejaśnia. Widzę jasne włosy mojego syna, jego drobne ciało, jego całe osiem lat. Myślę o skarbie i zaczynam coś rozumieć.

Jeszcze coś mi tam w środku robi „rerererere”, ale już ból straty słabnie, cichnie złość i gniew. Rozmawiam z nim, wyjaśniam w dwóch zdaniach, mówię, jak mi przykro. Jasiek mnie przeprosza i obu nam jest lżej.

Niebo trochę się zachmurzyło i na piach plaży spadł drobniutki deszczyk. Idziemy do samochodu. Żałuję, że nie widziałem tej monety. Godzę się z tym, że znikła w piachu jak efemeryda, ale tak chciałbym wiedzieć, co to było. Co takiego miałem przez chwilę w ręku? Hm...

Przed nami idzie Dorota i niesie część plażowego ekwipunku. Trzymam ciepłą łapkę Jasia w swojej dłoni i maszerujemy sobie zacienioną wielkimi, wspaniałymi klonami dróżką pod górkę.

List do Jacka M.

Drogi Jacku,

kiedyś, gdy jeszcze trochę polowałem, poszedłem na spotkanie z roshim Jakusho Kwongiem – mistrzem zen. Uczestniczyło w nim wiele osób. Spontanicznie zapytałem: „Roshi, czy wolno mi polować?”. Roshi patrzył na mnie i milczał. Czekałem na jego odpowiedź – a on patrzył. W końcu odezwał się, ale nie do mnie, tylko do swojego ucznia, pięknego siwowłosego starca: „Dave, pomóż mi”. Ten mi odpowiedział. Do dziś to widzę i słyszę.

Jacku, zapytałeś mnie o to, czy mógłbym podać argumenty przeciw myślistwu, czy też szerzej, przeciw zabijaniu zwierząt, uwzględniając różne racje: moralne, etyczne, prawne, religijne, duchowe, psychologiczne, zdroworozsądkowe i inne. To niełatwe zadanie penetrować obszary zakreślone przez postawy „zabijać” z jednej strony, a „ochraniać wszelkie życie” z drugiej. Stać po stronie śmierci czy też stać po stronie życia? W jaki sposób można zająć się tak z pozoru oczywistą sprawą? Po zastanowieniu się zaczęło mi się wydawać możliwe, aby zmierzyć się z ogromnym zjawiskiem, jakim jest to, co naprawdę (!) dzieje się pomiędzy ludźmi a zwierzętami. Sam jestem ciekaw, co z tego wyniknie. Spróbuję, lecz temat musi trochę we mnie pomieszkać.

Z.

Horn

Rozmowa z prof. Rafałem Kowalczykiem, dyrektorem Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży

Z prof. nadzw. dr. hab. Rafałem Kowalczykiem spotykamy się w imponującym wyglądem i zbiorami Instytucie Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży. Mam okazję obejrzeć te zbiory. Profesor jest cenionym biologiem, był członkiem Państwowej Rady Ochrony Przyrody, od ponad dwudziestu lat zajmuje się ekologią ssaków drapieżnych i kopytnych. Temat myślistwa zna od podszewki. Znam jego niezwykle, robione z bliska fotografie zubrów. To bardzo sprawny mężczyzna, umie do nich podejść, nie niepokojąc ich – ma swoje sposoby.

*

W obecnie obowiązującej ustawie Prawo łowieckie myśliwi bardzo podkreślają swoją ochronną rolę w stosunku do zwierząt i do przyrody w ogóle. Przy tym głęboko ingerują w przyrodę, zabijając co roku około półtora miliona zwierząt oraz dokarmiając je na olbrzymią skalę. To jest oddziaływanie na różnych poziomach złożoności środowiska. Przypisują sobie przy tym rzekomo niedostępną dla innych wiedzę pozwalającą im, jak to określają, „móc utrzymywać równowagę w przyrodzie”. Jaki jest pana zdaniem ogólny poziom wiedzy przyrodniczej myśliwych?

Jestem naukowcem i opieram się na ewidencji naukowej. Nie znam badań, może ich w ogóle nie ma, które opisywałyby wiedzę przyrodniczą myśliwych. Sądzę, że poziom ich wiedzy nie odbiega szczególnie od ogólnego poziomu wiedzy przyrodniczej polskiego społeczeństwa – a ta jest niska. Chodzi mi o wiedzę o zjawiskach przyrodniczych, o zależnościach istniejących w świecie zwierząt czy też o konsekwencjach pewnych postępowań w stosunku do populacji zwierząt. I mówię to na podstawie własnych doświadczeń, rozmów z myśliwymi, ich wypowiedzi na różnych spotkaniach. Ich wiedza jest często budowana na podstawie pojedynczych obserwacji. Na przykład, jeżeli myśliwy widzi kruka,

który siedzi na nieżywym zającu, to wyrabia sobie opinię, że kruk jest ważnym gatunkiem wpływającym na populację zajęcy. Nie bierze pod uwagę tego, że jest to obserwacja jednostkowa, a z percepcji umyka mu to, że dziewięćdziesiąt dziewięć innych zajęcy zostało zabitych przez maszyny rolnicze, środki chemiczne, także przez inne drapieżniki. Często powszechnie przyjęte opinie opierają się na takich jednostkowych obserwacjach. To jest wiedza płytka, pozwala mówić o zdarzających się relacjach pomiędzy niektórymi zwierzętami, ale nie można na niej opierać zarządzania populacjami. Łowieckie inwentaryzacje zwierzyny oparte są przede wszystkim na całorocznych obserwacjach. A z różnorodnych badań naukowych wiemy, że jest to metoda obarczona ogromnym błędem. Ten system nie zawalił się tylko dlatego, że obserwacje przeprowadzane w taki sposób zazwyczaj zaniżają stany zwierzyny. Tak funkcjonuje polskie łowiectwo, choć na wielu obszarach obwodów łowieckich solidnie podchodzi się do szacowania liczebności zwierzyny, organizując pędzenia czy stosując inne bardziej wiarygodne metody. Zdarzają się myśliwi o szerszej wiedzy przyrodniczej, lecz większość ma wiedzę niewiele większą od ogółu społeczeństwa, z którego wyrastają, a ten poziom, jak już wspominałem, jest stosunkowo niski.

W Polsce jest około sześciuset gatunków kręgowców. Myśliwi zajmują się trzydziestoma, tymi, które mogą zastrzelić. Robią to, tłumacząc, że „równowaga została zachwiana, że przyroda bez pomocy ludzi nie da sobie rady”. Dokarmianie i odstrzał stabilizacyjny powodują, że mechanizmy rozrodcze populacji zwierząt pracują na najwyższych obrotach. Populacje jeleni i dzików wymknęły się spod kontroli. Pozostałe pięćset siedemdziesiąt gatunków kręgowców natura swymi nie do zastąpienia mechanizmami utrzymuje w dynamicznej równowadze. Dodać tu można, że myśliwi zabijają cały drobiazg polny i leśny, w tym trzynaście gatunków ptaków, także słonki i jarząbki... Czyż nie jest tak, że deklarowane przez myśliwych działania „dla dobra zwierząt i przyrody” są jedynie życzeniowymi deklaracjami zapisanymi w ustawie? Myśliwi nie wiedzą, jaki jest ich rzeczywisty wpływ na środowisko. W przypadku ich działalności nie przeprowadza się powszechnie obowiązującej przy ingerencji w środowisko procedury Oceny Oddziaływania na Środowisko. Co pan o tym sądzi?

Problem jest złożony. W Polsce mamy bardzo niewielu biologów łowieckich, którzy są w stanie analizować metadane służące zarządzaniu populacjami zwierząt.

Obecne zarządzanie oparte jest raczej na subiektywnych opiniach i na praktyce, która sprawdzała się w przeszłości, czyli na osądach i opiniach, a nie na ewidencji naukowej. Myśliwi są przeświadczeni, że potrafią kontrolować pewną grupę zwierząt, choć nie wiem, czy takie przeświadczenie jest uprawnione. Na przykład liczebność dużych ssaków kopytnych w Polsce i w Europie wzrasta. Związane jest to z ociepleniem klimatu, coraz rzadszymi srogimi zimami, które są istotnym czynnikiem wpływającym na przykład na populacje dzików i saren, wydłuża się sezon wegetacyjny i zwiększa biomasa pokarmu, spada też liczba myśliwych w Europie. Myśliwi przy wysokich stanach zwierzyny nie potrafią efektywnie oddziaływać na ich populacje, jak byłoby to przy ich niskich zagęszczeniach. Przy dużej liczebności ssaków kopytnych także wilki i rysie nie są w stanie kontrolować wielkości populacji. Jeżeli będzie miał nastąpić wzrost populacji jeleni, na przykład wskutek wzrostu biomasy pokarmu, to on nastąpi, i to pomimo obecności drapieżników. Jednak dzięki nim ten wzrost będzie niższy. Dobry przykład stanowią wilki, które od 1998 roku są w Polsce objęte ochroną gatunkową. Nawet na dawno zasiedlonych przez nie obszarach, na wschodzie i południu kraju, nie zwiększyły one znacząco swojej populacji, ponieważ gatunek ten ma silne mechanizmy terytorialne – w związku z tym nie przybywa watah, zwiększa się jedynie ich wielkość, i to w stopniu ograniczonym. Dlatego też na obszarach takich jak Puszcza Białowieska populacja jeleni stopniowo rośnie, mimo obecności wilków i zwiększenia się liczebności ich watah. Istnieją inne, silniejsze przyrodniczo czynniki, które powodują zwiększanie się populacji jeleni. Przy okazji wspomnę, że często pomimo spadku populacji jakichś zwierząt myśliwi nie zaprzestają polowania na nie. Dobrym przykładem są zające czy kuropatwy. Spadek ich populacji jest wieloczynnikowy, związany z mechanizacją, chemizacją rolnictwa, z uprawami wielkoobszarowymi, wzrostem populacji lisa, ale w dużym stopniu także z łowiecką eksploatacją tych populacji pomimo dramatycznego spadku ich liczebności w ostatnich dwudziestu latach. W pierwszym rzędzie należy zaprzestać polowania na te gatunki, co powinno być oczywiste – a nie jest. Często zniesienie presji łowieckiej stanowi ostatni element ochronny, jaki zostaje wprowadzony. Nasza wiedza o oddziaływaniu łowiectwa na różne gatunki jest zazwyczaj znikoma, oparta na jakichś przeświadczeniach, a nie na rzetelnej wiedzy naukowej. Doprowadziło to do przyspieszenia spadku populacji drobnych zwierząt.

Łowiectwo niestety może być czynnikiem, który przeważa szalę, co prowadzi nawet do wyginięcia na danym obszarze pewnych gatunków. Przyroda radziła sobie bez człowieka przez miliony lat, a my często błędnie sądzimy, że bez ludzkiej ingerencji ten system się zawali, że gdy nie będziemy wybijać wilków, to one zjedzą jelenie, potem psy, być może będą atakować ludzi... To jest skutek bardzo powierzchownej, niepotwierdzonej naukowo wiedzy.

Myśliwi podkreślają, że przez dużą liczbę lisów nie ma zajęcy.

Lisy są łatwym do wskazania „winowajcą”, jeżeli chodzi o spadek liczebności zajęcy na wielu obszarach – występują prawie wszędzie i łatwo je zaobserwować w środowisku. Nie specjalizują się jednak w łowieniu zajęcy. W całej Europie są to specjaliści od gryzoni. Na otwartych terenach zagęszczenie lisów jest większe, bo występują tam norniki, które są podstawowym pokarmem tych zwierząt. Natomiast środowiska bytowania zajęcy znacznie zmieniły się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat z powodu wzrostu mechanizacji rolnictwa i powodującej zatruwanie środowiska chemizacji, zmieniła się też struktura pól, obecnie są to głównie wielkoobszarowe uprawy jednogatunkowe. Spowodowało to likwidację oddzielających pola miedz, które według badań były dla zajęcy i innej drobnej zwierzyny ważnym elementem krajobrazu, zapewniającym pokarm, miejsce rozrodu i schronienie przed drapieżnikami. Śmiertelność zajęcy to proces złożony, gdy jednak dojdzie do tego presja łowiecka, szczególnie przy niskich zagęszczeniach – może skutkować załamaniem się całej populacji. Od wielu lat szczepimy lisy przeciw wściekliźnie. Wyeliminowaliśmy w ten sposób podstawowy czynnik śmiertelności tych zwierząt ograniczający ich zagęszczenie. Przypadki wścieklizny wśród ludzi zdarzały się rzadko, był to jeden przypadek w roku albo na kilka lat. Wprowadzane przez człowieka zaburzenia w przyrodzie – czy to świadome, jak presja łowiecka, czy mniej świadome, jak wspomniana szczepionka – często mają lawinowe skutki i powodują rozregulowanie systemu, co kończy się na przykład wzrostem populacji lisów lub spadkiem populacji zajęcy. Lis nie jest gatunkiem mającym decydujące znaczenie w procesie spadku liczebności zajęcy czy kuropatw. W Polsce jest coraz więcej ugorów i łąk koszonych w celu pozyskania dotacji unijnych; miejsca te stanowią sprzyjające środowisko dla lisów, bo są dobre również dla norników. Myśliwi powinni mieć świadomość, że wzrost populacji lisów ma znane przyczyny i jest również wynikiem zmian w środowisku.

W Puszczy Białowieskiej w latach dziewięćdziesiątych Administracja Lasów Państwowych rękoma myśliwych intensywnie zredukowała populacje ssaków kopytnych, aby chronić las. Sprawilo to, iż wspólne oddziaływanie drapieżników i myśliwych, którzy nie mieli wiedzy o rzeczywistym wpływie dużych drapieżników na populacje ssaków kopytnych (a w Puszczy drapieżniki corocznie zabijają około siedmiuset jeleni i sześciuset saren), przez co wielokrotnie ten wpływ zaniżali, było większe niż przyrost roczny populacji. Do tego doszły surowsze zimy i w Puszczy populacje ssaków kopytnych znacząco spadły. To z kolei spowodowało, że bytujące tu wilki miały za mało pokarmu, zwiększyły wielkość swoich terytoriów, zaczęły penetrować obszary poza Puszcza i polować na zwierzęta gospodarskie. Rysie nie były w stanie wykarmić swoich młodych i przeżywalność kociąt spadła lub samice pauzowały, co w efekcie spowodowało spadek ich liczebności. Jak widać, myśliwskie decyzje podejmowane w zarządzaniu populacjami zwierząt mogą mieć oddziaływanie lawinowe. Nasz Instytut poświęcił dużo czasu i energii na działania edukacyjne w tej sprawie, prowadziliśmy wiele spotkań, opublikowaliśmy nawet w „Łowcu Polskim” artykuł dotyczący zarządzania populacjami ssaków kopytnych na obszarach, gdzie występują duże drapieżniki. Zaproponowaliśmy również gotowe wzory, jak liczyć poziom pozyskania łowieckiego, żeby zabezpieczyć potrzeby dużych drapieżników ustawowo chronionych przez państwo polskie.

Edukacja myśliwych przez IBS PAN chyba nie zadziałała, bo w zeszłym roku zastrzelili oni w Puszczy tysiąc trzysta siedemdziesiąt dwa dziki, praktycznie eksterminując ten gatunek. Zostały zdjęte wszystkie okresy ochronne na dziki. Według wprowadzonych doraźnie przepisów wolno było zabijać również lochy ciężarne, karmiące, prowadzące młode... Myśliwi mówili, że tego nie zrobią – ale jednak zrobili to, obracając w niwecz swoją tak zwaną etykę łowiecką. Być może pewną rolę odegrały tu pieniądze z urzędu marszałkowskiego, który za każdego dzika płacił im czterysta złotych. Zrobili to pod pretekstem zabezpieczenia tych terytoriów przed ASF – afrykańskim pomorem świń. Tuż po tym, jak wystrzelali dziki, w najbliższej okolicy trzeba było uśmiercić całą fermę świń, w której pojawił się ASF. Weterynarze zabijali zwierzęta przez całą noc, a tiry wywoziły gdzieś ciała. Właścicielem świniarni jest miejscowy myśliwy. Komisja Europejska wskazała, że zabijanie dzików stanowi ważny czynnik sprzyjający rozprzestrzenianiu się ASF.

Myśliwy, który zabił dzika, patroszy go i wrzuca do bagażnika. Jego ręce, pies i ubranie są tu i ówdzie we krwi i wydzielinach tego zwierzęcia. Wraca do domu, do siebie na wieś. Czy w taki sposób może roznosić się ASF?

Oczywiście, że może. Jeśli chodzi o edukację IBS-u, przykład dzików nie jest może najlepszy, bo one są drugorzędną ofiarą wilków, a w przypadku rysi ma jeszcze mniejsze znaczenie. Nasza edukacja dotyczyła jeleni i saren. Dziki stały się ofiarą, gatunkiem, który łatwo winić o całe zło. Jako zagrożenie dla trzody chlewnej, a także czynnik powodujący szkody w rolnictwie. Jeżeli chodzi o takie choroby jak ASF, to często nie dzik jest podstawowym wektorem przenoszenia choroby. Chociaż w przypadku przegęszczenia populacji choroba może rozprzestrzeniać się bardziej efektywnie. Jednak to, że ASF szerzy się wśród dzików, nie oznacza, że musi stanowić zagrożenie dla świń. Zazwyczaj głównym wektorem przenoszenia choroby jest człowiek. Jeśli myśliwy, który jest właścicielem ферmy, zabija dzika i odstawia go do chłodni, gdzie czeka kilka dni na wynik badania, to rzeczywiście przez tych parę dni to on jest czynnikiem mogącym rozprzestrzeniać chorobę. I tu zagrożenie jest ogromne. Na Podlasiu zostały wprowadzone mechanizmy zachęcające myśliwych do silnej presji łowieckiej na ten gatunek. W Regionalnej Radzie Ochrony Przyrody, której jestem członkiem, głosowałem przeciw tym planom. Jako naukowiec wiem, że na skutek tak dużej redukcji pojawią się tereny, które mogą zasysać osobniki z obszarów sąsiadujących, w tym ze strefy przygranicznej, z Białorusi, skąd najprawdopodobniej ASF rozprzestrzenił się na teren Polski. Intensywne polowania na dziki, szczególnie polowania zbiorowe, mogą powodować, że zwierzęta przemieszczają się na większe odległości, migrują, co zwiększa ryzyko przenoszenia choroby na nowe obszary. Pomimo intensywnych odstrzałów dzików choroba się rozprzestrzeniła, a więc wprowadzone działania nie były skuteczne, jak oczekiwano. Powtórzę, że dzik stał się łatwą ofiarą. Musimy pamiętać, że zwierzęta te odgrywają ważną rolę w środowisku.

Jaką cenę zapłaci Puszcza, a w rezultacie my, za to, że nie ma tu dzików?

Dziki poprzez buchtowanie przyspieszają rozkład materii w lesie. Buchtowiska są też miejscami, gdzie z sukcesem, ze względu na nagą glebę i brak konkurencji roślinności zielnej, odnawiają się naturalnie drzewa i krzewy. Dziki zjadają duże ilości owadów, które leśnicy postrzegają jako szkodliwe. Mogą być istotnym

czynnikiem ograniczającym gradację owadów. Ze względu na odżywianie się padliną spełniają funkcję sanitarną. Martwe dziki, tak jak i inne padłe duże ssaki, stanowią ważne źródło pokarmu dla naprawdę wielu gatunków, które często dzięki padlinie w ogóle przeżywają zimę. Być może to, że teraz dzików nie mamy, wpłynie na procesy odnawiania lasu w Puszczy Białowieskiej i na populacje niektórych gatunków zwierząt, szczególnie tych rzadszych, dla których padlina w niektórych okresach stanowi główne źródło pokarmu. Przekonamy się o tym za jakiś czas. Dzik ma duży potencjał rozrodczy, trochę ich jednak zostało. Być może zajmie to kilka czy kilkanaście lat, ale wierzę, że dziki odbudują swoją populację i przetrwają na tych obszarach. Są tu nietknięte na razie obszary chronione, na których nie było presji łowieckiej, chociaż pojawiły się takie plany.

Chciałbym jeszcze wrócić do relacji lisy–zające. Wiem ze strony IBS-u, że lis jest w stanie osiągnąć prędkość chwilową 50 km/h, zając zaś 64 km/h. Dla lisa zdrowy zając to znikający punkt. Według prowadzonych w Czempiniu badań składu pokarmowego lisów, do osiemdziesięciu procent pokarmu tych zwierząt stanowią gryzonie. Badania te pokrywają się z badaniami IBS-u. Reszta to padlina, owady, inne zwierzęta i rośliny.

Jeśli chodzi o zające, to są one trzecio- czy czwartorzędnymi ofiarami lisa. Lis jest specjalistą od gryzoni.

Czy można powied

zieć, że lisy są pożyteczne dla rolnictwa, ponieważ ograniczają liczbę gryzoni zjadających ogromne ilości ziarna?

Tak.

Myśliwi mówią, że zastępują drapieżniki w przyrodzie. Chciałbym zapytać: jak?

Czy człowiek jest w stanie zastąpić drapieżnika? Oczywiście takie jest przeświadczenie myśliwych, ale człowiek nie jest w stanie spełnić funkcji, jaką drapieżnictwo pełni w przyrodzie. Drapieżniki usuwają ze środowiska pewną część populacji zwierząt, na które polują. Człowiek jest w stanie usunąć ze środowiska taką samą liczbę zwierząt. Pojawia się jednak pytanie, czy osobniki, które usuwają drapieżniki, mogą zrównoważyć te usuwane przez myśliwych. Rola selekcyjna w przypadku drapieżników jest o wiele większa niż w przypadku człowieka. Wilki gonią swoje potencjalne ofiary i to słabsze osobniki częściej są przez nie zabijane. W Puszczy robiliśmy badania, które wykazały, że ofiary wilków miały niski

poziom tłuszczu w szpiku kostnym, czyli były w słabszej kondycji. Często były to cieleta. W przypadku człowieka odstrzał jest bardziej losowy, dotyczy także osobników w lepszej kondycji. Drapieżnictwo istotnie wpływa na zachowanie populacji ofiar. Przy obecności drapieżników, ich zapachu, jelenie są bardziej czujne, mniej żerują, a ich presja na odnowienia lasu jest mniejsza, co wykazały nasze badania. Z kolei wilki wpływają na rozmieszczenie ssaków kopytnych – w centrum wilczych terytoriów będzie ich mniej, bo ryzyko jest tam większe. Drapieżniki tworzą tak zwany krajobraz strachu, co w dużym stopniu oddziałuje na zachowanie populacji ofiar, a to z kolei ma wpływ na środowisko. Zdrowy jeleń „wie”, że wilki go nie dogonią. I wilki też to „wiedzą”. Oddziaływanie człowieka jest nieefektywne. Myśliwi czasami obserwują: „Pojawiły się wilki, to przez tydzień nie było w tym rejonie jeleni”. Moi koledzy napisali artykuł, w którym zaproponowali, aby łowiectwo zostało zmodyfikowane tak, by w większym stopniu imitowało oddziaływanie drapieżników. To może polegać na zmianie systemu penetracji terenu, który teraz często jest ograniczony do punktów takich jak ambona i nęcisko przy niej. W naszych badaniach pokazaliśmy, że ssaki kopytne na obszarach, gdzie występują drapieżniki, mają o wiele niższy poziom stresu niż na obszarach, gdzie tych drapieżników nie ma, ale pojawia się presja łowiecka. Potwierdza to, że drapieżnik stanowi czynnik naturalny, którego rola została wpisana w bytowanie ssaków kopytnych. W stanie naturalnym jest czynnikiem obecnym zawsze i wszędzie, przez co jest odbierany jako przewidywalny. Zwierzęta „wiedzą”, czego oczekiwać ze strony drapieżnika i kiedy muszą być czujne. Tam gdzie nie ma drapieżników, zwierzęta są bardziej zestresowane, co wiąże się z tym, że oddziaływanie człowieka jest czynnikiem zmiennym, przejawiającym się okresowo, a nie przez cały rok, i z różnym natężeniem. Ma to wpływ na poziom stresu, na fizjologię tych zwierząt.

Farley Mowat opisywał wilki arktyczne. Obserwował dwa byki karibu. W ich kierunku szła wataha pięciu wilków. Byki „wiedziały”, że wilki nie polują. Drapieżniki przechodziły obok nich w odległości pięćdziesięciu metrów. Karibu raczyły się podnieść i uważnie obserwowały wilki. Gdy drapieżniki poszły dalej – byki zaczęły się paść. Można przy okazji tej obserwacji zauważyć, że w przyrodzie istnieją sygnały, które dla nas, ludzi, są nieczytelne i być może nigdy nie będą

poznane. Myśliwi uzurpują sobie rolę drapieżników, lecz chyba nie rozumieją ich roli w naturze.

Zwierzę, które jest w pełni zdrowe i w dobrej kondycji, potrafi ocenić swoje szanse w starciu z wilkami i „wie”, że może się obronić i uciec. Natomiast w spotkaniu z człowiekiem takich szans nie ma.

Profesor Henryk Okarma przeprowadził badanie dotyczące równowagi pomiędzy jeleniowatymi a wilkami i wykazał, że zasadniczo zdrowy jeleń nie ma się czego obawiać. Wilki też to wiedzą.

Śmiertelność naturalna, z którą wiąże się zjawisko drapieżnictwa, jest najlepszym czynnikiem doboru naturalnego w populacji zwierząt. Rzeczywiście to te najgorzej przystosowane, najsłabsze osobniki są usuwane z populacji. Współczesne łowiectwo nie jest w stanie spełnić takiej funkcji, bo często zabija się niekoniecznie słabsze, ale właśnie silniejsze zwierzęta, które są nosicielami lepszych genów i lepiej przystosowały się do danego środowiska. Nie można porównać ewolucyjnej selekcji poprzez czynniki naturalne i selekcji przeprowadzanej przez człowieka. Selekcja naturalna jest nakierowana na najsłabsze osobniki danej populacji. Selekcja łowiecka jest losowa – jakiś osobnik, często zdrowy i w pełni sił, po prostu „wpadł pod lufę”.

Chciałbym zapytać o pana opinię na temat selekcji łowieckiej. Myśliwi mówią, że selekcionują zwierzęta, aby uzyskać ich jak najlepszy rozwój. A konkretnie chodzi im o to, żeby miały okazałe rogi. W tejże selekcji zajmują się tylko samcami. Tak jakby uważali, że tylko tatuś przekazuje geny. W żaden sposób nie są w stanie selekcionować samic, bo nie mają rentgena w oczach i nie wiedzą, jaki jest poziom tłuszczu w ich szpiku. Nie są w stanie złapać za flintę i przytrzymując czapkę oraz torbę, pogalopować za łaniami, by przetestować, która ze stada jest najsłabsza. Gdy popatrzymy na stare kolekcje trofeów gdzieś w zamkach, to one kompletnie nie różnią się od tych współczesnych. Gołym okiem widać, że myśliwska selekcja nie działa. Co pan o tym sądzi?

Myśliwi są w stanie prowadzić selekcję tylko w ograniczonym zakresie. Ich przeświadczenie: „Selekcionujemy samce zwierzyny płowej”, to próba zarządzania populacją oparta często na subiektywnych opiniach. Dysponujemy wynikami badań naukowych, które pokazują, że w rzeczywistości selekcja nie przynosi efektów. Istnieje wiele czynników, które wpływają na jakość poroża u gatunków ssaków

kopytnych czy jeleniowatych. Są też wyniki badań, które wykazały, iż selekcja może być negatywna. Na przykład nastawienie na trofeistykę powoduje, że parametry poroża mogą być coraz gorsze, bo wyjmujemy się z populacji samce o większym porożu. Dobrym przykładem jest tu łoś. Dostatecznie intensywna presja łowiecka spowodowała, że zagęszczenie łośa zmalało i pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku prawie doprowadziliśmy do zagłady populacji. W tym czasie panowało przekonanie, że w Polsce typową formą poroża łośa jest badylarz. Moratorium na zabijanie łośi, które wprowadzono w 2001 roku, spowodowało, że w populacjach tych zwierząt po jakimś czasie zaczęły pojawiać się łopatacze. Samce łośi mogły osiągnąć odpowiedni wiek, żeby wykształcić poroże w kształcie łopat. Moratorium spowodowało także odbudowanie prawidłowej struktury populacji łośa, również postarzenie tej populacji, w szczególności jeśli chodzi o samce. To jest przykład negatywnej selekcji, która może niekorzystnie oddziaływać na populację zwierząt. Istnieją też przeprowadzone w Ameryce Północnej badania dotyczące koziorożców i innych gatunków. Pokazują one, że intensywne polowanie i selekcja mocnych zwierząt powodują spadek jakości rogów – trofeów łowieckich. Jak powiedziałem, jest wiele czynników wpływających na jakość poroża, takich jak środowisko, wiek, dziedziczenie pewnych cech, zatem to raczej kolejne przekonanie niż fakt poparty rzetelną ewidencją naukową. W odniesieniu do samic kopytnych selekcji praktycznie nie ma. Istnieją pewne zasady, jak można rozpoznać status łani w stadzie, jej wiek, ale sądzę, że mało kto to potrafi. Myśliwi mówią: „My oszczędzamy licówki”.

Teoretycznie.

No właśnie, teoretycznie.

Jak już leży, to nikt nie pozna, że to licówka.

Myśliwy w emocjach nie jest w stanie pewnych rzeczy oceniać. Jeśli chodzi o samice, strzela raczej losowo.

A już szczególnie na polowaniu zbiorowym, jak ma sekundy na rozpoznanie i strzał. Widziałem w internecie, jak młody chłopak, świeży myśliwy, zrobił dubleta do łań. Chwalił się zdjęciami. Domyślam się, jak tego dokonał – zastrzelił licówkę, czyli łanię prowadzącą stado. Licówka po strzale leży, chmara stoi, patrzy na przewróconą kulę przewodniczkę i czeka na jej sygnał do ucieczki. Chłopak ma

wystarczająco dużo czasu, żeby zarepetować kulę i zastrzelić drugą łanię – i dopiero wtedy chmara ucieknie. Żaden z myśliwych na tymże forum łowieckim nie zwrócił na to uwagi. Myśliwi wiedzą to, co wiedzą – nie więcej. Ostatnio w kilku krajach na świecie z niezwykle cenną przyrodą polowania zostały zakazane. Zasoby natury potraktowano jako majątek narodowy i rządy tych państw postawiły na turystkę przyrodniczą, która zresztą rozwija się sześć razy szybciej niż inne gałęzie turystyki na świecie. Przyroda staje się coraz rzadszym i cenniejszym dobrem. Ludzie naprawdę to widzą. Polska także jest ciekawa przyrodniczo. Jak wyglądałby nasz kraj, gdyby nie było polowań?

Oczywiście przyroda absolutnie by sobie z tym poradziła. Natomiast trudno powiedzieć, czy człowiek by sobie poradził. W pewnej perspektywie czasowej mogłoby być tak, że populacje niektórych gatunków zwierząt zaczęłyby rosnąć. W dłuższej perspektywie czasowej w przyrodzie ustaliłaby się równowaga między gatunkami, chociaż niektórzy badacze twierdzą, że nie ma czegoś takiego jak równowaga w przyrodzie. Ale założmy, że w pierwszym okresie populacje zwierząt raczej by wzrosły i człowiek mógłby czuć jakiś dyskomfort z tego powodu. Nie wiadomo, czy społeczeństwo jest na to przygotowane. Człowiek wszedł bardzo głęboko w środowisko zwierząt. Mówi się, że dziki często pojawiają się w mieście – ale jest odwrotnie. To człowiek pojawił się w środowisku zwierząt. Łatwiejsze jest przewidywanie, jak wyglądałaby taka zmiana na dużych obszarach niezasielonych przez człowieka. Na terenach mocno zaludnionych, czyli na znacznych obszarach Polski, perturbacje dla ludzi byłyby większe. Zmniejszona płochliwość zwierząt, szkody, kolizje, a więc zwiększony poziom konfliktów. Nie wiem, czy bylibyśmy w stanie to zaakceptować. Nie znaczy to jednak, że łowiectwo jest w Polsce niezbędne. Jeśli chodzi o świat przyrody, brak presji łowieckiej prowadziłby do wykształcenia się większej równowagi. Obserwujemy tę prawidłowość, chroniąc wilki. Ich liczebność nie wzrasta drastycznie, tylko do pewnego stopnia, ponieważ istnieją naturalne, a przy tym skuteczne mechanizmy w populacjach ograniczające ich wielkość. Patrząc na łowiectwo jako narzędzie do zarządzania populacjami zwierząt. Czy też zarządzania konfliktami, które często poprzez swoją działalność spowodowaliśmy. Tu dobrym przykładem są gatunki inwazyjne, na przykład norka amerykańska, której hodowle mnożą się w Polsce i która ma ogromne oddziaływanie na populacje rodzimych gatunków zwierząt.

Uważam, że łowiectwo mogłoby być ograniczone do koniecznego minimum. Nie powinno dotyczyć wielu obecnie łownych zwierząt, szczególnie borsuka i wszystkich gatunków ptaków, ale też obecnie chronionych, szczególnie żubra i wilka. Mówię o tym, bo żubry są w Polsce przedmiotem odstrzałów komercyjnych i coraz głośniej dyskutuje się o potrzebie polowań na wilki.

Rezygnacja z łowiectwa, jak każda zmiana, oczywiście stworzyłaby przejściowe problemy, jak to rekonwalescencja po chorobie, nazwałbym ją „myśliwską”. Na razie niewiele społeczeństw się z tym zmierzyło – ale jednak zrobiono to. Istnieją obszary parków narodowych wielkości połowy Polski, na których się nie poluje, trzy kraje postawiły na turystykę przyrodniczą i zakazały komercyjnych polowań. Dały sobie radę ze skamienieliną tradycji myśliwskiej, która jest ciężkim brzemieniem ciągnącym w dół. Jest też nieustannym potrząsaniem przyrodą połączonym z prymitywną, rabunkową eksploatacją środowiska. Turystyka przyrodnicza tylko w Stanach Zjednoczonych generuje rocznie miliardy dolarów. Przyroda może być skarbem całego narodu.

Jeśli chodzi o ptaki, sądzę, że moglibyśmy zupełnie bez szkody dla ludzi i środowiska w każdej chwili przestać na nie polować. Bez łowiectwa środowisko i zwierzęta doskonale sobie poradzą. Natomiast pytanie brzmi, czy wykształcilibyśmy inne mechanizmy niż łowiectwo, żeby łagodzić potencjalne konflikty w relacji ludzie–zwierzęta. Na pewno musielibyśmy przedefiniować nasze podejście do zwierząt. Ich obecność i oddziaływanie na środowisko musiałyby być uwzględnione w rachunku ekonomicznym. Przecież zwierzęta muszą coś jeść. Jako ludzie zakładamy, że wszystko, co wyhodujemy, jest „nasze”, niezależnie czy mówimy o produkcji rolnej, czy leśnej. A jeśli zjadają to zwierzęta, to „powodują szkody”. A przecież las, ale też pola, są środowiskiem życia zwierząt, które swoją działalnością zmieniamy i ograniczamy, a to, co się na tych zmienionych obszarach znajduje, jest dla nich pokarmem.

Podzielmy się pokarmem, który rodzi się na wspólnej dla wszystkich istot Ziemi. W Polsce skala szkód łowieckich to raptem 1,77 złotego na osobę rocznie.

Właśnie. My tutaj, w Puszczy Białowieskiej, chcemy, żeby procesy naturalne odgrywały dominującą rolę w kształtowaniu środowiska. Na przykład w Rezerwacie Ścisłym Białowieskiego Parku Narodowego zagęszczenie kopytnych jest kilkakrotnie wyższe niż w gospodarczej części Puszczy, co wynika w dużym

stopniu z braku presji łowieckiej. Chodzę do Rezerwatu Ścisłego i nie widzę, jak niektórzy twierdzą, by las tam się nie odnawiał. Wręcz przeciwnie. To jest las kształtowany przez czynniki naturalne. Sądzę, że istnieje duże zapotrzebowanie na świecie na takie środowiska. Także ludzie byliby zadowoleni, gdyby spotykali zwierzęta, które nie uciekają panicznie na widok człowieka. Przy braku presji łowieckiej zmniejszyłby się dystans do zwierząt. Z punktu widzenia turystyki przyrodniczej byłoby to pożądane. Bywałem w różnych krajach, również w Afryce, na obszarach, gdzie nie było presji łowieckiej. Zwierzęta przestały tam postrzegać człowieka jako zagrożenie, dawały się obserwować i to było ich naturalne zachowanie. Choć dla mnie dziwne, bo jestem przyzwyczajony do innego zachowania zwierząt, zazwyczaj uciekających na widok człowieka. Czułem się trochę jak w zoo. Największą przyjemność sprawił mi karakal, który przemknął przez drogę, i nosorożec schowany w krzakach trzysta metrów od drogi, bo w tym postrzegałem naturalne zachowanie zwierząt. Zaprzestanie łowiectwa zmusiłoby nas do przededefiniowania postrzegania świata i środowiska wokół. Przyroda na pewno bardzo szybko zaadaptowałaby się do tak zmienionych warunków. Jednak z pewnością nie doszłoby do tego, że jelenie zjedzą nam las, a wilki zjedzą nas. Bo czegoś takiego absolutnie nie będzie.

Rozmowa z łowczym wojewódzkim Piotrem Ławrynowiczem

Wysiadłem z samochodu i usłyszałem kulowy strzał, trochę stłumiony przez drewnianą palisadę. Po chwili głucho huknął następny. Poszedłem do sekretariatu Zarządu Okręgu PZŁ:

– Gdzie jest pan Piotr?

– Na strzelnicy. Wie pan, jak się tam idzie?

Wiedziałem. Od kilkadziesiątu lat wiedziałem.

Pan Piotr siedział za specjalnym stołem do przestrzeliwania broni, na uszach miał ochroniacze tłumiące huk wystrzałów. Przestrzeliwał broń znajomemu myśliwemu. Młodemu człowiekowi towarzyszył ojciec – też myśliwy, z bronią spakowaną już w charakterystyczny skórzany, miękko wyściełany futerał. Zapewne regulował przyrządy optyczne w swojej broni wcześniej. Kule wystrzelwane przez pana Piotra z broni młodzieńca przebijały tarczę sto metrów dalej. Skupienie okrągłych przestrzelin można było przykryć kciukiem. Zaczęło padać i następna kula uderzyła w inne miejsce. Pocisk wyraźnie zбочzył z toru, mknąc przez ścianę deszczu. Pociski zawsze zbaczają z drogi, gdy strzela się w deszczu. Gdy jest lekka mgła – uderzają gdzie indziej, niż wskazuje grot krzyża w lunecie celowniczej. Mierzymy „tu” – trafiamy „tam”. Pan Piotr czekał na mnie. Byliśmy umówieni na uzgodniony wcześniej z Zarządem Głównym Polskiego Związku Łowieckiego wywiad do książki. Spotkaliśmy się wcześniej kilka razy w życiu. Ostatnio, jak postanowiłem przestać polować. Załatwiałem formalności. Rozmawialiśmy o tym. W pewnym momencie podniesionym głosem powiedział:

– Taki myśliwy!... Syn takiego myśliwego! K...a! Nie rozumiem!

Od tamtej pory minęło ładnych parę lat, nie sądzę, żeby to pamiętał – ale ja zapamiętałem ten moment. Wtedy też niewiele z tego wszystkiego rozumiałem. Siedzieliśmy w biurze, pan Piotr palił sporty. Też je kiedyś paliłem – teraz zdziwiłem się, że w ogóle jeszcze są produkowane. I chociaż od kilkunastu lat nie

palę, chciało mi się mocno zaciągnąć tym starodawnym, machorkowym papierosem.

Przyniosłem spisane w notesie pytania. Nie zadałem żadnego z nich.

Łowczy silnym barytonem, świetną polszczyzną snuł swoje zaskakujące i bezpardonowe opowiadanie.

*

Mam na koncie sto siedemdziesiąt osiem byków. Bardziej się teraz tego wstydzę, niż szczycę, chociaż jeszcze parę lat temu myślałem, że do dwustu dojdę – będzie taka okrągła liczba. Każdy się zmienia, podejście do myślistwa też się zmienia. Kiedyś byłem niesłychanie głodny polowania, łapczywy, wprost pazerny na polowanie. Nie na trofea, nie na premie finansowe za ubitą zwierzynę, ale właśnie na samo polowanie. Mój stosunek do łowiectwa przez lata mocno się zmienił. W tej chwili jest mi po prostu szkoda zwierza.

Co się zmieniło?

Niektórzy mówią, że z upływem lat człowiek zdaje sobie coraz bardziej sprawę z tego, jak cenne jest życie. A przy odrobinie wprawy bardzo łatwo je odebrać. Taki wewnętrzny przełom we mnie nastąpił. Nie twierdzę, że nie wezmę strzelby do ręki i nie pójdę do lasu, że czasem nie strzelę, ale to już jest zupełnie inne podejście. Kiedyś to była taka młodzieńcza żarłoczność – mogłem iść wieczorem na dziki, o świcie chodzić za bykami, w ciągu dnia pójść na kaczki, żeby po południu znowu gdzieś chodzić za jeleniami – i tak spędzać cały urlop. Teraz bardziej pasjonuje mnie oglądanie, fotografowanie, choć samo polowanie także, ale nie zawsze z akcentem końcowym. Jeżeli mam dobrego byka w lunecie, którego sobie wypracowałem, i mam papierek na niego w kieszeni – to on jest upolowany – i ten akcent końcowy: uśmiercenie zwierza i powieszenie sobie mebla na ścianę w postaci trofeum już mnie nie interesuje. Gdyby jeszcze można było w Polsce polować na wilki, to chociaż raz w roku pojechałabym sobie w Bieszczady, aby na tego wilka zapolować.

Ile pan strzelił wilków?

Dziewięć, w sumie niewiele. Klasyfikowanie myśliwych po wielkości rozkładów, po liczbie ubitych zwierząt jest chybione. Mam takich kolegów, którzy wprost chwają się swoimi ilościowymi sukcesami: „W tym sezonie mam na koncie osiemdziesiąt dzików, dwadzieścia dziewięć rogaczy i siedem byków”. Do mnie to

nie przemawia, nawet uważam to za swego rodzaju nietakt w stosunku do przyrody, zwierzyny, do łowiectwa. Trudno mi zrozumieć zagranicznego myśliwego, który przyjeżdża do naszego Ośrodka Hodowli Zwierzyny i na dziesięciodniowy pobyt kontraktuje czterdzieści rogaczy – dla mnie to jatka, niemająca nic wspólnego z myślistwem. To samo dotyczy zwierzyny drobnej. Koledzy coraz powszechniej posiłkują się nowoczesną techniką. Chociażby urządzenie, które u nas nazywa się popularnie dyskoteką – minimagnetofon z odpowiednim dalekosiężnym głośnikiem – są tam nagrane odgłosy szesnastu gatunków dzikich gęsi wydawane przez klucz, który dostrzeże bezpieczne żerowisko. Widziałem, jak to działa: klucz ptaków, słysząc z odległości półtora kilometra wabienie przez ten przyrząd, zawraca i przylatuje nad głowę myśliwego. I potem jest sukces: czterdzieści siedem gęsi strzelonych w pół godziny. Pytam się, po co. Rozumiem, że może tak robić myśliwy zawodowy, który z tego żyje gdzieś tam na dalekiej północy, że może to robić myśliwy syberyjski, który te ptaki uwędzi i później będzie się nimi żywił przez całą zimę, bo to jest jego pokarm. Ale myśliwy amator? Liczba strzelonych zwierząt ma zaspokoić jego pasję myśliwską? Nie rozumiem tego – można strzelić jedną, dwie, trzy gęsi i całkowicie nasycić się polowaniem. Dlatego nigdy nie brałem udziału w polowaniach zbiorowych w Ośrodkach Hodowli Zwierzyny. Takich jak polowania na bażanty, przed którymi z rękawa woliery, w której dorastały, ptaki wpuszczane są w jakąś uprawę nieskoszonej kukurydzy, by udawały dzikie ptaki. I potem na rozkładzie polowania, w dwanaście strzelb, jest trzysta kogutów.

I kur.

Przy okazji, bo w Ośrodkach wolno je strzelać. Tego typu dworskie polowania są szeroko opisywane w literaturze, weźmy choćby Weysenhoffa, ale on nazywał je „parkowymi rzeziami”.

Dlaczego poluje się na ptaki?

To jest chyba szersze pytanie: czemu w ogóle się poluje?

Dla mnie łowiectwo jest jak bardzo elegancka, dobrze obsługiwana restauracja, gdzie każdy klient, który ma zamiar zjeść czy wypić, dostanie dokładnie to, czego sobie w danej chwili życzy. Jednemu jest potrzebne wykwintne, wymyślne danie, drugiemu szklanka wody mineralnej. To samo jest w łowiectwie – nie widzę żadnej wyższości polowania na byki w czasie rykowiska nad polowaniami na kuropatwy

czy kaczki na przelotach. To kwestia osobistych preferencji myśliwego, tego, co najbardziej przemawia do jego wyobraźni, co daje mu satysfakcję, co sprawia mu przyjemność. Mam kolegów, którzy są wielkimi miłośnikami polowania na grubą zwierzynę i w tym mają specjalistyczne preferencje w rodzaju: polowanie na grubego odyńca, na byki w czasie rykowiska czy polowanie na kozły w okresie rui, strzelane na wabia. I mam kolegów, o których ci pierwsi często wyrażają się dość pogardliwie: „zajęczkarze”, „ptaszkarze”. Cytując Mickiewicza: „Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki / strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrut cienki!”, „A zwierzę nie mające kłów, rogów, pazurów / zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów”. Nie wiem, skąd się bierze to poczucie wyższości, uważam, że to jest absolutna bzdura. Niektórzy myśliwi moim zdaniem w ogóle myśliwymi nie są – w tym sensie, że nie mają wiedzy myśliwskiej, kwalifikacji myśliwskich, nie mają tego prawdziwego ducha myśliwskiego i przy małym myśliwskim stażu oraz zasobnym portfelu fundują sobie w pierwszym roku członkostwa w Polskim Związku Łowieckim kosztowne safari w Afryce, gdzie od razu kupują sobie „wielką piątkę”, czyli słonia, nosorożca, bawołu, lwa i lamparta. Duże antylopy także są w cenie – musi być również oryks i oczywiście kudu. Od lat w Stanach Zjednoczonych popularny jest pewien rodzaj polowania, które w tej chwili już organizuje się u naszych najbliższych sąsiadów. W Stanach prosperuje mniej więcej tysiąc farm, które oferują myśliwym odstrzał prawie każdego gatunku występującego w stanie naturalnym na świecie, niezależnie od tego, czy ten gatunek jest wpisany gdzieś tam do czerwonej księgi, czy nie. Te zwierzęta pochodzą z różnych źródeł – z przemytu, z cyrku albo z zoo. Po cóż myśliwy ma ryzykować daleką podróż i wszystkie związane z tym korowody? Zamawia sobie odrzutowiec i leci do Arizony na zamówionego afrykańskiego bawołu. Mam film, który to pokazuje: śliczny bungalow, whisky podana, „proszę poczekać jeszcze piętnaście minut, bo właśnie poprzednik kończy ze swoim lwem”. Następnie sprawdzana jest broń, obok stoi myśliwy zawodowiec, a tam: trzy hektary sztucznego buszu otoczonego siatką. Wypuszcza się zamówione zwierzę, strzał, asekuracja zawodowca i wracamy do szklaneczki whisky. Preparator przygotowuje trofeum, wracamy do domu, wieszamy je na ścianie i jesteśmy „*big white hunter*”. I wtedy możemy powiedzieć: „Proszę bardzo, oto jak udowodniliśmy swoją dzielność”. W tej chwili to samo dzieje się w Czechach. Z naszego środowiska

sporo myśliwych wyjeżdżało tam na polowania po to, żeby strzelać gatunki egzotyczne, sprowadzane specjalnie dla nich. Czeskie farmy, tak zwane obory, są w stosunku do farm amerykańskich o wiele większe, mają po kilkaset hektarów. To jest teren ogrodzony i nie ma siły, aby nie strzelić zwierza, którego się chce strzelić, który tam został na zamówienie wypuszczony. Mam kolegów, którzy w Czechach upolowali marale, czyli azjatyckie jelenie, alpejskie koziorożce – oczywiście za grube pieniądze.

Właściwie to kto upolował? Myśliwy czy przewodnik-tropiciel, który ustalił ostoję, podprowadził i palcem wskazał zwierzynę, rozstawił podpórki, podczas gdy myśliwy tylko wykonał wyrok?

To co tu się właściwie dzieje?

Zmienia się mentalność ludzi, to raz, a dwa, że Związek popełnił jeden generalny błąd – i to jest błąd nas wszystkich: zaczęło się to w czasie, gdy pierwszym argumentem na przyjęcie kolegi do koła stał się poziom jego zamożności. Nie twierdzę, że między ludźmi z sensownym portfelem nie ma prawdziwych pasjonatów myślistwa, ale jest też wielu nuworyszy, którzy po prostu uważają, że za pieniądze mogą mieć wszystko. Nie zostali oni na etapie stażowym, przygotowawczym, bądź wcześniej, w rodzinie polującej, właściwie wychowani do łowiectwa. Uważają, że przynależność myśliwska ich jakoś nobilituje. Jako ludzie zamożni kupują sobie najbardziej luksusowy sprzęt myśliwski, którym można imponować. W naszym prawodawstwie do dzisiaj mamy cały szereg utrudnień, które stopują wejście nowoczesnej techniki stosowanej przez myśliwych, umniejszającej szansę zwierząt. Kiedyś podświetlana luneta myśliwska to była fanaberia – dzisiaj w ofercie każdego producenta znajduje się pełna gama precyzyjnych przyrządów, lunety z dalmierzem i korektą na długie dystanse strzelania. Kiedyś był zakaz strzelania na odległość większą niż dwieście metrów, a teraz można kupić najnowszy model lunety Zeissa 624 z obiektywem 72 mm, ze skalowaniem do ośmiuset metrów i gwarancją, że każdego kozła można strzelić na czterysta metrów, a każdego byka na pięćset. Wystarczy w wyszukiwarce internetowej wpisać „celowniki noktowizyjne” i znajdzie pan dziesiątki ofert przeznaczonych dla myśliwych, całe technologicznie zaawansowane zestawy celownicze do montowania na broń myśliwską. Myśmy wychodzili w księżycowe noce z małymi, czterokrotnymi lunetami, bo inaczej nie wolno było, a nasi ojcowie

malowali kredą szynę dubeltówki na biało, trzeba było ściągnąć buty i w skarpetkach podchodzić do tych dzików na kilkanaście kroków, aby móc strzelić. Teraz mogę usiąść sobie na ambonie z noktowizyjnym celownikiem i trafić zwierzę na dwieście metrów za ucho, chociaż ciemno jest tak, że czubka własnego nosa nie widzę.

Nęciska przy ambonach są na trzydzieści metrów.

To następna sprawa. Ten problem jest bardziej złożony, ponieważ w łowiskach, gdzie dzik występuje i gdzie praktycznie nie ma pól uprawnych na obrzeżach, jak na przykład w Puszczy Piskiej, strzelenie tego dzika na indywidualnym polowaniu jest trudne, nawet dla miejscowego myśliwego. Nęcisko daje możliwość strzelenia w ogóle, strzelenia ze świadomym wyborem, bo można na nim cały garnitur zwierząt obejrzyć – i to jest uzasadnione. Nie bardzo rozumiem, dlaczego nęciska zakładane są w warunkach, w których ten dzik może być odstrzelony, że tak powiem, po myśliwsku: na przesmyku, kiedy idzie na pola uprawne czy kiedy żeruje w owsisku lub na ściernisku. Nęciskami ułatwiamy sobie sprawę – to przyszło z Zachodu. Niemcy wymyślili coś takiego jak „myśliwogodziny” i przeliczali efektywność różnych rodzajów polowania na liczbę strzelonej zwierzyny. Okazało się, że najbardziej efektywne są zbiorowe zasiadki na ambonach na linii styku pól i lasu: stoi kilkanaście ambon i wszystkie obsadzamy myśliwymi w okresie wegetacji upraw i żerowania tam zwierzyny. Jeśli przeliczyć zużyty czas i nakłady na pozyskanie zwierza, okazuje się, że to najbardziej racjonalne rozwiązanie. A ja pytam: co to jest? Możemy wprowadzić jeszcze więcej nowinek, poczynając od noktowizorów poprzez automaty, które nam rejestrują przejścia zwierzyny, co się tam powszechnie stosuje. Można zamontować zegarowy czujnik, żeby zapamiętał moment, w którym zwierzę przyszedł do wyłożonej karmy, można zamontować aparat fotograficzny, który się uruchomi i wtedy już wiemy: o drugiej trzydzieści przychodzą, no to o drugiej siadamy przy nęcisku, czekamy i wykonujemy wyrok. Jest jeszcze argument bezpiecznego oddawania strzału pod odpowiednim kątem do podłoża, możliwość spokojnej obserwacji zwierzyny, a więc odpada element najfajniejszej łowieckiej emocji, która wszakże może negatywnie wpływać na precyzję strzału. Myśliwy może spokojnie obserwować zwierzę, mając pewność, że nie zostanie zdemaskowany, i dokonać bardziej racjonalnego wyboru. Tych wszystkich argumentów się używa,

ale to samo można zrobić, polując w sposób bardziej klasyczny – najwyżej rezygnuję z oddania strzału, jeżeli nie jestem absolutnie pewien, czy to, co widzę, jest tym, czym mniemam, że jest.

Strzelanie na nęciskach jest dla mnie troszeczkę nieeleganckie, bo nie zaprasza się w gościnę, żeby dać komuś w pysk, prawda?

A nawet zastrzelić.

Tym bardziej zastrzelić. Dla mnie polowanie na nęciskach jest zasadne w odniesieniu do drapieżników, w sytuacji kiedy mamy nadmiar lisa. Ale teraz nie ma zbytu na jego skóry, względy ekonomiczne nie pozwalają się z tym uporać. Doświadczenia niemieckie dotyczące wprowadzenia masowych szczepień przeciwko wścieklicznie dało nam wiedzę, że poskutkują one znaczącym wzrostem populacji lisów – i tak się stało. Ale proszę pamiętać, że parę lat temu, kiedy był run na lisie skóry, w wielu kołach łowieckich wprowadzono dość wysokie opłaty strzałowe za lisa. W niektórych kołach nie pozwalano strzelać lisów w pojedynkę, bo mówiło się, że „strzeli i nie wykaże”, czyli nie zapłaci strzałowego. Intensywność polowania na lisy była wtedy wysoka i strzelano dużo tych zwierząt. W tej chwili „niewarta skórka wyprawki”. Wściekliczna okazała się naturalnym, znaczącym reduktorem pogłowia. Po jej wyeliminowaniu populacja lisa wzrosła i to się odbija na drobnej zwierzynie. Przegęszczenie lisa jest faktem i w tym momencie rzeczywiście efektywność polowania przy nęcisku może być bardzo wysoka, choć nie twierdzę, że jest to najbardziej urokliwe polowanie. Dwa lata temu, w lutym, zupełnie przypadkiem trafiłem na miejsce, które miało być nęciskiem na drapieżniki zorganizowanym przez naszego kolegę, miejscowego myśliwego, właściciela hodowli pstrągów. Wywiózł on do lasu dwie wywrotki odpadów z tej pstrągarni – rybich łbów i wnętrzności. To był okres cieczeni u lisów i gdy do karmy ściągnęła suka, po jej tropach przychodziły psy. Po jednej niepełnej nocy, od siedemnastej do drugiej w nocy, leżało przede mną dwadzieścia siedem strzelonych lisów. Mam to fotograficznie udokumentowane jako pewnego rodzaju ewenement. Ten przykład może służyć jako dowód skuteczności takich nęcisk, ale powiedzmy sobie, że przyjemność z takiego polowania jest niewielka. Wszyscy zgadzamy się na to, że nie strzelamy przy nęciskach do zwierzyny płowej.

Teoretycznie.

Gdyby to ode mnie zależało, stawiałbym przed rzecznikiem dyscyplinarnym ludzi, którzy na ńęciskach strzelają do zwierzyny płowej. Z dzikiem jest inna sytuacja. Ten sposób polowań przeszedł z Ośrodków Hodowli Zwierzyny Lasów Państwowych, o wiele liczniejszych niż Ośrodki Polskiego Związku Łowieckiego, w których takie praktyki również się stosuje.

Gdy myśliwy dewizowy przyjeżdża na indywidualne polowanie na dziki, należy stworzyć warunki, żeby to polowanie było maksymalnie udane. Wiadomo więc, że zakłada się tam ńęciska i wówczas strzela do dzika – do pozostałej zwierzyny raczej nie. Jeśli chodzi o ilość wykładanej karmy, to jest stały spór pomiędzy nami a Lasami Państwowymi, ponieważ Lasy Państwowe twierdzą, że my nie dokarmiamy, ale karmimy. Zakłada się, że dokarmianie powinno służyć takim zasadniczym celom: uzupełnieniu niedoboru żeru naturalnego w okresie późnojesiennym i zimowym, zwłaszcza w latach nieurodzaju bukwi i żołądzi, zatrzymaniu zwierzyny w kompleksie leśnym, aby zmniejszyć szkody na polach, wreszcie odsunięciu zwierzyny płowej od upraw i nasadzeń w lasach – takie trzy cele powinny zostać spełnione. Jeżeli koło łowieckie mówi, że w ciągu roku wyłożyło dwieście ton odpadów ziemniaczanych, kukurydzy, odpadów zbożowych i innych, to zapytajmy pierwszego lepszego hodowcę, ile tuczników wyhoduje na tej ilości karmy. Karma wwożona do lasu zostaje zjedzona, a dalsze wnioski nasuwają się same. Dzik dostosował się do tych zmian cywilizacyjnych. Już Haber w monografii o dziku pisał, że liczba loch skutecznie zapładnianych w czasie huczki, która zawsze odbywała się od połowy listopada do połowy grudnia, zależała od podaży naturalnego żeru wysokobiałkowego – a więc przy urodzaju bukwi i żołądzia były zapładniane prawie wszystkie dojrzałe lochy, trzyletnie i starsze. Przy nieurodzaju część z nich pauzowała. Wysoka podaż wysokobiałkowego żeru na polach uprawnych spowodowała przede wszystkim obniżenie wieku rozrodczego. Teraz mamy warchlaczka, który przychodzi na świat pod koniec lutego lub na początku marca i bywa zapładniany jesienią. W następnym roku mamy powszechne zjawisko przelatka prowadzącego młode – a więc dzieci mają dzieci.

Prawo łowieckie zezwala na strzelenie ciężarnej loszki nawet na dzień przed porodem, pod warunkiem że jest przelatkiem, czyli dzikiem do roku życia. Koledze

się to przytrafiło – strzelił latem przelatka, loszkę, która miała cztery w pełni rozwinięte płody. To jest legalne.

Zgadza się, też znam taki przypadek.

I dalej będzie legalne, bo moim zdaniem, gdyby prawo łowieckie się tym zajęło, sparaliżowałyby to polowanie na dziki.

Podobna sytuacja jest przy odstrzeliwaniu łań i cieląt. I pojawia się tutaj jakiś znak zapytania. Niemcy dopuszczają dużo wcześniejszy odstrzał łań zeszłorocznych, ale ilu naszych myśliwych potrafi odróżnić łąnię zeszłoroczną od dwuletniej czy starszej?

Widziałem czterokilogramowego cielaka wyciągniętego ze strzelonej na komorę łąni pod koniec okresu polowań.

Niech pan zwróci uwagę, że laktacja u łań trwa do końca lutego i choć mleko w tym okresie nie stanowi, co prawda, podstawowej karmy dla cielęcia, jednak matka jest dla niego jednocześnie nauczycielką życia. Jeżeli przed okresem rykowiska strzeli pan łąnię prowadzącą cielę, to ono zostaje przez chmarę odrzucone, traci swoją opiekunkę i wychowawczynię i wyrośnie z niego najpewniej cherlawy, słaby osobnik. Jeśli odstrzeli pan takiej łąni cielę, to może u niej dojść do zapalenia grzęzów z komplikacjami do padnięcia sztuki włącznie. Powtarzamy jednak: nie strzelajmy łań przed rykowiskiem, rykowisko i tak przeżywa pewien kryzys z powodu penetracji obszarów leśnych przez ludzi pracujących w lesie i zbieraczy runa leśnego. Niepokój w lesie jest duży. Im więcej grzejących się łań jest w trakcie rykowiska, tym większa szansa na jego ożywienie. W rykowisku łąnia jest zapładniana. Strzelanie do łań w czasie rykowiska z pewnego punktu widzenia jest nietaktem. Choć z biologicznego punktu widzenia – nie.

Ja tak myślę również o strzelanych w czasie rykowiska bykach – że to co najmniej gruby nietakt w stosunku do nich.

Zdania na temat polowania w czasie godów są podzielone.

No cóż, chyba bym nie chciał, żeby mnie ktoś w takim momencie zastrzelił.

Piękna śmierć w trakcie!

Nie, dziękuję!

Większość łań w czasie rykowiska jest zapładniana. Niektórzy prezentują stanowisko, że intensywny odstrzał łań powinien nastąpić zaraz po zakończeniu

rykowiska, do końca grudnia, bo potem następuje znaczący rozwój płodu. Z biologicznego punktu widzenia wszystko jedno, czy ten zarodek jest ledwo widoczny, czy przybiera już postać wspomnianego przez pana czterokilogramowego płodu – bo jednym strzałem likwiduje pan dwa życia. Gdybyśmy postawili osobę, która ma obojętny stosunek do myślistwa – nie jest ani naszym miłośnikiem, ani wrogiem – obok myśliwego patroszącego strzeloną w styczniu cielną łanię i ten ktoś patrzyłby, jak z łona matki wyciąga się kilkukilogramowy, ukształtowany płód z charakterystycznymi białymi raciczkami, już wykonujący samodzielne ruchy, to prawdopodobnie ten ktoś zostałby zaprzysięgłym wrogiem myślistwa do końca życia.

Dla pełniejszego obrazu trzeba dodać, że ów patroszący myśliwy rozcina grzęzy tej łani, a z nich wypływa mleko, które miesza się z krwią i robi się różowe.

To też jest częste. Zawsze byłem orędownikiem selekcji samic. Niektóre koła próbują ją wprowadzić. Ale dawniej było tak: dostajesz odstrzał na łanię, idziesz do lasu i strzelasz pierwszą lepszą, która się nawinie. Na wycenach trofeów byków mierzymy, czy szpice mają ponad trzydzieści centymetrów, chociaż wiadomo, że potęga poroża jest cechą – mówiąc oględnie – słabo dziedziczną, a gabaryty szpiców nijak się mają do jakości poroża w przyszłych nasadzeniach. Zielonymi punktami nagradzamy odstrzał grubego, dwudziestoośmiocentymetrowego szpicaka o wadze tuszy osiemdziesiąt kilogramów, a czerwonymi karzemy odstrzał cienkusza o grubości palca, o szpicach trzydziestojednocentymetrowych i wadze tuszy pięćdziesiąt kilogramów. Jest to sfera umownych ustaleń. A już zupełnie nielogiczne jest strzelanie cieląt bez selekcji, bo strzelamy cielę męskie doskonale rozwinięte, być może potomka kapitalnego byka, nie dając mu nawet pokazać, co z niego wyrośnie.

To jest po prostu nieporozumienie. Pomysłów było wiele – mieliśmy koncepcję: nie selekcja osobnicza, bo ona nic nie daje, tylko populacyjna. Populacje są zbyt młode, tworzą duże ugrupowania, a więc szkody wyrządzane przez nie są dużo większe, zanika konkurencyjność międzyosobnicza, bo jest nadmiar samic, słabe osobniki dochodzą do zapładniania i płodzą słabe potomstwo. W związku z tym trzeba było stanowczo zredukować liczbę sztuk młodych. I w rezultacie główną przewiną byka czy rogacza był młody wiek. Efekt mamy taki, że w większości łowisk byki w trzeciej klasie wieku nie występują. Co to jest stary byk? To jest

młody byk, któremu pozwolono się zestarzeć. A jeżeli on dożywa najwyżej sześciu lat i dostaje kulkę, no to skąd mamy brać byki w trzeciej klasie wieku? Już teraz mówi się, że należy ograniczyć odstrzał drugiej klasy wieku i inaczej patrzeć na pierwszą klasę. To samo dotyczy rogaczy. Bez ograniczeń, na zielone punkty strzela się młode szpicaki, które w większości naszych łowisk stanowią prawidłową formę rozwojową, w ten sposób „postarzając populację”. Myślę, że sporo racji mieli ci, którzy przed wojną prowadzili prywatne łowiska, gdzie chłysty i dziadostwo strzelała służba leśna, a bykom bardzo dokładnie się przyglądano. W tych doskonale prowadzonych łowiskach gromadzono kolekcję zrzutów od danego byka, ustalając, czy osiągnął optimum rozwoju. Uwieńczeniem tej pracy hodowlanej było piękne trofeum strzelone w momencie, gdy byk odegrał już swoją hodowlaną rolę w łowisku. To jest ogromna praca do wykonania, a zapoczątkować ją musi zmiana świadomości myśliwych.

W jakiej dziedzinie?

Przede wszystkim właściwego, w pełni odpowiedzialnego stosunku do tego, co robią. To bardzo poważna decyzja: odebrać życie stworzeniu. Wiadomo, że ktoś musi to robić. Wiadomo, że lepiej, gdy robi to ktoś z pasją nie tylko do strzelania, ale i do całego kompleksu spraw składających się na łowiectwo.

„Poluje ten, kto hoduje”. To pewnego rodzaju nagroda za włożony wysiłek. Ludzie próbują zrekompensować to pieniędzmi – znam szereg kół łowieckich, które odeszły od jakiegokolwiek pracy w łowisku na rzecz wysokich składek i zatrudniania pracowników w łowisku. W kołach są ludzie, którzy twierdzą, że ich czas jest cenny i jeżdżenie do łowiska, żeby zaopatrzyć paśnik czy obrobić poletko, jest dla nich nieopłacalne. Ich czas jest droższy – wolą wyjąć pieniądze i za to zapłacić.

Myślistwo ma być przeżyciem. Jest ładna książka *Róg myśliwego*, którą napisał Robert C. Ruark. Znajduje się tam cały wywód o tym, jak się strzela do zwierzęcia w określonych okolicznościach: „Ja je unieśmiertelniłem przez to, że na zawsze pozostaje w mojej pamięci, że dało mi pewnego rodzaju przeżycie, że myślistwo jest związane z gatunkiem ludzkim od zarania, że pozwoliło temu gatunkowi przetrwać, że jest to pewnego rodzaju atawizm”. Jest tam o radości łowcy i o różnych przeżyciach estetycznych. Można powiedzieć, że to szczególnego rodzaju pensjonarstwo w wykonaniu dorosłych mężczyzn. Ale wolę to od

nastawienia typu – przepraszam za wyrażenie – „poszedłem i pierdolnąłem”, „walnąłem”. I to wszystko traktuje się jak miły przerywnik pomiędzy wypiciem jednej a drugiej połówki.

Stare pokolenie myśliwych odchodzi i zostaje coraz mniej wzorców.

Mam kolegów, którzy przyjeżdżają do naszych OHZ-ów i słysząc warunek: „Jeżeli kolega strzeli z naruszeniem zasad selekcji, płaci kolega za karę sto procent więcej ponad wartość trofeum”, mówią: „Nie ma sprawy, ja chcę mieć złoto” i kładą na stół pieniądze. A że to złoto pochodzi od ośmioletniego byka, to nieważne. Myśliwi to widzą i to ich deprawuje. Mówi się o kłusownictwie myśliwych. Kiedyś było takie powiedzenie: „Kto przy lesie żyje – z lasu wyżyje”. Bo i chrust, i malinka, i grzybek, i dziczek, i sarenka – jak ktoś miał strzelbę, to po myśliwsku, a gdy jej nie miał – to z wnykiem. Jeszcze jestem w stanie moralnie zrozumieć kogoś, u kogo w chałupie chudo i cienko, i biednie, i on tego uduszonego dziczka do gara włoży i zje go z rodziną. Ale nie mogę zrozumieć kolegi, który przyjeżdża terenowym samochodem za sto pięćdziesiąt tysięcy, sprzęt ma wartości czterdziestu tysięcy, strzela dzika wartości stu złotych i jeszcze go kradnie! Dalibóg, nie rozumiem! To był zamożny biznesmen. Tego nie jestem w stanie pojąć.

Ja się wychowałem na opowieściach dziadkowych, na literaturze myśliwskiej. Dzisiaj na egzaminach czasami pytam zdających: „Co pan zna z myśliwskiej literatury pięknej? Co pan czytał?”. W większości wypadków nie dostaję odpowiedzi. A przecież to jakoś wychowuje i kształtuje.

Oblewa ich pan?

System egzaminowania jest taki, że za to oblać nie można. Losuje się kilka pytań, choć zakres szkolenia jest o wiele szerszy. W związku z tym nie ma możliwości sprawdzenia wiedzy z każdego z jedenastu przedmiotów szkolenia – etyka, tradycja, język łowiecki, biologia zwierzyny, zasady wykonywania polowania na podstawowe gatunki zwierzyny łownej, trofeistyka łowiecka, preparowanie trofeów, choroby odzwierzęce, znajomość broni, amunicji i optyki, kynologia łowiecka, bezpieczeństwo. Kiedyś każdy z tych przedmiotów trzeba było zaliczyć. Teraz po egzaminie nie wiemy, ile kandydat umie. Najlepiej przygotowani są ci, którzy wychowali się w rodzinach myśliwskich, gdzie jest ojciec myśliwy i chłopiec od maleńkości nasiąkał tym wszystkim. Na kurs

przychodzą ludzie, którzy nie potrafią odróżnić sarny od jelenia – jemu się zdaje, że jeleni to samiec, a sarna to samica jelenia!

Ojciec mnie wziął na polowanie, jak miałem osiem lat.

Prawidłowo. Mój syn pojechał ze mną, gdy miał pięć lat. Ale nie jest myśliwym.

Pojechaliśmy wiosną, w prześliczny wieczór, na słonki. Nad zrębem przeciągnęła jedna słonka, potem druga. Leci trzecia, ja zdejmuję strzelbę z ramienia, a on mnie łapie za łokieć:

– Tata, nie strzelaj.

– Dlaczego?

– Bo to tak, jakbyś w kościele głośno bąka puścił – usłyszałem zadziwiająco, jak na pięciolatka, odpowiedź.

I las nam to wynagrodził – chwilę później przez zręb przewaliła się wataha dzików, z rogu zrębu wyszły jelenie. Pooglądaliśmy to wszystko, ściemniło się i pojechaliśmy do domu.

Kto poluje?

Tak różni ludzie, jak różne jest społeczeństwo. Brakuje mi takich myśliwych, jacy mieli wpływ na mnie, kiedy zaczynałem krążyć koło łowiectwa. To byli starzy kresowi myśliwi, często dawni ziemianie, czujący silny związek z ziemią, o wielkiej klasie osobistej. To przekładało się na ich łowiectwo. Dzisiaj widzę, że zasoby łowieckie traktuje się jak towar. Widzę bogate koła łowieckie dla zysku organizujące polowania dewizowe. Ich członków stać na to, by płacić składki. Często organizują łowy po to, by paru członków zarządu robiło przy tym własne interesy. Dla mnie to profanacja. Możemy własne córki i narzeczone podsuwać za opłatą, tylko czy człowiek spojrzy sobie w oczy przy goleniu? Tak to się zmienia.

Dlaczego współcześni mężczyźni zaczynają polować?

Próbowano to analizować, są teorie psychologiczne, które mówią, że to forma rozładowania agresji. Nigdy w życiu nie szedłem do lasu z agresywnym nastawieniem do czegokolwiek. Inna teoria mówi, że to atawizmy, które w części męskiej populacji pozostały. Ładnie o tym pisał Bratny w zbiorze opowiadań *Hobby wielkie jak łoś*. O tym, że znajdujesz tam akcję, walkę. Jaką walkę, pytam – z jednej strony oszalałe z miłości bydlę, z drugiej dalekosiężna broń z lunetą. Z pozoru dysproporcja sił jest taka, że zwierz nie ma szans. Ale pisze dalej: „Jego szansą są twoje stargane w pracy nerwy, twoje niewytrzymałe długiego biegu

płuca, przytępione zmysły i kiedy wychodzisz w gotującą się ciemność, wydaje ci się, że jesteś mizernym sługą i pachółkiem tego ryczącego Pana”. Dalej pisze: „Kiedy opuszczam blaszane pudło samochodu gdzieś na leśnym dukcie, strącam z nerwów rdzę powszednich trosk. Tam odnajduję rytmy, do których z natury jest przystosowany człowiek”.

Wielu kolegów traktuje polowanie jako pretekst, by wyrwać się z domu. Wielu autentycznie coś przeżywa, są pasjonaci, którzy wyżywają się w lesie. Jako młody człowiek bywałem w łowisku pięć razy w tygodniu. To, co widziałem w dzieciństwie, wszystkie opowieści i literatura bardzo mocno działały na moją wyobraźnię. Dobrze się czułem poza miastem, w naturze. Tak było od dziecka. Współczesne polowanie przyjmuje pewne cechy życia miejskiego – z tym pośpiechem, z potrzebą efektu za wszelką cenę, krótkofalówki, walkie-talkie, telefony komórkowe, pluskwy podsłuchowe. Znam taki przypadek, gdy kolega siedział na kwaterze, a na nęcisku miał urządzenie podsłuchowe. Gdy usłyszał ciamkanie dzików – wychodził z bronią. Dzisiaj, gdy widzę urządzenie wielkości dwóch telefonów komórkowych z głośniczką, który ma półtora kilometra zasięgu, i z przyciskami: kniazienie zająca, pisk kozy, wycie wilczycy w okresie ciecarki, chrupanie daniela, kaczka krzyżówka i pięć gatunków dzikich gęsi – to ja pytam: gdzie jest sztuka myśliwego? Przecież to umiejętność. W Skandynawii obowiązuje zasada: chcę dostać licencję na łosia – muszę wykazać się umiejętnością strzelania do ruchomej makiety łosia. Jeżeli się nie wykażę – nie będę polował. Papraka się nie dopuszcza. U nas wielu myśliwym należałoby zezwolić tylko na strzelanie z ambon, a nie z podchodu. Bo jeżeli człowiek na strzelnicy, siedząc za stołem do przestrzeliwania broni, ma problemy w umieszczeniu kuli w obrębie ósemki w rogaczu, to w czasie polowania, strzelając z mało stabilnej podpórki, z wolnej ręki czy od drzewa – będzie strzelał jeszcze gorzej i ranił. Potem tusza leży w lesie i gnije. Na strzelnicy widzi się myśliwych, którzy strzelając do rogacza, lokują jedną kulę we łbie, drugą w zadzie, a pozostałe trzy w ogóle poza makietą. Pytam: ile on nakaleczył zwierzyny, która poszła po strzale i gdzieś w męczarniach padła? Czy to jest odpowiedzialne? Ja nieźle strzelam, mogę strzelić kozę w łeb na trzysta metrów – potrafię to zrobić. Ale mnie to nie bawi. Smak ma zdjęcie butów i podejście do dzika na dwadzieścia kroków, żeby go strzelić. Sporo kolegów traktuje polowanie w humanitarny sposób, grupa

prawdziwych pasjonatów, czystej wody hobbystów rzeczywiście coś tej pasji poświęca. Należałoby zadać pytanie, czy autentycznym pasjonatem jest ktoś, kogo zadowala uprawianie wycinka tej pasji, jakim jest strzelanie do zwierząt. On nie zna biologii zwierząt, gospodarki łowieckiej, kynologii, interesuje go tylko, żeby dostać jak najwięcej odstrzałów i żeby jak najwięcej ubić. Gdy takich ludzi jest coraz więcej, to oni zaczynają niekorzystnie wpływać na pozostałych.

Nie chciałbym, żeby wynikało z tego, że jest niedobrze, będzie jeszcze gorzej, a Ławrynowicz to narzekacz. Zupełnie nie rozumiem kolegów, którzy gotowi są nawet wyręczyć się kimś – bo są i takie sytuacje. „Strzel mi coś na składki” albo „Nie chcę do domu z pustymi rękami wracać”. I to nie dlatego, że nie mają umiejętności czy możliwości. Raczej dlatego, że polowanie jest dla nich tylko pretekstem, żeby wyjechać z domu. Czasem z osobą towarzyszącą, czasem z naczyniem towarzyszącym – różnie to bywa.

Ile lat pan poluje?

Z legitymacją PZŁ od trzydziestu siedmiu lat, a w ogóle to mam z tym do czynienia od zawsze. Pomagałem z kolegą na starej strzelnicy myśliwskiej na lotnisku na gdańskiej Zaspie obsługiwać makietę ruchomego zająca. W nagrodę pozwalano nam potem parę razy strzelić do rzutek z dubeltówki.

Też znam tę strzelnicę. W nagrodę za pomoc mogłem strzelić do kilku rzutek spod małej budki. Jak wygląda sprawa bezpieczeństwa na polowaniu?

W moim kole zdarzył się tragiczny wypadek: wieloletni prezes i łowczy koła, doświadczony myśliwy, zabił swojego jedyne i ukochanego wnuka. Od człowieka, który niemal czterdzieści lat intensywnie uprawiał łowiectwo, należałoby oczekiwać dużej wstrzemięźliwości, doświadczenia i opanowania. Tymczasem rzecz wyglądała tak, że w maju, koło dziesiątej wieczorem, kiedy jeszcze nie jest tak ciemno, on z ukochanym wnukiem pojechał na polowanie. Zauważył dziki, które obchodziły wzgórze, zostawił tego chłopca i poszedł za nimi. Dziki jakoś to wzgórze okrążyły, on wszedł na wzniesienie i zobaczył je znikające za garbem wzniesienia, podszedł wyżej i dostrzegł jeszcze jedną sylwetkę na polu, nieco z boku. Przekonany, że to jakiś maruder, oddał strzał. Okazało się, że to był jego wnuk, który akurat się nachylił i zaczepiał smycz do obroży psa. Pocisk uderzył go pod łukiem żebrowym, przebił klatkę piersiową, wyszedł przez głowę i wymóździł go całkowicie.

Jaka jest liczba wypadków związanych z użyciem broni myśliwskiej w Polsce?

Gdybym miał określić to precyzyjnie, musiałbym sięgnąć do materiałów zjazdu krajowego. Tam jest to opisane dokładnie: wypadki śmiertelne, postrzelenia i wszystkie inne.

Chyba najczęstszym powodem jest coś, co ja nazywam wtórnym analfabetyzmem, to znaczy rutyna, która wyłącza ostrożność i poszanowanie dla podstawowych zasad bezpieczeństwa. Druga sprawa to brak wyobraźni, swój udział może też mieć połączenie broni i alkoholu. A przecież pięćdziesiątka przed polowaniem to coś powszechnego. „Nie wypijesz – nie zabijesz”. Zdarzają się wypadki nie do przewidzenia, losowe. Znam przypadek, gdy chmara jeleni przesadza linię myśliwych, myśliwy oddaje jak najbardziej prawidłowy strzał do tyłu, strzelając na kulawy sztych uchodzącą łanię, pocisk trafia tę łanię za łopatkę, wnika w głąb tuszy, penetruje tuszę, trafia w kość mostka, odbija się od tej kości, wychodzi z drugiej strony i trafia w głowę stojącego osiemdziesiąt metrów dalej myśliwego, zabijając go na miejscu. Pocisk skręcił o prawie dziewięćdziesiąt stopni. To jest przypadek losowy, bez winy człowieka. Ogromna większość nieszczęśliwych wypadków to strzały do nierozpoznanego celu, postrzelenia związane z przewożeniem nierozładowanej broni i z niesprawnością techniczną broni. Pomijam sprawy, gdy broń myśliwska jest świadomie wykorzystywana przeciwko człowiekowi. Zdarzają się samobójstwa. Młody chłopiec wiedział, że nie zda matury, i za pomocą ojcowskiego sztucera odebrał sobie życie. Mój przyjaciel, mając siedemdziesiąt pięć lat, ale jeszcze żelazne zdrowie, też sobie odebrał życie z własnej broni. Chodzi o te sytuacje, w których – gdyby myśliwy postępował prawidłowo, zgodnie z zasadami – nie doszłoby do nieszczęścia. A zdarza się strzelanie w kierunku osady czy drogi, śrutem tuż nad lustrem wody, na tle trzcin, gdzie może siedzieć wędkarz. Te wszystkie popisy strzeleckie w terenie to już jest wina myśliwego. Pewien myśliwy znalazł sobie nietypowe stanowisko: budowano lokalną drogę, obok owsiska stała ogromna sterta betonowych płyt. On wszedł na tę stertę, rozłożył sobie kocyk, a obok położył strzelbę. Przysnął. Jak się obudził, zobaczył w tym owsie dziki. Zaczął jakieś manipulacje z bronią, o coś puknął, dziki to usłyszały i zaczęły uchodzić. On próbował któregoś złapać w lunecie i... nagle: „Jest! Na końcu watahy maruder!” – i strzelił. Okazało się, że wcześniej przez pole szedł na skrót pijany człowiek

i w tym owsie zasnął. Spłoszone dziki prawie po nim przebiegły i go obudziły. On się podniósł „na cztery” w tym niskim owsie i dostał kulę kaliber 3006 przez pośladki.

Parę lat temu doświadczony myśliwy, wysoki rangą oficer, dowódca dużej jednostki wojskowej, czyli człowiek, od którego należałoby nawet w sytuacji ekstremalnej wymagać trzeźwego, pragmatycznego, skutecznego działania, pojechał z młodym chłopcem na polowanie. W pewnym momencie ten myśliwy podnosi do oczu lornetkę, odkłada, bierze dryling, strzela do czegoś, podbiega bliżej, składa się i strzela ponownie. Ten młody człowiek podchodzi do niego i widzi, że leży człowiek, który coś tam tylko wyszeptał. Myśliwy zakazuje mówić wyrostkowi cokolwiek na ten temat, wycofują się, wsiadają w samochód i odjeżdżają. Ten ranny człowiek pokonał cztery kilometry, czołgając się. Rano, nieprzytomnego, skrwawionego, znalazła go przy furtce domu żona. Został odwieziony do szpitala, gdzie nie odzyskawszy przytomności, po czterdziestu godzinach zmarł. W malignie powtórzył tylko dwa razy słowa: „Dlaczego mi to zrobiłeś?”. Kula trafiła go w okolice odbytu, ekspandowała na kościach miednicy i poszarpała jelita. Drugi strzał, z odległości dwudziestu siedmiu metrów, był śrutowy: prawie urwał mu mosznę z jądrami. Tak zostawili tego człowieka. Pocisk kulowy posłużył do ustalenia typu i kalibru broni. Znaleziono broń i sprawcę, który w czasie śledztwa szedł w zaparte. Młody człowiek, który był świadkiem zdarzenia, milczał. Komandor w tym świątku to był półbóg. W jakimś policyjnym przechodnim pokoju, gdzie siedział młodzian, kaprał, popychając, przeprowadził skutego komandora tuż przed jego nosem. I wtedy on zaczął mówić. Pan oficer uciekł przed odpowiedzialnością w żółte papiery. Ja załatwiałem rentę dla wdowy i jej siedmiorga dzieci. Nie znajduję na to żadnego usprawiedliwienia. Gorączka strzału, chęć strzału za wszelką cenę, pazerność, brak opanowania najbardziej prymitywnej pasji – „strzelić, zabić za wszelką cenę”. W ubiegłym roku dwóch kolegów umówiło się, że usiądą przy ścianie kukurydzy, czekając na dzika. Jeden z nich wcześniej zszedł ze stanowiska, drugi do niego strzelił, szczęśliwie breneka urwała mu tylko końcówkę kciuka. W innym przypadku dwóch myśliwych umówiło się na dziki, jeden z nich wcześniej zszedł i szedł do ambony kolegi przez otwartą łąkę! I dostał kulę z czterdziestu metrów. Potem tamten tłumaczył się, że sztucer upadł i sam wypalił. Ale kąt postrzału wskazywał na strzał z góry na dół.

Mam kolegę, któremu drugi kolega myśliwy w biały dzień z odległości piętnastu metrów odstrzelił jedno jądro. Nie wiem, jakie będzie pokłosie obowiązkowych w tej chwili badań psychologicznych osób ubiegających się o pozwolenie na posiadanie broni. Trzeba jednak wykluczać ludzi o nadmiernej impulsywności. Chodzi o odpowiednie cechy psychofizyczne. Ale to bywa zaskakujące... Miałem kolegę myśliwego, lekarza, przeuroczego towarzysza łowów, człowiek do rany przyłóż. Jednak gdy zobaczył zająca, coś w niego wstępowało. Wówczas nie bardzo wiedział, gdzie jest – strzelał w kierunku nagonki albo pod nogi kolegi myśliwego. Całkowicie nieodpowiedzialnie. Gdy ktoś zaczyna się w ten sposób zachowywać, należałoby zareagować. Znam przypadek, kiedy kolega, zasłużony i wiekowy myśliwy, popełniał kardynalne błędy. Na polowaniu zbiorowym walił z ekspresu do ciągnika. Koledzy w końcu mu powiedzieli:

„Tadziu, wybacz, nie gniewaj się, ale na zbiorowe polowania już z nami nie pojedziesz. Na indywidualnych sobie poluj, dobrze by było z młodszym kolegą”. Ja miałem przestrzeloną czapkę ze skóry żrebaka. Kolega, który to zrobił, kilka lat później zabił człowieka na polowaniu. Prawdopodobnie strzelał do źle rozpoznanych celów. Dwa razy się nie udało.

Wypadki

Według danych przytoczonych w książce napisanej przez rzecznika dyscyplinarnego Polskiego Związku Łowieckiego myśliwi zabijają przeciętnie cztery osoby rocznie i około dwudziestu osób ranią. Są to wypadki na polowaniach. Nie ma informacji, do ilu wypadków z bronią myśliwską dochodzi w okolicznościach innych niż polowanie. Wiemy tylko, że na skutek użycia broni cywilnej ginie w Polsce mniej więcej czterdzieści osób rocznie. Żeby zabić około półtora miliona zwierząt rocznie, trzeba oddać wiele strzałów, krotność tej liczby. Myśliwi są jedyną grupą społeczną, która ma prawo dosyć dowolnego oddawania strzałów w otwartej, wspólnej z całym społeczeństwem przestrzeni. Powtarzalność rok w rok tych straszliwych nieszczęść każe z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że przy takiej liczbie strzałów wypadki muszą się wydarzać. Tak jest, gdy idzie się do lasu czy na pola, aby zabijać.

*

Rowerzysta z raną głowy leżał przy drodze. Okazało się, że w pobliżu trwało polowanie...

Zwłoki mężczyzny znaleziono we wtorek przy drodze wojewódzkiej w miejscowości Mirkowice w Wielkopolsce – podało radio RMF FM, które na swoim portalu opisuje tę niecodzienną sprawę. Pierwsze podejrzenie śledczych: został potrącony. Jednak w czasie oględzin znaleziono na głowie zmarłego ranę, która wyglądała na postrzałową.

Wynik dalszego śledztwa okazał się zaskakujący. W pobliżu odbywało się polowanie na sarny. – Policjanci zatrzymali 21-letniego myśliwego – przekazał w rozmowie z TVN24 Andrzej Borowiak z wielkopolskiej policji. Na razie funkcjonariusze są oszczędni w słowach. Borowiak zaznacza, że potrzebne są dodatkowe ustalenia, by określić, „czy mamy do czynienia z zaniedbaniami po stronie myśliwego”. Badaniom ma być poddana jego broń.

21-latek zabity na leśnym parkingu

21-letni mężczyzna został śmiertelnie postrzelony na leśnym parkingu w gminie Grabów w powiecie łęczyckim. Do postrzelenia doszło w niedzielę (3 sierpnia) po godz. 21. O postrzelenie podejrzewany jest 60-letni myśliwy. Ze wstępnych ustaleń wynika, że w niedzielę wieczorem 21-letni mieszkaniec powiatu łęczyckiego wraz z trzema kolegami przebywał na parkingu leśnym na terenie gminy Grabów. Ok. godz. 21 wszyscy postanowili wrócić do domu. Wsiedli do samochodu i w momencie gdy ruszyli, usłyszeli huk, po którym siedzący na tylnej kanapie 21-latek zaczął tracić przytomność. Huk okazał się wystrzałem z broni palnej. Pocisk przestrzelił klapę bagażnika, oparcie tylnej kanapy i trafił siedzącego z tyłu mężczyznę. Kula przeszła 21-latką na wylot, przechodząc przez klatkę piersiową w okolicy serca, po czym przebiła zagłówek przedniego fotela i lekko zraniła w szyję mężczyznę siedzącego z przodu.

„Dziennik Łódzki” 15.08.2014

Śmierć na polu kukurydzy

– Ania, kuzynka mojej żony, zginęła na skraju tamtego pola. Ze sto metrów od naszego domu. Jej mąż Marek stał obok, gdy kula ze sztucera trafiła ją w klatkę piersiową – pokazuje Henryk Szpejewski. Ten nieszczęśliwy wypadek wstrząsnął mieszkańcami niewielkiej wsi Sumowo w gminie Kikół. W czwartek, 21 października, około godziny dwudziestej, 51-letni myśliwy z koła łowieckiego nr 236 w Toruniu oddał strzał ze sztucera w stronę kobiety. Niestety, trafił celnie. Kobieta nie przeżyła. Policjanci ustalili, że sprawca był trzeźwy. Najprawdopodobniej zamierzał polować na dziki.

„Express Bydgoski” 23.10.2010

Wypadek na polowaniu. Myśliwy postrzelił kobietę

Nieszczęśliwy wypadek na polowaniu w Cichej Górze w woj. wielkopolskim. 71-letni myśliwy postrzelił swoją koleżankę. Kobietę przewieziono do szpitala. Jest w stabilnym stanie.

Wp. Poznań 8.11.2014

Myśliwy postrzelił dziewczynę, bo myślał, że to dzik. Para spacerowała w kukurydzy

18-letnia dziewczyna została postrzelona w okolice miednicy przez 64-letniego myśliwego podczas nocnego polowania na dziki. Do nieszczęśliwego wypadku doszło ok. godz. 23.30 w piątek na polu kukurydzy nieopodal miejscowości Wronowice (pow. łaski), gdzie mieszkają uczestnicy tego zdarzenia.

„Express Ilustrowany” 11.05.2014

Tragiczny wypadek na polowaniu. Myśliwy zastrzelił myśliwego

Do zdarzenia doszło w niedzielę, 23 października, około godziny 14.15 na terenie łąk w Strzemesznej w gminie Czerniewice w powiecie tomaszowskim. W trakcie zbiorowego polowania doszło do postrzelenia jednego z uczestników. 62-letniego-mieszkańca Lubochni śmigłowcem zabrano do łódzkiego szpitala. Niestety w wyniku odniesionych obrażeń mężczyzna zmarł.

„Dziennik Łódzki” 24.10.2016

Śmiertelny wypadek na polowaniu

34-letni myśliwy z koła łowieckiego „Dąb” z Dąbrowy Białostockiej, mieszkaniec jednej z miejscowości w powiecie sokólskim, podczas polowania na dzika śmiertelnie postrzelił ze sztucera swego 12-letniego syna. Do wypadku doszło w środę około godz. 18.30 w lesie koło wsi Bity Kamień. Dziecko zmarło po godz. 21 w sokólskim szpitalu.

Poranny.pl 8.11.2001

Wypadek na polowaniu. W Janiszewie myśliwy postrzelił kolegę.

Myślał, że to zwierzyna

Podczas polowania w lesie koło Pelplina 45-latek wziął swojego kolegę za zwierzynę. Oddał strzał i trafił mężczyznę w brzuch.

„Dziennik Bałtycki” 22.09.2016

Myśliwy na polowaniu postrzelił 29-latkę w udo

Do wypadku doszło w lasach na terenie gminy Torzym. Myśliwy strzelał do jelenia, pocisk rykoszetem trafił w 29-letniego naganiacza.

„Gazeta Lubuska” 17.01.2012

Deweloper z Krakowa zastrzelił żonę na polowaniu, bo wziął ją za dzika

Tragicznie dla krakowskiego przedsiębiorcy i jego rodziny zakończyło się w niedzielę wieczorne polowanie w Niemczy k. Wrocławia. Myśliwy, myśląc, że celuje do dzika, zastrzelił własną żonę.

Naszemiasto.pl Kraków 13.09.2011

Wypadek na polowaniu w Dyniskach

Przeprowadzona we wtorek sekcja zwłok myśliwego, który zginął w sobotę podczas polowania w powiecie tomaszowskim, potwierdziła wstępne ustalenia lekarzy. Przyczyną śmierci 59-letniego zamościanina było wykrwawienie. Pocisk trafił w tętnicę podkolanową. Uszkodził też inne naczynia krwionośne. Ze wstępnych ustaleń śledczych wynika, że kula była przeznaczona dla dzika.

Naszemiasto.pl Zamość 13.11.2015

Straszny wypadek na polowaniu! Myśliwi postrzelili mężczyznę

W sobotę w lubuskich lasach odbywało się polowanie. Brało w nim udział ponad 20 myśliwych. Nagle okazało się, że jeden z nich postrzelił znajdującego się nieopodal mężczyznę. Na razie nie wiadomo, skąd 37-latek wziął się w tej niebezpiecznej okolicy. Natychmiast został zabrany do szpitala, gdzie trafił na stół operacyjny. Na razie nie wiadomo, w jakim jest stanie. Niestety, to kolejny podobny wypadek tej jesieni!

Fakt24.pl

Wypadek na polowaniu: myśliwy postrzelił kolegę

Jak wyjaśnia Przemysław Araszekiewicz z policji w Międzychodzie, do zdarzenia doszło w niedzielę około 16.00 w Kolnie. Odbywało się polowanie. – W trakcie polowania 67-letni mieszkaniec Międzychodu oddał strzał z broni myśliwskiej w stronę dzika i postrzelił drugiego myśliwego. Ranny to 35-latek, mieszkaniec Międzychodu – mówi.

Epoznań.pl 28.11.2016

Myśliwy śmiertelnie postrzelił kolegę. Tragedia wydarzyła się koło Bledzewa

Do tragedii doszło w nocy z wtorku na środę (z 20 na 21 września) w okolicach wsi Stary Dworek pod Bledzewem w powiecie międzyrzeckim. Jej okoliczności wyjaśniają policjanci pod nadzorem Prokuratury Rejonowej w Międzyrzeczu.

Ofiarą jest 54-letni międzyrzeczanin Bogdan F. Sekcja zwłok wykazała, że zginął od kuli wystrzelonej ze sztucera. Policja zatrzymała Zbigniewa S., który polował razem z ofiarą. Prokurator postawił mu zarzut zabójstwa z zamiarem ewentualnym. Grozi mu dożywocie.

Gazetalubuska.pl 23.09.2016

Myśliwi strzelali... do siebie. Kolejny wypadek na polowaniu

Policja wyjaśnia okoliczności zdarzenia, do którego doszło wczoraj niedaleko Chojny. Podczas polowania z udziałem dwóch myśliwych, obywateli Niemiec, doszło prawdopodobnie do niekontrolowanego wystrzału. W wyniku tego feralnego wypadku jeden z polujących odniósł poważną ranę, trafił do szpitala.

Obserwator Nadodrzański 22.10.2016

Wypadek na polowaniu. Ranny został mężczyzna

Z naszych nieoficjalnych informacji wynika, że ranny mężczyzna był naganiaczem w czasie polowania. Sprawę bada ślubicka policja pod nadzorem ślubickiej prokuratury. Wiadomo, że postrzelony został 37-latek. Pocisk trafił go w okolice pachwiny, mężczyzna jest w poważnym stanie, walczy o życie w szpitalu. W polowaniu brało udział 27 myśliwych, pomagało im pięciu naganiaczy. W chwili, gdy mężczyzna został postrzelony, strzały oddawało akurat trzech myśliwych.

„Gazeta Lubuska” 19.11.2016

Dlaczego mężczyźni zabijają? Rozmowa z Wojciechem Eichelbergerem

Wojciech Eichelberger jest psychologiem, terapeutą, pisarzem z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem.

Gdy zastanawiałem się nad tym, kto mógłby wnikliwie opisać, co się w naszym wewnętrznym, nieujawnionym „męskim świecie” naprawdę dzieje, pomyślałem o nim. Przez dobrych kilka lat sam doświadczałem i widziałem u innych ludzi dobroczynne dla życia skutki terapii. Nasz ukryty – o paradoksie! – przede wszystkim przed nami samymi, wewnętrzny świat stawał się dla nas widzialny... i zmieniał się, dojrzywał, łagodniał. Umówiliśmy się na rozmowę w jego domu położonym na obrzeżach Warszawy, pod lasem. To był ładny, ciepły poranek, siedzieliśmy przy stole w ogrodzie, kroiliśmy pajdy z bochna prawdziwego żytniego chleba na zakwasie. Do tego były świeże masło, sól i dobra, mocna herbata. Po obejściu kręciły się cztery spore, przyjacielsko usposobione psy. Jeden był zupełnie biały – na imię miał Mu.

*

Przypuszczalnie w rozwoju gatunkowym człowieka był czas, kiedy nie posiadaliśmy samoświadomości i wynikającego z niej poczucia egocentrycznego oddzielenia od całej reszty istnienia. Donoszą nam o tym mity i objawienia religijne. Jeśli dajemy im wiarę, musimy uznać, że ludzie tamtych czasów żyli instynktownie, w zgodzie z nadrzędnym zamysłem i zasadą działania przyrody – a więc zabijali tylko po to, by życie mogło rozwijać się i trwać. Zabijali niewinnie. A niewinnego, nieświadomego zabijania, stanowiącego niezbędny element funkcjonowania ekosystemu świata – zabijania służącego podtrzymaniu życia – nie można nazywać zabijaniem w znaczeniu ludzkim. Dla zwierząt zabijanie jest naturalnym przejawem życia, wyrazem powszechnego i demokratycznego prawa i zobowiązania, by żyć, bronić „swojej” formy istnienia, wyżywić się i rozmnażać, a zarazem pozwolić żyć i rozmnażać się innym – co zakłada również bycie dla innych pożywieniem. Gdybyśmy pozostali na tym – w najlepszym sensie tego

słowa – zwierzęcym etapie rozwoju, to zabijalibyśmy do dziś tak niewinnie, jak lew zabija gazelę, szczupak płoć, a jastrząb królika. Jednak od czasu, gdy – zgodnie z uniwersalnym religijnym przekazem – w naszym ludzkim umyśle zakorzenił się pierworodny grzech, czyli świadomość odrębnego „ja”, ulegliśmy złudzeniu, że nie należymy już do tego świata. Pozbawiliśmy się swojego nieuświadomianego dziedzictwa, jedności i identyczności z wszelkim istnieniem, który to stan jest naturalną rzeczywistością wszystkich innych istot. Od tamtej pory nie czujemy się już włączeni w doskonały organizm wszechświata, nie oddychamy jego oddechem w taki sposób jak lew, tygrys, wilk, orzeł, jastrząb, rekin czy mrówka. Dlatego też nie potrafimy dostrzec, że zwierzęta nie zabijają. Nie potrafimy sobie wyobrazić braku poczucia odrębnego, indywidualnego istnienia – więc myślimy o tych zwierzętach tak, jakby były ludźmi. Słowo „zabić” ma jednoznacznie ludzkie, agresywne konotacje. Gdy lew „zabija” gazelę, to nie ma tam nikogo, kto „zabija”, ani nikogo, kto jest „zabijany”. Przyroda stanowi jeden byt, jedną osobę, jedną duszę. Nie może nikogo zabić, bo nic nie znajduje się na „zewnątrz” niej. Żywi się sama sobą. Umierając – odradza się, a odrodziwszy się – umiera. Zabijanie dokonuje się wtedy, kiedy towarzyszy mu poczucie odrębności, poczucie „ja” i związana z nim intencja, a także uczucie chciwości, nienawiści, przyjemności lub satysfakcji. Patrząc na świat oczyma „ja”, swoją egocentryczną, wyodrębnioną egzystencję rzutujemy na świat przyrody, dzieląc to, co niepodzielone, i niesłusznie przypisując zwierzętom własne intencje, nasze uczucia i świadomość. Zupełnie jakbyśmy pragnęli dzielić ze zwierzętami swoją gatunkową samotność i nie chcieli dostrzec, że na tym świecie naprawdę zabija tylko człowiek – jedyna istota w pełni świadoma siebie, wygnaniec z raju i odszczepieniec, który rajską, *nieuświadomioną jedność* zamienił na *iluzję uświadomionego oddzielenia*, a całą duszą tęskni za *uświadomioną jednością*. To w imię tej tęsknoty od zarania dziejów tworzymy religijne metafory, mity i praktyki, które mają nas obudzić z egocentrycznego snu. To w imię tej tęsknoty religijne, moralne i prawne kodeksy świata uznają zabijanie za najbardziej dramatyczny i brzemienny w negatywne duchowe skutki błąd człowieka – a wyrzeczenie się zabijania za konieczny warunek powrotu do stanu pierwotnej prawdy i łaski. Odkąd bowiem nasza instynktowna umiejętność zabijania wprzęgnięta została w służbę oddzielnego „ja” – zbyt łatwo staje się nienasyconą morderczą pasją. Ale nie chodzi tu o wyzbycie się biologicznej,

instynktownej umiejętności zabijania, której w szczególnych okolicznościach, w imię ochrony i podtrzymania życia, możemy użyć – lecz o realny i świadomy wybór niezabijania.

Zwierzęta nie mają wyboru?

Pojęcie „wyboru” nie ma w odniesieniu do zwierząt zastosowania. Gdy patrzymy na przyrodę, widać wyraźnie, że życie karmi się śmiercią, a śmierć karmi się życiem. Dzięki temu dialektycznemu procesowi życie trwa, poszukuje optymalnego stanu równowagi i się rozwija.

Zwierzęta nie pozostają w jakiejś wymyślonej relacji do świata; ani go nie kochają, ani go nie nienawidzą – one są światem. Całkowicie otwarte, pokorne i niewinne są przejawem działania jednego organizmu, niewyobrażalnej całości, którą jest nie tylko ziemia, ale cały wszechświat.

Dlaczego religie tak mało skutecznie chronią dziki świat przed ludzkim zaślepieniem?

Niestety, wiele z naszych religijnych i moralnych kodeksów już u źródeł swoich prastarych fundamentów grzeszy antropocentryzmem i nie odnosi potępienia zabijania do świata istot innych niż ludzie. Stąd bierze się powszechne moralne przyzwolenie dla masowego zabijania zwierząt hodowlanych, a także dla „zabijania rekreacyjnego”, czyli myślistwa.

Ponadto – paradoksalnie – nasza religijność nader często służy iluzji oddzielnego „ja”, uznając je za boskie dzieło, swoistą replikę osobowego Boga, wyróżnienie i świadectwo wyjątkowej pozycji człowieka we wszechświecie. Znamienne, że mimo to z pokolenia na pokolenie tak wielu ludzi pragnie wyzwolić się ze złotej klatki „ja” i intuicyjnie poszukuje drogi ku pojednaniu ze światem. Zanim ją jednak znajdziemy w swoich relacjach ze światem, przyjmujemy jedno z dwóch rozwiązań: albo stosunek do świata przyrody przeżywamy w klimacie opiekuńczo-macierzyńskim, albo jest on arogancki, pełen wyższości i wrogości. Choć oba te rozwiązania w równym stopniu czynią z nas pozbawione elementarnej pokory odrębne podmioty, umieszczone na zewnątrz uprzedmiotowionego świata, to należy przyznać, że postawa opiekuńczo-macierzyńska może stanowić dobry krok na drodze ku uświadomieniu jedności życia.

Ale obie te postawy opierają się na poczuciu, że jesteśmy panami ziemi?

Tak. Nieświadomi naszego statusu grzesznych wygnańców ze zjednoczonego świata, uzurpujemy sobie pozycję jego władców albo zbawców – czyli tych, którzy mają prawo świat sobie podporządkować. Zgodnie z tym, co zapisano w Biblii, mamy ponoć na to nawet boskie przyzwolenie.

Czyńcie sobie ziemię poddaną? „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi” (Rdz 1, 28).

Aż się nie chce wierzyć, że tak to miało brzmieć. Wolę uznać, że mamy tu do czynienia z przekłamaniami dokonany w imię uzasadnienia egocentryczno-patriarchalnej dominacji nad przyrodą.

Dlaczegoż Bóg, miast do harmonii i jedności z całym światem, miałby nas skłaniać do konfliktu i dominacji? Przecież słuchając tego zalecenia i praktykując je przez wieki, doprowadziliśmy świat na krawędź katastrofy. Czy to nie wystarczający dowód na to, że coś tu jest nie tak z tłumaczeniem lub z interpretacją? W przeciwnym razie należałoby uznać, że Bóg chciał ludziom i światu zaszkodzić. Czyż nie wyszlibyśmy na tym lepiej, gdyby ten zapis brzmiał na przykład tak: „Pozostańcie z ziemią w jedności i harmonii, zaufajcie jej i troszczcie się o nią i całe istnienie, a odnajdziecie utracony raj”?

Ale jest tak, jak jest. W rezultacie nasza tęsknota za rajskim dziedzictwem stała się kołem zamachowym kultury i cywilizacji, stworzyła religię, sztukę, filozofię, literaturę, naukę i medycynę – a także obsesyjne poszukiwanie utraconego raju przez nabywanie i posiadanie rzeczy.

Jak to się ma do myślistwa?

Myślistwo jest tak ważne dla wielu mężczyzn, ponieważ zrosło się z patriarchalnym stereotypem mężczyzny i z patriarchalnym dziedzictwem kulturowym, w którym wszyscy uczestniczymy; ten jest najważniejszy i ten ma władzę, kto dostarcza żywność i umożliwia przetrwanie potomstwu. Patriarchat został zbudowany na dwóch fundamentach: na odkryciu udziału męskiego nasienia w prokreacji i na większej sprawności ludzkich samców w polowaniu – co przy braku rozwiniętej kultury rolnej i hodowli dawało mężczyznom władzę i uzasadniało ich dominację. Z czasem rozwój rolnictwa i hodowli uczynił myślistwo – jako sposób zdobywania żywności – zbędnym i rozpoczął się powolny

proces społecznej emancypacji kobiet. Myślistwo stawało się w coraz większym stopniu jedynie męskim obyczajem i rozrywką. Wydaje się, że obecnie nabiera ono wręcz charakteru rytualnego, a jego etycznie podejrzane atrybuty zostały tak zrjonalizowane, że uczyniły z niego coś w rodzaju religijnej praktyki patriarchy. Na myśliwych można więc spojrzeć jak na sektę uprawiającą kult męczyzny jako istoty wyjątkowej, powołanej do tego, by czynić sobie ziemię poddaną. Jeśli kiedykolwiek sekta myśliwska miała inną rację bytu niż poprawianie męskiego samopoczucia swoich członków – to z pewnością już dawno ją utraciła. Świat, by trwać, nie potrzebuje myślistwa, mało tego – powinien się go wyrzec. By przetrwać, ludzkość najprawdopodobniej będzie musiała wyrzec się także hodowli zwierząt, która pożera lasy i zatruwa środowisko. Musimy się kompletnie zreformować, wyrzec się tego wszystkiego, co do niedawna wydawało się strategią wystarczającą do przeżycia gatunku. W świetle konieczności tak radykalnej zmiany kult, który uprawia sekta myśliwych, jest całkowicie anachroniczny. W zachowaniu myśliwych widać rozpaczliwą potrzebę podtrzymania patriarchalnej iluzji. Wiele naszych instytucji służy podtrzymywaniu różnych iluzji – na przykład iluzji konsumpcyjnego szczęścia. Ale doktryna myśliwska wyróżnia się skrajnym, sekciarsko-ideologicznym myśleniem, tworząc zamknięty system poglądów i wierzeń, które się samopotwierdzają i są całkowicie odporne na racjonalny krytycyzm. Najbardziej niebezpieczne jest jednak to, że grupie swoich wyznawców sekta ta gwarantuje przywilej zideologizowanego zabijania dla przyjemności.

Zgodnie z konstytucją dzikie zwierzęta są własnością państwa. Według niej myśliwi i ludzie niepolujący są w sytuacji równoprawnej wobec tej sarny, którą zza drzewa obserwowaliśmy na spacerze z synem. Nie wiemy, że za chwilę ma być trafiona przez ukrytego gdzieś myśliwego celnym strzałem „na komorę”, czyli prosto w serce. Lecz nawet jeżeli nie zgodzę się na jej zabicie – to okazuje się, że nie mam żadnych praw. I chociaż jesteśmy równoprawnymi obywatelami tego samego państwa – ta sarna zostanie zastrzelona i wypatroszona. My z Jasiem i ta ruda istota o brązowych oczach nie mamy szans na to, aby ta sarna na zielonej łące pozostała żywa. Egzekucja się dokona. Ani myśliwym, ani niemyśliwym nie przychodzi do głowy, że mamy w tej sprawie jakiegokolwiek prawa! To najszybsza prywatyzacja: chodzi i żyje – własność skarbu państwa; zastrzelę – już jest moje! Zostawia się nam parę kilogramów jelit na trawie i kilka litrów krwi wsiąkniętej

w ziemię. Natomiast ci, którzy to robią w ramach hobby, dla rozrywki, tak zwanego męskiego sportu, są w porządku – mają szczególne prawa. Myśliwi, aby móc zachować status quo, nie biorą pod uwagę praw pozostałej części społeczeństwa.

Trudno obudzić w naszych umysłach nawet tę, wydawałoby się, oczywistą świadomość, że ziemia jest naszym wspólnym dziedzictwem i razem ponosimy za nią odpowiedzialność. Jeszcze trudniej uświadomić sobie prawdę o jedności wszystkiego: że ziemia to my – a my to ziemia. Dlatego łatwiej jest oburzyć się na to, że myśliwi zabijają naszą wspólną, ogólnoludzką własność, niszczą wspólne dobro, trudniej na to, że myśliwi, zabijając zwierzęta, zabijają nas i siebie.

Chciałoby się oskarżyć myśliwych o zawłaszczanie świata zwierząt i uzurpowanie sobie prawa do sprawowania w nim krwawych rządów, lecz okazuje się, że to, co wygląda na uzurpację, nie jest nią ani wedle praw boskich – zgodnie z tym, jak są one przedstawiane w większości religii – ani wedle praw ludzkich. Myślistwo istnieje i funkcjonuje w autorytecie prawa i powszechnej moralności. Prawa te zostały myśliwym demokratycznie nadane. Można powiedzieć, że myśliwi mają społeczny mandat na zabijanie zwierząt. Nikt go do tej pory nie cofnął i nie cofnie, dopóki nie zmieni się w tej sprawie powszechna świadomość. Dodatkowa komplikacja polega na tym, że ludzie związani z myślistwem często są tymi, którzy prawa stanowią. Od wieków bowiem zabijanie dzikich zwierząt było przywilejem dzierżących władzę i mających wpływy.

Prawo nie zabrania zabijania, tylko mówi, co może cię spotkać, gdy zabijesz. Niektórym ludziom wydaje się, że są poza prawem. Mogą wysłać „swoją armię”, by zabiła, ile tylko może, ludzi z „obcej armii”.

Tak, oczywiście, ale trzeba mieć na to przyzwolenie demokratycznych instytucji. Gdy dostanie się to pozwolenie, to zgodnie z ludzkim prawem wolno zabić. W tym miejscu, nie po raz pierwszy, stajemy wobec zasadniczego pytania: „Czy człowiekowi wolno dawać sobie prawo do zabijania?”.

Mówisz o zabijaniu w ogóle?

Tak. Pomyślmy najpierw o tym, co może stanowić wystarczającą moralną rację do zabicia zwierzęcia. Jest nią z pewnością zagrożenie śmiercią głodową. Takie jest niepisane prawo przyrody: jesteś głodny – możesz jeść. Ale okazuje się, że z punktu widzenia zjednoczonego umysłu i zjednoczonego świata nie ma powodu, aby nawet z tak oczywistej racji korzystać.

W tym kontekście warto przytoczyć dwie przypowieści. Pierwsza to opowieść o młodym człowieku, którego uznano za wcześniejsze, a więc nie w pełni jeszcze przebudzone wcielenie Buddy. Pewnego dnia szedł przez dżunglę, a panowała straszna susza. W zaroślach zobaczył wychudzoną tygrysykę, która miała wokół siebie kilka płaczących z głodu kociąt. Nie miała siły nawet się podnieść. Wtedy młody człowiek, by uratować życie tygrysyce i jej potomstwa, ofiarował jej do zjedzenia swoje ciało.

Ta trudna przypowieść pokazuje, na czym praktycznie może polegać bycie jednym ze światem. Człowiek stawia się ponad porządkiem przyrody i nie pozwala się zjadać nikomu. Z drugiej strony jednak sam zjada niemal wszystko, co mu wpadnie w ręce.

Druga opowieść to historia mnicha, który wiele dni szedł przez rozpaloną słońcem pustynię. Przez całą drogę towarzyszył mu wygłodniały sęp, który czekał, aż wędrowiec padnie z wyczerpania. Ale mnich wytrzymał trudy wyprawy i dotarł do krańca pustyni. Wyczerpany sęp utracił ostatnią szansę na przeżycie. Wtedy mnich wyjął nóż, wyciął sobie kawałek pośladka i rzucił na pożarcie sępowi.

Jakże krańcowo różna to postawa od uwikłanej w rytualno-ideologiczne myślistwo. Bohaterowie obu przypowieści czują się całkowicie równoprawni z całą resztą istnienia. Ponieważ korzystają z pokarmu, którego dostarcza im świat, sami też uważają się za pokarm. Wszystko podlega nieustannej przemianie i transformacji. Można powiedzieć, że wszystko jest pokarmem. Bohaterowie cytowanych przypowieści nie uważają się za nadzwyczajnych ani uprzywilejowanych. Wręcz przeciwnie. Są w daleko trudniejszej sytuacji od innych, nieświadomych istnień – mogą i muszą wybierać. Dlatego w przeciwieństwie do zwierząt, które nie pozwalają się zjadać i prawie zawsze walczą o przetrwanie, ludzie ci świadomie i dobrowolnie podejmują decyzję o ofiarowaniu siebie, dając tym samym świadectwo pełnego zrozumienia zasady życia. Oczywiście nie musimy tych przypowieści rozumieć dosłownie. Ich przekaz jest następujący: aby życie na naszej planecie mogło przetrwać, człowiek nie może stawiać siebie poza ani ponad przyrodą, nie może podążać za potrzebami swego oddzielnego, przerażonego „ja” i arogancko eksploatować wszystkiego wokół w daremnym dążeniu do komfortu i bezpieczeństwa. Aby planeta podtrzymywała życie naszego kłopotliwego gatunku, musimy umieć się poświęcać i rezygnować.

W przeciwnym razie staniemy się zabójczym nowotworem organizmu – planety, która nas rodzi i podtrzymuje przy życiu.

Na tym polega nasz trudny ludzki los i nasza odpowiedzialność: decyzja, czy postąpimy w zgodzie z Prawdą, czy też podążymy za egocentrycznym złudzeniem oddzielenia, w każdej chwili należy do nas.

Myśliwi argumentują, że pierwotną równowagę przyrody zakłóca brak drapieżników i oni muszą teraz regulować – w tym kontekście nie używają słowa „zabijać”, tylko „regulować”.

To przewrotna argumentacja. Przecież to nikt inny, tylko myśliwi wybili drapieżniki, bo zabierały tę zwierzynę, do której ludzie lubią strzelać.

Myśliwi mówią różne rzeczy być może dlatego, że gdzieś bardzo głęboko przeczuwają, iż to, co robią, nie jest w porządku.

Oczywiście.

Muszą się uciekać do racjonalizacji: na przykład o zakłóceniu pierwotnej równowagi przyrody, o konieczności opiekowania się i dokarmiania dzikich zwierząt, o jakiejś tam selekcji, o szkodach łowieckich. Szukają racjonalnego usprawiedliwienia dla zabijania. Z drugiej strony to zabijanie nazywają hobby, sportem myśliwskim, sposobem spędzania wolnego czasu, rozrywką.

W tej chwili myślistwo to nic innego jak zabijanie dla przyjemności. Nie ma na to żadnego innego, uczciwego uzasadnienia.

Współcześni myśliwi najbardziej cenią sobie trofea z byka i odyńca. Dlaczego dla polujących mężczyzn tak ważne jest, aby zabić właśnie samca?!

Myślę, że to z potrzeby rywalizacji. W ten sposób budujemy i podtrzymujemy iluzję, że ludzki samiec jest samcem najważniejszym.

Rywalizujemy z bykiem lub odyńcem?!

Tak. Samiec ze strzelbą jest tym samcem, który może zabić wszystkich innych. Czyli jest samcem dominującym, królem przyrody. Jest kimś, kogo nikt nie zjada i kto ma prawo do wszystkich samic.

Im większy zabity byk, tym większy ze mnie król?

Oczywiście, na tym to polega. Zauważyłeś zapewne, że polowaniem zajmują się często mężczyźni z pozoru silni i męscy, ale wewnętrznie załęknieni i niepewni swojej męskości.

Odnoszę wrażenie, że dla wielu mężczyzn polowanie stanowi sposób na poprawienie męskiego samopoczucia.

Zabijanie za pomocą symbolicznego penisa, czyli strzelby, potężnych, niezależnych, wiodących swoje haremy zwierzęcych samców musi dawać podświadome poczucie satysfakcji. Z pewnością reperuje wrażliwe i zagrożone męskie ego.

Paradoks polega na tym, że do niedawna zagrożone męskie ego reperowało się i sprawdzało w próbach wymagających odwagi oraz sprawności. Niegdyś, szczególnie przed wynalezieniem broni palnej, także polowanie tego wymagało.

To, co teraz nazywa się polowaniem, zaczyna coraz bardziej przypominać rozstrzelanie bezbronnych cywilów. Widziałem ambony myśliwskie przypominające luksusowe domki kempingowe umieszczone na palach. Jest wygodne miejsce do spania, chemiczne WC, elektryczne ogrzewanie, mała kuchenka, są półeczki, szafeczki, miejsce na barek. Brakuje tylko telewizora, ale przecież może być przenośny, gdyby myśliwy nudził się zbyt długim oczekiwaniem na dobry strzał przez którąś z wygodnie ulokowanych strzelnic. Czemu innemu niż czerpaniu perwersyjnej przyjemności z zabijania taki rodzaj „polowania” może służyć? Jaką wartość ma zdobyte w ten lub podobny sposób myśliwskie trofeum? Ile są warci mężczyźni polujący w sposób pozbawiony jakiegokolwiek ryzyka i niedający żadnych szans zwierzęciu?

Widzę ważny wspierający myślistwo udział kobiet w tym wszystkim. Żony myśliwych stawiają na stole dziczyznę, organizują uczyty imieninowe czy inne. Jak opisują, czują się wtedy lepsze od innych kobiet.

Pewnie odzywa się w tym jakiś kobiecy atawizm, zgodnie z którym poczucie wartości samicy wzrasta, jeżeli została wybrana przez samca zwycięzcę. W ten sposób kobiety współuczestniczą w reperowaniu poczucia męskości partnera.

I przez to „reperowanie” w świecie wzrastają wartości patriarchalne?

Z pewnością część kobiet uważa, że dla ich mężczyzn, którzy w istocie są bardzo niepewni siebie i pełni niepokoju, myślistwo może stanowić jakąś formę terapii, bo ich zdaniem pozwala uruchomić agresję i budować poczucie mocy. Ale do prawdziwej mocy, czyli do spokoju, nie tędy droga. Zamiast strzelać do bezbronnych zwierząt, lepiej spędzić choćby kilka dni samemu, bez broni, w lesie lub na pustyni.

Przestać się przebierać.

I spotkać się z samym sobą. Nakładamy na siebie tyle warstw różnych przebrań, że może nam grozić spędzenie reszty życia na ich czyszczeniu i reperowaniu. Tak większość z nas, niestety, czyni.

Skąd się bierze potrzeba przebierania się za zwycięskiego, wszechwładnego samca, pana życia i śmierci?

Ze złudzenia oddzielenia i związanej z nim rozpacz.

Zropaczeni są prawie wszyscy, a tylko niektórzy polują.

Inni biją swoje dzieci, żony i psy, uzależniają się od rzeczy, własnego wizerunku, ideologii, seksu, używek, narkotyków, nienawiści, wywołują wojny i tak dalej.

Szybko jeżdżą.

Również to. Agresja jest powszechna. Nikt z nas nie jest od niej wolny – ani ty, ani ja. Wszystko zależy od tego, czy uznamy swoją agresję za ułomność i coś, co informuje nas, że żyjemy w błędzie – czy też uznamy ją za cnotę, jak to się dzieje w patriarchalnym stereotypie męskości.

Agresja mężczyzn wynika z lęku?

Oczywiście, pod agresją kryje się lęk, a pod lękiem rozpacz... a właściwie rozpaczliwa tęsknota za powrotem do prawdziwego, duchowego domu. Agresja w ogromnej mierze służy temu, by nie kontaktować się z tą tęsknotą, żeby zakamuflować ją pozorem przewagi – władczej, zwycięskiej postawy wobec świata. Czynimy to na wiele sposobów i przy wielu okazjach. Między innymi na tym polega atrakcyjność sekty myśliwych.

Gdy strzelisz i zwierz na twoich oczach padnie, to w tej chwili, w tej sekundzie, czujesz się wszechmocny, masz poczucie całkowitego, absolutnego panowania – jesteś Panem Wszechmocnym. Jak darujesz życie, nie strzelisz, to też czujesz się Panem – tym razem Wielkodusznym.

Właśnie tak. Zawsze wygrywasz.

W raju może sarenka przytuliłaby się do ciebie, małe dziczki trącałyby cię noskami, łania podeszłaby blisko, a jej cielak szukałby w twoich kieszeniach chleba. Czułbyś jego niewiarygodnie miękkie chrapy i ciepły oddech. Nie byłoby lęku – i wtedy byś nie zabijał. Lecz myśliwy musi zabić, by chociaż przez chwilę

doznać przynoszącego ulgę i satysfakcję poczucia panowania. I powtarza to wciąż i wciąż...

Iluzja ego – chrześcijańska opowieść o wypędzeniu z raju trafnie to opisuje – wzięła się stąd, że człowiek uległ pokusie dorównania Bogu. Okazało się to jednak niemożliwe, ponieważ oddzielone ego nie jest w stanie tworzyć świata, nie jest w stanie tworzyć życia.

Ale jest w stanie niszczyć.

Tak. I niszczenie jest dla ego tworzeniem *à rebours*. Na zasadzie: skoro nie mogę stworzyć, to przynajmniej zniszczę, skoro nie potrafię stać się jednym ze wszystkim – będę to niszczył. Skoro nie mogę, tak jak mówisz, pogłaskać sarny, dziczka czy drugiego człowieka – będę go niszczył. Innymi słowy: skoro nie potrafię prawdziwie pokochać, będę nienawidził. Ale okazuje się, że to nie jest żadne rozwiązanie – bo im bardziej próbujemy zdystansować się od naszej wewnętrznej duchowej istoty, tym bardziej nasila się uczucie rozpacz.

Być może nadchodzi czas, gdy jako ludzka społeczność będziemy musieli wybrać – szukać coraz groźniejszych sposobów kamuflażu i zaprzeczania swojej rozpacz oraz tęsknocie czy w końcu potraktować poważnie to, o czym od wieków mówią prorocy, nauczyciele i święci.

Jak uwolnić się od lęku i rozpacz?

Przebudzić się z egocentrycznego snu. Doświadczyć prawdziwego siebie i przestać się utożsamiać ze złudnym poczuciem oddzielonego od reszty świata „ja”.

To jest jedyna droga?

Jedyna.

Naprawdę jedyna?!

Naprawdę jedyna.

Wiesz, jeżeli pokaże się pełnym najgłębszego egzystencjalnego lęku ludziom taką niezrozumiałą drogę, to odrzucą ją i dalej będą agresywni, ponieważ poczują się całkowicie bezradni.

Budda wyraził to prosto i do bólu uczciwie, mówiąc o tym, że życie w iluzji ego jest cierpieniem, a jedynym wyjściem z tego cierpienia jest przekroczenie tej iluzji – i że jest na to sposób.

Mam znajomego, który poluje, zabija. Czy mogę mu powiedzieć: „Przebudź się z egocentrycznego snu, doświadcz prawdziwego siebie, przestań utożsamiać się ze złudnym poczuciem odrębnego »ja«”? To jest tak niezrozumiałe!

Najpierw musimy obudzić w sobie wątpliwości co do słuszności wyborów, których dokonujemy w życiu, i zacząć zadawać sobie trudne pytania, których dotychczas unikaliśmy. W ten sposób zaczynamy kruszyć swoją arogancję i rodzi się w nas nadzieja. Potem pojawia się przeczucie, że w istocie jesteśmy w samym środku wymarzonego przez nas świata, że nigdy nie opuściliśmy domu, że byliśmy u celu, zanim uczyniliśmy pierwszy krok. Wystarczy tylko zacząć budzić się z egocentrycznego snu. Wszyscy na różne sposoby idziemy tą drogą. Dlatego ważne jest, byś tę książkę pisał z szacunkiem i ze współczuciem dla myśliwych, do których przecież kiedyś sam należałeś.

Bo brak współczucia wynika z elementarnej niewiedzy?

Oczywiście, że tak.

Rozmowa z Anną Dodziuk

Anna Dodziuk jest psychologiem, psychoterapeutą, pisarzem, wydawcą i dziennikarzem. Zawodowo zajmuje się badaniem nałogów. Należy do twórców polskiego modelu leczenia odwykowego. W mieszkaniu Anny Dodziuk jest mnóstwo książek. Są wszędzie – regały sięgają sufitu. Spotkaliśmy się zimą, a za oknami widać było piękne duże drzewa. W czasie rozmowy Ania była skupiona i uważna. Ma dźwięczny, miły tembr głosu, jest skora do żartów i lekkich kpin. Widać było, że wiele spraw przemyślała wcześniej.

*

Jakiś czas temu zdałem sobie sprawę, jak wielką wartością było kiedyś dla mnie polowanie. Wtedy wydawało mi się, że życie bez myślistwa nie miałoby żadnego znaczenia. To zajęcie chyba było nałogiem, uzależnieniem, ze wszystkimi tego konsekwencjami osobistymi i społecznymi. Mam powody przypuszczać, że to samo dotyczy wielu innych polujących mężczyzn. Być może nałóg jest też jednym z powodów tego, że gdy ktoś już zacznie polować, prawie nigdy nie rezygnuje ani z polowania, ani z tego całego oprzyrządowania myśliwskiego, którego bagaż bierze się na siebie, gdy zaczyna się polować.

Dla ludzi owładniętych jakimś nałogiem, na przykład dla alkoholików, życie bez „przedmiotu pożądania” nie ma wartości. Większość do samej śmierci nie rezygnuje z tego, żeby pić, hazardowo grać w karty czy nałogowo polować. Co to znaczy „brać na siebie myśliwskie oprzyrządowanie”?

To oznacza, że wprowadza się do domu i do swojego życia broń i szafy na nią, amunicję, stroje, samochody, psy, zwyczajnie, dziczyznę, wszystkie papiery potrzebne do polowania, że przeznaczają się na to swoje dochody i znika z domu na minimum dzień, dwa w tygodniu, czterdzieści sześć weekendów w roku.

Nie wszystkie pięćdziesiąt dwa tygodnie, bo są urlopy i święta?

Bo w marcu jest słaby sezon polowań, a poza tym w ciągu roku są jeszcze inne przeszkody, takie jak wspomniane święta.

Najkrótsza definicja uzależnienia jest taka: jakieś zachowanie wywołuje szkody w życiu człowieka, a mimo to on nie potrafi tego zachowania zaprzestać. Usiłuję zobaczyć te szkody w myślistwie – oczywiście wiążą się z nim straty finansowe, ale nie są one takie wielkie; inaczej mówiąc, polować mogą tylko te osoby, które na to stać. Na pierwszy rzut oka widać szkody rodzinne, małżeńskie i w sferze rodzicielskiej. Człowiek opanowany przez nałóg traci mnóstwo wartościowych możliwości. Ktoś mógłby rozwijać się intelektualnie albo osobiście, być pożyteczny dla innych ludzi, oddać się jakiejś twórczości – a tego wszystkiego nie ma w jego życiu. Czy to nie ogromna szkoda? Wydaje się, że tak, ale mimo to bardzo trudna do zauważenia. Niełatwo dostrzec, że polowanie może być nałogiem, również z takiego powodu, iż nie ma tu uzależniającej substancji chemicznej.

W książce twojej i Leszka Kaplera Nałogowy człowiek przeczytałem: „Zachowania nałogowe mają wspólne cechy niezależnie od tego, jakiej używki dotyczą. Wykraczają one daleko poza substancje chemiczne, wciągają człowieka i przywiązują go do czynności zazwyczaj uważanych za przyjemne, a faktycznie jałowych i nawet destrukcyjnych, angażujących energię i uwagę potrzebną do wykonywania zadań życiowych, rozwiązywania problemów oraz rozwoju”^[28].

Jest coś, co świadczy o tym, że polowanie stanowi uzależnienie, coś, co dla wszystkich uzależnień jest objawem podstawowym: bez wątpienia polowanie *reguluje uczucia*^[29]. To oznacza, że człowiek przestaje normalnie reagować na to, co może wprowadzić go w zły albo dobry humor, wywołać euforię, szczęście, lęk, cierpienie, złość – to jedno zachowanie zaczyna być głównym bodźcem wpływającym na stany emocjonalne. Z polowaniem jest jak z alkoholem: jeżeli alkoholik go nie ma, czuje się nieszczęśliwy, nie znajduje innych sposobów na zagłuszenie smutku, rozpacz, złości, wstydu, a kiedy wypije, doznaje ulgi, odczuwa radość i przyjemność. Myśliwy niewiele się od niego różni: polowanie pomaga mu nie zajmować się – a przynajmniej nie przejmować się – niczym innym, nie dopuszczać do głosu trudnych uczuć, służy mu do nieodczuwania i z czasem staje się jedynym źródłem pozytywnych przeżyć.

Niezależnie od tego, co steruje twoimi uczuciami – picie alkoholu, zażywanie narkotyku, hazard, chore korzystanie z internetu czy na przykład polowanie – jeżeli staje się najważniejszym źródłem twoich emocji, zaczynasz żyć w nierzeczywistości. Bo twoja codzienność, praca, kontakty z ludźmi – i tymi

najbliższymi, i innymi – wszystko to przestaje być najistotniejsze emocjonalnie, przestaje być źródłem pozytywnych i negatywnych emocji. Zamiast tego większość istotnych przeżyć zaczyna wiązać się z nałogowym zachowaniem – czyli w tym wypadku z polowaniem. Możesz zepchnąć w tę przestrzeń każde niewygodne uczucie, a wówczas nie musisz sobie z nim radzić, bo koncentrujesz się na perspektywie, że wyjedziesz na polowanie i wtedy będziesz miał swoje prawdziwe życie i emocje. To bardzo przypomina narkotyzowanie się: masz sztucznie wytworzone życie emocjonalne o wielkiej wartości wyłącznie dla siebie – i to jest dla mnie podstawową wskazówką przy określaniu, czy jest to uzależnienie, czy nie. Dodatkowe powikłanie polega na tym, że będąc w trakcie czynnego nałogu, prawie nic nie rozumiesz z tego, co się z twoim życiem dzieje.

Przypominam sobie uczucie, które nieodłącznie towarzyszy polowaniu, a nie jest ujawniane, ponieważ bezpośrednio wiąże się z aktem zabijania. Trwa krótko i jest intensywne – to poczucie ogarniającego całe ciało spokoju, gdy celnie strzelisz i zwierzę zwala się w ogniu strzału. Czasami w agonii miota się na śniegu, próbuje wstać... pada... czołga się... i znowu... Jego ciało na śniegu zostawia krwawe ślady. Myśliwi mówią: „Pisze na śniegu”. Ostatni list. W końcu nieruchomieje. Koniec. I wtedy w ciało strzelającego wlewa się na moment poczucie wyraźnego spokoju. W życiu myśliwego ten akt jest wciąż ponawiany.

Ten rodzaj spokoju, o którym mówisz, to stan emocjonalny pojawiający się w momencie, kiedy zażyje się, będąc „na głodzie”. Znaczna część nałogowców nie dopuszcza takiego momentu głodu. Ale gdy on już wystąpi i w końcu na przykład coś się wypije, to człowiek ma uczucie, że ten moment spokoju rozlewa się po całym ciele. Myślę, że to musi być jednak nie tylko to, o czym mówisz, ale także fakt, że został zaspokojony jakiś brak, że dokonuje się jakieś spełnienie.

W czasie polowania myśliwy ma poczucie spełnienia między innymi dlatego, że otrzymuje różne natychmiastowe gratyfikacje: na przykład jeśli zabije jakieś zwierzę, zostaje królem polowania, koledzy dekorują takiego myśliwego medalem i mu zazdroszczą. A poza tym coś upolował. Poluje się przecież po to, żeby coś upolować!

Poluje się, żeby upolować? To nie jest do końca jasne. W wypadku zachowań nałogowych wszystkie elementy tej sekwencji są w jakimś stopniu potrzebne. To mit, że poluje się, żeby upolować, tak jak mitem jest – od pewnego momentu – że

człowiek pije, aby wprawić się w dobry nastrój. Albo że bierze narkotyki, żeby mieć piękne wizje i móc je potem namalować. Jeśli spojrzysz na polowanie od strony nałogowej, to okaże się, że dobrze działa już samo to, że zaczynasz się pakować, zbliża się pora wyjazdu i spotykasz kolegów – że te wszystkie czynności przygotowawcze już się dzieją. To działa bardzo nagradzająco. Nie poluje się po to, żeby upolować – poluje się po to, żeby polować. Tak jak pije się po to, żeby pić. Mój sposób myślenia w kategoriach uzależnień tak każe to interpretować.

Następną ważną sprawą jest możliwość wyłączenia się z życia, gdy wyjeżdżam na polowanie. To jest genialne! Od piątkowego popołudnia przez sobotę i niedzielę przebywam na polowaniu – przecież jestem myśliwym! A gdy jestem na polowaniu, prawie nic z życia zostawionego w domu czy w mieście mnie nie obchodzi. Jestem z kolegami, ze zwierzyną, w lesie, poluję, oprawiam i przewożę zabite zwierzęta, jem, śpię, pracuję – jakąś ambonkę się zbuduje, coś się z kolegami wypije, pożartuje i żadne problemy do tego lasu dostępu nie mają. Jestem w znacznym stopniu chroniony przed wszystkim, co mogłoby mnie zabołeć lub sprawić kłopot w życiu „zewnątrznym”.

Nie tylko zabołeć, ale przestraszyć czy rozgniewać. To jest po prostu ucieczka od życia. Zobacz, jakie to niesamowicie podobne do uzależniających substancji chemicznych z ich działaniem znieczulającym. W tym, co mówisz, widać jeszcze działanie *nałogowego mechanizmu iluzji i zaprzeczania*^[30]. Podobnie jak alkohol polowanie służy do zniekształcania rzeczywistości. Osoba uzależniona stwarza sobie cały iluzoryczny, nierealny świat po to, żeby nie być w świecie rzeczywistym. Dokładnie tak samo jest z chemicznymi uzależnieniami, które mogły się pojawić z różnych powodów, ale od pewnego momentu ich dynamika rozwoju jest podobna. Znam człowieka, który zaczął pić bez żadnych problemów natury emocjonalnej, po prostu przeszedł operację nerwu trójdzielnego i w związku z tym odczuwał potworne bóle, które usiłował złagodzić za pomocą alkoholu. Potem wykurował się, ból ustał, ale on zdążył się uzależnić. Przyczyny mogą być różne, ale nie mają większego znaczenia dla analizy uzależnienia. Jedno jest pewne: nikt tego nie robi celowo, nikt nie ma zamiaru wpadać w chorobę. Dlatego pytania „po co?” i „dlaczego?” nie mają sensu. Ale kiedy uzależnienie już się rozwinie – postępuje w sposób bezlitosny. Człowiek traci zdolność do radzenia sobie z życiem, ponieważ ma łatwy sposób, który mu wszystko zastępuje.

Z czasem nałóg zastępuje mu nawet to, co kiedyś było dla niego w życiu najważniejsze. Czy znasz jakieś osoby, które stanęły wobec dylematu: rodzina czy polowanie?

Raczej nie. Życie w rodzinie polującej...

Przecież to nie rodzina poluje.

Oczywiście, że rodzina poluje! Nie w sensie dosłownym, ale na co dzień myśliwski sposób życia jest jej udziałem. Nie da się żyć z myśliwym, nie przyjmując skutków jego sposobu życia. Czas ojca przeznaczony na polowanie jest trwale wpisany w funkcjonowanie rodziny. Ma ona tak urządzone życie, żeby polowanie było możliwe. Z dziećmi w tej sprawie się nie dyskutuje. A żona? Nierzadko bywa tak, że myśliwy mówi do żony: „Dobrze, jeżeli domagasz się, żebym tym razem nie pojechał na polowanie, zostanę w domu”. I w domu robi się tak nieznośnie, że w następnym tygodniu żona już tylko czeka, żeby mąż wyjechał na to swoje polowanie i żeby zapanował spokój. Jest takie powiedzenie wśród myśliwych: „Jeśli nie możesz wyjechać na polowanie – pokłóć się z żoną”.

To mi coś przypomina! Częste opowieści alkoholików o tym, jak wywoływali awantury po to, żeby wyjść i się napić. Zawsze myślałam, że to taka alkoholowa gra w małżeństwach, w których mąż pije, tymczasem okazuje się, że nie tylko. Alkoholicy – dopiero gdy już trochę przetrzeźwieli w trakcie leczenia – zaczynali zauważać, co robili w przeszłości, kiedy aktywnie pili: każda błahostka była dobrym pretekstem do tego, by oskarżyć żonę, trzasnąć drzwiami i pójść się napić. To jest po prostu bliźniaczo podobne do wszystkiego, co dzieje się w rodzinach, w których jest alkohol. Mąż robi piekło – dlaczego? Po prostu jest na głodzie, ma zespół odstawienia. Tak naprawdę chodzi o to, że ciężko jest bez obiektu swojego uzależnienia wytrzymać. Moim zdaniem część myśliwych nie miałaby nic przeciwko temu, żeby raz na jakiś czas zostać z rodziną w domu. Tylko nie są w stanie! Na tym właśnie polega nałóg: jego podstawowym objawem jest wewnętrzny przymus.

Następna istotna dla myśliwego sprawa wiąże się z tym, że tydzień w tydzień zabija zwierzęta. Aktywny myśliwy może w ciągu swojego życia zabić sporą liczbę ptaków, innego drobiazgu polnego i leśnego, ale także dużych zwierząt. Wystarczy przeliczyć, zakładając, że przez trzydzieści lat polowania zabija przysłowiową „jedną kaczkę na tydzień”. Jeżeli ciągle się to robi, nie da się żyć inaczej, niż

odcinając się emocjonalnie od zadawanych śmierci i bólu, a bywa, że od okrutnego cierpienia. Mniej więcej co piąta zadana śmierć wiąże się ze ściganiem rannego zwierzęcia, dochodzeniem i dobijaniem poharatanego kulami, jeszcze żywego zwierzęcia. Trzeba patrzeć w gasnące oczy.

I trzeba patrzeć na to z bliska?

Tak. I dopiero wtedy trzeba rzeczywiście zabić, uczestniczyć w tym z bardzo bliska i w pełni. Widzieć, jak ostatnia kula targa poranionym ciałem zwierzęcia i jak uchodzi z niego życie. Polowanie, o którym do tej pory rozmawialiśmy, to polowanie wirtualne, podobne do gry komputerowej. Siedzę na ambonie, coś widzę przez okienko, rozpoznaję, wysuwam lufę przez otwór, strzelam i to „coś” znika. Idę za dwadzieścia minut na miejsce strzału i to „coś” leży – kawałek dalej lub w miejscu, gdzie dosięgła go kula. Ale to jest tylko martwe ciało.

Wcześniej nie idziesz, bo ranne zwierzę mogłoby cię poranić?

Poranić? Nie, nie spotkałem się z tym. Etyka myśliwska mówi, że trzeba dać zwierzęciu umrzeć. Moim zdaniem bardziej chodzi o to, żeby samemu nie widzieć śmierci. Bo to jest okropne i przejmujące do szpiku kości zdarzenie, kiedy ogląda się umieranie i śmierć. Tym bardziej że samemu się ją zadało. Powiedz mi, czy może być tak, że swoją wrażliwość mam przez pięć dni w tygodniu, na dwa dni, gdy poluję, tracę ją, żeby móc zabijać, a potem znowu ją odzyskuję na inne dni? Czy to ma wpływ na pozostałą część mojego życia?

A jak sądzisz? Przecież musi mieć wpływ.

Tak podejrzewałem. W związku z tym generalnie staję się mniej wrażliwy i uczuciowy, bardziej pancerny. Wtedy życie mniej boli. Różne zdarzenia, które przytrafiają się mojej rodzinie, w pracy, w związkach z bliższymi i dalszymi ludźmi – niosą radości, ale też przykrości, choroby, śmierć. Relacje między ludźmi często są trudne, ale te trudności prawdopodobnie mniej mnie dotyczyły, gdy polowałem. Przecież stale ćwiczyłem się w odcinaniu od dostrzegania cierpienia, które sam zadawałem.

Wszyscy mamy skłonność do dystansowania się od bólu. Ale w życiu nie da się uniknąć bolesnych spraw. I gdy zmagamy się z problemami, wykształcamy w sobie różne umiejętności: na przykład zdolność wspierania innych, kontaktowania się z cierpieniem na różne sposoby i umiejętność przyjmowania wsparcia. Jeżeli się tego nie robi, nie wykształcimy w sobie tych zdolności. Wtedy mamy większą

skłonność do odcinania się od trudnych sytuacji. To oczywiste. Można powiedzieć, że wobec tego człowiek nie tylko działa na rzecz swojego opancerzenia czy coraz większej wewnętrznej twardości, ale również akceptuje to, że z upływem czasu coraz mniej potrafi.

W tygodniu człowiek ma żonę, gdzieś pracuje albo jest szefem czegoś, irytuje go to czy tamto, czuje się szarpany, naciskany. Życie czasami mu dokucza, boli, bo nie jest przecież zdrewniałym psychopatą. Ale ma taki cudowny wentyl: „Jadę na polowanie! Jadę »na kaczki«, »na rogacza«, »na dziki«, »na rykowisko«, »na bazanty«. Jak mnie boli, to idę sobie do lasu. Wtedy las mnie znieczula na tych kilka czy kilkanaście godzin”.

Słuchaj, to znowu jest jakiś mit, jakaś fałszywa świadomość. Gdyby las cię uspokajał, to spacerowałbyś po nim, siedział pod drzewem, oglądał. A tobie chodziło nie o spokój, tylko o ten wyrzut adrenaliny, o tę chemię, która powstaje w organizmie. Wcale nie o las, tylko o to, że cię elektryzuje, kopie po emocjach. To jest właśnie uczucie, o którym wspomniałeś – masz wrażenie, że przez chwilę nad wszystkim panujesz. Gdy idziesz do lasu, żeby pobyć w lesie, wydzielają się hormony spokoju i przywiązania, które sprawiają, że człowiek uspokaja się w sposób naturalny. Natomiast jeśli idziesz do lasu zapolować, to jesteś na haju, w euforii, prowokujesz organizm do wydzielania zupełnie innych hormonów. Dostarczasz sobie dawkę sztucznego szczęścia, zadowolenia, uspokojenia, satysfakcji, spełnienia.

Proszę nie mylić tych dwóch rzeczy: że las uspokaja i że polowanie uspokaja, ponieważ to się dzieje na zupełnie innej zasadzie. To trochę przypomina różnicę między medytacją a boksem – jak posiedzisz i pomedytujesz, wycisza cię to w sposób naturalny, poprawia krążenie, uspokaja oddech, ciśnienie – takie procesy zachodzą w organizmie; a jeśli idziesz potrenować boks, wydzielają się adrenalina i endorfiny. Bardzo proszę, żebyś nie porównywał tych dwóch rzeczy. Dobrze wiesz, że myśliwym tak naprawdę nie chodzi o las. Las jest tu tylko koniecznym elementem wystroju. Gdyby jakieś dzikie zwierzęta żyły w kanałach i gdyby tam nie śmierdziało, to bardzo prawdopodobne, że można byłoby tam schodzić na polowanie i mieć ten sam efekt bez żadnego lasu. Jestem o tym absolutnie przekonana.

Kiedyś z kolegami strzelaliśmy zimą, w lutym, do zajęcy w ogródkach działkowych pomiędzy gęsto ustawionymi maleńkimi domkami i szklarenkami. Pamiętam, jak śrut dzwonił po szybach. Zajęce na otwartych polach w tym okresie znajdowały się już pod ochroną, bo były w zaawansowanej ciąży – w marcu rodzą się pierwsze zajęczki. W ogródkach działkowych wolno było w lutym strzelać do nich legalnie. Nikt z nas nie myślał o tym, co się dzieje w brzuskach zajęczych samic. To, co powiedziałaś o polowaniu w kanałach, przypomniało mi tamto zdarzenie.

Ty sam tę chemię kiedyś odczuwałeś. Byłeś myśliwym, więc wiesz, jaka jest różnica pomiędzy polowaniem a spacerem bez strzelby z rodziną w lesie. „Ale nudno było!”. Nudno! No właśnie!

Chodziłem po lesie i patrzyłem, gdzie są jakieś ślady zwierząt. Prowadziłem rodzinę specjalnie w takie miejsca, gdzie mogłem popatrzeć, czy coś interesującego dla myśliwego tam się dzieje.

Gdybyś nie był uzależniony od polowania albo poszedł na odwyk, bardzo prawdopodobne, że wchodząc do lasu, poczułbyś, jak cudownie tam pachnie, zobaczyłbyś, że są rośliny w różnym stadium rozwoju, a niektóre z nich są absolutnie fantastyczne. Może zwróciłbyś uwagę, jak bluszcz oplata drzewo albo jak grzyby wychylają się spod darni. Mógłbyś dostrzec różne rzeczy, które zwłaszcza dzieci zauważają. Kiedy idziesz w inne miejsce lasu, pachnie tam mokrą ściółką, roślinność inaczej wygląda w jarze czy na polance. Gdy idzie się do lasu po południu, padające z boku światło słoneczne fantastycznie zmienia otoczenie. Albo jeśli tam są leszczyny – które mają zwisające gałęzie – można pod taki okap wejść, posiedzieć przez chwilę i popatrzeć stamtąd na las. Zdarzyło mi się parę razy zrobić sobie majówkę pod takim okapem z leszczyny: siadamy,jemy jakieś kanapki i jest wspaniale.

Jeżeli jesteś owładnięty ideą polowania, prawie wcale tego nie dostrzegasz, to na ciebie nie działa. W związku z tym jakiś rodzaj zadowolenia z głębokiego kontaktu z przyrodą jest dla ciebie w ogóle niedostępny. Tylko idziesz i się nudzisz – to samo opowiadają osoby, które są uzależnione od substancji chemicznych. Kiedy w czasach picia rodzina prosiła ich: „Jedźmy na urlop, chodźmy w niedzielę na spacer, posiedź trochę z nami” – było im nieznośnie nudno. To nie jest specyficzna cecha kogoś, kto poluje. Las działa na wiele

zmysłów naraz, ale żeby to zobaczyć i poczuć, trzeba mieć na niego nienałogowe spojrzenie. Gdybyś wiedział, jak strasznie męczą się pracoholicy, kiedy idą do lasu! Jeszcze bardziej niż alkoholicy.

Ile myśliwy ma strzelb?

Z reguły dwie, czasami więcej.

Do różnych polowań?

Tak. Zazwyczaj dubeltówka i sztucer zupełnie wystarczają. Ale można cudować, kiedy ma się dużo pieniędzy. Nie najgorszy dryling kosztuje dwadzieścia pięć tysięcy.

Co to jest „dryling”?

To broń, która ma trzy lufy, dwie śrutowe i kulową. Kiedy na przykład siedzi się na ambonie i wyjdzie lis, to go można zastrzelić ze śrutu, a jak wyjdzie łania, to się ją zastrzeli z kuli.

Dwa w jednym!

Są różne kombinacje, czasami dwa w jednym o dwóch lufach, śrutowej i kulowej, albo jeszcze inaczej. W marcu, kiedy mało się poluje, to się ją czyści, poleruje, likwiduje jakieś ryski, naprawia sprzączki, całość się rozbiera i oliwi.

Ta opowieść przypomina mi zachowanie górali. Część z nich to naród bogobojny, ale zarazem bardzo trunkowy. Niektórzy, jeśli mają surowego proboszcza (był kiedyś taki wymagający ksiądz w Białce Tatrzańskiej), w miesiącu trzeźwości, czyli w sierpniu, albo podczas wielkanocnego postu postanawiają nie pić. I rzeczywiście nie piją, ale w tym czasie oddają się licznym opowieściom i czynnościom przygotowawczym. To jest dobre z tym marcem! Miesiąc wymuszonej abstynencji! Pewnie z przykrymi objawami odstawienia!

Kiedy człowiek ma broń na ramieniu, obdarzany jest przez innych ludzi, którzy takiej broni nie mają, pewnego rodzaju respektem – zupełnie słusznie. Broń zabija, człowieka też. Po to jest. Sądzę, że ten respekt jest wywołany lękiem, bo cóż to za powód do obdarzania kogoś szacunkiem: że ten ktoś umie celnie trafić w serce? Broń zabija! Po to jest! Człowieka też potrafi zabić. Jestem pewien, że ludzie z bronią mają często poczucie mocy i władzy połączone z takim dziwnym, przyjemnym łaskotaniem wewnątrz. Nadają milczący komunikat: „Warto okazywać mi szacunek”. A z przyjmowanym podziwem i respektem cholernie trudno się rozstać, choć przecież technicznie nie ma nic trudnego w rozstaniu się z bronią na

zawsze. Widziałem tylko jednego człowieka, który postawił się facetowi z bronią. Tamten myśliwy był pijany, wygrażał nabitym sztucерem, ale Janek się nie bał. Chwycił za lufę, wyrwał mu tę flintę i schował gdzieś w stodole. Po dwóch dniach uległ prośbom i przeprosinom i broń oddał.

Po przeczytaniu tego, co napisałeś o polowaniu, czekając na rozmowę z tobą, parokrotnie miałam taką fantazję: pojawia się ktoś z bronią i... co ja wtedy zrobię? Nigdy mi się nie zdarzyło zetknąć z bronią, z wyjątkiem sportowej. Ale myślę, że wystarczająco często konfrontują nas z taką sytuacją filmy i telewizja i dlatego w każdym jest dużo tego strachu. Chyba każdy może sobie wyobrazić, że jest silniejszy dzięki posiadaniu broni – to daje poczucie mocy, absolutnie się z tobą zgadzam. Od czasu do czasu trafiamy na doniesienia prasowe o wykorzystywaniu takiej przewagi. Zdarza się to raczej wojskowym niż myśliwym: ktoś w mieszkaniu, na podwórzu czy na klatce schodowej strzela do swojej rodziny.

Według danych Ministerstwa Sprawiedliwości rocznie w Polsce z powodu użycia broni cywilnej ginie około czterdziestu osób, nie mówiąc już o zranieniach, często poważnych i niosących kalectwo, których jest wielokrotnie więcej.

Rozumiem, że są to głównie osoby postrzelone przypadkiem.

Tak. W Polsce jest ponad sto tysięcy myśliwych, strzelają cały rok, oddają wiele milionów strzałów. A gdy się strzela – to albo się zabija, albo pudłuje. Czasami zabija się nie to, co się chce. Chociaż nikt by tego nie chciał, tak jest i statystycznie być musi, gdy używa się broni w otwartej, ogólnodostępnej przestrzeni na tak dużą skalę. Znany mi człowiek z kilku metrów strzałem ze śrutu prawie odstrzelił w kuchni synowi rękę. Obok mojego ojca było ciężkie postrzelenie – kula ze sztucera trafiła w udo kolegi. A kula myśliwska robi ogromne spustoszenie, wyrywa całe mięśnie. Kość udowa była bez osłony mięśni, pewnie została uszkodzona przez kulę i kiedy kolega upadał – strasznie trzasnęła. Gdy byłem kilkunastoletnim chłopcem, w sąsiednim obwodzie łowieckim myśliwy zastrzelił w lesie młodą dziewczynę, która pasła krowy – zeznawał, że strzelał do sarny. Ten człowiek zakopał dziewczynę w lesie, pomagał mu w tym kilkunastoletni syn, który go potem wydał. Sekcja zwłok wykazała, że dziewczyna przed zakopaniem jeszcze żyła.

(Milczymy długo).

W dawnych czasach w Europie polowanie na duże zwierzęta było przywilejem elit, władców, arystokracji. Po wojnie stało się bardziej egalitarne. Teraz elitarność powraca, bo myśliwi chcą być elitarni. Bariery dostępu do elity są pieniądze: myślistwo kosztuje coraz więcej, obrasta w coraz droższe zabawki i wciąga kręgi coraz zamożniejszych ludzi. Myśliwi mogą kogoś przyjąć do swojego towarzystwa albo nie – w ten sposób zaspokajają tęsknotę za elitarnością. Żeby zostać myśliwym, dobrze jest mieć pieniądze, wpływy albo myśliwego w rodzinie, bo krewnym myśliwego raczej się nie odmawia. To poczucie przynależności do elity ma coś dać, zaspokoić jakiś głód. Mam wrażenie, że w świecie mężczyzn powszechne jest niskie poczucie własnej wartości, brak szacunku do siebie, poczucia sensu życia, spełnienia. Jest mi smutno, bo widzę nas, mężczyzn, jako część rodzaju ludzkiego godną największego współczucia. I nie ma w tym żadnych podtekstów. Mam żal, że właśnie tak to wygląda, i czuję tęsknotę za zwykłą, nienapiętą i nierywalizującą męską przyjaźnią. Ta wartość wśród mężczyzn w naszej kulturze występuje coraz rzadziej. Pośród nas żyje się nielekkko. Bywamy neurotyczni, wściekli, gotowi do ataku, do agresji albo do manipulacji i czasami niezbyt fair rywalizujemy ze sobą.

Mężczyźni są godni największego współczucia, całkowicie się z tobą zgadzam. Zdarzało mi się w praktyce psychoterapeutycznej prowadzić męską grupę, znam też liczne opowieści kolegów, którzy prowadzili takie grupy. Jeżeli zgromadzi się w jednym pomieszczeniu mężczyzn, którzy nie mają ze sobą wiele wspólnego, i na chwilę zostawi się ich samych, to poziom napięcia, gotowości do ataku i obrony, agresywności skacze tak wysoko, że prowadzącemu trudno potem sobie z tym poradzić.

Jeżeli jako mężczyzna mam poczucie, że należę do elity – w tym wypadku myśliwskiej – to moje samopoczucie może się poprawić. Elitarność podkreśla się w sposób przyjęty przez całą społeczność myśliwską, na przykład poprzez sposób ubierania się, zachowania, rodzaj samochodu czy tematykę rozmów.

Rozmawia się przede wszystkim o polowaniu i o broni, istnieje zbadana socjologicznie rytualna konwencja, w której mieszczą się różne rodzaje opowiadań myśliwskich. Rozmawia się również o samochodach, psach, kobietach, czyli na tak zwane dyżurne męskie tematy, przyjęte jest żartowanie w specyficzny, rubaszny sposób. Innych tematów raczej się nie porusza. Robi się sobie wzajemnie różne

świństwa i świństewka, ale nie po to, żeby się wzajemnie wykończyć. Jako grupa społeczna jesteśmy gotowi natychmiast bronić myślistwa i na dodatek od razu wiemy, co robić – obojętne, czy ktoś jest ministrem środowiska, marszałkiem sejmu czy rolnikiem.

Przykłady, które przytaczasz w swoich tekstach, są bardzo przekonujące.

Myślę, że opisujemy właśnie jeden ze składników uzależnienia. Bardzo trudno bowiem rozstać się z czymś, co przydaje mi poczucia własnej wartości; nie chcę wystawiać na ryzyko swojego raczej niepewnego samopoczucia i powiedzieć: „Rozstaję się z polowaniem”. Trudno zrezygnować z przynależności do elity, jeżeli już raz się w niej zagościło, niezależnie od tego, jak ją nazwać – polityczną, finansową, wynikającą z urodzenia czy związaną z tym, że razem polujemy. W kolejnych kadencjach sejmu i senatu bywało, że co szósty poseł i senator byli myśliwymi. Myśliwi w Polsce mogli czuć się elitarnie. Jeden z posłów utworzył nieformalne, wpływowe myśliwskie lobby. Mówi się, że tak naprawdę Polski Związek Łowiecki rządził wtedy krajem. Widziałem świetny rysunek Marka Raczkowskiego w „Przekroju”: człowieczek przechodzi obok bramy rządowego gmachu przypominającego sejm, w której stoją strażnicy, i pozdrawia po myśliwsku: „Darz Bór”. Przytomnie się zachował, jeśli chciał przypochlebić się elicie.

To jest żart dla wtajemniczonych.

Chyba też jesteś wtajemniczona, bo bardzo cię ten żart rozbawił!

No tak, bo już się zrobiłam w związku z naszą rozmową trochę wtajemniczona. Zróbmy jednak porządną analizę myślistwa od strony objawów i mechanizmów uzależnienia: występują czy nie? A jeżeli występują, to w jakiej postaci? Zrobimy diagnozę i przymierzmy do tej sytuacji kryteria uzależnienia, weźmiemy listę objawów i sprawdzimy, czy pasują. Jeżeli tak, to znaczy, że choroba czy uzależnienie występuje; jeśli pasuje siedem albo osiem objawów z dziesięciu – mamy do czynienia z zaawansowanym uzależnieniem. Następnie warto przeanalizować, jak uzależnienie od polowania przejawia się w życiu człowieka. Czy działa podobnie jak inne uzależnienia, czyli służy do nałogowego regulowania uczuć oraz do budowania systemu iluzji i zaprzeczania, i czy wokół tych dwóch mechanizmów kształtuje się specyficzny tryb życia. Czy uczucia, myśli i zachowania – ta psychologiczna trójca – są podporządkowane uzależnieniu.

Pierwszym kryterium uzależnienia jest więc przymus używania: „Silna potrzeba skorzystania z nałogowego zachowania oraz towarzyszące jej poczucie, że jeśli tego nie zrobię, to nie poradzę sobie, będę czuć się gorzej, coś się ze mną stanie, nie mogę się powstrzymać, czuję, że muszę to zrobić, choćby nie wiem co. Myśl o zaprzestaniu, powstrzymaniu się, porzuceniu nałogowego zachowania budzi opór oraz lęk, złość i irytację”.

I teraz możesz wypełnić to treścią. Jednak w twoich opowieściach coś jest wyraźnie dostrzegalne. Weźmy tylko same słowa „nikt nie porzuca polowania”. Chociaż wyobrażam sobie, że wśród ponad stu tysięcy myśliwych musi być wiele sytuacji, w których pojawiają się powody do porzucenia czy znacznego ograniczenia polowania. Na przykład ktoś w rodzinie ciężko się rozchorował i w związku z tym pojawiła się potrzeba stałej obecności drugiej dorosłej osoby w domu. Zwykle takiej opieki podejmuje się kobieta, a mężczyzna bardziej włącza się w codzienne obowiązki rodzinne, jak opieka nad dziećmi czy dbanie o zaopatrzenie. Wyobrażam sobie, że dla kogoś, kto poluje, nie jest to jakiś szczególny powód do zmiany swoich zwyczajów i powstrzymania się od wyjeżdżania na polowanie.

Nie odmawiałbym myśliwym ludzkich odruchów. Patrząc na moich bliskich i rodziny kolegów myśliwych, wiem, że zaopiekują się bliską osobą, ale zorganizują to w taki sposób, żeby móc chociaż trochę polować. Moja córka urodziła się drugiego grudnia, bardzo na nią czekałem i z zapalem zająłem się wszystkim. A trzynasty grudnia był wręcz bajkowym zimowym dniem i wyjechałem na zbiorowe polowanie na zające. Niestety, zmuszeni byliśmy wrócić do domu, bo zatrzymało nas wojsko. Właśnie wprowadzono stan wojenny i musieliśmy oddać broń do depozytu, co myśliwi odebrali jako osobiste nieszczęście. A sytuacja, o której mówisz? Kiedy ktoś w domu ciężko choruje i trzeba zająć się dziećmi, żoną, zarabianiem na to wszystko, odkurzeniem i karmieniem rodziny, wtedy jestem tak zajęty, że nie mam czasu porządnie się wyspać. Natomiast pomysł, że w związku z tym komunikuję kolegom: „Słuchajcie, przez rok, dopóki to wszystko się nie wyklaruje, nie będę polował” – jest nierealny, taka myśl nie może się pojawić, bo dla myśliwego jest zbyt przerażająca. Sytuacja życiowa, w której nie mogę polować, jest bardzo przygnębiająca.

Jeśli już zdarzy się konieczność ograniczenia, człowiek opanowany przez nałóg jest tak nieszczęśliwy! Myślę, że można znaleźć więcej sytuacji, gdy z jakiegoś powodu – chrzciny, egzaminy, przeprowadzka albo innego rodzaju ważna sprawa – jednak nie jedzie się na polowanie. Jak się człowiek wtedy czuje?! Zirytowany, nieswój, nie może sobie znaleźć miejsca, nudzi się, wszystko jest nie tak?... Czy ja opowiadam coś nieprawdziwego?

Nie.

Nie opowiadam tego na podstawie dogłębnej znajomości duszy osoby, która poluje. Mogłaby to być spokojnie opowieść o pracoholiku, o alkoholiku oczywiście też. Ale również o kimś, kto jest uzależniony od osoby – i ta osoba się nie pojawia. Nie ma – moim zdaniem – żadnej wątpliwości co do tego, że przymus wewnętrzny tu występuje.

Po wydarzeniu, jak przykładowe chrzciny, ma się uczucie, jakby osaczyło człowieka coś obcego. I gdy uda się już pojechać na polowanie, czuje się ulgę: „Ach, nareszcie jestem u siebie!”. I te całe chrzciny zostają z człowieka zmyte.

Następnym objawem jest „Sztywny schemat postępowania, powtarzająca się w określonych sytuacjach sekwencja takich samych czynności czy zachowań, nieadekwatna i trudna do zatrzymania bądź zmiany. Jeśli coś uruchomi serię nałogowych czynności, bardzo trudno ją zatrzymać”.

Kiedy opowiadasz o myśliwskim sposobie życia, to widzę, że wyjazd na polowanie zaczyna się już w piątek od rana, jeśli nie w czwartek wieczorem.

Zaczyna się we wtorek.

Zaczyna się we wtorek?! Hm... Zatem jest to cały rytuał. Najpierw myślę, potem planuję, potem powoli się przygotowuję: czyszczę broń, pakuję się, umawiam się z kolegami, jak schodzę na dół do samochodu, to znoszę przy okazji jakieś części sprzętu. Skoro, jak mówisz, zaczyna się we wtorek, to oznacza, że polowanie nadaje ton życiu od wtorku do niedzieli, a zapewne niekiedy też w poniedziałek, bo być może wtedy konsumuje się to, co się przywiozło. Czyli prawie cały tydzień jest zasnuty sprawami polowania.

To, co się przywiozło, konsumuje się cały tydzień. Moją rodzinę żywiłem dziczyzną – taką miałem ambicję. Niczego innego raczej nie jedliśmy.

Powiadasz, że nie tylko trzeba się umówić z kolegami na polowanie, wyjechać i polować, ale jeszcze załatwić wiele spraw w związku z działaniem koła

łowieckiego i oczywiście samym polowaniem. Zdaje się, że to przekracza moją wyobraźnię.

Należy jeszcze pamiętać, że jeśli się coś upolowało, trzeba to oporządzić, oprawić, wypreparować, wygarbować skóry, wyeksponować dzicze zęby zwane przez myśliwych szablami czy rogi jelenia zwane porożem, przygotować czaszki zabitych zwierząt jako trofea do obowiązkowej oficjalnej wyceny, a potem powiesić je na ścianach oraz przetworzyć to całe mięso, dopóki jest świeże. Bo jeżeli moje polowanie ma być doceniane, to staram się być także bardzo dobrym oprawiaczem i kucharzem.

Można powiedzieć, że są to stałe sekwencje i – gdyby ktoś miał ci powiedzieć w okolicach czwartku albo jeszcze gorzej – piątku: „Słuchaj, jest taka sytuacja, że nie będziesz mógł pojechać” – wyobrażam sobie, że musiałyby to wzbudzić bardzo stanowczy protest.

No pewnie! Po to żyję i po to pracuję, żebym mógł wyjechać na polowanie. Bardzo bym protestował!

Czyli „powtarzająca się w określonych sytuacjach sekwencja takich samych zachowań czy czynności, trudna do zatrzymania” niewątpliwie tutaj występuje.

Tak. Tydzień po tygodniu.

No to przejdźmy do następnego objawu. Jest to „System przekonań utrwalający nałogowe zachowanie. Chodzi najczęściej o pomniejszanie strat, eksponowanie zysków, minimalizowanie potrzeby i możliwości zmiany. Przekonania te uruchamiają się zwłaszcza w odpowiedzi na pytanie: »Co by było, gdybym od zaraz miał przestać?«”.

Jest to objaw bardzo interesujący, bo pokazuje zdumiewające meandry intelektualne podtrzymujące nałóg. Ale nie chciałabym wyobrażać sobie, jak to jest w przypadku polowania, to ty masz na ten temat coś do powiedzenia.

Wymyślono rozbudowany system przekonań – „koronnych argumentów myśliwskich”, który jest bez przerwy nagłaśniany. I myśliwi w te racjonalizacje raczej wierzą. Ten system można łatwo obalić, kiedy spojrzy się na to zdroworozsądkowo, przyrodniczo lub naukowo. Na przykład często można usłyszeć argument, że ludzkość przetrwała dzięki temu, iż mężczyźni polowali i tę ludzkość wykarmili. I polowanie mają w genach, bo w kulturach zbieracko-łowieckich nauczyli się zabijać zwierzęta – dlatego my, współcześni mężczyźni myśliwi, też

musimy to robić. Wydaje się, że współcześni myśliwi, używając tego argumentu, kierują się raczej pewnego rodzaju ukrytym męskim marzeniem o godnej podziwu dzielności łowcy. Kiedyś polowało się głównie za pomocą pułapek, paści, sieci, sideł i trucizn, i to całymi stadami ludzkimi. Nie sądzę, żeby ktoś chodził na bohaterskie pojedynki z mamutami z maczugą w ręku.

Duże zwierzę łapano w pułapkę i tam dobijano. Żadnego heroizmu. Podtekst marzenia jest taki, że dzielny mężczyzna poszedł z łukiem, zastrzelił zwierzę, przywlókł i wyżywił plemię. I za to był podziwiany! Ale tu nie ma chyba powodów do dumy – to było zwykłe, codzienne zdobywanie pożywienia. W kulturze zbieracko-łowieckiej ludzie przeżyli, bo umieli współpracować ze sobą w łowieniu i zabijaniu, a nie dlatego, że bohaterscy mężczyźni doskonale polowali w pojedynkę.

Słyszałem też takie zdanie: „Jeżeli nie będę polował, to będę agresywny, a kiedy wyjeżdżam do lasu, cała ta agresja ulatuje ze mnie na polowaniu”.

Następny argument: ponieważ nie ma drapieżników, które zresztą właśnie myśliwi wybili, gdy tylko kilkadziesiąt lat temu dostali do ręki dobrą broń, to my musimy regulować liczebność zwierząt. Bo jeżeli nie będziemy regulowali... – i tu właściwie nie wiem, co myśliwi mają na myśli. W takim kontekście słowo „regulować” oznacza po prostu „zabijać”, ale lepiej brzmi. Myśliwi, jak się zdaje, chcą dać do zrozumienia, że jelenie, dziki, sarny i kaczki zrobią jakieś spustoszenie na świecie, jeśli nie będą przez nich zabijane. „Ktoś to musi robić. My, myśliwi, jesteśmy pewnego rodzaju wolontariatem, musimy zabijać zwierzęta niejako w imieniu wszystkich ludzi” – tak publicznie, w radiu, przekonywał mnie pewien myśliwy. Poza tym powszechne jest przekonanie, że zwierzęta trzeba dokarmiać, szczególnie zimą. Na pewno dzięki temu jest w przyrodzie więcej zwierząt i można ich więcej zabić. Dokarmiając, myśliwi chcą przekazać ludziom „na zewnątrz” komunikat, że bez ich pomocy zwierzęta umrą z głodu. Zapominają, że natura od milionów lat bez wysiłku i bez względu na klimat czy porę roku żywi wszystkie istoty – w tym ludzi. Przecież nie może być inaczej, bo po prostu życie najzwyczajniej nie przetrwałoby do dzisiaj. Kilkadziesiąt lat temu, gdy w Europie pojawiła się wielka nadwyżka żywności, raptem okazało się, że konieczne jest dokarmianie zwierząt. Dodaje się do tego kontakt z pięknem przyrody, wschody słońca, las w nocy – „mieszczuchy tego nie mają” – i tak powstaje cała konstrukcja myśliwskiego public relations.

To argumenty natury społecznej, które oczywiście są bardzo istotne, ale istnieją też argumenty indywidualne, z których w twojej wypowiedzi pojawił się tylko jeden. Ten, że jeśli nie dam upustu swojej agresji na polowaniu, to będę agresywny w życiu codziennym. Są jeszcze inne, które zasygnalizowałeś, ale warto powiedzieć o nich wprost, na przykład, że kiedy ktoś poluje, jest bardziej męski.

Myśliwi chcieliby być widziani przez kobiety, ale także przez innych mężczyzn, jako osoby bardzo męskie, obdarzone szczególnymi umiejętnościami, których ci inni nie mają. Roztaczają wokół siebie aurę, że umieją robić coś, czego wielu mężczyzn nie potrafi, że trzeba być takim stuprocentowym facetem, żeby polować. Chcieliby także, by kobiety ich za to podziwiały, co jest dosyć ryzykowne, bo znam kobiety, dla których to, że mężczyzna jest myśliwym, całkiem go dyskwalifikuje. Myśliwi chcą być postrzegani jako tak zwane jurne chłopcy. Zapewne podobają się niektórym kobietom w tym maskującym stroju i odpowiednim kapelusiku na głowie, z karabinem na plecach i innymi gadżetami – terenowy samochód dobrej marki też jest bardzo pożądany.

Jest jeszcze jeden argument, o którym sam zresztą mówiłeś: miałeś ambicję, żeby dziczyzną wyżywić rodzinę. Mówimy o racjonalizacjach, o systemie przekonań ułatwiającym i utrwalającym nałogowe zachowanie.

Bardzo chciałem, żeby polowanie było postrzegane przez moją rodzinę jako absolutnie konieczne. Jeśli będę polował, będziemy mieli lepiej niż inne rodziny, ponieważ dziczyzna jest lepsza, zdrowsza, a moja żona będzie mogła imponować innym kobietom tym, że u nas w domu jest dziczyzna na stole. Kiedy organizowało się przyjęcie urodzinowe i na stole były dzikie gęsi, kaczkę, sarnina, rosół z bażanta, pasztet z zająca i pieczeń z dzika, to tak zastawiony stół mógł zaimponować. Wtedy moja żona czuła, że ma za męża nie byle kogo. I właśnie tego byłem najbardziej spragniony: poczucia, że z powodu polowania jestem nie byle kim!

Właśnie o taki system przekonań utrwalający nałogowe zachowanie chodzi. Zobaczmy dalej, jak wygląda następna cecha uzależnienia: „Niepowodzenia przy próbach samodzielnej zmiany, mimo ich podejmowania. Mogą to być także obietnice składane samemu sobie, zamiary, niezrealizowane plany”.

Nie, raczej nie. Nie pojawiają się próby zaprzestania polowania w imię czegoś innego. To jest tak duża wartość w życiu mężczyzny, że rozstanie z polowaniem nie wchodzi w rachubę. Raczej stale pogłębia się te związki.

Objawy nie muszą występować razem. Widocznie ten akurat w nałogowym polowaniu nie występuje.

Chciałabym na chwilę wrócić do jednego z najważniejszych kryteriów odróżniających zachowania nałogowe od innych – chodzi mi o szkody związane z uzależnieniem. Jak wynika z tego, co mówiłeś o konieczności podporządkowania się rodziny temu stylowi życia, nie jest to dla osób bliskich szczególnie dobre i nie sprzyja budowaniu więzi, które – przepraszam za banał – stanowią podstawę relacji rodzinnych.

Mój ojciec nie żyje już od ponad dwudziestu lat, a matka kilka lat przed śmiercią powiedziała: „Tak naprawdę to życie z myśliwym było marne. Pewna część pieniędzy, nie wiadomo jaka, szła na polowanie – na to zawsze się znalazły. Ojca prawie nigdy nie było w domu. Ja byłam ciągle sama, to nie było dobre życie”. Moja mama miała wtedy osiemdziesiąt trzy lata. Nigdy przedtem tego nie powiedziała tak wyraźnie. Żyliśmy w biednej rodzinie, było czworo dzieci, matka bardzo ciężko pracowała, szyjąc po nocach w domu jakąś masową konfekcję, a w dzień dbając o dom i naszą czwórkę.

Kiedy patrzę wstecz na moje pierwsze małżeństwo, to widzę, jaki byłem bezradny w budowaniu bliskości w rodzinie i z ludźmi w ogóle. Po prostu tego nie umiałem, nie wiedziałem, o co chodzi. Tęskniłem do czegoś w życiu rodzinnym, ale nie wiedziałem, jak wygląda to, do czego tęsknię. Sądzę, że znany mi od dzieciństwa myśliwski sposób życia zdecydował o utrzymywaniu tych umiejętności w uśpieniu. Przecież zawsze mogłem wyjechać na polowanie. Sam!

No tak, to jest bardzo wyraźny opis szkód. Myślę o jeszcze jednym wątku, który jest może mało widoczny, ale w naszej rozmowie jakoś się wyłania. Różne uzależnienia podtrzymują się wzajemnie i mam wrażenie, że również alkoholizm z myślistwem nawzajem się wspierają. Wydaje mi się, że polowanie to systematyczna okazja do ostrego picia dwa, trzy dni z rzędu. Picia bez kontroli i usprawiedliwionego sytuacją, a nawet aprobowanego, odbywającego się zgodnie ze zwyczajami i normami. To też jedna ze szkód.

Pięćdziesiątka albo setka przed polowaniem, a kiedy coś upolujemy: wątróbka z cebulką i trochę większe picie. To w piątek, a w sobotę budujemy jakąś ambonę i popijamy cały czas. Po wieczornym polowaniu w sobotę obowiązkowo flaszki idą

na stół. To stały element tej sekwencji: są mężczyźni i jest polowanie – więc musi pojawić się wódka. Jak tu być wyłącznie w męskim gronie i obejść się bez gorzały?

To bardzo sprzyja utrwalaniu się uzależnienia. O męskich aspektach całej tej sytuacji chciałabym jeszcze osobno porozmawiać. Teraz wróćmy do kryteriów uzależnienia. Następny punkt to wzrost tolerancji. „Wzrost tolerancji obserwowany na przestrzeni co najmniej dwóch lat. Potrzebne są coraz większe dawki, żeby uzyskać ten sam efekt. Tolerancja osiąga tak wysoki poziom, że inni zwracają na to uwagę, reagując zdziwieniem i podziwem, niepokojem »jak ty dajesz tyle radę?«”. Rozumiem, że ten objaw nie występuje.

Występuje.

Występuje?! Opowiedz o tym.

Były w moim życiu takie fale, kiedy polowałem mniej i kiedy polowałem jak najęty. Czasami taka faza trwa długo: zdarza się rok, dwa, a nawet pięć lat z rzędu bardzo intensywnego polowania. Potem fala opada do umiarkowanego poziomu, a następnie znowu wzrasta.

Od czego to zależy?

Jest taki pierwszy okres, kiedy dostaje się własną broń i zezwolenia na odstrzał różnych zwierząt. Zazwyczaj wtedy człowiek poluje jak szalony. Na początku nie umie, nie udaje mu się, często rani zwierzęta albo pudłuje. Później, jak już nauczy się polować, co trwa ładnych parę lat (niektórzy nigdy się nie uczą), przychodzi rutyna. Człowiek staje się lepszym i coraz skuteczniejszym myśliwym – wtedy najbardziej chce polować, ponieważ robi to dobrze i czerpie z tego dużo zadowolenia. Przywozi zwierzynę do domu, zostaje od czasu do czasu królem polowania. Przychodzi okres nasycenia. Można mieć też takie poczucie, że zabiło się już wszystkie możliwe zwierzęta i został tylko tygrys albo słoń; i jeśli ktoś ma pieniądze, to tak właśnie robi. Potem pozuje do zdjęć z jakimiś odciętymi głowami egzotycznych zwierząt i ciemnoskórym przewodnikiem. To jest czas szukania czegoś ekstra dla siebie: łosia w Szwecji albo nosorożca, lwa, słonia gdzieś w Afryce – tak zwanej „wielkiej trójki”. Albo wyjeżdża się na specjalne polowania w Rosji na głuszce, jarząbki lub niedźwiedzie. Na takie zwierzęta, których nie ma w kraju lub nie wolno na nie polować. W Polsce nie wolno zabijać wilków, ale one cichcem znikają – ktoś czasami zapewne „dmuchnie” i wilka. Wtajemniczeni mówią, że „zachorowały na ołowicę”, czyli dostały kulę lub porcję śrutu.

Czyli wzrost tolerancji jest – chciałoby się powiedzieć – bardziej jakościowy niż ilościowy. Potrzebne są coraz większe dawki, ale w sensie jakości czy rzadkości występowania.

Uznaliśmy, że coś w rodzaju wzrostu tolerancji istnieje, ale ma specyficzną postać.

Z czasem częstotliwość wyjazdów na polowania stabilizuje się i jest odpowiednia dla danej osoby. Niektórzy muszą być na polowaniu bardzo często, w weekendy i jeszcze w ciągu tygodnia. Zależy to także od sezonu polowań. Niektórzy wyjeżdżają rzadziej, polują ot tak, żeby pobyć w męskim gronie, wśród kolegów, i nie mają ciągu do zabijania zwierząt. Czasem coś zabijają, żeby mieć jakieś potwierdzenie i uprawomocnienie przebywania w tym gronie. Mam wrażenie, że są jakby podczepieni pod myśliwską grupę, czyli mężczyzn, którzy raz gorzej, raz lepiej, ale jakoś umieją być ze sobą.

To nie jest umiejętność, raczej możliwość włączenia się do czegoś, co jest bardzo zrytualizowane i dzięki tym rytuałom załatwia za faceta parę ważnych spraw. Nie musisz nic wymyślać ani nic robić, wskakujesz w gotowe schematy. Kolejne kryterium uzależnienia: „Rosnące koszty, destrukcyjność, narastające negatywne konsekwencje nie powstrzymują od nałogowych zachowań w żaden radykalny sposób. Destruktywność, podobnie jak tolerancję, należy obserwować dłużej”.

Destrukcyjny jest zanik wrażliwości, który – w miarę pogłębiającego się zaangażowania w polowanie – musi narastać. O kosztach rodzinnych już mówiliśmy, chcę jeszcze zwrócić uwagę, że w związkach działa pewna prawidłowość: jeśli nie praktykuje się bliskości, ludzie z czasem oddalają się od siebie coraz bardziej. To nie jest tak, że jak się nie zbliżasz, to cały czas jesteś na tym samym poziomie bliskości; jeśli nie dzieje się nic rozwijającego, wówczas następuje regresja. Na tym polega narastająca destrukcja: i żona, i dzieci mają coraz mniejszy dostęp do męża czy ojca, zarówno w sensie czasu, jak i realnego kontaktu.

Polujący mężczyzna przekazuje swoim dzieciom wartości, które sam uznaje za najlepsze. A najważniejszy dla niego jest myśliwski sposób życia: polowanie i zrytualizowane bycie wśród mężczyzn, podporządkowanie się regułom, robienie w życiu różnych rzeczy związanych z polowaniem i poruszanie się w ściśle

wyznaczonej przestrzeni „koronnych argumentów myśliwskich”, o których wspomniałem, a które pozbawiają człowieka możliwości jasnej, klarownej, indywidualnej oceny tego, co widzi. Myśli się tylko w kategoriach tych sztywnych „koronnych argumentów” – bo o wiele wygodniej jest nie zadawać wnikliwych pytań.

Mówiłeś, jak sobie z tym radzą kobiety, jak się do tego przystosowują. Pomyślałam o dzieciach: synowi można przekazać jakiś rodzaj więzi i nawet coś to chłopakowi daje, czasem pewnie sporo. A jak jest z córkami?

Jak było z moją córką? Pamiętam, już po rozwodzie – córka miała wtedy czternaście lat – byliśmy parę dni w leśniczówce. Miałem tam motor, taki „wiejski”, i tym motorem jechaliśmy sobie przez las – pomalutku, niespiesznie. Zwierzęta nie uciekały od niego i obserwowaliśmy je w czasie tych przejazdów. W pewnym momencie powiedziałem do córki, która siedziała na tylnym siodelku: „Kasiu, ja nie będę już polował. Nigdy”. Ona siedziała dłuższą chwilę w milczeniu, a potem zapytała zmartwionym głosem: „To co ty będziesz robił?! Nawet byka nie upolujesz? To co ty będziesz robił?”. Była naprawdę zatroskana. Zdałem sobie sprawę z tego, że moje dziecko nie wie, co ojciec mógłby robić innego poza polowaniem. Ja wtedy też tego nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że nie będę polował.

Właśnie to robi nałóg. Każdy! Wymiata z życia wszystko inne, dlatego tak trudno się od niego uwolnić. Tak się panoszy, że już na nic innego nie ma miejsca. Myślistwo to najczystszej wody uzależnienie! Ta opowieść jest bardzo przekonująca. Kiedy wyobrażasz sobie, że miałbyś rozstać się z tym, co dotychczas stanowiło treść twojego życia, masz wrażenie, że po tym rozstaniu w twoim życiu nie będzie już nic! Nic, co byłoby w stanie cię ucieszyć, dać ci satysfakcję. To jest obraz życia ponurego, beznadziejnego, bez przebłysku radości czy zadowolenia. Opowiadam ci to nie na podstawie swojej znajomości myślistwa, tylko dlatego, że wiem, jak alkoholicy wyobrażają sobie swoje życie, kiedy myślą o odstawieniu alkoholu: „Co mnie pocieszy, co mi da radość i co ja w ogóle będę robić? Co ja zrobię z tym czasem, z tymi całymi dniami?”. W przypadku znacznej części nałogów – picia, zażywania narkotyków, polowania, pracoholizmu – jest tak, że robisz głównie „to”, a więc nałogowe zachowanie zajmuje cały czas i całą uwagę. To jest poważny problem: kwestia czasu, z którym trzeba coś zrobić,

przeżywanych emocji, zachowań, energetycznego zaangażowania ciała, tego, czym zajęte są twoje myśli. Wszędzie robi się pusto! Nic dziwnego, że nałogi tak się w człowieka wczepiają.

Rozmawialiśmy o rosnącej destrukcyjności i jedną ze szkód spowodowanych przez uzależnienie jest to, że tak mało miejsca w życiu pozostaje na jego wszechstronne bogactwo: nałogowe zachowanie wręcz pożera inne możliwości wyboru. To nie jest życie – nałóg udaje życie. Jakby spadł na człowieka zły czar. Jadowicie ukąszony nałogiem uważa, że to jedyna rzecz warta życia.

Dla mnie to była treść życia. Po to żyłem, po to pracowałem, po to było wszystko.

No tak, jedną ze szkód wywoływanych przez uzależnienie jest to, że człowiek robi się jednowymiarowy, ma w życiu tylko jedną sprawę i w związku z tym ogromnie ubożeje emocjonalnie oraz intelektualnie. „Rosnące koszty, destrukcyjność, narastające negatywne konsekwencje nie powstrzymują od nałogowych zachowań w żaden radykalny sposób” – niewątpliwie w myślistwie występują.

Następne kryterium uzależnienia to objawy odstawienia. „Złe samopoczucie utrzymujące się przez dłuższy czas po gwałtownym zaprzestaniu nałogowego zachowania: w postaci cierpienia, dyskomfortu, specyficznego głodu. Ponownemu podjęciu zachowania towarzyszy wówczas poczucie dużej ulgi”.

Nic dodać.

Mam wrażenie, że już o tym rozmawialiśmy.

To złe samopoczucie mija, jak się już na polowanie dotrze.

Byłoby dobrze to podsumować: jest irytacja, nuda...

...nie możesz sobie znaleźć miejsca, ponieważ masz poczucie niewygody, robienia nie tego, co byś chciał, poczucie tymczasowości: „Muszę ten czas jakoś przeżyć, żeby w końcu wyrwać się na polowanie, jakoś muszę te przerwy pomiędzy polowaniami zapęłnić”. Pojawiają się próby zastąpienia i zaspokojenia chociaż trochę tego głodu. Wtedy na przykład czyszczę broń, coś tam naprawiam ze sprzętu łowieckiego, czyszczę trofea. Albo czytam wspomnienia myśliwskie, przeglądam stare numery „Łowca”, rozmawiam o polowaniu. Jakieś plotki zbieram i wydzwaniam do kolegów: „No cześć, co tam na polowaniu, strzeliłeś coś?”. Albo

wyciągam z zamrażalnika kawałek dziczyzny i go przyrządzam, żeby chociaż trochę tego powąchać.

A więc objawy odstawienia występują. Zdecydowanie widać, że pojawia się głód polowania.

I ostatnie kryterium: „Realne korzyści, jakie daje nałogowe zachowanie – subiektywne lub obiektywne”. To oczywiste, że gdyby nie było żadnych korzyści, człowiek by swego nałogowego zachowania nie kontynuował.

Wątek korzyści, które myśliwy ma z polowania, ciągle pojawia się w naszej rozmowie. Można to podsumować tak: Kiedy jestem na polowaniu, pojawia się poczucie komfortu bycia na właściwym miejscu, poczucie, że realizuję siebie, że przynależę do grupy lepszej od innych mężczyzn – do ludzi, którzy umieją zabijać, polować i mają broń. Jestem w tak zwanej paczce „swoich”. Kolega myśliwy mi pomoże: przepchniemy razem ustawę albo zrobimy coś wspólnie w innej dziedzinie. Jestem w lobby, które dużo może. Mam znakomitą rozrywkę. Wyjazdy na polowania, spotkania z kolegami, czasami można rzeczywiście się pobawić i z żoną pojechać na bal z okazji Hubertusa. Przyrządzi się ucztę z kilku dzików i można napić się wódki przez dwa dni. Mam po prostu świetną rozrywkę, naprawdę dla mnie interesującą. Mam broń. Bardzo lubię to poczucie respektu, którym z tego powodu obdarzają mnie ludzie. Korzyścią jest też uczucie ulgi towarzyszące wyjazdowi na polowanie, kiedy problemy całego tygodnia, związane z pracą czy rodziną, po prostu ze mnie spadają. Przestają istnieć. Ciach. Kurtyna opada. Zostałem zwolniony z tego wszystkiego. I to prawda, bo gdy jestem na polowaniu, miniony tydzień przesłania gęsta mgła: jest on w jakiś sposób obecny, ale nie dokucza, i to jest wielki zysk. Bo...

„W końcu coś mi się od życia należy, mam przynamniej to...” Żona narzeka, kiedy wyjeżdżam na polowania, ale jest ze mnie dumna, gdy kilka razy do roku organizujemy ucztę myśliwskie. Może się pochwalić rodzicom, teściom i przyjacielom, że u nas są takie przyjęcia, które długo się wspomina, a goście z przyjemnością czekają na nasze zaproszenie, ponieważ umiemy w nadzwyczajny sposób zadbać o wszystkich. Czują się ugoszczeni w sposób królewski, bo są bażanty, kuropatwy i dziki. A moja żona jest dumna i czuje się lepsza od innych kobiet. Ja, myśliwy, jej to zapewniam! I korzyść bezpośrednio dla mnie, o której już sporo powiedzieliśmy: „Zabiłem grubego dzika – teraz jestem kimś!”.

Gdyby zrobić analogię alkoholową, to chociaż podczas picia nikt nie zabija grubego dzika – „wypiliśmy trzy czwarte we dwóch z kolegą, nie zagryzając” oznacza w domyśle coś podobnego: „Ja to jestem dopiero twardziel”. To jest pewnie równie dobre jak dzik. I też stanowi odtrutkę na lęk i wątpliwości, ile jestem wart. Nie muszę się sprawdzać w innych miejscach, bo sprawdzam się tutaj.

Nałóg służy człowiekowi na dwa sposoby: dostarcza pozytywnych emocji – inaczej życie byłoby nudne, bezbarwne, nie byłoby w nim satysfakcji – i jest środkiem znieczulającym emocje negatywne. I polowanie w taki właśnie sposób działa. Bo jeśli od wtorku do niedzieli zajmujesz się polowaniem, to nawet ząb cię przestanie boleć, a cóż dopiero dusza. W związku z tym nie musisz przeżywać nic innego, masz wystarczającą pożywkę, bo wszystko, co wiąże się z myślistwem, odcina od przeżywania spraw, które są trudne i nieprzyjemne. Skutek jest taki, że twoje zdolności do dostarczania sobie satysfakcji z jednej strony i zdolności do radzenia sobie z trudnymi emocjami z drugiej ulegają atrofii. Dlatego każdy nałóg wciąga coraz bardziej i coraz trudniej wyobrazić sobie życie bez niego.

Uzależnienie trzyma cię w uścisku mimo negatywnych konsekwencji – i w ten sposób panuje nad twoimi emocjami. Ale ma też funkcję poznawczą, myślową: polowanie w jakimś sensie pomaga wielu rzeczy nie dostrzegać, nie widzieć swoich trudności w kontaktach z ludźmi. Napisałam kiedyś, że nałóg zasłania sam siebie, i mam na to coraz więcej dowodów. Można mieć świetną ideologię, rozbudowane uzasadnienia, że to nie przynosi żadnych szkód rodzinie, przeciwnie, rodzina zyskuje. Myśliwi tak mocno eksponują to, że są dostarczycielami żywności dla rodziny, bo to się wpisuje w prastary archetyp. Jednocześnie na polowanie idzie przecież taka duża forsa! To jest sport dla zamożnych. Jednocześnie z tego, co opowiadasz o swojej mamie, wynika, że niektóre osoby wciągnięte w nałogowe polowanie nie są zamożne. W takim wypadku odbywa się to ze szkodą dla bezpośrednich interesów materialnych rodziny. Jednak została zbudowana piękna ideologia i ludzie wierzą w rzeczy, które są niezgodne z rzeczywistością.

Buduje się cały świat uzasadnień. To jest rodzaj nierzeczywistości, odcięcia informacyjnego. Zwłaszcza to, co dotyczy dobrostanu psychicznego rodziny, widziane jest całkiem opacznie. Chętnie dowiedziałabym się na przykład, ile dorastających dzieci czy młodych dorosłych z rodzin myśliwskich bierze narkotyki

albo wykazuje inne objawy nieprzystosowania – nałóg rodzica jest wyraźnie widoczny poprzez zachowania dzieci.

Ponadto rozrasta się fałszywa świadomość wspierająca nałóg. Rozwija się ona w kierunku wspierania go, postępującego rozwoju i utrwalania, coraz bardziej zniekształcając obraz rzeczywistości. Zza nałogu nie widać rodziny, sytuacji materialnej, prawie nic zza tego myślistwa nie widać. To jest zadziwiająco szczelne: ile myśli, działań, aspiracji i motywacji zajmuje polowanie! Alkoholik bez przerwy myśli o wódce: jak ją skombinować, z kim i jak urządzić sobie taką okazję do wypicia, żeby nie irytować rodziny albo nie narazić się w pracy, jak zapobiegać kacom i tak dalej. Podobieństwo jest uderzające: cały czas myśli się o polowaniu, a inne rzeczy leżą odłogiem.

Wierzysz w różne zgubne argumenty myśliwskie, a nie widzisz rzeczywistości. Mówisz tak: „Pracowałem po to, żeby polować”. To oznacza, że gdybyś miał propozycję dobrej pracy, która obejmuje weekendy, pewnie byś jej nie wziął albo zrobiłbyś coś takiego, żeby tę propozycję unieważnić, nie mając w ogóle takiej świadomości. Na przykład przed decydującą rozmową wybrałbyś trasę dojazdu, na której są korki, źle nastawiłbyś budzik, a może dostałbyś anginy.

W miarę upływu czasu, im bardziej nałóg staje się wszechogarniający, tym trudniej go zobaczyć. Kiedy córka cię zapytała: „To co ty będziesz robił?” – pokazała ci coś, co bardzo trudno dopuścić do siebie, ponieważ jest to wizja przerażająca. Już do faktu, że skutecznie okłamujesz sam siebie, bardzo trudno się przed sobą przyznać. A kiedy stajesz przed zadaniem przebudowania całego swojego życia, myślisz: „No tak, przestanę polować i co? Co będę robił?! Jak będzie wyglądał mój czas?! Jeżeli to zostawię, jak sobie poradzę, jak będę żyć?”. Ogarnia cię lęk. Widać, jak działają różne mechanizmy podtrzymujące ten sposób życia, widać, jak nałóg umiejętnie dba o siebie, jak wciąga i trzyma w żelaznych łańcach. W dodatku żyjemy w kulturze wysoko ceniącej męskie wartości, a zarazem dającej mężczyznom bardzo nikłe możliwości realizowania uniwersalnego, ponadczasowego wzorca męskiego. Właściwie z grubsza można powiedzieć, że masz do wyboru: wojsko, polowanie, zarabianie dużych pieniędzy, możesz być leśniczym – albo zniewieściałym facetem. Tak mało możliwości. To jest kultura, która bardzo wspiera i podtrzymuje nałogi.

Co uzależnienie robi z życiem człowieka?

Wolałabym to pytanie w postaci: „Co robią z nim uzależnienia?”, ponieważ osoby, które mają tylko jedno jedyne uzależnienie, należą do wyjątków. Na ogół jesteśmy uzależnieni od wielu rzeczy naraz. Pierwsza rzecz, jaka mi przychodzi do głowy, to sformułowanie z pogranicza filozofii i moralności: nałóg pozbawia człowieka wolnej woli. Ostatnio zafascynowana przyglądam się przestrzeni wolnej woli i ludzkim próbom jej poszerzenia, zarówno na poziomie myślowym, jak i duchowym, ale też na poziomie bezpośredniego funkcjonowania. Ta przestrzeń jawi mi się jako bardzo niewielka. Koresponduje to z tym, o czym ty kiedyś mówiłeś: z jak bezwzględną siłą człowiek jest pociągany i szarpany za sznurki kompulsywnego wysiłku zorganizowania sobie wszystkiego, co uznaje w życiu za przyjemne, a jednocześnie tak samo kompulsywnie próbuje gwałtownie odepchnąć wszystko, co uznaje za nieprzyjemne. Dla wolnej woli zostaje niezbyt wiele pola.

Osobiście nie chcę, żeby coś mną „wywijało”, a uzależnienie jest czymś, co „wywija” człowiekiem w stopniu bardzo poważnym. Wolna wola to zdolność wyboru. Oprócz oddziaływań z zewnątrz są dwie wewnętrzne okoliczności, w których jesteśmy jej pozbawieni. Jedna to pozytywne nawyki, a druga – negatywne nawyki czy uwarunkowania. Człowiek ma mnóstwo tych pierwszych i one ułatwiają mu życie, a negatywne uszkadzają go w różnych sferach. Uzależnienie potwornie mnoży te nawyki, ma taką zdolność jak rak: najpierw obejmuje tylko ten wycinek życia, z którym bezpośrednio związane jest nałogowe zachowanie, a potem zaczyna się rozprzestrzeniać coraz bardziej, podporządkowując sobie coraz więcej sfer życia.

Wolność jest ogromnie ważną wartością w życiu człowieka, a uzależnienie zabiera, likwiduje czy bardzo poważnie ogranicza obszar wolności. Nałóg przede wszystkim pozbawia nas szans. Pozbawia możliwości, wyboru, harmonii, zubaża nasze życie. Ponadto prawie każde uzależnienie wiąże się ze szkodami fizycznymi: na przykład uzależnienie od komputera czy od obrazków migających w telewizji – oprócz zubożenia w innych sferach życia – uszkadza oczy, kręgosłup i w ogóle całą fizyczność człowieka poprzez to, że się prawie nie używa ciała. Prowadzi do rozmaitych zmian fizjologicznych, takich jak otyłość, zaburzenia ciśnienia i tak dalej. Praktycznie każde uzależnienie źle wpływa na stan zdrowia i skraca życie. W myślistwie można by znaleźć szkody zdrowotne, ale nie musimy koniecznie ich

szukać, bo nie wszystkie kryteria uzależnienia muszą być spełnione w każdym przypadku.

Pozostaje pytanie, na które już wielorako odpowiadaliśmy: jak nałóg uszkadza człowieka emocjonalnie? Człowiek po prostu traci szansę, by mieć normalne, zwyczajne, satysfakcjonujące, pełne znaczenia życie. Kiedy przychodzi dziecko i się do mnie uśmiecha, a ja myślę o tym, żeby wrócić do pracy albo żeby w piątek pojechać na polowanie, to uśmiechu praktycznie nie widzę i na niego nie reaguję. W jakimś sensie staję się potworem emocjonalnym – to właśnie powoduje uzależnienie.

Bardzo ważne w życiu jest także to, czy umiem sobie radzić z trudnymi emocjami. Wiem, jak się zachować, kiedy ktoś mi sprawi przykrość albo jakaś moja ważna potrzeba nie może być zaspokojona; kiedy ktoś w moim otoczeniu umrze albo nie radzę sobie finansowo. Zajmuję się wtedy przyczynami tej sytuacji, zamiast wkładać wysiłek w to, żeby jej nie widzieć i nie przeżywać emocjonalnie. Uczucia zatrute nałogowym znieczuleniem podobne są do bólu zęba: bierzesz proszek i ból się wytłumia, ale jednocześnie substancja chemiczna odcina cię od wszystkiego, a ząb psuje się coraz bardziej i bardziej. Natomiast kiedy idziesz do dentysty i on ten chory ząb leczy – to jest naturalne zachowanie.

Wszyscy mamy skłonność do zniekształcania rzeczywistości, jeżeli jest bolesna i trudna. Przy czynnym uzależnieniu całkowicie ulegamy tej skłonności. Uzależnienie potwornie wypacza obraz siebie: dzięki zażyciu substancji chemicznej albo oddaniu się jakiemuś nałogowemu zachowaniu ulepszam siebie, uładniam, uszlachetniam, choćby przez to, że nie zauważam tego złego, co robię, albo dorabiam do tego pozytywną ideologię. Sama nie chciałabym znaleźć się w takiej sytuacji – wolę wiedzieć, jaka jestem. Uważam, że to jest wielka wartość, ponieważ dzięki temu mogę starać się być lepsza.

Uzależnienie niszczy życie także w warstwie bezpośrednich zachowań i bardzo człowieka spłyca w sferze duchowej. Wszystkie funkcje magiczno-religijne przejmuje ten fałszywy bóg – nałóg. Z liturgią włącznie, o czym dobrze wiesz na przykładzie polowania: przecież ono też niesie różne metafizyczne przeżycia. Ale ja wolę swoje stabilne, oparte na ciężkiej, długoletniej pracy nad sobą poczucie, że kieruję własnym życiem, niż krótkotrwałe wrażenie ukojenia, którego miałabym doświadczać, pijąc albo strzelając do zwierząt. Ludzie uzależnieni są – tak ich

widzę, podobnie zresztą jak wielu innych obserwatorów – w strasznym rozdarciu, a jedna z podstawowych sprzeczności, która ich dręczy, to poczucie, że są rozpięci między bydlęciem a aniołem, między zwierzęciem a bogiem, że zdarzają się im momenty absolutnie cudownego samopoczucia, ale najczęściej czują się jak szmaty. Uzależnienie powoduje, że człowiek zachowuje się potwornie egoistycznie. Pamiętam, jak to było, kiedy pozwoliłam pracoholizmowi zapanować nad swoim życiem: kiedy pracowałam, moje dzieci nie miały do niczego prawa. Teraz jest okropnie: przychodzą i co parę minut czegoś chcą (*Ania śmieje się radośnie*), ale za to mam poczucie, że jestem dobrą matką, a to jest warte wszystkich pieniędzy. W życiu bez uzależnienia jest dużo miejsca na zwyczajny altruizm. Oczywiście każdy myśli trochę egoistycznie, ale w trzeźwym życiu – bez względu na to, czego ta trzeźwość miałaby dotyczyć: alkoholu, pracy, polowania – jestem w stanie wspiąć się tak wysoko, żeby zobaczyć, że istnieje cały świat.

Gosie. Rozmowa z Małgorzatą Szczygieł-Reutt i Małgorzatą Grabarczyk

Znaliśmy się dużo wcześniej – z Małgorzatą Szczygieł-Reutt solidnych kilkanaście lat, a z Małgorzatą Grabarczyk trochę krócej. Każda z nich jest inna. Obie są dojrzałymi, atrakcyjnymi i bardzo inteligentnymi kobietami, obie prowadzą nieduże, dobrze prosperujące firmy. Zaproszenie do rozmowy przyjęły po zastanowieniu. Rozmawialiśmy u mnie w domu, przy okrągłym stole, w intymnym ciepłe kominka. I ta rozmowa też taka była – intymna, spokojna, niespieszna, refleksyjna. Ciągle brzmi we mnie jej atmosfera głębokiego zastanawiania się nad naszym życiem, losem...

Gosie czasami wędrują razem – po Stanach, Europie, słyszę, że teraz planują włączyć po Indiach.

Dobrej podróży!

*

Myśliwi prezentują polowanie jako zajęcie dla „prawdziwych mężczyzn”, nie dla maminsynków. No i mają broń, a to jest nie byle co! Czy postrzegacie swoich mężów jako mężczyzn wartościowszych od tych, którzy nie polują?

MAŁGORZATA SZCZYGIEŁ-REUTT (G. S.) Nie, to taka zabawa dla chłopców, której reguły myśliwi ustalają między sobą. Nigdy nie myślałam, że mój mąż jest lepszy od innych mężczyzn tylko dlatego, że jako myśliwy strzela z karabinu i poluje.

MAŁGORZATA GRABARCZYK (G. G.) Mój mąż bardzo by mi imponował, gdyby wstawał rano i dla tężyzny fizycznej biegał parę kilometrów albo robił coś podobnego. W myślistwie element zabijania tłumi wszelkie uznanie. Mężczyźni podobno zrobią wiele, by wzbudzić podziw kobiet. Ale w tym wypadku wcale nie pytają kobiet, czy będą ich za to rzeczywiście adorowały. Przyjęli z góry, że gdy będą polować, to kobiety będą ich podziwiały. A trzeba było najpierw zapytać. Gdyby chociaż było jasne, że on to robi dla mnie... Żaden sygnał ode mnie nie wskazywał, że go podziwiam z tego powodu, że przywłókł do domu połowę dzika.

Gdy jeszcze polowałem, chciałem być podziwiany za to, że znosiłem dziczyznę do domu i urządziłem przyjęcia.

G. G. Mój mąż jest podziwiany przez moją rodzinę, przez moją mamę. Stoi w blasku chwały przy tym zastawionym dziczyzną stole i wszyscy go doceniają.

G. S. Kiedyś zostałam zmuszona do przyrządzenia kaczek, które leżały w zamrażarce. Okazało się, że w ciele kaczek jest pełno śrutu i pozostałości po nieodrośniętych piórach. Spędziłyśmy z córkami nad tymi zwłokami dwie albo trzy godziny. Tak miałyśmy tego dość, że żadna z nas nawet potem nie spróbowała tych kaczek.

Jak wygląda życie żony myśliwego?

G. G. Smutno, naprawdę smutno. *(Jest rzeczywiście bardzo smutna)* Żona myśliwego, kiedy myśliwy wyjedzie na polowanie, siedzi sobie w domu, czyta albo pracuje przy komputerze, i tak naprawdę jest sama. Dobrze, gdy ma przyjaciółkę. Straszna jest monotonia życia z myśliwym, taki powtarzający się scenariusz – kręcenie się, gdy zbliża się dziewiętnasta, i ja już wiem, że on chce wyjść. Nie reaguję specjalnie, nie będę się rzucała do drzwi. Mąż ma dwie opcje: albo mnie głaszcze i mówi jakoś tak ciężko, że „wychodzi”, albo twardo oznajmia „wychodzę”. Obie opcje są złe, z żadnej nie będę zadowolona, bo wolałabym żebyśmy razem posiedzieli przy tym kominku. A z drugiej strony widzę, co się dzieje: to są moje reakcje. Ale mam też świadomość, że to jest mój życiowy partner, który ma własne potrzeby i jakieś swoje reakcje. Skoro jemu tak strasznie na tym zależy, to sądzę, że nie mam prawa powiedzieć mu: „Zostań ze mną i z dziećmi”. Nigdy nie postawię mu też ultimatum: ja albo myślistwo, bo jeśli ktoś jest dla mnie ważny, to próbuję go zrozumieć. To drugi dorosły człowiek, którego muszę szanować. Jego wyborów w ogóle nie rozumiem, nie popieram i daję to wyraźnie do zrozumienia. Smutne, że tak się stało z tym polowaniem, ale skoro właśnie tak jest, przyjmuję to do wiadomości.

Gdybym postawiła sprawę „ja albo...”, chyba nie potraktowałby tego naprawdę serio. Raczej by odpowiedział: „No co, wolałabyś, żebym przed telewizorem siedział?”. Ale ja nie chcę, żeby on siedział przed telewizorem. Jest mnóstwo rzeczy, które można robić poza leżeniem na kanapie. On uważa, że to takie zdrowe, że chodzi po tym lesie.

W mojej rodzinie zdarzyła się upiorna historia. Wujek Zbyszek ze Szczecina polował całe życie i ostatnio w związku z kontuzjami przy polowaniu nie może chodzić. Wujek lamentuje: „Co mam teraz zrobić?”, „Jak na tę ambonę będę się teraz wspinał?”. On ma osiemdziesiąt lat i biedna jest ciocia Nusia, która całe, naprawdę całe życie przeżyła pod hasłem myślistwa. Mój tata, gdy się dowiedział, że Bogdan zaczął polować, powiedział: „No to masz zmarnowane życie”. Powiedział tak, bo ma w rodzinie wujka Zbyszka i ciocię Nusię i wie, jaki straszny los ma ciocia. Wujek Zbyszek jest porządnym człowiekiem, ale całe życie spędził na polowaniu.

Jak zareagowałaś na opinię swojego ojca?

G. G. Uśmiechnęłam się smutno. Sprzeciwiłam się Bogdanowi, kiedy miał iść na jakiś kurs dla selekcjonerów, by móc zabijać jelenie, ale z powodów czysto prozaicznych. Za ciężko wtedy pracowałam. Nie chciałam sytuacji, w której Bogdan będzie na kursie, ja będę zajmować się naszą małą córeczką, a moja terminowa praca będzie czekała. Ale ogólnie w sprawie polowania nie pytał mnie o zgodę.

Czy zauważyłaś taki moment w waszym związku, kiedy twojego męża dopiero zaczęło ciągnąć w tym kierunku?

G. G. Tak, ale zlekceważyłam to. Bogdan już był kajakarzem, łowił ryby, całą piwnicę mamy pełną nie wiadomo jakich wędek. Do każdego hobby kupował sobie zabawki i po jakimś czasie mu się to nudziło. Z naszym synem Wojtkiem chodzili na kendo, na aikido i zapachu wystarczyło im na pół roku. Nakupowali kimon, pasów i zrezygnowali. Dlatego w ogóle nie martwiłam się, że myślistwo stanie się stylem życia, nie przeczuwałam takiego zagrożenia. Nie wzięłam tego tak strasznie poważnie, kiedy zaczął jeździć na polowania z Januszem. W jakichś nagonkach zaczął uczestniczyć i w innych polowaniach, ale ja w ogóle się tym nie przejmowałam. Myślistwo jest pierwszym hobby czy stylem życia, który mu się nie znudził. Byłam przekonana, że trochę pochodzi i przestanie. Teraz już to się rozrosło, jeździ z jakimś Krzyśkiem, ma nowych kolegów gdzieś pod Białymstokiem. Ma już swoje kontakty, z którymi ja nie mam nic wspólnego. Może myślistwo trafiło w jakąś potrzebę w jego życiu i nagle wypełniło mu te puste miejsca, które w sobie miał?

Idealny ojciec chce przekazać swoim dzieciom wszystko to, co ma najlepszego. Chciałby przekazać prawość, szlachetność, pracowitość, szacunek do innych ludzi, szacunek do życia, swoją mądrość duchową. A myśliwy chce także przekazać wartości, które są dla niego ważne, bo płyną z polowania – umiejętność zabijania, celnego strzelania, obchodzenia się bronią, zabitą zwierzyną i współżycia z kolegami myśliwymi. Jakie wartości ojciec myśliwy przekazuje swoim dzieciom?

G. G. Takie wartości ze znakiem minus. Na pewno pokazuje, że są rzeczy znacznie ważniejsze niż rodzina, i to jest dla mnie wartość negatywna.

Ostatnio Bogdan zabił bazanty, nasza mała Zosia wzięła zwłoki w ręce, chodziła po całym domu i pokazywała, „jaka ładna kaczuszka”. Kiedyś zeszła do piwnicy i powiedziała, że „tata jest tam z dzikiem, ale ten dzik jest bardzo chory, bo jest bardzo dużo krwi”. Nie ochronię jej przed tymi widokami. Poza tym śmierć jest wszędzie, nie ma co oszukiwać, że jej nie ma. Dla mnie to strasznie trudne, bo gdy chcę przekazać to, co sama mam do przekazania, muszę krytykować ojca, a tego oczywiście unikam za wszelką cenę. Nie przekroczę cienkiej granicy i nie powiem wprost: „Tata jest zły, bo zabija”. A jednocześnie chcę uczyć szacunku do życia, do zwierząt. Gdy czytam Zosi książeczkę *Bambi*, w której jest okropna scena, gdy straszni myśliwi zabijają mamusię Bambiego, to ja tę stronę opuszczam, nie czytam jej, bo Zosia wie, że tata jest myśliwym. Nie chcę wywoływać zamieszania emocjonalnego.

Macie już trofea na ścianie?

G. G. Nie, nie pozwalam na to. Żadnego trofeum nigdy nie będzie na ścianie w domu, w którym ja mieszkam.

G. S. Janusz cały czas chce przekazać dzieciom miłość do lasu i do zwierząt. Uzasadnia swoje polowanie, mówiąc, że wychodzi do lasu nie po to, żeby zabić. Małej Agatce opowiada, że zabija tylko zwierzęta chore. Mówi jej, że właśnie to zwierzę, które odstrzelił, było chore. I taka jest rola myśliwych. Często jest to powiązane z jego pracą zawodową. Ma jakiś tam wydzielony obszar, na którym jest hodowla zwierzyny leśnej, i on jako leśnik zajmuje się tymi zwierzętami. Las to drzewa i zwierzęta, a leśnicy właśnie tym się zajmują. Twierdzi, że gdyby nie był myśliwym, nie zarządzałby dobrze gospodarką łowiecką, która jest wpisana w zadania nadleśnictwa.

Wierzysz w te argumenty?

G. S. Trochę zawieszam się na tym, że Janusz jest postrzegany jako dobry leśnik. Leśnik to nie tylko drzewo, ale także dzik.

Okazujecie partnerom życiowym swoją dezaprobatę w sprawie polowania i oni w związku z tym na pewno czują dyskomfort. Zapewne też chcieliby, by wyglądało to inaczej, woleliby, byście co najmniej przychylnie patrzyły na ich zajęcie. Z waszych słów wynika, że zaprzestanie polowania dla wartości życia rodzinnego jest niemożliwe. Jak odbieracie tę siłę, nazwijmy ją „polowanie”, która jednak wyraźnie kształtuje obraz waszych związków. Czym jest ta siła?

G. G. To przekracza moje zdolności rozumienia. Budzi we mnie jakiś kompleks. No wiesz, myślę po babsku: Bogdan nie był ze mną szczęśliwy i myślistwo wypełniło mu tę pustkę. Wówczas mam poczucie, że nie spałam się jako żona. Że nie umiałam mu czegoś zapewnić – on z tego powodu poszedł w takie makabryczne hobby i tam się realizuje. To jest ogromna siła. Rzeczywiście, poraziło mnie. W ogóle nie spodziewałam się tego po moim mężu, który przypomina trochę byczka Fernando, dobrego misia i jest dobrym człowiekiem. Miał trochę wad, ale był bardzo kochany. I nagle on, ten misio, chwycił za broń!

Rozmawialiście kiedyś o tych niepokojach, jak się z tym wszystkim czujesz, czy sama zapytałaś, jak on się czuje?

G. G. Mężczyźni kręcą się nerwowo przy każdej próbie poważnej rozmowy. Bogdan mówi: „No dobrze, to rozmawiaj”. Mężczyźni w ogóle nie lubią rozmawiać o swoich emocjach. A ty rozmawiasz?

No... staram się. Gdy między nami zaczyna coś uwierać i przez dłuższy czas nie rozmawiamy, robi się coraz trudniej. Im dłużej to trwa, tym ciężiej jest powrócić do tego – coś się już zacięło. Takie „węzły” małżeńskie się zacisnęły. I im więcej czasu mija bez próby rozwiązania problemu, zaciskają się coraz bardziej, w końcu robią się zapiekłe, niby maleją, chowają się w przestrzeniach niepamięci i wtedy działają z ukrycia. Mam wrażenie, że mogą mieć duży wpływ na jakość relacji. Zapewne też oboje z czasem stajemy się ogólnie „trochę zapiekli”. Otwarta rozmowa o trudnych sprawach, które pojawiły się w naszym związku, nie jest łatwa, zawsze czuję jakiś rodzaj lęku, że się pokłócimy, albo przed tym, że nie będę zrozumiany, przed uczuciem odrzucenia i bólem w związku z tym. Z drugiej strony, jeśli nie będziemy rozmawiać, to wszystko i tak się pojawi, tyle że niespodziewanie, nagle. I jeżeli istnieje kryzys, to tylko się pogłębi. Chyba wolę przemóc swoje opory i rozmawiać,

tym bardziej że ulga potem jest niesłychana, pojawia się wiele dobrych uczuć i poczucie uwolnienia z jakiejś bezsensownej klatki.

G. G. Zauważyłam upiorną tendencję do prania małżeńskich brudów w czasie towarzyskich spotkań przyjaciół. Kiedy ludzie znajdują się w bardziej zaprzyjaźnionym gronie i gdy wiadomo, że nikt z towarzystwa ostentacyjnie nie ucieknie, a obecność innych osób jest jakąś gwarancją, że nie padną zbyt mocne słowa, odbywa się wyrzucanie małżeńskich brudów na forum. Jest to częste zjawisko.

Ale chyba niszczące. Może zrodzić się cicha chęć odwetu, który gdzieś tam w końcu się dokona. A inne żony myśliwych?

G. G. Z nowymi przyjaciółmi męża jakoś nie mogę się zaprzyjaźnić, bo oni wszędzie na ścianach mają rogi. Ich domy są przesiąknięte myślistwem. Żona jednego z nowych kolegów Bogdana chodzi z nim na polowanie, sama nie zabija, ale chodzi i mówi, że jej się to spodobało. Jej ojciec był myśliwym i zginął na polowaniu. Wszedł na linię strzału. Nie chodzi o to, że ona męża pilnuje, bo raz z nim chodzi, a raz nie, tylko że jej się to podoba. Żona znajomego Janusza też jest myśliwym. Zrobiła wszelkie uprawnienia, dostała zezwolenie na broń i chodzi na polowania. Jak teraz się spotykają i opowiadają o polowaniu, to brzmi to mniej więcej tak: „Ja siedziałem na dziesiątce, Krzyś na dwunastce, a Ala na siedemnastce”. Oni te ambony ponumerowali.

Może my jesteśmy odosobnionym przypadkiem, bo na przykład inna nasza koleżanka sama zorganizowała to hobby mężowi, była reżyserem wszystkiego. Zbudowała nawet paśnik, który on miał zbudować w ramach obowiązków na stażu myśliwskim.

G. S. Ale to one są typowe. A Ela, żona Bogdana? Jest tam takie poddaństwo, że cokolwiek Bogdan zrobi, Ela musi to zaakceptować. Nie ma prawa głosu. Chyba najczęściej tak jest, że mężczyźni myśliwi lubią sobie żonę podporządkować.

Zdaje się, że obie jesteście bardzo niewygodnymi żonami dla myśliwego.

G. G. Gdybym tylko umiała zaakceptować to hobby, ale wszystko we mnie się buntuje. *(Ciężko wzdycha)*

G. S. W związek z Januszem wchodziłam zupełnie nieświadoma, kogo biorę. Wcześniej żadnej styczności z myślistwem i myśliwymi nie miałam. W ogóle nie wiedziałam, co to jest. Pamiętam, jak pierwszy raz przyniósł na plecach głowę tego

swojego medalowego jelenia. Nogi mi się ugięły. Ale myślałam z rozbijającą naiwnością, że... „to tylko ten raz tak się przydarzyło i już nigdy tak nie będzie”. Potem mówiłam sobie: „Przecież to jego hobby, jakieś dodatkowe zajęcie, niech chłop ma coś swojego”. Sądziłam, że nie będzie mnie to tak bardzo dotyczyło. Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tego, że muszę wejść w ten układ. Ponieważ było to na początku – w fazie wzajemnej fascynacji – szanowałam go i oczekiwałam, że on będzie szanował mnie. I sądziłam, że gdy uszanuję jego zainteresowania i hobby, on będzie szanował to, co ja będę chciała dla siebie robić. Ale tak nie jest. Mam świadomość, że Janusz w jakiś sposób krzywdzi nas tym swoim strasznym zajęciem. I czasem, gdy mówiłam mu z wyrzutem: „Znowu jedziesz na polowanie, znowu nas zostawiasz”, słyszałam w odpowiedzi: „Ciesz się, że na polowanie, a nie gdzieś indziej”. Taki był koronny argument. On jest przekonany, że powinnam go na rękach nosić za to, że ma takie hobby. Mówię mu: „Janusz, dla mnie nie ma znaczenia, gdzie idziesz. Chodzi o to, że cię nie ma. Idziesz w jakieś swoje życie, dla mnie to jest ucieczka od rodziny, nie liczysz się z tym, jak ja to odbieram”.

Często miałam wrażenie, że on ucieka od nas wszystkich. „Masz pretensje o to, że poluję” – słyszałam w odpowiedzi. „Nie, nie mam. Po prostu mam żal o to, że cię nie ma”.

G. G. Tak, to jest ucieczka z domu.

Bardzo trudno przestać być myśliwym. Myślistwo daje powierzchowne plastry na różne męskie bóle. Rozstać się z jakimkolwiek znieczuleniem w życiu jest bardzo trudno. Właściwie nie słyszałem o osobach, które zrezygnowały z polowania z innych powodów niż starość, choroby czy postępujący alkoholizm. Przy tym stylu życia trzymają mężczyźni ogromne siły. Chyba nie zależą od was i poczucie „może jednak przyczyna tkwi po mojej stronie” nie jest chyba adekwatne. Moim zdaniem taki styl życia rodzi się po męskiej stronie. I to wywołuje w rodzinie mniejszy lub większy dysonans, który zależy również od okresu polowań. W różnych okresach polowań różny jest nastrój w małżeństwach.

G. G. W marcu jest dobrze.

W marcu zaczynają się pizniki, poluje się na lisy i roczne dziki.

G. S. Janusz staje się w marcu bardziej nerwowy niż zwykle. Nie jest to dobry miesiąc.

Gdy skończy się marzec, będzie można polować na dziki, w maju, czerwcu i lipcu – na rogacze i dziki, w sierpniu zaczynają się kaczkę, potem wrzesień i kuropatwy, gęsi... rykowisko. Czasami w rodzinie z tego powodu jest kiepsko, bo nie ma ojca, męża. Zniknął, bo nastąpiła druga połowa wrześnie i ryczą byki. Później, w październiku, listopadzie, grudniu i styczniu, co tydzień są jakieś polowania zbiorowe. Rodzina musi jakoś z tym żyć. Myśliwski sposób życia wpływa na całą rodzinę. Poza rozwiązaniami, które mogą spowodować jeszcze większe cierpienie, jakoś nie pojawia się przynoszące ulgę dobre wyjście. Jest tu jakiś pat, w którym uczestniczymy wszyscy. Ja, jako polujący, ty, jako moja żona, a także nasze dzieci.

G. G. Tak mówi mój ojciec, gdy patrzy na mojego męża. „Jak ktoś został myśliwym, to już przepadł”. Gdzieś w tle przewijają się wujek Zbyszek i ciocia Nusia. Dla myśliwych częstym argumentem jest: „A co, kurczaki w hodowli nie są zabijane?”, „Jak kupujesz kiełbasę, to co, nie cierpisz?”. Według mnie problem polega na czym innym. Dla mnie to czerpanie radości z zabijania, robienie z tego hobby.

Życie prawie wszystkich leśnych zwierząt jest poświęcane dla ludzkiej przyjemności płynącej z zabijania dla rozrywki. Ale zwierzęta nie obciążają swojego życia przewidywaniem śmierci z rąk ludzkich. To ich nie zajmuje. Na śmierci zwierząt traci tylko człowiek. Bo zabija i tego cudu życia, którym jest żywe, wolne, piękne zwierzę, nie zobaczy już nigdy. Jest tylko trup. Z powodu każdego zniszczenia w przyrodzie traci tylko człowiek. Bo robi coś, czego robić nie należy, i sądzę, że nieodwołalnie odczuje skutki swojego postępowania.

G. G. Rozmawiam z myśliwymi, którzy odwiedzają nasz dom, i mam wrażenie, że ich nie męczą takie dylematy. Dla nich to nie jest problem etyczny ani emocjonalny. Nie mają takich refleksji. Mój mąż bardzo wiele stracił, zmienił się na gorsze, gdy zaczął polować. Niedawno byliśmy na jakimś balu myśliwskim, patrzyłam na tych mężczyzn. Wydaje mi się, że wielu z nich nic nie straciło, kiedy zaczęli polować, bo wcześniej niczego nie mieli.

Taki plaster na męskie ego, który daje polowanie, jest dla nich na pewno cenny. U mojego męża zainteresowanie polowaniem zbiegło się z okresem, w którym jego firma padła i nie miał pracy. Aaaach... (ciężko wzdycha), ale co ja mam z tym plastrem robić?

Czuję się zupełnie bezradna. Nic nie mogę zrobić.

Kiedy Bogdan ma coś dać komuś w prezencie, daje odcięte nogi – myśli, że każdy oszaleje z radości, gdy dostanie kawałek zwłok.

G. S. Janusz też daje takie prezenty, ale nikt się za to jeszcze nie obraził.

Największa radość jest po stronie dającego. „To ja żywię, mam tyle, że nie tylko dla mojej rodziny wystarcza. Jest dla wszystkich. Takim jestem łowcą!”

G. G. Dla mnie straszny jest brak dystansu. Bogdan kiedyś miał pewien dystans, taki, który lubiłam, jakąś lekkość. Nie cierpię ludzi, którzy nie potrafią spojrzeć na siebie ani na to, co robią, bez pewnego dystansu – skończył się on na myślistwie. Kiedy krytykowałyśmy myślistwo w sposób głębszy, choć zupełnie bez agresji, miałam wrażenie, że mu pazurami rozdrapuję duszę, że dotykam jego jestestwa. Nagle zrobił się z tego atak na niego, na jego osobowość. Pełna obrona! Żadnych dyskusji na ten temat! Wytaczanie od razu najcięższych dział i argumenty w rodzaju: „Mógłbym siedzieć przed telewizorem”, „Sałata też piszczy, jak ją wyrywasz”, „Skąd masz mięso w sklepie?”, „Z czego masz buty?”.

Sam w obronie myślistwa uruchamiałem najbardziej inteligentne, przebiegłe i zdecydowane działania, które miały chronić moje polowanie. Byłem całkowicie zdeterminowany, by utrzymać myśliwski sposób życia w mojej rodzinie. Przed siłą, jaką wtedy prezentowałem, nie ma obrony.

G. G. Ja stworzyłam sobie życie alternatywne. Mam swoje przyjaźnie i plany. Nie powiem, że mi to odpowiada. Gdy jestem gdzieś w podróży z przyjaciółką, myślę o tym, że przyjemnie by było, gdyby Bogdan był ze mną, ale to niemożliwe – on nie wyjedzie na miesiąc z rodziną, bo zawsze się na coś poluje. Nawet nie chce o tym rozmawiać.

Do związku obie strony coś wnoszą: swoją osobowość, pracę, usposobienie, rozwój duchowy, twórczość, rozwój materialny i różne nowości, które w życiu zagościły. Co do małżeństwa i do rodziny wnosi mąż myśliwy?

G. G. Samotność kobiety, samotność dzieci – całej rodziny. Bogdana bardzo często nie ma. Mówię mu o tym i on stara się wychodzić wieczorami dopiero, jak Zosia zaśnie i ja też już mam iść spać. Gdy próbuje usprawiedliwiać swoje wieczorne wyjście, mówi: „Przecież wychodzę dopiero wtedy, jak wykąpię Zosię, a wy wszyscy już śpicie”. Ale nawet gdy śpię, to jestem sama i mi go brakuje.

G. S. Decydując się na wspólne życie z Januszem, brałam go z całym „dobrodziejstwem inwentarza”, także z jego myślistwem. Musiałam zaakceptować tę pasję i to, że znika, że oddziela życie rodzinne od tej drugiej części swojego życia.

Czego mężczyzna myśliwy nie wnosi do związku?

G. S. Wspólnego życia i przechodzenia przez problemy. Wyjścia Janusza na polowania i okresy, w których intensywniej się poluje, są święte. Nie mogę zaplanować wczasów, gdy jest rykowisko, mogę zaplanować wspólny wyjazd tylko tak, by on mógł się oddalać na polowania. Wszystko jest podporządkowane kalendarzowi polowań i okresom ochronnym, a nie potrzebom rodziny. Brakuje takiego poczucia, że on poświęci dla rodziny jakąś część czasu przeznaczonego na polowanie, na przykład w wakacje. To rodzina musi dostosować się do jego planów. Mnie to bardzo uwiera, bo widać, że nie ma w nim chęci zrobienia czegoś dla rodziny czy dla naszego związku. Takie gesty pokazywałyby, że mu na mnie zależy i chce coś dobrego dla nas zrobić.

Czasami wyjeżdżasz z Januszem na rykowisko. To jest wasz wspólny wyjazd.

G. S. Kiedy wyjeżdżaliśmy wspólnie w góry w czasie rykowiska, wiedziałam, iż jestem tam tylko dlatego, że on ma nieodpartą potrzebę polowania w tym właśnie miejscu. Wszystko w życiu organizuje się wokół tego, żeby polować. Mogłam się zbuntować, ale możliwości są dwie: albo jest wspólny wyjazd w góry we wrześniu, albo nie jedziemy nigdzie razem. W Bieszczadach poszliśmy na szlak, ale z powodu pogody nasza wycieczka znacznie się przedłużyła. W pewnym momencie Janusz stwierdził, że ten dzień jeszcze nie jest dla niego myśliwsko stracony, jeszcze zdąży, jeżeli odpowiednio przyspieszy. Nadał takie tempo naszemu marszowi przez targane wichurą Bukowe Berdo, że myślałam, że umrę, że mi serce stanie. Nawet nie spytał mnie, czy wytrzymuję tempo – po prostu musiałam nadążyć. Janusz zdążył, coś szybko zjadł, wziął sztucer i wyszedł na polowanie.

Sam organizowałem rodzinie wczasy w środku mojego obwodu łowieckiego. Najlepiej we wrześniu. Ale to było beznadziejne, bo jedno dziecko było małe, drugie tylko trochę większe i ani nie mogłem popolować, ani zrobić czegoś z rodziną. Było fatalnie, ponieważ ja wolałbym znikać na całe dni i noce w lesie, potem w dzień trochę odpocząć i później znowu iść do lasu, a obecność rodziny to uniemożliwiała

i zaburzała. Jednocześnie czułem się nie w porządku w stosunku do żony i dzieci, co psuło smak polowania.

G. G. Bogdan czasami namawia mnie na wypad na jakąś ambonę: „Pojeźdź ze mną, zobaczysz, jakie to przyjemne”. Ale ja chyba bym zwariowała, gdybym miała oglądać jakieś zastrzelone zwierzę padające we krwi. Nie umiem pogodzić się z tym, że mój mężczyzna przedkłada chodzenie po lesie ze strzelbą nad przebywanie z ukochaną rodziną. Ja to odbieram jako jakieś odrzucenie. Może źle to przyjmuję, ale właśnie tak jest. Zdarza się, że w przyjemny zimowy wieczór, kiedy pali się w kominku, Boguś schodzi na dół już w zielonym stroju. Stoi i patrzy na mnie. Widzę zielony strój i natychmiast robi mi się przykro, że on chce wyjść, i chyba to widać na mojej twarzy. Czasami staram się panować nad sobą i tej miny nie robić, ale to jest udawanie, bo wewnątrz taką właśnie minę robię do siebie i Bogdan to wie. W małżeństwie ludzie czasami chcą pobyć sami i może takie „zwykłe” polowanie byłoby w porządku. Ale czasami to wygląda jak jakiś nałóg: Bogdan wychodzi wieczór w wieczór, zabije dzika i dalej wychodzi, to trwa tygodniami, noc w noc – wtedy pojawia się uczucie odrzucenia. Gdybym położyła się pod drzwiami, on by po mnie przeszedł. Ja to wiem i dlatego się nie kładę.

G. S. Ja nigdy nie konkurowałam z pasją Janusza, naiwnie wierząc, że kiedyś zasłużę na to, że nie będzie mnie opuszczał, że zaczniemy jakoś harmonijnie nasze życie układać z wpisanym w nie myślistwem. Ale się nie dało.

Jaką potrzebę waszych mężów zaspokaja myślistwo?

G. S. Janusz twierdzi, że to jest atawizm, który w nim siedzi, i on nie może z tym walczyć. To dla niego potwierdzenie męskości. Chodzi także o kontakt z przyrodą, on twierdzi, że tam znajduje odreagowanie od cywilizowanego życia, którego nienawidzi. Ja uważam, że to jest ucieczka i brak odwagi do zmierzenia się z trudami życia codziennego.

Niby ucieka się od cywilizacji do przyrody, ale ma się w ręku wyjątkowo zaawansowany technologicznie wytwór cywilizacji, jakim jest precyzyjny stalowy karabin z nadzwyczajnymi przyrządami optycznymi.

G. G. Bogdan twierdzi, że chodzi tylko o przyrodę, że zabijanie jest nieważne. Ale z drugiej strony, nie mogę go zmusić, żeby wyszedł z psem do lasu, on tego nie lubi, to go nudzi. Moim zdaniem tu nie chodzi o przyrodę, tylko o chęć zapanowania nad czymś.

G. S. Na pewno jest to jakieś obcowanie z przyrodą, bo gdy chodziłam z Januszem po łowiskach, pokazywał mi znaki, dźwięki, zwyczaje zwierząt: „Teraz, w dzień, poszły w górę, wieczorem zaczną z niej schodzić”, przejścia, wodopoje. Poznaje się to od środka.

G. G. Ale gdy włącza się w to wszystko zabijanie, to w ogóle nie trzyma się kupy! Może Bogdanowi daje to poczucie jakiegoś sukcesu po tym, jak jego firma zbankrutowała. Wychodzi do lasu, zabije jakieś zwierzę, przyrządzi i inni się nim zachwycają. Bardzo lubi się tym chwalić. Gdy poznamy nowych znajomych, to najdalej w czwartym zdaniu dowiadują się, że on poluje. To jest dla niego przedmiot dumy. Myślę, że on czuje się członkiem takiego elitarnego klubu myśliwych, chociaż różnie o nich mówi.

Chciałybyście powiedzieć coś kobietom, które są w podobnej sytuacji życiowej?

G. G. Zachęcałabym wszystkie kobiety, które uważają, że muszą się myślistwu podporządkować, a tak naprawdę czują się z tym źle, żeby nie tłamsiły tego w sobie, bo na tym ucierpią. Żeby nie musiały w którymś momencie swego życia powiedzieć jak moja ciocia Niusia, że całe życie zmarnowały pod znakiem polowań i przygotowywania wątróbki, że życie upłynęło im absolutnie podporządkowane męzowskiej potrzebie polowań. Powiedziałabym tym kobietom, że mają własne życie do przeżycia.

G. S. Bardzo ważne jest, żeby móc realizować własne życie i nie zawieszać się na drugiej osobie. Wczoraj z otwartymi oczami pływałam w basenie. Widziałam przed sobą niebieską wodę i tak mi było dobrze... Byłam szczęśliwa. Radość z tamtej chwili jest we mnie. Ten moment z wczoraj wydaje mi się jakoś czarodziejsko ważny i gdy zamknę oczy, widzę przed sobą całą tę niebieskość.

Nie wiem, za czym miałabym gonić.

Rozmowa z roshi Sunyą Kjolhede

Nasza zadziwiająca egzystencja i niezwykle spotkania, jak skarby.

Roshi Sunya, jedna z najbliższych mi osób. Jak trudno napisać choć parę osobistych słów o takiej bliskości.

Czym jest zabijanie? Co tu się naprawdę dzieje? O co w naszym życiu chodzi? Na takie pytania odpowiedzieć może oświecony nauczyciel. Roshi praktykuje zen od trzydziestu pięciu lat i opiekuje się wspólnotami zen w Stanach Zjednoczonych oraz w Polsce. Jest spadkobierczynią dharmy roshiego Philipa Kapleau. Ma czworo dorosłych dzieci. Po wielu latach praktyki w Rochester w 2003 roku przenieśli się wraz z mężem, również nauczycielem zen, pod Asheville w góry Karoliny Północnej, gdzie stworzyli własny ośrodek, stanowiący główną siedzibę sanghi Windhorse Zen Community. Starają się łączyć tradycyjną praktykę zen z życiem rodziny i społeczności, a także z zaangażowaniem w sprawy społeczne i pracą na rzecz ochrony środowiska. Mówią, że pracują na macie do medytacji i w świecie. Prócz tego Roshi przeszła szkolenie w dziedzinie duszpasterstwa klinicznego i przez jakiś czas służyła jako kapelan na oddziale poparzeń w dużym szpitalu w Rochester w stanie Nowy Jork. Poza tym pracowała z dziećmi autystycznymi jako profesjonalna bajarka. Podstawą kontynuowanego przez Roshi stylu treningu zen jest medytacja – zazen – łącząca aspekty dwóch głównych szkół zen – rinzai i soto. Codzienna praktyka zazen i okresowe, dłuższe odosobnienia umożliwiają dokonywanie prawdziwych, trwałych zmian w życiu osób praktykujących i w otaczającym ich świecie. Roshi konsekwentnie odrzuca stary model patriarchalny i hierarchiczny, który prowadzi do nadużyć władzy. Od 1994 roku roshi Sunya regularnie przyjeżdża do Polski, dwa lub trzy razy do roku prowadzi kilkudniowe odosobnienia zen – sesin. Rozmowa odbyła się nazajutrz po sześciodniowym zimowym odosobnieniu.

*

Roshi, nasza rozmowa będzie dotyczyła przede wszystkim mężczyzn, bo to właśnie oni polują, czyli zabijają dzikie zwierzęta w ramach hobby. Ale kobiety też czasami

strzelają i zabijają. Widziałem niedawno w reportażu prasowym zdjęcia takich kobiet. Jedna z nich myśliwskim nożem patroszyła sarnę – dłonie miała we krwi. Na tych zdjęciach wyglądają na zadowolone z tego, co robią.

Tak, ale to znacznie rzadsze, prawda?

Tak, to prawda, kobiety rzadziej zabijają zwierzęta. W Polsce jest około trzech tysięcy takich kobiet. Jeżeli nie polują, jako żony myśliwych raczej wspierają swoich mężów. Polowanie pochłania wiele czasu, energii i środków materialnych – jest to sprawa tak poważna, że musi być uwzględniona w życiu całej rodziny. Gdy uprawiałem w domu dzika, mój syn mi pomagał. Trzymał go za nogi, gdy skórowałem i dzieliłem jego ciało na części. Moja córka, wchodząc do kuchni, zasłaniała oczy, coś tam brała i wychodziła. Ale nigdy nie protestowała, podobnie syn i żona. Ja także od najmłodszych lat uczestniczyłem w tym wszystkim razem ze swoim ojcem. Tylko w Polsce poluje ponad sto tysięcy myśliwych.

Na co tak naprawdę ci ludzie polują? Czego w gruncie rzeczy chcą, czego szukają? Z jednej strony mamy tu kwestię władzy, poczucia boskiej wszechmocy, które pozwala odbierać życie. Oczywiście zabójcy mogą, niestety, tylko zabijać, nie potrafią niczemu przywrócić życia. Jest to bardzo ograniczony i destruktywny rodzaj władzy. Bez wątpienia jest w tym także element bratania się mężczyzn – jeździłeś z ojcem na polowania i był to dla was ważny, wspólnie spędzony czas. Ale i polowanie, i łowienie ryb niewątpliwie bierze się też z potrzeby utrzymywania więzi z przyrodą. Wydaje mi się, że w człowieku istnieje silny pierwotny impuls, głęboka potrzeba, aby mieć ściślejszy kontakt z dziką przyrodą, z dzikością. Również silne dążenie do aktywnego uczestniczenia w czymś bardzo realnym, czymś, co odbieramy jako znacznie realniejsze niż te wszystkie „przyziemne” domowe obowiązki i uciążliwe zajęcia, które wydają się pochłaniać tyle naszego czasu i energii. Może polując, ludzie odnajdują coś bardziej namacalnego, realnego: drzewa i błoto, krew i śmierć. Może stanowi to też pewnego rodzaju doświadczenie inicjacyjne – coś, czego bardzo brakuje współczesnemu zachodniemu światu. Co więcej, całe nasze uwarunkowanie, któremu podlegamy, otaczająca nas przemoc i nadal dość silny ideał macho – wszystko to sprzyja myślistwu, bezsensownemu zabijaniu zwierząt. Sądzę jednak, że pod tym wszystkim kryje się coś głębszego. Czego tak naprawdę ci ludzie szukają – w takich surowych, pierwotnych warunkach, wśród istot

zamieszkujących tamte obszary? To zupełnie inne środowisko, inny sposób bycia niż w naszym znajomym, ludzkim, codziennym świecie. Można powiedzieć, że myśliwi w ten sposób niszczą to, co „obce”, co jest na zewnątrz nich, coś dzikiego i nieokiełzanego. Ale sięgając jeszcze głębiej, sądzę, że ci ludzie próbują nawiązać kontakt z czymś naprawdę istotnym. Nie wiedzą jednak, czego szukają, a tym bardziej jak skupić się na poszukiwaniu tego.

Znasz pewnie *Dziesięć obrazków pasterskich*, tradycyjne ryciny przedstawiające etapy rozwoju duchowego w zen. Pięć pierwszych pokazuje, jak człowiek szuka, podąża za śladami, tropi. To jest jakby polowanie na coś, o czym nie wiadomo nawet, czym tak naprawdę jest. To jakiś zew – coś nas wzywa i oczywiście człowiek podąża tym tropem, szuka, ale na końcu nie zabija wołu, tylko wraca z szerokim uśmiechem na twarzy, jadąc na nim i grając na flecie. To oczywiście zupełnie inny obraz niż scena przedstawiająca myśliwego oprawiającego zabitego jelenia. A jednak może istnieje tu pewien związek. Przypuszczalnie wszystkie istoty, wszyscy ludzie słyszą ten zew, ale nie bardzo wiedzą, co ich wzywa. Nie rozpoznają tego. To doprowadza nas do starego pytania: „Czego tak naprawdę ludzie szukają?”. Polowanie może stanowić wyraz tych głębszych poszukiwań czegoś niewyraźnego – własnej pierwotnej Natury... Może to też być nieświadoma próba poradzenia sobie z nieuniknionym faktem śmierci, z lękiem przed własną śmiercią – a może nawet próba pokonania samej Śmierci.

Gdybym był osobą, która niewiele wie o polowaniu i zastanawia się nad tym, czy polować, czy nie, podobałoby mi się, jak to określiłaś, eksplorowanie dzikiej przyrody. I to, że podążam za jakąś swoją tęsknotą, zewem, że bratam się z mężczyznami. Powiedziałbym też, że nie od wszystkich wartości macho bym stronił, a powagi mojej decyzji przydałby fakt, że mierzę się ze sprawą śmierci. Jest wielce prawdopodobne, że podjąłbym decyzję: „To fantastyczne, tego właśnie szukałem, idę polować!”.

Szkoda by było, gdyby ktoś tak zareagował.

W tej chwili czuję się zachęcony.

To jeszcze chwilę poczekaj. Pytałeś, co moim zdaniem stoi za tym impulsem, za chęcią polowania. Uważam, że do takiego działania popycha nas w gruncie rzeczy głęboka tęsknota, która każe nam szukać czegoś, co zapełniłoby tę dziurę niezaspokojenia, które stopniowo trawi naszego ducha. Budda nazwał to *dukkha* –

cierpieniem lub niezaspokojeniem. Większość ludzi stara się zapełnić tę dziurę najróżniejszymi rzeczami zewnętrznymi. Nasza kultura jest tak nastawiona na konsumpcję, na różne trywialne dążenia, że możliwość wyrwania się z tego wszystkiego na łono przyrody i bliższy kontakt z nią dla wielu osób stanowi wielką ulgę. Problem polega na tym, że zabijając zwierzęta, w dużym stopniu zabijamy też siebie. Po prostu! Na głębokim poziomie zabijamy samych siebie, niszcząc pełen współczucia i wrażliwości rdzeń własnej istoty, zamiast go wzmacniać. Gdy byłam dzieckiem, w ogóle nie rozumiałam, dlaczego ludzie polują. Zdawało mi się to niepojęte. Ważne wydają się jednak próby zrozumienia, co ludzi ciągnie do takiego zabijania. Wykopaliśmy bowiem między sobą a zwierzętami wielką przepaść, mimo że ściśle rzecz biorąc, sami jesteśmy zwierzętami. To zabijanie dla sportu świadczy o ogromnej ignorancji i niechęci do tego, by jakoś ogarnąć świat zwierząt i rozpoznać w nich siebie: żywe, czujące istoty, które mają prawo istnieć i funkcjonować zgodnie z własną naturą.

Czytałam o tym, że w Australii niektórzy cywilizowani europejscy osadnicy jeździli kiedyś całymi rodzinami na pikniki. Mężczyźni podczas takich pikników ruszali w busz i polowali na Aborygenów. To był ich sport – polowanie na istoty ludzkie i zabijanie ich. Traktowali ludzi jak przedmioty, jak zwierzęta, do których strzela się dla zabawy. Przemoc i okrucieństwo przybierają różne formy, a granica oddzielająca ludzi od zwierząt nie zawsze jest taka wyraźna.

Pomyślałem o Holocauście.

Wszystko to ma dać do zrozumienia: „Te istoty nie są nami”. Nie są ludźmi, nie liczą się, więc możemy z nimi robić, co zechcemy. Faktycznie przywodzi to na myśl czasy, gdy mawiano, że „Żydzi nie są ludźmi”. Odczłowieczanie innych, odmawianie im człowieczeństwa, jest jednym z elementów strategii wojennej – potem zaczyna się zabijanie. To dzieje się nieustannie. Najpierw dystansujemy się i wywyższamy ponad naszego przeciwnika, naszego wroga, a wtedy nieistotne staje się to, co mu zrobimy. Początków takiej postawy można doszukać się w najdawniejszych czasach – już w Księdze Rodzaju powierzono człowiekowi świat zwierząt, świat pozaludzki, aby nad nim panował i robił z nim, co zechce. Odpowiada to mniemaniu wielu ludzi, że zwierzęta i inne istoty nie mają prawa do samoistnego bytu. To samo z drzewami – wielkimi, starymi drzewami –

w których dostrzegamy tylko wartość finansową i uważamy, że możemy robić z nimi, co zechcemy.

Gdybym był myśliwym, byłbym poruszony. Odpowiedziałbym, że przecież tylko poluję – zabijam bażanty, jelenie i antylopy – a mówi się o mnie tak, jakbym był gotów zabijać ludzi. Wśród inicjatorów Zagłady byli oczywiście również myśliwi, ale myśliwi są przecież wszędzie.

Nie twierdzą, że myśliwi mają takie skłonności, ale fakty mówią, że tak bywało. Aborygeni w Australii to ludzie – mądry, pradawny lud – a polowano na nich jak na zwierzęta. To jest przykład wstrząsający, skrajny, ale faktycznie tak się działo. Ludzie cywilizowani też robią straszne rzeczy, a jak powiedziałaś wcześniej, ludzie polują, bo to jest społecznie akceptowane. Traktowanie zwierząt jak rzeczy, dawanie sobie prawa do zabijania ich, a potem pożerania – wszystko to zdaje się wypływać z założeń, na których opiera się nasza cywilizacja – w pewnym sensie zabijamy, zanim jeszcze zabijemy naprawdę. Zamiast dostrzegać w zwierzęciu piękno i cud, wielu ludzi widzi tylko coś, co można zastrzelić. A to znaczy, że utraciliśmy kontakt z pięknem i cudownością własnego wnętrza – nie tylko ze swoją zwierzęcą naturą, lecz również z tą Prawdą, która ogarnia wszystko, która jest wszystkim i wszystkimi.

Gdy zabija się pierwsze w życiu zwierzę, towarzyszą temu silne uczucia – trzęsą się nogi, ręce, pali się papierosa za papierosem, pije wódkę. Potem w nocy coś się śni. Ten stan określa się jako „myśliwskie emocje”, podczas gdy tak naprawdę po prostu cały człowiek w ten sposób mówi: „Nie!”. Aby być w stanie po raz pierwszy zabić zwierzę, trzeba coś zabić w sobie, inaczej to, co naprawdę robimy, byłoby nie do zniesienia. Z czasem przychodzi rutyna w zabijaniu i silne reakcje słabną – ale nigdy nie mijają zupełnie. Czy mogłabyś powiedzieć więcej o tym, co takiego musimy zabić w sobie, żeby móc uśmiercić inną istotę?

Najpierw musimy zabić w sobie wrażliwość, głębokie poczucie więzi i jedności, współczucie i miłość. Bo jak można coś kochać i zmieścić to z powierzchni ziemi, unicestwić? Chyba Gandhi powiedział, że ludzie nigdy nie będą w pełni ucywilizowani, dopóki nie przestaną zabijać i zjadać zwierząt. Może znasz historię o tym, jak Gandhi pojechał do Wielkiej Brytanii i tam jakiś reporter zapytał go, co sądzi o zachodniej cywilizacji. A on odparł, że to byłby bardzo dobry pomysł, gdyby istniało coś takiego jak „zachodnia cywilizacja”! Myślistwo, zabijanie

i zjadanie zwierząt – jak to wpływa na cały organizm na każdym poziomie? Jak to wpływa na nasilenie przemocy w społeczeństwie? Może gdyby odbywało się to tak, jak u Indian północnoamerykańskich, którzy przed polowaniem modlą się, składają ofiary i odprawiają rytuały wyrażające szacunek wobec zwierząt oraz poczucie wspólnoty z nimi, nie prowadziłyby to do takiego utwardzenia serca. Jeśli chodzi o ludzi, którzy po prostu biorą karabin i idą polować – jakże by to mogło nie stępiać ich wrażliwości, nie umacniać ego, nie potęgować poczucia oddzielenia i wyższości? Zabijanie powoduje na świecie tyle bólu.

Myśliwi mówią niekiedy, że jeśli chodzą na polowanie i zabijają zwierzęta, stają się mniej agresywni w codziennym życiu. Ja to widzę inaczej. Zabijanie tylko wzmacnia, podsyca i utrzymuje ogień ukrytych agresji i złości. Zabijanie oraz ukryte w nas złość i agresja wzajemnie się napędzają.

Zgadzam się. Poza tym wiele badań pokazuje, że ludzie, którzy są okrutni wobec zwierząt, znacznie częściej są antyspołeczni i stosują przemoc wobec innych.

Myśliwi często mają okazję wyrwać się z tego. Gdy się zabija, dzieją się te wszystkie straszne rzeczy, których wolelibyśmy uniknąć. Wystarczy wtedy otworzyć oczy, by zobaczyć połamane kości, wybite śrutem zajęcze oko i zaszczute przez psy, śmiertelnie ranne, ślaniające się, skrwawione zwierzę, zobaczyć targnięcie ciała dobijanego ostatnią kulą. Wtedy człowiek ma okazję natychmiast z tego zrezygnować! Niczym Święty Hubert. Tak się jednak nie dzieje, choć każdy myśliwy przeżywa tę sytuację wiele razy, wciąż i wciąż od nowa. Dlaczego tak trudno to zobaczyć?

Jeśli naprawdę głęboko, osobiście i bezpośrednio doświadczy się tego, że wszystko się ze sobą wiąże i przenika, to jak można wtedy pozbawić życia inną istotę, o ile nie jest to naprawdę konieczne? Jeśli ktoś zabija dla rozrywki, dla sportu, to w fundamentalnym sensie sam sobie wyrządza wielką krzywdę. Może za tego rodzaju przemocą kryje się jakaś wielka nienawiść do siebie samego? Tak naprawdę każda z wielkich religii zakazuje zabijania, lecz większość, buddyzm stanowi tu wyjątek, nie obejmuje tym zakazem zwierząt. Ale ten antropocentryczny pogląd jest niebezpieczny dla ludzkiej psychiki. Wydaje się oczywiste, że jeśli jesteśmy gotowi polować, zabijać zwierzęta, prowadzić je masowo na rzeź, to łatwiej nam będzie zabijać ludzi. Mówi się, że gdy żołnierz pierwszy raz zabija

człowieka, jest to okropne, odpychające, przerażające doświadczenie. Ale im bardziej się w to brnie, tym łatwiej zabijać. Czy można przypuszczać, że w przypadku zwierząt sytuacja jest aż tak odmienna? Wracając do Holocaustu, nie chodzi oczywiście o sugestię, że ci ludzie bardzo przypominają nazistów – to byłoby straszne uproszczenie. Mając na uwadze te wszystkie piękne zwierzęta z błyszczącymi oczami – na przykład świnie, które w gruncie rzeczy są bardzo inteligentne i uczuciowe – i fakt, że całe ich miliony podlegają ubojowi, można by zapytać, czy byłoby to możliwe bez pewnego rodzaju wewnętrznego znieczulenia się, bez jakiegoś zubożenia. Co te znieczulone serca robią potem z naszym światem? Trzeba rozejrzeć się wokoło i zauważyć, co się z tym światem dzieje, zastanowić się, jak te wszystkie formy przemocy nawzajem na siebie oddziałują. Mówisz, że wystarczy szeroko otworzyć oczy, żeby to zauważyć. Jestem przekonana, że większość myśliwych właśnie tego nie jest w stanie zrobić. To jest okropne doświadczenie, więc wrażliwość na nie musi zostać stłumiona zaprzeczeniami i racjonalizacjami. Jakże coś takiego mogłoby nie wpływać na każdy aspekt naszego życia?

Gdzie szukać nadziei? Myśliwi powtarzają: „Ja tylko poluję”, inni mówią: „Ja tylko jem mięso”.

Spójrz na samego siebie! Jest nadzieja. Ty ją ucieleśniasz. Ludzie się zmieniają. Wracamy do siebie, do tego naturalnego poczucia łączności ze wszystkim, do zdolności kochania.

Przypomniał mi się film, który niedawno pokazano w polskiej telewizji. Nakręcono go ukrytą kamerą. Widać było niedobite, jeszcze żywe świnie z przeciętymi szyjami. Próbowaly wydostać się z kadzi z wrzątkiem, w której były zanurzane. To nie był jednorazowy epizod – jestem przekonany, że ten film mógł powstać, bo zdarzało się to często. I musi się zdarzać wszędzie, bez przerwy, we wszystkich rzeźniach świata. Nie ma od tego odwołania, bo tak właśnie wygląda zabijanie. A „technologicznie czyste” zabijanie jest tak straszne, że nie sposób nawet tego wyrazić. Powiedz mi, czy jedząc mięso, uczestniczymy w tej kaźni, czy też nie?

Tu chodzi nie tylko o położenie zwierząt, lecz także o ludzi: czytałam, że zawód rzeźnika to jedno z najbardziej niebezpiecznych zajęć. Wykonując je, ludzie często ulegają okaleczeniu, a nawet giną. Nie mogę jednak zapominać o tym, że przez

pierwszych osiemnaście lat życia ja też jadłam mięso i wtedy zupełnie tego nie kwestionowałam. Wszyscy wokół jedli mięso, tak po prostu było.

To oczywiste, że jedząc mięso, mamy swój udział w zabijaniu. W pewnym sensie, jeżeli ktoś sam idzie na polowanie, zabija zwierzę i przechodzi przez cały nieprzyjemny proces rozbierania ciała na części, gotowania go i tak dalej, jest to uczciwsze podejście niż pójście do sklepu i kupienie opakowanego w folię mięsa do jedzenia. Jak powiedział Paul McCartney, jeden z Beatlesów: „Gdyby rzeźnie miały szklane ściany, wszyscy byliby wegetarianami”. Gdyby ludzie naprawdę zobaczyli na własne oczy, co tam się dzieje, to ilu z nich jadłoby mięso? Jedząc mięso, uczestniczymy w tym w jeszcze inny sposób. Mianowicie wchłaniamy wszystkie te hormony, cały ten lęk i przerażenie, które nasycają tkanki zwierzęcia, gdy jest ono zabijane, i pozostają w mięsie. To wszystko przenika do krwiobiegu mięsożerców i staje się częścią ich ciał-umysłów. W ten sposób też przejawia się nasz ścisły udział w tym wszystkim.

„Gdyby rzeźnie miały szklane ściany, wszyscy byliby wegetarianami”. Cóż takiego nie pozwala nam zobaczyć, co naprawdę się dzieje, gdy kula przeszywa zwierzę i część wątroby z treścią jelitową wylatuje na trawę? Czego tak naprawdę nie chcemy zobaczyć? Tu nie ma żadnych ścian, nawet szklanych.

Któż chciałby otwarcie przyznać się przed samym sobą do tego, co właśnie opisałeś? Który myśliwy gotów jest w pełni zmierzyć się z bólem i okropnościami, do jakich prowadzą podejmowane przez niego – lub nią – działania? Aby to wyprzeć, umysł czym prędzej wypełnia się abstrakcjami, racjonalizacjami, trywializującymi problem myślami i wszelkiego rodzaju usprawiedliwieniami. Posługując się swoją starą, pozostającą w okowach nawyków świadomością, stajemy się ślepi i głusi. A wtedy te cudowne, tajemnicze istoty stają się czymś nudnym i bez życia – przeistaczają się w abstrakcje.

Kaczka po pekińsku.

Właśnie. Jeszcze zanim taka kaczka czy jelen faktycznie zginą, już je uśmiercamy, nie dostrzegając w nich niepowtarzalnych, zadziwiających istot, które mają pragnienie – i prawo – by żyć.

Skoro nie umiemy dostrzec tej niezwykłości i widzimy tylko porcję na talerzu lub trofeum, to czy w takim razie także nasze życie nie staje się abstrakcyjne?

Oczywiście. Kiedy udajemy wobec samych siebie i innych, że zabijanie żywych istot jest czymś „normalnym”, że to „sport”, a ich życie nie ma znaczenia, to czy nie uśmiercamy w sobie czegoś żywego? Czy traktowanie w taki sposób zwierząt nie zasklepia naszych serc i nie zwiększa prawdopodobieństwa, że będziemy gotowi uczestniczyć również w przemocy wobec ludzi? Psychiatra Ronald David Laing powiedział, że „normalni ludzie” zabili w ubiegłym wieku setki milionów innych „normalnych ludzi”. Gdyby nasze umysły nie były zamroczone abstrakcjami, musielibyśmy skonfrontować się z tym, co wyrządzamy zwierzętom, sobie nawzajem, powietrzu, którym oddychamy, i wodzie, którą pijemy... Oczywiście nie chcemy dostrzec powagi swojej sytuacji, to zbyt bolesne. Całe gatunki żywych istot giną bezpowrotnie, ogromne, pradawne lasy – płuca tej ziemi – są wycinane dla zysku. Wzbudza to zbyt wiele cierpienia i lęku, więc większość ludzi zamyka na to oczy i uszy, chroniąc się w ciasnym świecie własnych myśli i przyziemnych spraw, zamiast doświadczać życia bezpośrednio – stawiając czoło prawdzie o tym, co wyrządzamy sobie nawzajem i naszej planecie.

Dlaczego przestałaś jeść mięso?

Tak naprawdę nie jestem pewna. Miałam siedemnaście lub osiemnaście lat, byłam na pierwszym roku Uniwersytetu Michigan. Mieszkałam w akademiku i jadałam w tamtejszej stołówce. Dobrze pamiętam, kiedy przestałam jeść mięso – to była niedziela. W niedzielę zazwyczaj podawano jakiś lepszy obiad. Owego dnia akurat serwowano stek – rarytas dla wygłodniałych studentów. Zdjęłam talerz z tacy, postawiłam przed sobą na stole, spojrzałam na ten stek – i ku własnemu zaskoczeniu po prostu nie byłam w stanie go zjeść. Moi zaintrygowani przyjaciele chętnie mnie w tym wyręczyli.

Od tamtego czasu nie jadłam już ani mięsa, ani ryb. Nie znałam wtedy ani jednego wegetarianina i naprawdę nie mogłabym podać żadnego zrozumiałego powodu przejścia na wegetarianizm. Ale niemal od razu poczułam się lżejsza i zdrowsza: różne nękające mnie przez całe życie problemy z przemianą materii po prostu znikły. W końcu stało się najzupełniej oczywiste, że nie mogę już więcej jeść zwierząt – koniec kropka. Nie chciałam w żaden sposób przyczynić się do cierpienia na świecie. Wychowałam czwórkę dzieci, które od urodzenia były wegetarianami. I co ciekawe, żadne z nich nigdy nie chciało jeść mięsa. Co więcej, nigdy nie potrafiły zrozumieć, po co w ogóle ludzie mieliby zjadać zwierzęta.

Czy twoje dzieci wychowują tak samo swoje dzieci?

Mam tylko jedną wnuczkę, jest wegetarianką. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, gdy dziecko dorośnie. Może jednak zechce jeść mięso. Prawdę mówiąc, byłam trochę zdumiona, że wszystkie moje dzieci pozostały wegetarianami.

Zdumiona? Dlaczego?

Wyobrażałam sobie, że mogą zechcieć poeksperymentować z jedzeniem mięsa. W końcu każde z nich ma własną karmę, własny sposób życia. No i wychowywały się w kulturze mięsożerców, pośród jedzących mięso rówieśników. Na większość nastolatków presja grupy rówieśniczej oddziałuje bardzo silnie.

Wyglądasz pięknie i zdrowo, nie jedząc mięsa. Twoje dzieci też nie jedzą mięsa. Czy sądzisz, że wszyscy ludzie mogą tak żyć?

Nie narzucałabym tego nikomu. To musi przyjść od wewnątrz, nie z zewnątrz. Sądzę, że ludzie muszą dochodzić do tego samodzielnie.

Pytałem raczej o fizjologię.

Nie wiem, co takiego mogłoby komukolwiek uniemożliwić zostanie wegetarianinem. Pochodzę z rodziny skandynawskiej, gdzie mięso zawsze było na stole. Ale jak już powiedziałam, gdy tylko przestałam je jeść, poczułam się lepiej. Mój nauczyciel, roshi Philip Kapleau, napisał książkę *Ochroniać wszelkie życie*, w której dosyć dogłębnie ten temat omawia. Sam był niezłomnym, zagorzałym wegetarianinem, ale mówił też, że nie powinniśmy zmuszać się do rezygnacji z mięsa, lecz pozwolić, żeby to ono z nas zrezygnowało. Poważnie rozważywszy wszystkie negatywne następstwa jedzenia mięsa, łącznie z tym, jak niedobrze odbija się to na środowisku naturalnym, sądzę jednak, że w sumie nie jest aż tak trudno z tego zrezygnować.

Ludzie bardzo przyzwyczaili się do jedzenia mięsa i wydaje im się, że muszą je jeść codziennie. Jeżeli go nie jedzą, często czują się w pewien sposób głodni. I jeżeli zdarzy im się jakiegoś dnia nie zjeść mięsa, czekają na następny, by się go najieść. Z tego punktu widzenia zrezygnować z jedzenia mięsa to zdecydować się na jakość życia bez pieczeni, kaczek, dzików na rożnie i kielbas.

I całkiem możliwe, że i bez wszystkich tych przypadków nadciśnienia, problemów z sercem i nowotworów! Jeśli ktoś jest otwarty na nowe możliwości i autentyczne zmiany, jeśli gotów jest zdobywać wiedzę na temat wegetarianizmu,

to przygotowuje się nie tylko do istotnej zmiany nawyków żywieniowych, lecz również do przeżywania życia w sposób bardziej świadomy i współczujący.

I wtedy przestaje się zabijać lub uczestniczyć w zabijaniu?

Zabijanie to ogromny i złożony temat. Można spojrzeć na to z tyłu punktów widzenia. Oczywiście wegetarianie na każdym kroku spotykają się z uwagami: „A co, wy może nie zabijacie? Przecież jecie marchewki, prawda? Czy to nie jest zabijanie?”. Z tego punktu widzenia zabijanie trwa nadal. I do pewnego stopnia zawsze stanowi część naszego życia. Najistotniejsze jest jednak to, na ile wchodzi tu w grę przemoc czy użycie siły. Jak mawiał Philip Kapleau, ubój krowy czy upolowanie jelenia wiąże się ze znacznie większą przemocą niż wyrwanie z ziemi marchewki!

W modlitwie noworocznej mówimy: „Zastąpmy krzyk zarzynanych zwierząt ciszą dojrzewających zbóż, owoców i warzyw”^[31].

Nasz świat byłby wtedy zupełnie inny, prawda?

To głęboko poruszająca wizja.

I ludzie byliby zupełnie inni. Gdybyśmy kierowali się współczuciem i troską o wszystkie istoty, to kto wie, jaką moglibyśmy stworzyć cywilizację?

Kto wie? Rozlało się we mnie marzenie o dojrzewających łanach zbóż i sadach. A na zewnątrz jest taka zima!

Irlandzki dramaturg Bernard Shaw powiedział kiedyś: „Zwierzęta to moi przyjaciele, a ja nie jadam przyjaciół”. Jeżeli otworzymy się na działanie w tym duchu, zwierzęta mogą być dla nas wielkimi nauczycielami. Nie tylko zwierzęta domowe, takie jak psy i koty, ale też te dzikie. Spójrzmy na to, jak się poruszają, na ich lśniące oczy – jakież w tym tajemnica i ileż życia! W najgłębszym sensie to nasze własne życie. Wierzę, że w każdym człowieku bije czułe, otwarte serce, które tęskni za jakąś wspólnotą, za głęboką więzią ze wszystkimi formami życia. Jeśli jakoś się na to nie otworzymy, będziemy zadawać cierpienie innym i samym sobie.

Miałem niezwykłą okazję zetknąć się z prawie oswojoną łanią. Tak delikatnie dotykała wnętrza mojej dłoni, czułem jej ciepły oddech na policzku, potem w uchu! Wąchała mnie! Patrzyłem w jej wielkie, łagodne, brązowe oczy. Ach! Jakże była ciepła i miękka! Kiedy przeżyje się coś takiego – zabijanie przestaje być możliwe.

Jeżeli dotykamy głęboko innej istoty i pozwalamy, aby ona nas dotknęła, to jak można wyrządzać krzywdę? To tak, jakbyśmy spoglądali na jakiś inny żywot,

w którym zastrzeliliśmy sami siebie, a teraz powróciliśmy do życia! I teraz będziemy przemawiać w imieniu tych istot, kierując się współczującym sercem, które zawsze w nas było, nawet gdy byliśmy od niego odcięci.

Przychodzi mi na myśl pieśń *Amazing Grace* – czy znacie ją w Polsce? Jest to być może najśłynniejsza pieśń w języku angielskim. Napisał ją pewnej nocy właściciel statku przewożącego niewolników, gdy nagle zdał sobie w pełni sprawę, jak straszne jest to, co robi. Doznał całkowitej przemiany i popłynęła przez niego ta pieśń, w tym również następujące słowa: „Kiedyś byłem zagubiony, lecz teraz się odnalazłem, byłem ślepy, lecz teraz widzę”. Bolesne jest przebudzenie i zrozumienie cierpienia, które powodowaliśmy. Musimy przejść przez coś w rodzaju umierania. Jakież to jednak cudowne odrodzić się i móc żyć zupełnie inaczej, widzieć otaczające nas piękno i doświadczać pełnego czułości związku ze wszystkimi istotami. Czyż nie tego właśnie potrzebuje teraz ze strony każdego z nas nasz świat, i to bardziej niż kiedykolwiek – takiego właśnie przebudzenia? Twoja zmiana nastawienia wyraźnie pokazuje, że prawdziwa przemiana jest możliwa, zarówno dla jednostek, jak i dla całej planety. I nie chodzi tu o przemianę w coś lub kogoś innego – coś dziwnego, egzotycznego czy szczególnego. Polega to po prostu na powrocie do siebie, do domu, na tym, aby wreszcie naprawdę być sobą.

Ja-byk

Co to było? Nie wiem... Zdarzyło się przecież, czuję wyraźnie to miejsce, gdzie uderzyła kula – to bardzo stara blizna... starodawna.

Swędzi – proszę Dorotę, by mocniej tarła gąbką to miejsce na mojej łopatkce.

Tu, trochę powyżej linii lasu, zachodzące na czerwono słońce oświetla połoninę, spłowiałe trawy i żółtawe już buki. Jest chłodno, w powietrzu unosi się ta szczególna wieczorna jesienna wilgoć. Pachnie liśćmi i grzybami.

Stoi się trochę powyżej skraju lasu, w trawach, zwrócono się w stronę potoku. Poniżej, w zalesionej dolinie krótko się ryczy, po chwili odzywa się inny ryk. Z dołu dobiega nikły, lecz jasny zapach – trzeba iść za łaniami.

Plusk wody – przeszło się przez potok.

Wznoszącą się stokówką idę przez bukowinę. Pod korony drzew zaczyna już wpełzać mrok. Z ukosa, na prawo ode mnie, słychać dwa byki, dosyć daleko – przekładam sztucer na drugie ramię i przyspieszam – chcę dojść do połoniny, póki jest jeszcze jasno. Moje nogi wydają się dziwnie ciężkie, jakby nie chciały iść. W końcu docieram na skraj lasu – patrzę na otwartą przestrzeń...

Widzę go!!!

Jeszcze parę kroków

widzę siebie – nieco wyżej,

w płowych trawach,

potężny byk bokiem

do mnie schowanego za drzewem,

zwrócony w stronę potoku.

Znowu słychać stamtąd krótkie porykiwanie.

Już jestem, zwietrzyło się mnie – lęk w sercu.

Powoli zdejmuję sztucer z ramienia,

opieram się o drzewo

– grot krzyża lunety na sylwetce

skóra marszczy się na łopatkce tam,

gdzie uderzy

wystrzelona przeze mnie kula...

powoli kładę palec na spuście...

O Matko,

tak się boję,

skóra marszczy mi się na łopatce...

zaczynam ściągać spust...

BABACH!!!

krew

uderza

przez

krtań

i nos,

nic

nie.....

Rozmowa z Ruth Rosenhek w Białowieży

Parę dni temu pokazywaliśmy znajomej krótki film o kampanii na rzecz zaprzestania wyrębu Puszczy Białowieskiej. Film kręcono w maju w Białowieży. Wtedy, przez tych kilka dni, byliśmy tam również z Ruth i przyjaciółmi z Polski. W czasie wyświetlania filmu, po kilkuminutowych kadrach z Ruth, Dorota zapytała mnie: „Bije ci szybciej serce? Bo mnie tak”.

Tak, serce biło mi szybciej i podobnie jak Dorota poczułem tęsknotę.

Wtedy w Białowieży siadywaliśmy z Ruth na ławeczce w ogrodzie, patrzyliśmy na czuby ogromnych świerków wypiętrzających się z linii pierwotnego lasu i rozmawialiśmy. To były lekkie rozmowy i pełne spokoju chwile. Przy niej opuszczały nas ślady niepokoju, nikt nigdzie się nie spieszył, człowieka ogarniał jakiś stan wewnętrznego odprężenia. Ruth ma miły głos, jest niewysoką, ładną brunetką. Odniosłem wrażenie, że jeśli prosi o coś ludzi zaangażowanych w działania na rzecz środowiska na Ziemi, nikt jej nie odmawia. Tak było trzeciego marca, gdy w wielu miejscach na świecie pod polskimi ambasadami odbyły się międzynarodowe protesty przeciwko wyniszczeniu ostatniego pierwotnego lasu na całym Nizinie Środkowoeuropejskiej – Puszczy Białowieskiej.

Ruth angażuje się między innymi w działania na rzecz ochrony lasów deszczowych. Jest dyrektorem Rainforest Information Centre w Lismore w Australii.

Rozmawialiśmy w samo południe słonecznego majowego dnia, siedząc na werandzie starego drewnianego domu Janusza. Śpiewały ptaki, w oddali, za rzeczką Narewką, widać było Puszcę.

*

W restauracji zadałeś mi pytanie, czy zetknęłam się kiedyś z myślistwem. Przypomniało mi się, że jako dziecko, kiedy jeszcze mieszkałam z rodzicami, jedliśmy w restauracji w Montrealu jakieś befsztyki. Na ścianach wisiały trofea myśliwskie – głowy łosi. Pamiętam, że bardzo mi to przeszkadzało. Musiała to być silna reakcja, bo rodzice wezwali szefa i powiedzieli, że ich córce to bardzo

przeszkadza. Szef uśmiechnął się i potraktował nas bardzo uprzejmie. Miałam wtedy około siedmiu lat. Później, po trzydziestce, mieszkałam na Wschodnim Wybrzeżu, w Maine. Tam dużo poluje się na jelenie. Do naszego domu pod lasem dobiegały odgłosy polowań. Często widywaliśmy spłoszone jelenie, nawet zaczęliśmy widywać je na naszym podwórku, bo w okolicy przybywało domów i terytorium jeleni nieustannie się zmniejszało. Ludzka cywilizacja zaczęła wnikać na ich terytorium. To właściwie przez tamte jelenie porzuciłam ówczesną pracę i zajęłam się działalnością ekologiczną. Pewnego dnia spacerowałam po lesie ubrana w koszulę w paski. Spotkałam dwóch myśliwych, którzy powiedzieli: „O, musisz uważać. Powinnaś ubierać się w bardziej jaskrawe kolory, bo za mało różnisz się od zwierzęcia i ktoś może cię postrzelić”. Pomyślałam sobie wtedy: „Chodzę tu sobie cały czas i nagle ktoś mi mówi, że mam się ubierać jakoś inaczej, bardziej kolorowo”. I zdałam sobie sprawę, że skoro mogą pomylić mnie z jeleniem, to znaczy, że nie bardzo uważają na to, do czego strzelają. W sezonie łowieckim bałam się już chodzić do lasu. Zrozumiałam, że gdy jestem w lesie, to tak naprawdę nie boję się spotkania z niedźwiedziem czy węzem, tylko z ludźmi. To właśnie oni niosą największą przemoc. To może się również wiązać z relacjami pomiędzy jedną a drugą płcią. W czasie warsztatów głębokiej ekologii prosimy ludzi, by poszli do lasu i znaleźli na czas tych zajęć jakiegoś innego niż człowiek sprzymierzeńca. W czasie takich zajęć na Hawajach, gdy byłam sama w lesie i usłyszałam jakieś odgłosy, najpierw pomyślałam: „O, nadchodzi mężczyzna?”. Nie przyszedł mi do głowy żaden dziki zwierz ani niebezpieczeństwo z nim związane, tylko że to może być mężczyzna. To było szczególnie niemiłe dla mnie jako kobiety.

W tamtym czasie zaczęłam poważnie się zastanawiać, czy nie zrezygnować z dotychczasowego życia i nie zająć się pracą na rzecz środowiska naturalnego. Rozstałam się ze swoimi dwiema pracami i wolontariatem. Zaczęłam się dla mnie trwający około sześciu miesięcy czas modlitwy i introspekcji w poszukiwaniu drogi do tego, by bardziej służyć tej planecie. Pamiętam, że wtedy martwiłam się o jelenie z lasu, przy którym mieszkałam. One nie mogły stamtąd uciec, nie miały dokąd pójść. Widywałam je podczas sezonu łowieckiego gdzieś przy drodze albo w ogrodzie za domem. Opowiem ci o pewnym wydarzeniu, które uznałam za znak od Boga.

Pewnego ranka jechałyśmy z przyjaciółką autostradą 195 do Bostonu. Nagle zobaczyłyśmy jelenia potrąconego przez samochód. Parę metrów dalej stała ciężarówka, która go potrąciła. Krzyknęłam do przyjaciółki, żeby się zatrzymała, że powinnyśmy przesunąć tego jelenia. Leżał na środkowym pasie ruchu. Podeszłyśmy do niego. Krwawił z rany na szyi. Chwyciłyśmy go za tylne nogi, żeby go odciągnąć, i w tym momencie on się zerwał i chwiejnym krokiem przeszedł na pas rozdzielczy. Też tam poszłam, stanęłam przy nim, bardzo blisko. Spadła na nas wielka cisza, z tym dygocącym stworzeniem weszliśmy w jakąś ponadczasową przestrzeń. Po paru chwilach jelenź zaczął zbierać się w sobie, oddychać głęboko i równo. Czułam, że go strzegę. Byłam gotowa skoczyć za nim na autostradę i zatrzymać nadjeżdżające samochody. Nie wiem, jak długo to trwało. Może minutę, może kilka sekund, nie wiem. Czas się dla mnie zatrzymał. Jeleń wiedział, że jestem z nim. To był dla mnie bardzo duchowy moment. Gdy w sznurze samochodów pojawiła się przerwa, w idealnym momencie jelenź dał susa na pobocze i zniknął w lesie.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że moja przyjaciółka stoi po jednej stronie autostrady, a ci ludzie z ciężarówki po drugiej i wszyscy coś do siebie krzyczą. Przyjaciółka pokazywała im środkowy palec i krzyczała: „Pierdolone skurwysyny”, a tamten mężczyzna miał w ręku coś w rodzaju młotka, wymachiwał nim w kierunku jelenia i krzyczał: „Zabić skurwiela, zabić skurwiela”. Wyglądało, jakby rzeczywiście miał zamiar dobić go tym młotkiem i zabrać do domu jako trofeum. Pomiędzy moim duchowym doświadczeniem a nastawieniem tego człowieka, traktującego zwierzę jak przedmiot, był taki dysonans, że zrozumiałam, iż powinnam w pełni zaangażować się w sprawy Ziemi, stanąć w obronie stworzeń takich jak to, w obronie drzew i lasów, które są ich domem.

Kiedyś nad ranem, w drodze na ryby, potrąciłem samochodem rogacza. Nie mogłem uniknąć tego zderzenia. On leżał w rowie, ale oddychał. I, jak to myśliwy, wyciągnąłem nóż i go dobiłem. Potem obciągnęliśmy go z kolegą ze skóry i podzieliliśmy między siebie mięso.

Jeżeli znajdziesz zwierzę, które leży i umiera, to chyba nie ma nic złego w tym, że je zjadasz. Jeżeli to jednak jest jelenź, który żyje i chce żyć, to już co innego. Pewnie nie powiesiłes trofeum na ścianie, tak jak chciał zrobić tamten człowiek.

Być może ten potrącony przez mój samochód rogacz mógł oprzytomnieć. Nie dałem mu na to szansy. Twój jeleni poderwał się na nogi, może mój rogacz też by to zrobił. To straszne dobijać nieprzytomne zwierzę. O człowieku z twojego opowiadania myślę, że był po prostu śmiertelnie przerażony, że poczuł się zagrożony. I stąd jego wściekłość – z przerażenia, z lęku.

Mnie to samo przyszło do głowy. Mój ojciec tak się zachowuje. Gdy się czegoś przestraszy, to od razu, żeby zamaskować ten strach, okazuje gniew. Tak jakby był oburzony i wściekły, jakby mówił: „Jak śmiesz sprawiać, że się boję?!”. Taki nieświadomy odruch.

Mam jeszcze jedno osobiste wspomnienie. Na warsztatach głębokiej ekologii uczestnicy mają sobie przypomnieć jakieś wydarzenie z dzieciństwa związane z przyrodą. Sięgnęłam po wspomnienie z czasów, gdy jako dziecko bardzo lubiłam obserwować mrówki. Darzyłam je wielkim szacunkiem już wtedy, gdy byłam całkiem malutka. Pewnego dnia, kiedy leżałam na ziemi gdzieś przy podjeździe i obserwowałam mrówki, podszedł mój starszy o dwa lata brat, mógł mieć wtedy siedem lat, i zaczął skakać po tych mrówkach. Widziałam, jak umierają, i straszliwie mną to wstrząsnęło. Wtedy po raz pierwszy doznałam takich uczuć na widok bezsensownego zabijania.

Może chodzi o jakieś samcze odruchy albo dziecięce uwarunkowania. Niewiele znałam dziewczynek, które odrywały nóżki i skrzydełka jakimś żyjątkom, ale znałam sporo chłopców, którzy to robili. Niektórzy teoretycy płci mówią, że kobiety są bardziej nastawione na relacje, związki, z kolei mężczyźni – bardziej na hierarchię, status, dominację nad innymi i nad przyrodą. W sposób wrodzony lub wyuczony. Jeżeli to prawda – to tylko ogólna. Na pewno jest wiele kobiet, które przyjmują męski model postępowania i *vice versa*.

Myśliwi mają kilka podstawowych argumentów usprawiedliwiających, ich zdaniem, zabijanie zwierząt żyjących na wolności. Na przykład mówią, że ludzkość przeżyła, ponieważ nauczyła się polować, a my, współcześni mężczyźni, polujemy podobnie jak w zamierzchłej przeszłości. Rzeczywiście, kiedyś ludzie zdobywali w ten sposób pożywienie, by przeżyć, ale współcześnie sytuacja jest diametralnie inna.

Przypomniałam sobie, co mówi na ten temat kosmolog i matematyk Brian Swimme. Rozróżnia on dwa podejścia: makrofazowe i mikrofazowe. To drugie

obejmuje troskę o własną rodzinę, własne plemię i oznacza walkę o przetrwanie, ale walkę w skali mikro. Jednak w dzisiejszych czasach – mówi Swimme – trzeba przejść do postrzegania makrofazowego. Musimy patrzeć bardziej globalnie i zrozumieć, że jeśli życie na Ziemi ma przetrwać, nie wystarczy zajmować się najbliższym otoczeniem i rodziną, swoją grupą społeczną. Żeby przetrwać, ludzie muszą patrzeć bardziej globalnie – to w tej chwili jest bardzo ważne. Niektóre dawne zachowania, nawet jeśli kiedyś były uzasadnione, teraz są niepotrzebne, przestarzałe. Istnieją pewne zachowania, które dobrze sprawdzają się w społecznościach małych. Może kiedyś nasza społeczność była podobnie zorganizowana i te zachowania sprawdzały się i u nas, ale niekoniecznie jest tak w przypadku współczesnych ludzi. To samo można powiedzieć o dzieciach – pewne zachowania sprawdzały się, kiedy byliśmy dziećmi, ale powodują zamieszanie, gdy stosujemy je jako dorośli.

Jak z tego punktu widzenia zachowują się myśliwi?

Obiektywnie? Moim zdaniem? (*śmieje się*) Nie chciałabym mówić w tym kontekście o ludziach, którzy polują w plemionach, ani o ludach tubylczych polujących w celu zdobycia żywności. To jest całkowicie inny temat. Chciałabym porozmawiać o ludziach polujących dla sportu. Ludzie, którzy to robią, utknęli w jakiejś krótkoterminowej, ograniczonej świadomości. Dla chwilowej przyjemności powodują konsekwencje, które nie są dobre dla rodzaju ludzkiego, nie wspominając nawet o innych gatunkach. Nie sprzyjają rozwojowi. Uważam, że naszą kulturę w ogóle cechuje niewielki szacunek dla przyrody. Polowanie z powodów, o których wspomnieliśmy – dla sportu, rozrywki – to dobry przykład tego braku poszanowania.

Jakie konsekwencje przynosi taki brak szacunku?

Kiedy przylatuję tutaj samolotem, to też w pewnym sensie okazuję brak szacunku dla przyrody. Paliwo, które zużywa ten samolot, może pochodzić z Amazonii. Może w związku z jego uzyskaniem tamtejsi mieszkańcy stracili swoją ziemię. W czasie lotu zanieczyszcza się środowisko. Muszę wyważyć te wpływy i usprawiedliwić lot odbyty po to, by podnieść świadomość na temat środowiska. Istotne jest, żebyśmy nie popadli w hipokryzję, żebyśmy zdali sobie sprawę, że wszyscy jesteśmy uwikłani w brak szacunku do przyrody, co przejawia się stosowaniem wobec niej przemocy. Zmiana świadomości potrzebna jest nam

wszystkim. Przez brak poszanowania dla przyrody, przez zabijanie na polowaniach i na wojnach, przez wytepienie różnych gatunków zubażamy środowisko, niszczymy różnorodność biologiczną i pod znakiem zapytania stawiamy swoje przetrwanie. Z globalnego punktu widzenia jest to cena, jaką płacimy za tego rodzaju działanie. Jak to wygląda w mniejszej skali – na przykład w lasach, gdzie ludzie zabawiają się w drapieżników bardziej dla przyjemności, a nie po to, by przetrwać – wiesz chyba lepiej niż ja.

W Kodeksie etyki myśliwskiej pojawia się sformułowanie: „Musi zdawać sobie sprawę z tego, że w środowisku pełni funkcję głównego drapieżcy”. Myśliwi w to wierzą, choć solidnie ubrani w ciężkie buty, z kapelusikiem z piórkiem na głowie i z karabinem na plecach absolutnie nijak mają się do przemykającego przez leśne ostępy wilka czy czujnego rysia. Człowiek jest w stanie ledwie zbliżyć się do tych energii i tajemniczych powiązań w przyrodzie – być może dla nas w ogóle nieuchwytnych.

Różnie możemy spojrzeć na motywy polowania. Jednym z nich jest rozrywka i sport, innym może być argument o kontroli liczebności dzikich zwierząt. Są wyspy, gdzie na przykład populacja jeleni czy dzikich koni już nie może się utrzymać i zwierzęta naturalnie wymierają z głodu. W takich wypadkach często sprowadza się myśliwych, żeby zredukowali liczebność populacji. Nie wydaje mi się to aż tak interesujące, to po prostu przejaw naszego nastawienia, chęci kontrolowania wszystkiego. Te zwierzęta i tak by wyginęły, przyroda sama uregulowałaby stosunki w środowisku. Ciekawe natomiast, dlaczego ludzie to robią dla rozrywki. Z perspektywy głębokiej ekologii bardzo mnie to interesuje. Wszystkie pasemka sieci życia z natury mają wrodzone, równe prawo do istnienia i stąd pytanie, czy myślistwo daje niektórym pasemkom większe prawo istnienia i w jaki sposób to rozumieć. Gdybyśmy zorganizowali warsztaty Zgromadzenie Wszystkich Istot, które zapewne znasz, i gdyby przyszły na nie wilk, ryś i niedźwiedź, na pewno nie spodobałoby im się myślistwo, to, że poluje się na nie dla przyjemności. Natomiast prawdopodobnie nie miałyby nic przeciwko temu, że umierają w sposób naturalny, w swoim środowisku, nawet jeśli wymiera cały ich gatunek – bo tak właśnie wygląda ich życie. Tu jednak mamy do czynienia z przypadkiem, gdy ktoś bierze więcej, niż potrzebuje, ponieważ brak mu szacunku dla bezwzględnej świętości życia. Poznałam kiedyś w Australii członków jednego

z plemion Aborygenów. Członek starszyny tego plemienia powiedział jasno i wyraźnie: „Bierzcie to, czego potrzebujecie, ale nie więcej”. W wypadku myślistwa człowiek ewidentnie bierze więcej, niż potrzebuje.

Słyszałem, że w Australii Aborygeni byli traktowani jak zwierzyna łowna.

Jak najbardziej. Tak właśnie było. Kiedy biali ludzie zaczęli kolonizować Australię, nazywali ją ziemią niczyją. Nie postrzegali Aborygenów jako ludzi. To osobna sprawa, ale naprawdę dokonano tam ludobójstwa na wielką skalę. Prowadzono tam również bardzo intensywny program asymilacji Aborygenów, wybierano dzieci o jaśniejszym odcieniu skóry i oddawano na wychowanie białym rodzinom. Próbowano tworzyć mieszane rodziny. To były próby zlikwidowania ludu Aborygenów. A to dopiero początek tej historii...

Powiedziałaś, że ludzkość zachowuje się jak człowiek, który stoi na środku drogi i nie robi nic, widząc, że jedzie na niego rozpędzona wielka ciężarówka. Co może sprawić, że ten człowiek się ocknie? I czy on w ogóle musi się przebudzić?

Chodzi o to, żeby nas wszystkich przebudzić. Jeżeli się nam wydaje, że jesteśmy przebudzeni – to tak naprawdę śpimy. Lepiej nie spoczywać na laurach w samozadowoleniu, że wiemy, lepiej cały czas pracować, budzić się jeszcze bardziej. Mamy skłonność do tego, aby być takimi leniwymi pierogami, które jedliśmy wczoraj.

Ten człowiek przed ciężarówką symbolizuje całą ludzkość na Ziemi?

Z punktu widzenia głębokiej ekologii najbardziej potrzebne jest, abyśmy doświadczyli, że jesteśmy intymną częścią Ziemi i że powstaliśmy z materii tej Ziemi – to doświadczenie nazywa się powstaniem tożsamości ekologicznej. Musimy otrząsnąć się ze złudzenia, że jesteśmy oddzieleni, że tam gdzie jest przyroda – a tu jesteśmy my. Musimy zrozumieć, że przyroda jest nami, a my jesteśmy przyrodą. Nie, że przyroda jest „gdzieś tam” i możemy nią manipulować lub wydobywać zasoby naturalne bez żadnych konsekwencji. Chyba nie można tego dokonać w taki sposób, że kimś się potrząśnie i ten ktoś się obudzi. Proces zmiany świadomości przebiega bardziej subtelnie, a niekiedy nagle, tak jak oświecenie. Gdy na warsztatach głębokiej ekologii przeprowadzamy ćwiczenia oddechowe z drzewem lub inną rośliną, zdarza się, że ludzie budzą się i uświadamiają sobie: „To jest naprawdę żywe!”. Po raz pierwszy w życiu uświadamiają sobie, że drzewo oddycha, żyje i jest tu od bardzo dawna.

Ludzie naprawdę zmieniają się z upływem czasu. Członkowie mojej rodziny są raczej konserwatystami i jeszcze dziesięć lat temu w ogóle nie widzieli potrzeby zajmowania się przyrodą. Obecnie już widzą tę konieczność – że trzeba zadbać o nasze lasy, jeżeli chcemy, by przetrwały. Zatrważa ich szybkie tempo wylesiania świata. Zauważyłam, że jeżeli w coś wierzymy, to najlepiej nie podchodzić agresywnie do innych, nie narzucać im swoich poglądów i być przyjaźnie nastawionym – to lepiej działa, promieniuje, udziela się innym. Najbardziej efektywni jesteśmy wtedy, gdy przyjmujemy przyjazną postawę, nieprzywiązaną do tego, by osiągnąć cel.

Istnieje coś takiego jak metoda bradleyowska, która mówi o regeneracji i rekonstrukcji jakiegoś fragmentu środowiska naturalnego. Na pewnym obszarze skrawek terenu jest w miarę zdrowy, ale otoczony inwazyjną roślinnością. Ogólnie mówiąc, ta metoda każe skoncentrować się na najzdrowszym fragmencie i stopniowo go poszerzać – nie zaczynać od miejsc najbardziej zachwaszczonych. Jeżeli chodzi o pracę nad powiększaniem tego, co można by nazwać gronem wojowników królestwa Szambala, to nasze podejście przekłada się na to, że nie zaczynamy od przekonywania prezydenta USA czy naczelnego dowódcy wojsk amerykańskich. Raczej próbujemy dotrzeć do ludzi, którzy nie są jeszcze do końca przekonani, ale znacznie bardziej otwarci na tego rodzaju idee. Zasiewaj nasiona na obszarach, które już mają silną tożsamość ekologiczną, i rozszerzaj oddziaływanie z tego miejsca. Można spojrzeć na to jeszcze inaczej – zapewne w każdym z nas jest taki zdrowy fragment, zdrowa częśćka. Skupmy się na niej, spróbujmy ją wyodrębnić, obserwować, pomóżmy człowiekowi, który ją posiada, wzmocnić tę częśćkę, tak aby stał się silniejszy, rozwińmy ją. Trzeba działać w ten sposób. Podlewaj nasiona pozytywne.

Czy właśnie te pozytywne części w ludziach są najzdrowsze na Ziemi?

Ta część nas, która czuje głęboki związek z przyrodą? Nie wiem, czy to najzdrowsza część, ale na pewno bardzo ważna, ta, która jest taka żywa, wibrująca, pełna miłości, najbardziej twórcza. I warto ją wzmocniać. Kontakt z przyrodą jest balsamem dla naszej duszy, szczególnie gdy żyje się w burzliwych, zgiełkliwych czasach, w globalnej dysharmonii.

Również bardzo ważną, zasadniczą częścią nas samych, ale powszechnie zapomnianą, jest nasz związek z całym kosmosem, z naszym miejscem we

wszechświecie. Każde życie, jakie kiedykolwiek istniało i jakie kiedykolwiek zaistnieje, pojawiło się w wyniku kosmicznego prawybuchu. Kiedy próbujemy to zrozumieć, objąć świadomością, może rodzić się lęk. Jednocześnie takie zrozumienie nas samych, że „ja” jestem wszechświatem, a wszechświat jest „mną”, że rzeczywiście jesteśmy jedną komórką całości, może wznieść nasz pogląd na życie na inny poziom. Nawiązywanie do tej cząstki nas, do takiego sposobu patrzenia może spowodować, że człowiek zaczyna kwestionować wiele rzeczy w społeczeństwie. Nie tylko hobbystyczne myślistwo dla rozrywki, dla sportu, ale również kulturę zarabiania pieniędzy, konsumpcjonizm i inne puste, bezsensowne rytuały.

Czy wszyscy ludzie mogą dostrzec tę część siebie, o której mówisz? Tę, od której może zacząć się zdrowienie?

Zawsze byłam idealistką (*śmieje się*). W każdej osobie, którą spotkałam, widziałam jakieś piękno. Jestem znana z tego, że o ludziach, którzy niszczą naszą planetę (nie wymieniam żadnych nazwisk), mówię „biedne, zranione dusze”. Niestety, oni mogą to uważać za przejaw mojej arogancji, ale takie podejście często pomaga mi akceptować osoby, które bez tego trudno byłoby mi zaakceptować. Po prostu patrzę na ludzi i staram się dostrzec, że mają naprawdę ogromny potencjał, nawet ktoś, kto zachowuje się agresywnie, gdzieś tam ukrywa dobrą, łagodną stronę, tylko jego dusza została czymś zraniona. Ta dobroć jest bardzo głęboko ukryta, ale można do niej dotrzeć. Pewnie są ludzie, do których już w tym życiu trudno byłoby trafić. Ich potencjał, ta iskra, został głęboko ukryty pod ranami czy traumami, których doświadczyli, tak że trzeba by na przykład pracować intensywnie przez resztę ich życia, żeby coś osiągnąć. W dużej mierze zależy to od nas, od tego, jak zdecydujemy się patrzeć i reagować na siebie wzajemnie. Ktoś patrzy na innych i myśli: „Co za dupki”, ale ja wolę patrzeć na ludzi z zainteresowaniem i doszukiwać się powodów ich działania – co na to działanie wpłynęło i jak można je zmienić. To jest inny punkt widzenia i naprawdę zależy on od naszej decyzji. Mój brat ma bardzo, bardzo prawicowe poglądy. Gdyby wychowywał się w innych warunkach i okolicznościach, może też polowałby dla sportu. Tymczasem zajmuje się sprawami finansowymi: przejęciami, bankructwami wielkich korporacji, strategiami finansowymi. Uważa, że wszystko, co robię, jest całkowitym nieporozumieniem, że idę niewłaściwą drogą, że to tylko

bunt przeciwko autorytetom, ponieważ jestem najmłodsza z rodzeństwa (*śmieje się*). Kiedyś jedliśmy razem obiad, akurat zaczynały się bombardowania Afganistanu. Zapytałam go, co o tym sądzi. Odpowiedział: „Wiem, że to jest straszne, ale dzięki temu czuję się bezpieczniejszy”. Chociaż mu wtedy tego nie powiedziałam, to nie wydaje mi się, że wojna w Afganistanie poprawiła jego bezpieczeństwo. Wojny nie sprawiają, że ludzie są bezpieczniejsi. On się myli, jak wielu innych ludzi nierozumiejących istoty cyklu przemocy, który trwa na Ziemi, ani tego, że im więcej przemocy stosujemy, tym więcej jej doświadczamy. Od wybuchu wojny w Afganistanie, a potem w Iraku, świat nie stał się bezpieczniejszym miejscem. Szczególnie dla ludzi w Ameryce Północnej, którzy wcześniej żyli dosyć spokojnie.

Mówiłaś wczoraj, że ludzie budują domy pod konarami wielkich drzew, a potem boją się, że gałąź spadnie im na dach. Czy widzisz jakikolwiek związek pomiędzy ogólnym brakiem poczucia bezpieczeństwa a takimi zachowaniami? Na przykład tym, że ludzie wywołujący wojnę czują się bezpieczniej?

Nie wiem, jak to jest z wojnami, ale tam gdzie mieszkam, ludzie budują domy w niewłaściwych miejscach. Budują je blisko drzew, nie widząc, że drzewo ma duże gałęzie, które mogą się złamać, albo sami sadzą przy domu takie drzewo, nie zdając sobie sprawy z tego, że ono kiedyś urośnie i coś może z niego spaść. Czyli sami sobie robią kłopot. Sadzenie drzew można traktować jak metaforę: coś podobnego wydarzyło się, gdy Amerykanie zaopatrzyli Irak w broń, po czym najechali ten kraj i wywołali w nim wojnę. W kraju, który sami uzbroili. Czyli sami przygotowali sytuację, na którą potem mogli zareagować.

Jest taki dowcip rysunkowy, w którym prezydent Stanów czyta listę wszystkich rodzajów broni, które ma Irak, i odhacza: „No tak, to mają, to mają i to też mają. Na to są faktury. No ale tego nie mogą mieć, tego im nie sprzedawaliśmy!”. Tam gdzie mieszkam, istnieje duże zagrożenie pożarami lasów. Czasami palą się domy. A to dlatego, że ludzie stawiają domy w miejscach, które są podatne na pożary. Powinni stawiać te domy gdzie indziej lub projektować wokół nich rowy przeciwogniowe, zasadzić gatunki drzew odporne na ogień – i w taki sposób zapobiec zniszczeniom. Okazuje się też, że ogień często podkładają strażacy, którzy chcą mieć pracę i powodują pożary, by móc je gasić.

Jeżeli ludzie przestaną działać pod wpływem lęku, to nie będą stosować przemocy w przekonaniu, że dzięki temu poczują się bezpieczniej. Tymczasem w społeczeństwie stopień wewnętrznego załęknienia stale się zwiększa. Podczas gdy ty jesteś pogodna i uśmiechnięta. Jak to możliwe?

Pierwsza rzecz, jaka mi przychodzi do głowy, to jak bardzo jesteśmy przywiązani do swojej obecnej tożsamości, w tym ciele, i do tego, że to nasza jedyna tożsamość.

W takim wypadku możemy się bać, mieć poczucie zagrożenia. Jeżeli jednak rozszerzymy swoją tożsamość i doświadczymy, że cała Ziemia tak naprawdę jest naszym ciałem, to przestaniemy mieć powód do obaw, że w którymś momencie, w tym ciele, umrzemy. Cały czas się zmieniamy, nie jesteśmy tą samą osobą co przed chwilą, nasze komórki się zmieniają, nasze twarze, ręce, idee, nasze wartości – w pewnym sensie umieramy. Z drugiej strony można powiedzieć, że nigdy nie umieramy i nigdy nie umrzemy, ponieważ Ziemia i środowisko naturalne będą istnieć dalej, nawet gdy nasze ciała umrą, wtopią się w ziemię, rozłożą się – staną się elementem cyklu przyrody. Może wyrośnie w tym miejscu drzewo mango i ptaki będą się nim żywić... Przestałam się obawiać śmierci w momencie, gdy zaczęłam się bardziej utożsamiać z całym cyklem przyrody i zdałam sobie sprawę, że tożsamość tak naprawdę nie może umrzeć. Mówiłam też wczoraj o czymś, co nazwałam kampanią strachu na świecie. Postrzegam to bardziej jako powszechną kampanię dezinformacji, mającą na celu wywołanie strachu w każdym z nas. Wolałabym na przykład zginąć zabita przez niedźwiedzia niż w wypadku samochodowym. Oczywiście prawdopodobieństwo, że umrę, przechodząc przez ulicę, są nieporównywalnie większe niż na to, że zabije mnie niedźwiedź. Bardzo wiele osób ginie w wypadkach samochodowych, ale tego się tak nie nagłaśnia. Kiedy jednak niedźwiedź kogoś zabije, jest to wielka sensacja i ludzie rzucają się, żeby zabijać niedźwiedzie, bo stało się coś strasznego i nie możemy pozwolić, żeby w przyszłości się powtórzyło. Akceptujemy to, że zabijają nas samochody, ponieważ sami je stworzyliśmy. Giniemy od kul i to też jest w porządku, ponieważ broń też sami wymyśliliśmy. Natomiast napawa nas przerażeniem, że może nas zabić coś stworzonego przez Boga, przez Ziemię – coś takiego jak niedźwiedź. Nie likwidujemy samochodów, chociaż zabijają nas w wypadkach, ale ruszamy na niedźwiedzie, gdyż nie możemy zaakceptować tego, co jest poza naszą kontrolą.

Gdyby miała mnie zabić gałąź spadająca z drzewa albo grom z jasnego nieba, byłoby wspaniale. To przyczyna naturalna. Choć najchętniej umarłabym spokojnie we śnie w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, niekoniecznie w sposób tak spektakularny, jak przed chwilą nakreśliłam. Wolałabym dożyć sędziwego wieku. Ale gdyby moje życie miało się zakończyć w imię sprawiedliwości i wolności, uznałabym, że to jest w porządku, że to coś szlachetnego.

Dopuszczasz myśl, że w związku ze swoimi kampaniami, na przykład przeciwko kopalniom złota, możesz zginąć? Czy to realne zagrożenie?

Kilka razy znalazłam się w takiej sytuacji, że trochę się bałam, bo padały groźby pod moim adresem. Jeżeli chodzi o ten konkretny przykład, o kopalnie złota, to raczej nie, nie mam takich obaw. Raz mi się zdarzyło, że musiałam się wycofać, zmienić swój sposób działania, ponieważ to, co robiłam, i sposób, w jaki to robiłam, budziły zbyt wielką agresję. Musiałam znaleźć spokojniejszy sposób komunikowania się, bez przemocy. Problem śmierci jest ważny w kontekście głównego tematu naszej rozmowy – myślistwa. Nam, ludziom Zachodu, wydaje się, że jeśli okopimy się w swoich domach, otoczeni różnego rodzaju wytworami cywilizacji, trofeami myśliwskimi, to w jakiś sposób będziemy chronieni – że nie umrzemy albo umrzemy w jakiś bezpieczny sposób, cokolwiek miałyby to znaczyć. Łączymy materialny dobrobyt z bezpieczeństwem. Wydaje mi się jednak, że człowiek, który umiera w dostatku, może czuć pustkę w duszy. Ktoś taki w chwili śmierci chyba nie rozgląda się po pokoju, myśląc: „No, teraz moja dusza odchodzi połączyć się z duszami zwierząt, które zabiłem”. Wyobrażam sobie, że w takim momencie ów człowiek wolałby, żeby jego dusza spotkała się z duszami istot, którym pomógł, które kochał i przez które był kochany. Oczywiście można to traktować bardziej dosłownie – jeżeli ktoś wierzy w istnienie duszy, albo metaforycznie – że w chwili śmierci człowiek wolałby zapewne myśleć o tym, co dobrego zrobił w życiu, a nie komu zaszkodził albo kogo zabił. Psycholog Victor Frankl, pisząc o logoterapii, twierdził, że nerwicę można wyleczyć, jeśli człowiek odnajdzie w życiu jakiś sens. W pełni się z nim zgadzam i uważam, że jeżeli człowiek znajduje w życiu cel, na przykład w pomaganiu, robieniu pięknych, miłych rzeczy dla całej planety, dla innych, to jego życie nabiera sensu, a on sam czuje wielką ulgę i zaspokojenie. Przypominają mi się teraz różne inne wspomnienia związane z myślistwem, takie jak historia znanego naturalisty Alda

Leopolda. Gdy był młodym człowiekiem, jak mówi, ręka go świerzbiła, by pociągnąć za spust, myślał, że im mniej wilków, tym więcej jeleni, a więc brak wilków to raj dla myśliwych. Kiedyś jednak zobaczył gasnący dziki, zielony płomień w oczach umierającej wilczycy i tak stał się naturalistą. Pamiętam też bajkę o lwie i myszy. Znasz ją? Lew spotyka mysz i już ma na nią nadepnąć, ale postanawia darować jej życie. Mysz mówi mu: „Nie wiem jak, ale kiedyś spłace ten dług wdzięczności”. Można powiedzieć, że to śmieszne, bo w jaki sposób tak małe zwierzątko miałoby pomóc lwu. Lecz pewnego dnia mysz znowu spotkała lwa, tym razem uwięzionego w sieci zastawionej przez ludzi. „Mogę ci pomóc” – powiedziała, przegryzła sieć i go oswobodziła.

Te bajki opowiadają o naszych wzajemnych relacjach, o tym, że pomiędzy wszystkimi istotami istnieją głębokie więzi.

Patronem myśliwych jest święty, który spotkał w lesie jelenia.

Zostawmy na chwilę na boku dosłowność tej legendy i białego jelenia z krzyżem między rogami. Można się domyślać, że skoro Hubert podszedł do jelenia aż tak blisko, chodziło o ranne zwierzę, które odnalazły i przytrzymały jego myśliwskie psy. Zapewne był to jeleni ciężko ranny, trafiony z łuku czy kuszy przez samego Huberta. Myśliwy ten miał wtedy około czterdziestu lat, przekaz mówi, że całe życie intensywnie polował, zabił wiele istnień. Był bardzo doświadczony, wiedział, jak dobijać. Nie puścił kolejnej strzały, bo psy szarpiące broniącego się byka były tuż przy nim. Śmiertelny taniec wierzgającego i broniącego się resztką sił zwierzęcia, jego oczy, może jedno już wylupione, piękna, teraz skrwawiona głowa z resztkami jakichś kolczastych pędów, chrapanie krtani zduszonej przez największego psa... W odpowiednim momencie Hubert doskoczył, uniósł włócznię i wbił w serce. Czuł na drzewcu zamierające życie jelenia, do ostatniego poruszenia, do ostatniego oddechu... Odwołał psy. Patrzył na ciało, teraz nieruchome, poszarpane, z przebitym włócznią sercem... i musiał to poczuć właśnie wtedy. Zobaczył z całą jaskrawością, co tu naprawdę się wydarzyło. Jego życie zmieniło się całkowicie – przestał zabijać. Mam przecucie, że przestał jeść ciała zwierząt. W 727 roku w wieku siedemdziesięciu dwóch lat umierał jako biskup klasztoru w Liège – w tamtych czasach być biskupem znaczyło chyba co innego niż współcześnie. Żył w grupie mnichów. Przekaz mówi o niezwyklej mowie, jaką miał wygłosić na łożu

śmierci, niestety, nie znamy jej treści. Hubert po śmierci został uznany za świętego ze względu na drugą część swojego życia.

Współcześnie Święty Hubert jest patronem myśliwych. Jeśli nawet przyjmujemy tę najbardziej znaną wersję legendy o nawróceniu podczas polowania – czemu nie zaprzeczają nawet myśliwi – to i tak mamy klarowny obraz przeinaczenia: skoro nawrócił się podczas polowania (przestał zabijać), to jak można go uczynić patronem zabijania?! Zestawienie tych faktów jest wstrząsająco absurdalne.

Może ta opowieść, ta historia, stanie się rzeczywistością, może legenda się dopełni. Może ludzie w pewnym momencie ujrzą w zwierzętach Jezusa, może ta proklamacja miłości przez zwierzęta się wypełni. My po prostu zabijamy siebie. Czy Hubert został świętym przed tym objawieniem, czy po?

Po.

Czyli wszyscy jakoś błędnie rozumieją tę historię, błędnie ją interpretują. Masz do przekazania dobrą nowinę: „Prawdziwa historia Świętego Huberta”.

Przez kilkadziesiąt lat Święty Hubert był moim religijnym patronem, patronem mojego ojca i kolegów myśliwych!

Czyli byliście jak ten Święty Hubert, zanim doznał objawienia.

Gdybym poznał te fakty w czasach, gdy byłem myśliwym, i dowiedziałbym się, że pierwszym krokiem Huberta na drodze do świętości było to, że przestał zabijać zwierzęta – nie uwierzyłbym. Uznałbym, że to jakaś mistyfikacja, że coś się komuś pomyliło. Nie chciałbym w to uwierzyć, bo bardzo chciałem polować. Ta historia zagrażałaby porządkowi, w którym dobrze się czułem. Oj, nie chciałem, by cokolwiek burzyło mi mój ustalony świat. Postarałbym się zapewne jakoś to sobie wytłumaczyć, wyprzeć ze świadomości, zmienić fakty lub przejść nad tym do porządku dziennego, by dalej polować w spokoju. W tamtych czasach nie uwierzyłbym w nic, co mogłoby zaszkodzić moim polowaniom. Nawet jakoś nie widziałem, że zwierzęta cierpią, pomimo tej całej krwi, jelit, strzaskanych kości, tej śmierci, którą widziałem bardzo często.

Chodziłeś do kościoła?

Nie. W niedzielę przecież się poluje, nie ma czasu na kościół.

Pomyślałam, że księża mogliby w kościele opowiadać tę historię o Świętym Hubercie.

Sporo księży poluje. Chciałem zrobić wywiad z księdzem katolickim, pewnym biskupem, o zabijaniu dzikich zwierząt. Podrapał się w głowę i powiedział: „Wie pan, nigdy się nad tym nie zastanawiałem”.

Nie chciał rozmawiać?

Zależało mi na rozmowie z księdzem, który ma jakiś pogląd na ten temat, który przedstawiłby problem zabijania zwierząt z chrześcijańskiego punktu widzenia. Tamten biskup wydawał się bezradny w tej sprawie.

To tak, jakbyśmy jako myśliwi mieli koszulkę z napisem „Święty Hubert jest naszym bohaterem”, a tymczasem on miał zupełnie inne nastawienie.

To samo dotyczy całej religii judeochrześcijańskiej – też została błędnie zinterpretowana. Jej twórcy nie zakładali, że mamy być koroną stworzenia, dominować nad przyrodą i tak dalej.

Chciałabym jeszcze coś dodać: żyjemy w czasach nazywanych wielkim spazmem wymierania. To zupełnie inna rzeczywistość niż dwieście, dwa tysiące czy dziesięć tysięcy lat temu. Rzuca to jeszcze inne światło na bezsensowne zabijanie, które uprawiamy. Każdego roku na Ziemi wymiera dwadzieścia siedem tysięcy gatunków zwierząt. Trzy na godzinę. W tym tempie do końca obecnego wieku wymrze ponad połowa gatunków. Naukowcy mówią, że trudno to przewidzieć, nie wiadomo, jak to się potoczy. Jest oczywiste, że rozrywamy sieć istnienia, od której zależy nasze przetrwanie. Nadszedł czas, żeby włożyć wysiłek w zachowanie, zabezpieczenie tej sieci, a nie niszczenie jej, rozrywanie. Nie uważam, że trzeba ludźmi potrząsać, by ich obudzić, zgadzam się jednak, że potrzebne są mocny przekaz i modlitwa, że musimy znaleźć bardziej harmonijny sposób życia na naszej planecie. Nie uznaję, że właściwe jest przyjmowanie gniewnej postawy w stosunku do ludzi, którzy chcą polować dla sportu, wydobywać ropę w Amazonii czy budować kopalnie złota. Wolę tym ludziom okazywać serce. Modlić się o to, by ludzkość potrafiła zgodnie stanąć w obronie tych spraw. Oczywiście niemożliwe, by wszyscy mieli takie same poglądy, ale ważne jest, żeby mieć ogólne stanowisko, że ta planeta jest nam potrzebna, że powinna wibrować życiem i być zdrowa. Często dzielę się opowieścią o dziejach wszechświata. Wielu ludzi uważa, że jesteśmy tu zaledwie od sześciu tysięcy lat. Nasza praca w dużej części polega na opowiadaniu o ewolucji, o drodze, jaką przeszliśmy. To może stanowić dobre dopełnienie każdej religii, każdego pytania

o uwarunkowania społeczne czy demograficzne, może uświadomić nam wspólną historię, wspólną drogę, którą mamy za sobą. Żebyśmy poczuli, że jesteśmy razem, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku, a naszym celem powinna być ochrona przyrody, od której całkowicie zależy. Nie chodzi o to, byśmy wrócili do jaskiń, lecz nasze przyszłe poczynania powinny być takie, aby era kenozoiczna, w której żyjemy, mogła trwać. Nie musi kończyć się tak szybko. Jeżeli tak się stanie – to w porządku. Zawsze będzie jakaś nowa era i pojawią się nowe gatunki. Ale niektórzy z nas czują się przywiązani do tej pięknej ery, w której żyjemy. Jednak bez względu na to, czy era kenozoiczna będzie trwała, czy nie, cóż innego mamy do zrobienia, jeśli nie stanąć po prostu w obronie życia, opowiedzieć się za życiem. Jak sądzisz? (*śmieje się*) Brońmy życia!

Rozmowa z Bożeną Montwiłł

Bożena Montwiłł jest lekarzem weterynarii, prowadzi własną praktykę w Sztokholmie. Nasza znajomość zaczęła się od krótkiego maila od niej. Po kilku miesiącach wymiany korespondencji umówiliśmy się, że przyjadę do Sztokholmu w ostatnich dniach kwietnia. Prom, zbliżając się do wybrzeża, przez parę godzin płynął wśród skalistych wysepek smaganych zimnym wiatrem, zanim zacumował w Nynäshamn. Z górnego pokładu patrzyłem na ludzi na dole. Chociaż nigdy przedtem nie widziałem Bożeny, rozpoznałem ją wśród innych osób czekających na podróżnych. Spontaniczna rozmowa zaczęła się już w samochodzie i trwała przez całe cztery dni – w Sztokholmie i na wsi, przed jej starą rybacką chatą, nad kompletnie jeszcze zamarzniętym jeziorem. Wiał ożywczy wiatr. Troszkę śpiewaliśmy – za to pełnymi głosami! Siedzieliśmy przed domem w ciepłym słońcu, a nad nami, nisko, co jakiś czas przelatywały klucze dzikich gęsi, żurawi i łabędzi krzykliwych.

Bożena niedawno przyleciała ze Sztokholmu na parę dni do Polski. Spotkaliśmy się na kilka godzin. Siedzieliśmy w tandetnej kawiarni hotelu Marriott, Bożena piła herbatę, a ja kawę. Trochę zazdrościłem jej tej herbaty – kawa była niedobra.

– Miałam ciężki czas. Tak trudno jest żyć pod prąd. Ludzie chcą tylko „usypiać”. Ja odmawiam, idą gdzie indziej.

Była smutna.

– I ta moja przeszłość... Skąd brać na to siły?

Pomyślałem o swojej przeszłości, o naszym podobieństwie. Kiedyś, przygnębiony i smutny, pytałem siebie o to samo. Wtedy nie znalazłem odpowiedzi. Ale przecież przeżyłem – jakieś siły wyniosły mnie z tych odmętów.

Ten wór win wszelkich, który wtedy z udręką taszczyłem na plecach, jest surrealistyczny. Nie rozsypie się, jeśli będziemy nieustannie, bez końca poruszali się po ścieżkach znanych nam aż do znudzenia, wydeptanych przez nas do ubitej ziemi. I w ciasnych obszarach zakreślanych przez granice „winny – niewinny”.

Tu nie ma żadnych „winnych”.

I nie ma żadnych „niewinnych”.

Przypomniała mi się historia przytoczona kiedyś przez roshi Sunyę Kjolhede. Kilka razy wyciągnęła mnie z przygnębiającego zniechęcenia.

Premier Winston Churchill u schyłku swojego życia został zaproszony na uroczystość do college'u, do którego sam w młodości uczęszczał i z którego został wydalony za brak postępów. Miał wygłosić mowę do młodych abiturientów. Gdy przyszedł na to czas, podniósł się ze swego miejsca i... długo milczał...

W końcu chrapliwie przemówił:

– Nie poddawajcie się... nigdy! – Usiadł, ciężko oddychał...

Po paru chwilach wstał znowu, zrobił krok do mikrofonu i powiedział:

– Nigdy się nie poddawajcie!

I usiadł. To był koniec mowy.

*

Ludzie określają śmierć człowieka i innej istoty takim samym słowem – „zabić”. Tak samo nazywają śmierć człowieka, ptaka, ryby czy pająka. Nie ma innego terminu. Śmierć wygląda podobnie u wszystkich istot: przestaje bić serce, jeżeli jest rana, to przestaje płynąć z niej krew, istota przestaje się ruszać, gasną oczy i „uchodzi z niej życie”, jak mówimy, tak naprawdę nie wiedząc, co takiego „uchodzi”. Prawdopodobnie ludzie w całej historii swojego trwania posługiwali się słowem „zabić” w odniesieniu do każdej żywej istoty. Można przypuszczać, że intuicyjnie, czyli prawdziwie, nie mieli potrzeby wymyślenia oddzielnych słów na określenie śmierci u różnych istot. W głębi duszy wiedzą bowiem, że to jest taka sama śmierć. Pozornie odróżniają śmierć człowieka od śmierci innej żywej istoty, czyniąc tę ostatnią w swoim umyśle mniej ważną i uznając, że właśnie to uprawnia do zabijania – bo nie używamy słowa „umiera”, tylko „zdycha”. Ale jest to tylko co prawda gruba, lecz powierzchowna warstwa. Pod nią kryje się rzeczywista wrażliwość. Gdyby każdy przed przyrządzeniem posiłku musiał własnoręcznie zabić oraz wypreparować z ciała to, co później będzie jadł, sytuacja zwierząt bardzo by się zmieniła.

Żeby zabić zwierzę za pomocą trucizny, którą wpuszczałam mu w żyłę, musiałam odciąć się od wszelkich uczuć. Traktowałam zwierzę jak przedmiot. Prezentowałam postawę: „To mnie nie dotyczy” oraz „Zwierzę cierpi i lepiej dla niego będzie je zabić”, czyli mówiąc językiem mojego zawodu: „uśpić”. Zabijanie zwierząt ma podwójny wymiar: nagradzamy śmiercią i karzemy nią. Nagradzamy,

gdy cierpią – wydaje się nam, że przerywamy ich cierpienie. Karzemy śmiercią, gdy kot nasika nam do łóżka albo kiedy okazuje się, że mamy uczulenie. W stosunku do nas samych – ludzi – pojęcie nagradzania śmiercią nie istnieje. Przyjeliśmy tylko karę śmierci.

Rękoma weterynarza uspiłem swoje dwa psy: Kumcię – jamniczkę gładkowłosą, mniej więcej dwadzieścia lat temu, i Mańnię – jamniczkę szorstkowłosą, trzy lata temu. Kumcia była częściowo sparaliżowana, ale nie było widać, żeby cierpiała. Leżała spokojnie na swoim pościeliu. Martwiłem się, że się nie wysika, bo nie dawała rady ustać na łapkach. Zawiozłem ją do weterynarza i bardzo chciałem, żeby lekarz powiedział mi: „Tak, tego psa trzeba uspić”. Ale on tak sterował rozmową, żebym to ja powiedział: „Dobrze, proszę ją uspić”. Czułem się, jakbym zdradził ją i siebie. Oddałem Kumcię weterynarzowi, odwróciłem się i wyszedłem. Bałem się. Ta śmierć odzywa się we mnie do dzisiaj. Druga to śmierć czternastoletniej Mańki. Ona też była sparaliżowana, ale częściowo. To trwało kilka miesięcy, niedowład się posuwał. Gdy ją wynosiłem – załatwiała się. W niedzielę wieczorem siedziałem przy biurku, Mańka wyła na swoim pościeliu, bolała ją. Zapomniałem, że istnieją leki przeciwbólowe. Myślałem o tym, że Jasiek idzie rano do szkoły, my z Dorotą mamy tyle zajęć, Mańka będzie wyła całą noc, nie wyśpimy się. Pamiętam, że byłem otepiały, ciężki. Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer weterynarza. Kiedy się rozłączyłem, Mańka ucichła i tak została już do końca. A ja wiedziałem, że źle się stało, ale nie byłem w stanie zatrzymać zdarzeń i powiedzieć „nie”. Jakaś bezwładność mnie pchała, żeby to wszystko się dokonało i skończyło. Weterynarz weszła do domu, zaczęła się przygotowywać. Chciała, bym się oddalił, żeby nie było mnie przy tym. Powiedziała, że miała już takie przypadki, w których „skończyło się to histerią”. Ale nie chciałem zostawić Mańki. Po pierwszym zastrzyku wypuściła bezwładny język, a po drugim przestała oddychać. Lekarka zaczęła się pakować i powiedziała smutno: „Tyle jest warte to życie”. Odprowadziłem ją do drzwi, zapłaciłem. Wróciłem do kuchni, siadłem nad martwym ciałem i rozplakałem się. Płakałem nad tym, że ona nie żyje, że jej nie ma, że „to” się stało, i czułem rozdzierający ból w piersiach. Boli mnie do dzisiaj. Być może nasze spotkanie wypływa z tego bólu.

W tym samym czasie chorowała jamniczka pani Eli. Rozmawialiśmy o tym, że nie wolno usypiać. Mówiłem to jeszcze przed zabiciem Mańki. Okazało się, że

jeszcze tego nie wiedziałem naprawdę. Pani Ela zaniósła swojego psa do lekarza, który wręcz kazał natychmiast go uśpić, „bo się męczy”. Postanowiła zabrać Punię z powrotem do domu, lekarz krzychał, że oskarży ją o znęcanie się nad zwierzętami. Pies spokojnie, wśród rodziny, w miejscu, gdzie przeżył całe życie – cicho odszedł. Pół roku później zapytałem panią Elę, jak się czuje w związku ze śmiercią Puni. Odpowiedziała: „Na początku było smutno, była żałoba, ona mieszkała z nami kilkanaście lat, ale teraz to już się zapomina, myślimy o nowym psie”. Nie zapytała mnie, jak się czuję w związku z uśpieniem Mańki. A ja pomyślałem sobie, że już nigdy nie chcę mieć żadnego zwierzaka. Zabijając, odebrałem sobie prawo do opłakania, odżałowania i w końcu do ostatecznego rozstania. Taka jest różnica między panią Elą a mną.

Większość eutanazji zwierząt wykonuje się z powodu presji właściciela zwierzęcia. To on mówi: „Proszę uśpić to zwierzę, bo ja nie mogę na to patrzeć, bo ja tak zdecydowałem”, tak jakby mówił: „To jest mój przedmiot”. Kiedy stanęłam przed szwedzką zawodową komisją dyscyplinarną za odmowę zabijania zwierząt w swoim gabinecie, w naszej gazecie branżowej ukazał się artykuł o tym, że do zawodu weterynarza wpisany jest obowiązek eutanazji i weterynarz nie może odmówić, gdy przychodzi do niego klient i żąda. Albo wtedy, gdy ocenia, że rokowania są niepomysłne. Czyli są sytuacje, w których wykonuję pracę kata na zlecenie albo sama muszę podjąć decyzję i osobiście wykonać wyrok. Przyszła do mnie od innego weterynarza kobieta z chorym kotem. Tamten ją naciskał, by kota uśpić, bo cierpi i – jak mówił – w myśl prawa trzeba go uśpić, by przerwać to cierpienie. Prowadziłam tego kota i jego właścicielkę jeszcze przez trzy miesiące. Szliśmy wszyscy razem przez jego proces umierania aż do śmierci. Przedtem, zanim odmówiłam zabijania, byłam nic nieczującym mordercą. Odpychałam od siebie uczucie potwornej frustracji, które mi mówiło: „Tak się nie robi”. Ty zabijałeś na odległość, ja to robiłam bezpośrednio: trzymam zwierzę za łapę, robię mu zastrzyk i ono mięknie – mam bezpośredni, dotykalny kontakt z „tym”.

Niewielu przyszło do mnie ludzi zdecydowanych, by nie usypiać swoich zwierząt. Pewna właścicielka królika bała się powiedzieć mi, że ona nie chce, żeby go uśpić. Bała się powiedzieć weterynarzowi, bo to on ma władzę, gdy mówi: „Trzeba uśpić!”. Od ludzi, których zwierzętami opiekowałam się do końca, już po śmierci zwierzęcego towarzysza dostawałam kartki z podziękowaniami i kwiaty.

„Dziękuję Ci za to, że on mógł mieć przywilej, by normalnie umrzeć”. Popatrz! Przywilej! To są ludzie, którzy wyłamali się z tego zabójczego schematu. Oni postąpili inaczej, niż jest ogólnie przyjęte. Popłynęli innym, czystym strumieniem.

Jako myśliwy bezpośredni kontakt ze śmiercią i cierpieniem zwierzęcia miałem tylko wtedy, gdy strzelając – raniłem. Każdemu myśliwemu, dobrym strzelcom także, raz na ileś strzałów zdarza się, że trafi w zad, kolano, nerki, wątrobę, zuchwę. Zwierzę trzeba dojść i dobić. Ono ucieka, próbuje się gdzieś zaszyć, ale krwawi z ran postrzałowych. Po tych krwawych śladach się je znajduje i z bliska, z bezpośredniej odległości, strzela się w nasadę karku. Widać, jak ostatnia kula targa zwierzęciem i ostatecznie je zabija. Tylko wtedy myśliwy dotyka tego, co naprawdę robi – dotyka zadanej przez siebie śmierci. Małe zwierzęta, gdy nie ma psa, trzeba dobić ręcznie, osobiście.

Gdy szybko wstrzykuje się truciznę, następuje wyraźny ostatni wstrząs ciała i... cisza. Każda istota chce żyć i ucieka, nawet z jelitami na wierzchu. Na stole leży zrezygnowany kot, nie broni się już, lecz gdy nadchodzi ten moment, gdy mam go zabić, on nagle – często się to zdarza – odżywa, broni się, zaczyna uciekać, drapać, gryźć lub tuli się do właściciela. U zwierząt umierających bez „pomocy” nie widziałam reakcji obronnych przed śmiercią. Kiedyś przyszli do mnie ludzie z dużym psem. Pies, wchodząc, pomerdał ogonem, dostał ode mnie psie cukierki. „Przychodzimy, żebyś go uspiła, bo kuleje, nie może już wchodzić po schodach”. W tym momencie pies odwraca się do drzwi i zaczyna piszczeć, ogon podkula pod siebie, niespokojnie patrzy na właściciela, jakby chciał powiedzieć: „Wychodzimy, no już, wychodzimy!”. Drzwi są zamknięte.

Czy ten pies przeżył?

U mnie przeżył. Powiedziałam, że tego nie zrobię, że pies może być leczony, że można mu zmniejszyć bóle. Ale oni nie słuchali. Gdy otworzyłam drzwi, zwierzak po prostu panicznie zwiął, na smyczy ciągnąc właścicielkę.

Kiedyś na wsi Janek poprosił mnie, żebym zabił mu psa.

– Ktoś mi zostawił – mówił – a to kudłaty pchlarz, nic niewart, tylko żre.

– Nie zabiję go, ja tego nie robię.

– To ja go tu przy tobie zabiję pałką.

– Dobrze, zabiję go.

Poszliśmy za dom, do lasu, i zastrzeliłem go.

Zrobiło mi się niedobrze i tak strasznie smutno, serce mi wali. Wiesz dlaczego? Dlatego, że zaczynam żyć. Ten straszny smutek, który czuję, to życie. Naprawdę mam uczucia. Zabijając przez dwadzieścia pięć lat, nie miałam ich.

To, co musiałem zdławić w sobie, by móc zabić psa Janka, to była jakaś ważna część człowieczeństwa. Miałem poczucie, jakbym, dosłownie, zgasił w sobie coś delikatnego, łagodnego, co przestaje w człowieku świecić, żyć, gdy godzi się zabić na zamówienie. To, co zgasło wtedy, pomimo że polowałem i zabijałem dzikie zwierzęta, cały czas we mnie żyło. Musiałem znaleźć się w tej sytuacji, by zgasło.

Dzikie zwierzęta zabijałeś z własnej woli, nikt nie kazał ci tego robić. Tak jak i mnie nikt nie kazał zabijać. Wybierając zawód – mniej czy bardziej świadomie – wybierałam też wpisany w niego kod. Z własnej woli.

Jednak polowanie nie było zabijaniem na zamówienie, jak w przypadku psa Janka. Ja zabijałam zawsze na zamówienie – dlatego że w tym fachu tak się robi. Często byłam przypierana do muru, jak ty przy psie Janka. Do mnie mówili tak: „Dlaczego nie uśpisz? Przecież on tak cierpi! Jesteś bez serca!”. Ale w tej sytuacji to właściciel nie jest w stanie znieść własnego cierpienia płynącego z tych okoliczności. Zwierzęta swoim zachowaniem pokazują wyraźnie: „Nie chcemy być dobijane”. Właścicielowi wydaje się, że zabijając zwierzę, zakończy swoje cierpienie. Ale jest odwrotnie. Zwiększy je u siebie i u psa. A ja, odmawiając zabijania na zamówienie, jestem odbierana jako dziwak i odmieniec.

Na początku kampanii w obronie niemiłosiernie wyniszczanych drzew miejskich i przydrożnych w Polsce napisałem w tej sprawie osobisty list do prezydenta miasta, w którym wtedy mieszkałem. Zawarłem w nim między innymi słowa: „Kiedyś, polując, zabijałem dzikie zwierzęta dla hobby. Teraz, gdy wyrażam swój sprzeciw wobec tej praktyki, a także gdy bronię bezlitośnie wyniszczanych przez Pańskich ludzi drzew, jestem traktowany jak dziwak. Natomiast ci ludzie, którzy zabijają zwierzęta i okrutnie obcinają korony drzewom, traktowani są jako całkowicie normalni. Czy nie uważa Pan, że to zastanawiające?”. Nie odpowiedział mi na ten list.

Cały świat przyjął za właściwe, że u weterynarza na szklanym stole za pomocą zastrzyku trucizny „usypia się” zwierzęta. Można przyjąć, że społeczność ludzi oddelegowała weterynarzy do dobijania domowych zwierząt. Lekarze weterynarii, którzy „usypiają”, odmówili sobie prawa do jakiegś reakcji po zabiciu. Chyba

starają się robić to w sposób mechaniczny. Nie wolno im okazywać uczuć z powodu tego, że zadają śmierć. „My wam za to płacimy – wy macie to zrobić. Wykonujecie taki zawód i w milczący sposób przyjęliście na siebie zobowiązanie narzucone wam przez społeczność. My w zamian damy wam pieniądze i nie będziemy poruszali tego tematu”. Tak widzę niepisaną umowę pomiędzy społeczeństwem a weterynarzami.

Tak, to jest niepisana umowa. W prawie szwedzkim dotyczącym ochrony zwierząt jest paragraf, który mówi: „Zwierzęta mają być traktowane dobrze i mają być ochraniające przed niepotrzebnym cierpieniem i chorobą. Zwierząt wymienionych poniżej prawo to nie obejmuje. Są to: zwierzęta laboratoryjne i kurczaki jednodniowe”. Zostało wyodrębnione „potrzebne cierpienie” i „niepotrzebne cierpienie”. Niepotrzebnym cierpieniem, według autorów tego prawa, jest cierpienie chorego psa, którego trzeba „chronić”, zadając mu śmierć, potrzebnym cierpieniem zaś to, które zadawane jest zwierzętom laboratoryjnym i jednodniowym kogutkom, które mieli się żywcem w skonstruowanych do tego młynach albo pali w specjalnych kadziach z wrzącym olejem.

Żeby wykonywać ten zwód, musiałam zabić kawałek siebie. Ja to robiłam, między innymi, dla pieniędzy. Zabijałam zwierzęta, bo chciałam zachować pracę. Niedawno rozmawiałam na przyjęciu z koleżanką. Powiedziała mi: „Gdy przeczytałam w prasie o tym, że odmówiłaś eutanazji, zaczęłam się zastanawiać nad tym, co robię. Nigdy nie wiem, gdzie jest ta granica, kiedy »to« trzeba zrobić. Tego nikt nie wie!”. W czasie długiej rozmowy wyraziła wątpliwość co do motywacji: „Usypiam, żeby pomóc – ale czy rzeczywiście pomagam temu zwierzęciu?”.

„Zabiję cię, żeby ci pomóc” – brzmi to straszliwie.

Weterynarz jest sędzią, bo wydaje wyrok: „To zwierzę trzeba uspić”, i jednocześnie jest katem – bierze strzykawkę i je „usypia”. Gdy zwierzę się broni, daje mu najpierw środek uspokajający, a gdy chwilę potem staje się bezbronny, on dostaje się strzykawką do żyły.

Mam wrażenie, że ludzie w głębi duszy wiedzą, że nie wolno zabijać zwierząt. Wiedzą to weterynarze, myśliwi i rzeźnicy i najczęściej starannie ukrywają najistotniejsze – samo sedno zabijania – przed ludzkimi oczami. Tak zwani zwyczajni ludzie także to wiedzą – sami nie chcą zabijać, wolą, żeby zrobił to ktoś inny. Ci, którzy zabijają, żeby móc dalej to robić, stosują „racjonalne traktowanie

zagadnienia”, „pragmatyzm” i „logikę”. Ktoś powiedział, że ludzie mają tę całą racjonalizację i niezłomną logikę po to, aby mylić się z jeszcze większą pewnością siebie. Hanna Krall napisała kiedyś „Intelekt? To przereklamowana sprawa”.

Ludzie wyłączyli spod ogólnego prawa „Nie zabijaj” zwierzęta, ale także „innych” ludzi, zabijanych masowo przez armie w czasie wojny. Robi się to w majestacie demokratycznych procedur, prawa i z błogosławieństwem biskupa polowego.

Za „Nie zabijaj” podąży magiczne słowo „ale...”, które ten kategoryczny zakaz unieważnia. Niedawno byłem świadkiem zakończenia zbiorowego polowania: dwudziestu myśliwych, niektórzy wyraźnie pijani, psy, naganiacze. Na śniegu złożyli dużego dzika i dwa lisy. Krew wsiąkała w śnieg. Żał mi było dzika, lisów i tych ludzi. Dawniej byli moimi kolegami. Kiedyś, gdybym został królem tego polowania – byłbym z siebie dumny.

Ja byłam dumna, kiedy ludzie przynosili mi kwiaty z karteczką „Dziękuję za piękne uśpienie naszego zwierzęcia”. Kiedyś dostałam za to dwa kilogramy polędwicy – zabiłam jedno zwierzę i dostałam kawałek trupa drugiego zwierzęcia. (Bożena się śmieje)

Biorąc odpowiedzialność za swoje życie, mogę powiedzieć tak: zabijałam zwierzęta nie dlatego, że tak mi kazali, tylko dlatego, że tak wybrałam. Również dlatego, że chciałam przynależeć do zawodowej grupy weterynarzy i przez to nie czuć się wyłącznie osobiście odpowiedzialna za to, co robię. Mówiłam: „Trzeba uśpić, bo ono cierpi”. Wszelkie motywacje do usypiania, eutanazji czy wyroku śmierci – bo to wszystko znaczy to samo – w rodzaju: „No, ale ono cierpi”, nie są motywacjami płynącymi ze współczucia. Gdyby tu leżał kot w stanie terminalnym, w którym opuszcza go energia, i gdybym zapytała go: „Chcesz żyć czy chcesz, żebym ci wstrzeliła w żyłę tę truciznę?” – to co ten kot by odpowiedział? Gdy zbliżam się ze strzykawką, on chce uciec, podnosi się, próbuje gryźć – i w ten sposób odpowiada. Gdyby miał wybór, nie przyszedłby tu, do weterynarza, po śmierć.

Przyszła do mnie kiedyś kobieta z młodym, zupełnie zdrowym kotem i powiedziała, że chce go uśpić. Opowiadała, że mieszka w małym mieszkaniu, prawie jej nie ma w domu i że „ten kot się męczy”. To była roczna, czarno-biała kotka, nazywała się Nutka. „Dlaczego tak ma na imię?” – zapytałam. „Chodzi po

pianinie i wygrywa swoje kocie melodie”. To było bardzo dawno temu, ja usypiałam wtedy zwierzęta na prawo i lewo, ale już coś się we mnie rodziło. Powiedziałam jej zupełnie spontanicznie: „Zabieram tego kota, biorę go do domu”. Mieszkałam wtedy niedaleko parku, w mieszkaniu z tarasem, na parterze i kot wychodził sobie, kiedy chciał. Po rozwodzie przeprowadziłam się do innego mieszkania i kotka już nie mogła sama wychodzić. Zaczęła drapać kanapę i sikać w domu. Stoję kiedyś w kuchni, a kotek siedzi na dywanie, patrzy na mnie i robi kupę. Kupiłam sobie nowe buty, postawiłam je w przedpokoju, a kot do nich nasikał. Wyprałam te buty, wyczyściłam – kot znowu do nich nasikał. Nasikał na moją bieliznę w szafie. To trwało mniej więcej pół roku. Nie zastanowiłam się nad tym, co w tym czystym do tej pory kocie się zmieniło. Pomyślałam sobie, że tak dłużej nie może być. Nie przyszło mi do głowy, by spróbować go gdzieś oddać. Byłam tak wkurzona, że ten kot zniszczył mi buty, kanapę, bieliznę, zasłony, dywany! Tego dnia postanowiłam, że go uspię. Nie mogłam go złapać. Zaszył się w najbardziej niedostępnym kącie mieszkania. W końcu złapałam kotkę, włożyłam ją do torby, w której czasami ją nosiłam, a ona zupełnie spokojnie tam siedziała. Teraz w tej torbie szalała. Zwykle była łagodna, ale wówczas, jak postawiłam ją na stole w pracy, nie mogłam do niej podejść – gryzła i drapała. Włożyłam ją do takiej specjalnej klatki z ruchomą jedną ścianą, która przyciska kota do przeciwległej ściany i go unieruchamia. Potem był zastrzyk w brzuch. Żadnych uczuć, kompletna zima: przycisnęłam ściankę i wbiłam strzykawkę w brzuch.

Zastrzyk w brzuch zabija?

Tak, daje się środek dootrzewnowo, to trwa dłużej niż dożylnie, ale jest to przyjęty sposób usypiania zwierząt. Potem na wszelki wypadek poprawia się zastrzykiem w serce. Gdy podaje się zastrzyk w jamę dootrzewnową, to zanim zwierzę zejdzie, może minąć nawet godzina – dlatego trzeba jeszcze w serce. Krew uderza z powrotem do strzykawki.

Jaki to środek?

Przedawkowuje się środek do narkozy ze spirytusem. Jeszcze na studiach w Polsce uczono nas stosowania siarczanu miedzi dosercowo. W czasach, kiedy studiowałam, weterynarze usypiali zwierzęta, ale byli od tego także specjalni panowie, gdy ktoś chciał uspić na zamówienie. Pamiętam, jak w latach

siedemdziesiątych mój tata poszedł uspić naszego psa. Wrócił z pustą smyczą. Potem poszedł się upić.

Na weterynarii uczyło się usypiania?

Tak. Pamiętam doświadczalną operację, którą robiłam z koleżanką. Miałyśmy przeciwzyć wysoką amputację tylnej łapy dużego boksera. To była straszna operacja – latały nam ręce, dużo mięśni, skomplikowane to wszystko, krew lała się strumieniami. Zapytałam: „Co to za pies? Jak ten pies będzie teraz żył? Jaka będzie rekonwalescencja?”. „Nie, nie, on był zupełnie zdrowy. Następnym elementem ćwiczeń będzie to, że go uspicie”.

Jak ten bokser trafił na stół operacyjny?

Ktoś go przyprowadził do uspienia i najpierw dano go studentom, by trenowali na nim operację.

Przeraziło mnie to, że moja Kumcia, którą zostawiłem do uspienia, mogła trafić na eksperymenty. Okropnie się czuję. Nie byłem przy jej śmierci.

Tu, w Szwecji, ludzie, którzy zostawiają zwierzęta do uspienia, często pytają: „Czy na pewno tego psa uspisz? Bo ja nie chcę, żeby go rozdzierano na kawałki”. Mają takie obawy. W Szwecji głośna była sprawa dużej kliniki weterynaryjnej, w której psy, koty i wszystkie inne ciała, naszpikowane środkami do usypiania, nie trafiały do krematorium, tylko do fabryki pasz dla norek. Klinika istnieje do tej pory i dobrze prosperuje. Reklamuje się zdjęciami, na których dziewczyna w białym fartuchu czule obejmuje pieska.

Pewnego razu spotkałem dawno niewidzianą znajomą, a ona zapytała mnie o Mańkę. Powiedziałem. Zapytałem ją o jej starego psa o imieniu Argo. Rozmawialiśmy o „usypianiu”. „Przecież w naturze jest tak, że zwierzęta słabsze, które są chore albo stare i coraz mniej sprawne, najczęściej są zabijane przez drapieżniki. Gdyby Argo żył na wolności, zostałby przez wilka, rysia albo orła dobity”. „Czy ty jesteś wilkiem albo rysiem – zapytałem – że dajesz sobie takie prawo? My ze swoimi psami nie jesteśmy w środowisku naturalnym. Jesteśmy w domu. To jest zupełnie inne miejsce i inna relacja”. Znajoma wydawała się nieprzekonana, czułem, że proponuję jej coś bardzo trudnego. Już przy rozstaniu wyrwało mi się gorąco i spontanicznie: „Nie usypiaj, nie rób tego”. Jakiś czas potem przeczytałem w miesięczniku, do którego ona pisała, krótkie, przejmujące

opowiadanie o tym, jak odchodził Argo, a ona mu towarzyszyła. Jak ja im zazdrościłem! Nie mogę drugi raz towarzyszyć Mańce i się z nią pożegnać.

Gdy diagnozowałam: „Trzeba uspić”, czasami właściciel mówił: „Może poczekamy, może coś da się zrobić, może by kto inny popatrzył?”, pokazując podświadomy odruch obronny i postawę: „Ja tego nie chcę!”. Uważałam, że widzę i czuję lepiej, bo postępuję zgodnie z prawem o ochronie zwierząt i określonym przez nie „współczuciem”, w myśl którego nie należy im pozwolić się męczyć. Żeby przekonać tego człowieka, używałam argumentu: „Te zwierzęta żyją z nami w domu i nie mają naturalnych wrogów, dzikich zwierząt, które je dobijają, bo gdyby takie zwierzę leżało w lesie, pojawiłby się drapieżnik i je zjadł. My zastępujemy tego drapieżnika”. To były argumenty głównie dla mnie samej, żeby usprawiedliwić usypianie.

Jak postrzegasz tę argumentację z dzisiejszej perspektywy?

Gdyby ktoś tak do mnie powiedział, chybabym mu w mordę dała. Żeby zobaczyć, jakie bzdury wygaduje! Z drugiej strony patrzę na siebie z przeszłości łagodnie, z wielkim bólem, ale i akceptacją tego bólu. Wtedy nie umiałam inaczej postąpić. Wierzyłam w słowa, które wypowiadałam, żeby móc „to” wykonać, a także po to, by pomóc właścicielowi przeżyć ból. Nie umiałam inaczej go wesprzeć. To nie jest ani czarne, ani białe. Usypianie – oskarżanie. Trzeba z tym oskarżaniem uważać. Miałam takie momenty, że chciałam tym, którzy usypiają, cisnąć w twarz argumenty: „Nie zabijajcie tych zwierząt, jesteście tacy niemądrzy, czy nie widzicie, że tego nie wolno robić?!”. Każdy żyje w tej sytuacji i z tą świadomością – inaczej nie umie. Misjonarstwo na siłę nie jest moim sposobem działania. Raczej myślę o tym, jak inspirujący bywa przykład innych. Nie wiem, jak ty patrzysz na swoje doświadczenie zabijania, ja przeszłam przez to i teraz jestem bogatsza o ból, który ono niesie. On mi daje siłę, żeby robić coś innego dla zwierząt i ludzi. Daje mi siłę na odwrócenie całego mojego życia i wzbogacenie go. Na ten ból wpływa to, co kiedyś zrobiłam. Dał mi prawdziwą wiedzę o tym, że trzeba się urodzić i umrzeć. I że nie wolno tego przyspieszać ani spowalniać. Teraz bez strachu patrzę na zwierzę, które przyszło do mnie bardzo chore. Nie boję się jego umierania. Kiedyś było to dla mnie przerażające. Pamiętam, jak umierała moja mama. Gdy już umarła, spojrzałam na nią kątem oka i wyszłam, tak się bałam. Najbardziej tego, że kiedyś też będę tak leżeć.

Czy możliwa jest sytuacja, w której podjęłabyś decyzję o uspieniu zwierzęcia?

Zadawałam sobie to pytanie wiele razy. Jeden z moich asystentów powiedział: „Wyobraź sobie, że znajdujesz przy autostradzie sarnę z roztrzaskaną kością udową, z otwartą raną”. Zastanawiałam się, co bym w takiej sytuacji zrobiła, a potem doszłam do wniosku, że gdy znajdę się w takiej sytuacji, będę wiedziała, co zrobić. Takie filozofowanie „Co by było, gdyby...” powoduje tylko frustrację. Ufam, że będę wiedziała.

Gdy miałem dwadzieścia parę lat, jechałem jako pasażer wielkim samochodem przewożącym maszyny drogowe. To się wiązało z moją pracą. Była mgła i samochód uderzył w stado mew. Spojrzałem w lusterko i zobaczyłem, że kilka z tych mew leży i żyje – widziałem, jak podnoszą skrzydła, głowy. Kazałem się zatrzymać. Wziąłem kij i podszedłem do mew, które sycząc, wyciągały do mnie szyje, i uderzeniami w te szyje wszystkie je dobiłem. Okropnie się wtedy czułem, ale myślałem, że tak powinienem postąpić: „Jestem przecież synem myśliwego” – przemknęła mi myśl. Czułem się zobowiązany, by dać sobie radę z tą sytuacją, przemóc bolesny opór, który czułem, i zdobyć się na to, by je dobić. Tłumaczyłem sobie, że tak jest lepiej. Może teraz przeniósłbym te mewy dalej od drogi, by nikt ich nie przejechał. Pomodliłbym się gdzieś w pobliżu i odszedł.

Okradamy zwierzęta z ich śmierci.

Ludzie modlą się: „Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie”. Nagła śmierć jest nieszczęściem. W modlitwie prosimy, by nas to nieszczęście nie spotkało. Ciotka mojej żony w stanie agonalnym została dosłownie siłą zabrana przez karetkę pogotowia do szpitala. Podano jej morfinę. „Chora bardzo cierpi i podano jej środki znieczulające” – powiedział lekarz. I tak, właściwie bez przytomności, bez kontaktu, znarkotyzowana, nie sprawiając personelowi kłopotu, przeleżała parę dni, zanim umarła. Nie nazywamy tego eutanazją, tylko naturalną śmiercią. Chore zwierzęta dobiegają się bezpośrednio. I ci ludzie, i te zwierzęta są okradani ze swojej śmierci. Zostaje im zadana „nagła śmierć” – nie pomogła modlitwa. Sami jesteśmy sprawcami największego nieszczęścia, mimo że modlimy się, by nie nastąpiło. Robimy to naszym bliskim i naszym zwierzętom.

Przychodzą do mnie ludzie ze zwierzęciem, które przestało jeść, i mówią, że nie chcą, żeby to zwierzę umarło z głodu: „Ja nie chcę, żeby moje zwierzę umierało męczeńską śmiercią”. Odpowiadam im, że skoro nie je, to oznacza, że nie jest

głodne. Tłumaczę, jak fizjologicznie zanika łaknienie. „Gdy nie ma się uczucia głodu, nie sposób z tego powodu cierpieć – tak ciało przygotowuje się do śmierci”. Słuchają, kiwają głowami i mówią: „Ale ja nie chcę, żeby ono cierpiało”. Nie są w stanie zrozumieć. Chcą, żeby je uspić.

Kiedyś strzelałem do byka i źle go trafiłem – zwałił się po strzale, chmara jeleni uciekła, a on podniósł się na przednie kolana i tak pozostał. Próbował iść za chmarą, ale miał przestrzelone oba kolana. Podpierał się nimi na czarnej ziemi i szedł. Ziemia przykleiła się do białawych kości i krwi. Podeszedłem do niego i strzałem w kark go dobiłem. Straszliwie się czułem – wiedziałem, że to morderstwo.

Gdyby stał tu przede mną kot czy pies, czy jakiegokolwiek inne zwierzę, które zabiłam, i gdybym spojrzała mu w oczy – jeśli miałabym na to odwagę – to co ta istota by mi powiedziała? Co by ci powiedział ten byk, którego dobiłeś?

Gdyby stanął przede mną pod jakąkolwiek postacią? Niczego by mi nie powiedział, tylko by płakał. Płakałby nade mną. Płakałby nad tym, co zrobiłem. Sobie.

Zobacz, co się ze mną stało, jak cierpię z powodu tego, że tyle nazabijałam w życiu. Przestałam zabijać nie dlatego, żeby więcej na to nie patrzeć – przestałam zabijać, żeby na to popatrzeć. Coś się zmieniło. Taką mam intencję: żeby ten ból ujrzyć. Nie wiem, czy zadośćuczynienie jest możliwe, nie można unieważnić faktów, które się dokonały.

Twoje dłonie już nie zabijają.

Żeby te dłonie zabijały, muszą dostać rozkaz z innej części mnie. Ujęłabym to tak: ja już cała nie zabijam. Idąc, uważam, żeby nie rozdeptać mrówki.

Czułem podobnie, a na moje wezwanie weterynarz zabił Mańkę.

To trudne, co powiedziałaś.

Chciałem przez to wyrazić, że stałem się ostrożny z pewnością siebie w tym temacie. Wiesz, przynoszę do domu drzewo i wkładam do kominka. Nagle gdzieś spod kory polana pojawia się pająk. Biega po korze, szuka ratunku od płomieni. Próbuję go złapać, podstawiam mu chłodny kawałek drewna, żeby na niego wszedł, ale on mi znika... Zdaję sobie sprawę z tego, że pod korą drzewa, którym palę, jest cały świat. Ale nie przestałem ogrzewać drewnem.

Czuję, że mam prawo leczyć moje zwierzęta: dawać im lekarstwo na świerzb albo tabletki przeciw robakom. Co innego, gdy zabijam psa, żeby zarobić pieniądze. „Gdy zabiję ich pięćdziesiąt tysięcy, to postawię sobie pałac” – dla mnie to właśnie jest zabijanie. Chciałabym, żeby było jakieś specjalne określenie, słowo na to zdarzenie z pajakiem w kominku, tabletki przeciw robakom, wody wypijanej z bakteriami... Może znasz takie słowo?

Nie znam. Ludzie wymyślili różne słowa, szukając jakiegoś słodko znieczulającego środka na to, co naprawdę robią. Mówią: uśpić psa, upolować sarnę, pozyskać byka, strzelić kaczkę, zbarczyć kuropatwę albo produkować wołowinę. Używają także słowa „eutanazja”. Jeżeli stosujesz tabletkę przeciw pokaźnej liczbie robaków w jelitach psa i one przestają się ruszać, ich organizmy przestają funkcjonować i już nigdy nie zaczną – to można przyjąć, że zostały zabite, ponieważ tę śmierć spowodowano w gwałtowny sposób. Jeżeli nie chcesz tego dostrzec – nie będziesz wiedziała, co naprawdę robisz, co tu się naprawdę dzieje. Gdy dokładam drewna do kominka, jakoś uczestniczę w zabijaniu – widziałem to. Widziałem również, jak pługi i brony w czasie orki kawałkują, rozszarpują i miażdżą stworzenia żyjące w żyznej glebie. Widziałem ziarno właśnie wysypane na przyczepę przez kombajn – ileż tam jest pełzającego życia, które zostanie zabite w procesie przetwarzania ziarna na mąkę! A „środki ochrony roślin”, czyli masowo stosowane w rolnictwie trucizny? Lecz żyję – mam prawo jeść. Widzę także, że natężenie przemocy przy uprawie zboża jest inne niż przy strzale w serce sarny albo gdy w rzeźni przykładają się krowie elektrody do głowy. Mam poczucie, że gdybym odepchnął tę całą świadomość i nie zgłębiał tej tajemnicy, groziłoby mi życie w jakimś zaciemnieniu. Po wieczornej letniej podróży samochód mam obklejony zabitymi stworzeniami. One zginęły między innymi dlatego, że decyduję się na jazdę samochodem. Takie mam życie. Próbuję to zrozumieć. Gdy dawniej mówiłem „farba”, mając na myśli krew, chyba byłem pozbawiony takiej szansy, chociaż... czy aby na pewno?

Nie chciałam przykrywać eufemizmami tego, co robimy. Dla mnie słowo „zabić” kryje w sobie intencję pozbawienia kogoś życia. Pająk w kominku, owady pod korą w płomieniach, antybiotyk – nie mam na te zdarzenia nazwy – w tym jest po prostu taka zwyczajność, jak zwyczajnie w puszczy upada drzewo.

Kiedy zabijałam, też trudno było mi to zobaczyć. Robiłam to dla pieniędzy i z potrzeby przynależności do wspólnoty – to jest najbardziej szczerze wyjaśnienie. Akt uśpienia zwierzęcia jest technicznie bardzo łatwy. Łatwiej uśpić, niż szczepić. Aby zaszczepić, trzeba wziąć pod uwagę ewentualne działania uboczne, odpowiedzieć sobie na pytania: kiedy to zwierzę można szczepić, dlaczego, jaką szczepionkę zastosować, oraz poznać stan zdrowia zwierzęcia. Uśpienie jest najprostsze i nie trzeba do tego mieć żadnej wiedzy oprócz tego, ile mililitrów na kilogram wagi ciała należy wstrzyknąć w żyłę. Nawet nie trzeba umieć robić zastrzyków, bo igłę można wbić w brzuch. Akt eutanazji daje dużo pieniędzy. Trwa dwie minuty, a płaci się w zależności od wagi zwierzęcia. Najniższa cena, za najmniejsze zwierzątko – sto pięćdziesiąt koron. Duży pies mógł kosztować do tysiąca koron. Użyty materiał kosztuje ze dwie korony, do tego dochodzi kremacja ciała, na której też zarabiam: narzucam trzydzieści procent marży, ponieważ przechowuję te ciała w zamrażalniku i wydaję je człowiekowi, który po nie przyjeżdża. Jest to niesłychany biznes. Jak uśpię dwa, trzy duże psy w ciągu dnia, to mogę już iść do domu.

Zatem mogą to być nawet trzy psy w ciągu dnia?

Tak może się zdarzyć. Pracowałam w bardzo dużej klinice, w której było troje weterynarzy, duża liczba personelu i szef, doskonały chirurg. Tam było bardzo dużo uśpień, do dziesięciu dziennie. Pewnego razu szłam korytarzem i pracownica rzuciła:

– Masz psa do uśpienia w pokoju numer jeden.

– Od jutra proszę mi nie zapisywać więcej niż dwóch uśpień dziennie, bo nie wyrabiam – zareagowałam spontanicznie.

Byłam rok po studiach i tuż po nostryfikacji dyplomu w Szwecji.

Pierwsze samodzielne uśpienie robiłam jeszcze w Warszawie. To był jamnik. Pamiętam, jak mi się trzęsły ręce, ale zgodnie z zasadami, które wtedy uznawałam, nie mogłam odmówić. „To należy do mojego zawodu – weterynarz przecież usypia”. Z powodu drżących rąk nie trafiłam temu psu w żyłę. Dałam mu zastrzyk dootrzewnowo i położyłam go na ziemi, żeby nie spadł ze stołu. Jego właściciel zapłacił i wyszedł. Idę do starego weterynarza, z którym pracowałam, i proszę: „Czy może mi pan pomóc, bo nie wiem, czy ten pies na pewno nie żyje?”. Bałam się podejść do tego trupa czy półtrupa i sprawdzić akcję serca – po prostu nie

mogłam się do tego psa zbliżyć. Ten człowiek przyszedł, patrzy na psa, stawia na nim nogę, wciska but w ciało i lekko mówi: „li, nie żyje”. Kiedyś pożyczyłam od niego fonendoskop – słuchawki do odsłuchiwania serca, płuc, bo zapomniałam swoich. „Jakoś nie mogę nic odsłuchać” – mówię mu. On zabrał mi te słuchawki, mówiąc: „One są bezwartościowe”. Po prostu udawał, że słucha. W tych słuchawkach kompletnie nic nie było słychać, jakbym wsadziła sobie dwa palce w uszy. To było moje pierwsze zetknięcie z praktyką weterynaryjną.

I co dalej? Co się takiego dzieje, że człowiek nie dopuszcza do siebie tego, co niesie takie doświadczenie? Kiedyś, w początkach mojego polowania, strzelałem z bliska do sarny – rogacza. On wychylił się z paproci, powolutku zdjąłem sztucer z ramienia i mierzę na komorę. W głowie mam myśl: „Łatwy strzał”. BACH!!!, rogacz pada, od razu się podnosi i umyka. Repetuję, strzelam do niego ponownie, lecz chybiam. Znika mi z oczu. Zastanawiam się, co zrobić, na pewno trafiłem na komorę – widziałem, gdzie uderzyła kula. „Jakim cudem on się podniósł i uszedł?”

Zmierzchało. Oczekałem trochę i skradam się po niego w miejsce, gdzie zniknął mi z oczu. Sztucer mam przygotowany, by go dobić. Rogacz mnie obserwował, bo podniósł się sto metrów ode mnie i pomału uchodzi przez wysoki sosnowy las. Strzelam raz – chybiam, drugi raz – chybiam. Trzęsą mi się ręce, czuję się okropnie, strasznie. W głowie mi wyje: „Muszę go dobić, muszę! On nie może taki przestrelony odejść!”

Biegnę za nim, strzelam, biegnę, strzelam ponownie – widzę, że chybiam! i... rogacz znika. Szukałem go w lesie, aż zrobiło się całkiem ciemno. Następnego dnia szukałem śladów krwi. Nie znalazłem. Dwa tygodnie później dowiedziałem się, że prawie dwa kilometry dalej znaleziono strzelonego na komorę rogacza. To było to zwierzę. Wielkie siły się w nim wyzwoliły, żeby ode mnie uciec. To było dla mnie silne, przynębiające doświadczenie, ale po jakimś czasie znowu mogłem polować. To nie było to doświadczenie, po którym przestałem polować. Robiłem to dalej, jeszcze prawie dwadzieścia lat.

Mnie również niczego nie nauczyło doświadczenie z uspieniem jamnika i butem weterynarza przyciskającym ciało umierającego psa. Gdy opowiadałeś o rogaczu, patrzyłam na ciebie i przypomniło mi się, co robiłam w czasie usypiania. Mocno zaciskałam szczęki i myślałam: „Żeby tylko trafić w żyłę, żeby jak najszybciej poszło, żeby się nie skompromitować przed właścicielem tym, że tego psa

technicznie za wolno zabijam”. Towarzyszyło temu kompletne zamrożenie uczuciowe. Gdy trzymałam w ręku łapę i wkłuwałam się do żyły czy w brzuch, liczyło się tylko techniczne wykonanie – jak u robota. Teraz nie potrafię sobie wyobrazić tej stalowej, wewnętrznej maski, którą miałam wtedy. Zaciśnięte szczęki i determinacja.

Kiedyś na wsi weszłam na myśliwską ambonę. Na polu przy lesie były sarny. Wyobraziłam sobie, że mam strzelbę. Złożyłam ręce jak do strzału, przymknęłam jedno oko, miałam wrażenie, że patrzę przez lunetę. Jedna sarenka stała tak, że mogłabym strzelić dokładnie w bok. Patrzyłam na nią i w myślach pociągnęłam za spust. Czułam się dokładnie tak jak wtedy, gdy usypiałam – kompletna zima. Przeleciała mi myśl: „Jakie to łatwe, żadnego wysiłku. One nie mają kompletnie żadnych szans”. Gdy opuściłam ręce – „Koniec tego eksperymentu!” – nogi się pode mną ugięły. Ledwo oddychałam.

Łatwo być władcą śmierci?

Nie można poczuć większej władzy!

Dla niektórych ludzi to może być wspaniałe uczucie, prawda? Czy możesz opowiedzieć o tym, jak przestałaś usypiać?

Nie od razu objęło to wszystkie zwierzęta – na początku przestałam usypiać te zdrowe. Miałam obawy, jak to zostanie przyjęte, co sobie ludzie pomyślą, pojawił się lęk, że pacjenci ode mnie odejdą i stracę dochody, a przede wszystkim nie wiedziałam, jak to powiedzieć. Pielęgniarka, która ze mną pracowała, powiedziała, że jeżeli ktoś będzie chciał uspić swoje zwierzę, bo na przykład ma na nie alergię, wyjeżdża albo coś w tym rodzaju, to żeby najpierw spróbowała go namówić, by postarał się je gdzieś oddać. Jeżeli ten ktoś będzie się upierał, to trzeba postawić cenę zaporową. Ustaliłam, że będzie to kwota ośmiuset koron. Uśpienie kota kosztowało wtedy dwieście koron.

W przypadku psów nie postawiłam żadnej granicy, ponieważ w Szwecji dużo rzadziej usypia się zdrowe psy, motywując to alergią, wyjazdem i tym podobnymi. Zaczęłam od kotów. Na telefony w sprawie uspień pielęgniarka odpowiadała, że to kosztuje osiemset koron, i słyszała: „Jak drogo, to ja zadzwonię gdzie indziej”. Ulżyło mi, że zaczęłam usypiać mniej, chociaż w dalszym ciągu było to chowanie głowy w piasek, co potwierdza kolejna historia. Zadzwoniła kiedyś osoba, która miała dwa koty. Powiedziała, że się przeprowadza, wyjeżdża i musi je uspić. Nie

chciała nikomu oddać zwierząt. Na podaną cenę tysiąca sześciuset koron zareagowała: „Proszę mnie umówić”. Przyszła następnego dnia, położyła te koty i powiedziała: „Ja nie mogę na to patrzeć”. Zapłaciła – przebiła się przez tę granicę. Okazało się, że zastawiłam na siebie pułapkę i w nią wpadłam. Koty wyszły z koszyka, zaczęły się przymilać – były takie piękne! Nie mogliśmy z pielęgniarką wziąć po kocie do domu – ona miała dwa psy, ja miałam kota. Nie mogłam tego zrobić – płacząc, zrobiła to pielęgniarka. Nie od razu wyciągnęłam wnioski z tej pułapki, dalej proponowałam tę zaporową cenę, aż w pewnym momencie twardo powiedziałam: „Nie! Nie będę usypiała żadnych zdrowych zwierząt”. Zrobiłam jeszcze parę wyjątków, ugięłam się pod szantażem, który ludzie czasami stosowali. „Wyrzucę tego kota na ulicę”. Wówczas stwierdziłam, że może lepiej będzie, jeżeli ja to zrobię, zamiast dopuścić do sytuacji, gdy ktoś „na zimno” wsadzi igłę temu zwierzęciu. Zrobiłam z siebie ofiarę. Nie wiedziałam, jak z tego wszystkiego wybrnąć. W końcu doszło do tego, że przestałam w ogóle usypiać.

Ludzie, którzy mają zwierzęta, stykają się z ich usypianiem raz, góra dwa razy w życiu. Taka jest skala tego zjawiska dla jednej osoby. Rozmawiając z tobą przez tych kilka dni, zdałem sobie sprawę, że każdy lekarz w swoim życiu zawodowym usypia sporą liczbę zwierząt.

Wiele tysięcy zwierząt. Zastanawiałam się nad tym, ale nie umiem tego policzyć, bo nie pamiętam, nie chcę tego pamiętać. Zamykałam pamięć, tak jak zamykałam drzwi gabinetu po pracy, i szłam do domu. Nie chcę tego wiedzieć! *(Bożena przez chwilę milczy)* Ale powiedzmy, że – na taką małą skalę jak u mnie w gabinecie – przeciętnie wykonywałam dwa uśpienia dziennie. Pracuję cztery dni w tygodniu, mam osiem tygodni urlopu w roku. To daje mniej więcej trzysta sześćdziesiąt uśpień rocznie. Pracuję szesnaście lat i ostrożnie licząc, uzyskujemy wynik około sześciu tysięcy zabitych zwierząt. Przyjmując tylko dwa uśpienia dziennie przez lekarza, który pracuje w pełnym wymiarze czasu przez dwadzieścia pięć lat – po odliczeniu urlopów, chorób, wypadków losowych – uzyskujemy liczbę jedenastu tysięcy zabitych zwierząt. To jest prawdopodobnie niepełna liczba. Na pewno nie można powiedzieć, że jest zawyżona.

Weterynarze usypiają ślepe mioty. Czy ta liczba je obejmuje?

Nie. Nie liczymy ślepych miotów, ptaków, świnek morskich, królików, szczurów, myszy, tchórzofretek, gadów. Doliczyliśmy się jedenastu tysięcy psów

i kotów.

Jak usypia się mioty?

Daje się zastrzyk w brzuch.

Przypomniało mi się pewne zdarzenie, które miało miejsce u znajomego myśliwego. Duża suczka imieniem Ora – karelski pies niedźwiedzi – powiła w stodole na sianie aż dwanaście szczeniąt. Wszystkie czarne – ich ojcem był najprawdopodobniej duży, czarny jak smoła kundel z sąsiedztwa, o imieniu Murzyn. Kolega zadzwonił do weterynarza, też myśliwego, który opiekował się jego końmi: „Mietek, przyjeźdź, trzeba miot uśpić”. Suka została wyprowadzona na smyczy do lasu, kolega brał szczeniaki i podawał Mietkowi, a ten robił im zastrzyk i odkładał na bok. Tak dziesięć razy i na sianie leżało dziesięć martwych czarnych kłębuszków. Dwóm pozwolono oddychać dalej. W pewnym momencie Mietek odzywa się do mojego znajomego: „Wiesz co, będziemy się za to w piekle smażyć”. „Będziemy” – potwierdził. W tym momencie obudziła się ich wrażliwość i zobaczyli, co naprawdę się dzieje. W słowach „Będziemy się smażyć w piekle” nie było lęku przed karą, nie o karę tu chodziło, po prostu wychynęło tam na chwilę prawdziwe zrozumienie. Ale nie przestali polować i usypiać.

Czy słyszałeś o jakimś weterynarzu, który przestałby usypiać?

Nie, nie słyszałem o nikim takim.

Jeszcze są wysoko ciężarne kotki, które sterylizowałam. Otwiera się brzuch, a tam są płody otumanione środkiem do narkozy. Przychodzili do mnie ludzie z takim problemem. Operacja była skomplikowana technicznie i kosztowała dwa razy więcej.

Przyszła do mnie kiedyś sąsiadka, byłem chłopcem, miałem jakieś czternaście lat. „Słuchaj, moja kotka ma dwa malutkie, ślepe kotki. Czy mógłbyś utopić je w sedesie i spuścić wodę?” Ona przyszła do mnie, ponieważ byłem synem myśliwego. Poczułem, że takie zadanie jest przeznaczone właśnie dla syna myśliwego, i jako uczynny i grzeczny chłopiec zgodziłem się. Poszedłem na dół, wrzuciłem kotki do sedesu i spuściłem wodę. Jeden nie chciał się splukać i piszczał. Splukiwałem tę wodę i splukiwałem, i myślałem, że umrę nad tym sedesem. W końcu się splukał. Tak bardzo zapadło się to w niepamięć, że dopiero w tej chwili, po czterdziestu latach, to zdarzenie do mnie wróciło jak żywe. Przypominam sobie też, że czułem się wykorzystany i okropnie obolały. Chyba długo z tym

chodzę, zanim „zapomniałem”. Ta kobieta widocznie sądziła, że do syna myśliwego można z taką prośbą pójść. Gdy już zostałem myśliwym, zdarzało się, że moi znajomi przed Wigilią prosili: „Zenku, zabij nam tego karpia” – bo umiałem to robić, dla nich byłem specjalistą od zabijania. W jakiś sposób łaskotało to moją próżność. „Umiem robić coś, czego inni nie potrafią”.

Czasami czułam się podobnie połaskotana.

Co robić z miotami, których nikt nie chce?

Przede wszystkim trzeba tak działać, żeby ich nie było.

To jest możliwe?

Większość ludzi, których zwierzęta leczę, jakoś o to dba. Dla niektórych jest to niemożliwe.

Co musiałoby się stać, żeby weterynarze przestali usypiać zwierzęta?

III wojna światowa, nuklearna.

Ale ja pytam ciebie – ty przestałaś usypiać. Walczysz, żeby tego nie robiono.

Czego trzeba dotknąć, co trzeba zrozumieć?

Nie umiem odpowiedzieć. Sama nie wiem, skąd u mnie pojawił się taki ból, że w końcu przestałam. To się działo poza moja wolą. Zetknęłam się z buddyzmem, złożyłam przysięgę Jukai: „Postanawiam nie zabijać, ale ochraniać wszelkie życie”. Podobne myśli miałam dużo, dużo wcześniej i gdy zetknęłam się z taką formą, inną od piątego przykazania, które jest rozkazem – to ostatecznie wyzwoliło tę zmianę. Moja koleżanka i kolega wywiesili kartki, że nie usypiają zdrowych zwierząt. Po artykułach w prasie fachowej o mojej odmowie eutanazji zwierząt nie miałam żadnego telefonu ani innych oznak zainteresowania ze strony weterynarzy. Kompletna cisza. W tej ciszy usłyszałam: „Boję się, nie mam odwagi się z tym zmierzyć”, „Jeżeli większość tak robi, to znaczy, że większość ma rację”, „Nie zabierajcie mi moich pieniędzy”. Właściciele zwierząt po artykule w gazecie przysyłali do mnie kartki: „Nareszcie ktoś postawił granicę”, „Cieszę się” i podobne. Kilka osób przyszło specjalnie do mnie, mówiąc: „Gdybym poszła gdzie indziej, tego kota od razu by mi uspili”. Możliwość uspienia unieważnia całe leczenie. Któryś z moich asystentów zapytał, czy teraz, gdy nie usypiam, bardziej się angażuję w leczenie. Najpierw odpowiedziałam, że nie. Ale teraz widzę, że zdecydowanie tak. Szukam innych możliwości. I gdy właściciel chce towarzyszyć

swemu zwierzęciu do końca, staram się go wesprzeć. Miałam tylko kilku takich ludzi, ale po ich reakcjach widzę, że mi się udało.

Lubiłam lekarkę, która leczyła Mańkę przez całe jej życie – to była miła osoba. Po śmierci psa, gdy gdzieś na ulicy ją spotykałam, nie mogłam znieść jej widoku. Widziałem w niej kogoś, kto cichcem rozdaje śmierć.

Spotykałam się z reakcjami ludzi, którym przedtem uśpiłam jakieś zwierzę. Mówili: „Jakie to straszne tu przychodzić”, i zaczynali płakać. Zdarzało się, że spotkałam na ulicy osoby, którym leczyłam zwierzęta, i oni mówili: „Mamy nowego psa, ale nie przychodzimy do ciebie, bo tak strasznie boli przyjść w to miejsce”. Natomiast ludzie, którzy zgodzili się, żeby ich zwierzęta umierały naturalnie – i ja je prowadziłam – przychodzą teraz ze swoimi nowymi pupilami. Nie ma w nich odrzucenia, okazują jeszcze większe zaufanie. Oni nie płaczą, raczej pogodnie wspominają.

Prawdopodobnie nie można opłakać kogoś, kogo się zabiło. Tak sądzę, patrząc na swoje doświadczenia z Kumą i z Mańką.

Muszę się zgodzić, biorąc pod uwagę własne doświadczenie – tego kota, który sikał i robił kupę. Został mi po nim bolesny wyrzut sumienia. Jeszcze raz mi przyszło do głowy, że gdy leczy się ze świadomością, że i tak w końcu uśpi się to zwierzę, jest to równoznaczne z unieważnieniem całego leczenia. Człowiek wtedy aż tak się nie stara. Ja staram się coraz bardziej. Zaczynam w końcu lubić swoją pracę.

Kończmy, za parę godzin odpływa mój prom. Jakies ostatnie zdanie?

Wybrałam trudną drogę pod prąd, czasami czuję strach, smutek, mam poczucie osamotnienia w tym, co robię. Czasami się boję, bo skoro tak wielu ludzi to robi, to może właśnie ja się mylę? Ale cieszę się, że wybrałam inny, czysty strumień. Lubię powiedzenie: „Machnięcie skrzydeł motyla w dżungli amazońskiej ma wpływ na klimat całej Ziemi”. Gdybym wiedziała, że za pięć minut umrę, umierałabym z czystym sumieniem.

Z listu Bożeny:

A dziś przyszła do mnie kobieta, której leczyłam króliczka. Umarła ta mała panienka w jej łóżku. Kobieta przyniosła jej ciało i tulipany. Płakała i kołysała w ramionach paczuszkę. Powiedziała: „Tak mi się z nią trudno rozstać, ale ten

*ból nie jest taki okropny jak wtedy, gdy pozwoliłam uśpić kota. Moja córka umiała tę króliczkę opłakać, nigdy tego nie zrobiła po śmierci kota. Wtedy się zamknęła w sobie i do dziś o tym nie mówi. Wszystkie moje zwierzęta będą umierać bez pomocy, mimo że to bardzo trudny dla mnie proces, ale jedyny możliwy. A moja koleżanka mówi, że ty umiesz rozmawiać ze zwierzętami”.
Takie śliczne te tulipany od niej.*

Wszystko może być proste

Przyjaciół zaprosił mnie na warsztaty ekologii głębokiej „Rytuał i las” dla starszych chłopców, dziewcząt i ich opiekunów z technikum leśnego. Prowadził je w Puszczy Białowieskiej. Po kilku godzinach, mniej więcej w połowie zajęć, w grupie ujawnił się duży lęk przed lasem i zwierzętami. Ci ludzie odczuwali realne zagrożenie, że wilk ich ugryzie, dzik poszarpie lub coś innego gwałtownego spotka ich ze strony jakiegoś zwierzęcia. Młody myśliwy – student – opowiedział historyjkę, jak to jego znajomy, też myśliwy, schodził z myśliwskiej drabiny w lesie i nadepnął na małego warchlaczka. Ten zakwiczał, locha zaatakowała mężczyznę i zraniła go w nogę. Nawet dla całkowitego laika była to historia absolutnie nieprawdopodobna, klasyczna „taaaka ryba!”, ale podana została z pełnym przekonaniem. Opowiedziałem, jak naprawdę wygląda zagrożenie ze strony dzikich zwierząt – że go po prostu nie ma. Czy ktoś słyszał albo czytał o śmierci lub ranach zadanych przez dziki, jelenie, wilki, sarny, łosie? Gdy już pod wieczór wracaliśmy przez las z zajęć – my do domu, oni gdzieś tam dalej, podeszło do mnie dwóch chłopców i jeden z nich powiedział:

– Chciałbym polować, bo mój ojciec polował, i chciałbym z panem o tym porozmawiać...

Grupa młodzieży z opiekunami oddalała się drogą, staliśmy już pod domem, a młodzieniec mówi o polowaniu i mówi...

Łagodnie zapytałem go:

– Chcesz zabijać? Dlaczego chcesz to robić?

Wszyscy już zniknęli za zakrętem. Chłopiec powiedział jeszcze na koniec takie zdanie:

– Ja wiem, że umiałbym to zrobić, raczej nie miałbym z tym kłopotu. Tylko, widzi pan, chodzi o to, czy ja mam polować czy nie.

I rozstaliśmy się. Zostałem z tą jego odpowiedzią, podobnie jak drugi młodzieniec, który stał obok, i ktoś starszy, kto bardzo nadstawiał ucha na naszą rozmowę. Chciałem się z nimi spotkać jeszcze raz. Rankiem pojechałem tam, gdzie

się zatrzymali, pytałem o opiekunów grupy, ale okazało się, że to były ostatnie godziny pobytu tych młodych ludzi w Puszczy. Rozjechali się już do domów.

Co się dzieje z tym chłopcem? Gdzie go przeznaczenie prowadzi? Hej, chłopcze! Co u ciebie słychać?

Chłodny był ten początek maja – zresztą wiosna w te strony przychodzi później – ale w Puszczy już zakwitały całymi łąkami błękitne przylaszczki i białe zawilce, pokazały się liście czosnku niedźwiedziego. Gdy przyjeżdżaliśmy tu na parę dni wypoczynku, przywoziłem z domu gotowy, dojrzały do zaczynienia chleba zakwas, by upiec razowy żytni chleb w prawdziwym piecu chlebowym. Palenie ognia w komorze stuletniego pieca, dokładanie brzożowych szczap trwało około pięciu godzin, by wewnątrz pieca odpowiednio się nagrzało po długim okresie nieużywania. W tym czasie wyrabiało się ciasto, formowało bochenki i stawiało je do wyrośnięcia na coraz cieplejszym piecu, przykryte bawełnianą ściereczką. Resztę żaru i popiołu trzeba było wygarnąć pod zdjęte fajerki i wyrośnięte bochenki można było wsunąć do pieca na godzinę. Przed zamknięciem drzwiczek zostawiało się na brzegu komory kilka żarzących się węgielków. Po mniej więcej godzinie wypieczone, ciemne chleby stały na stole, a gdy przestygły, można było je kroić. W całym obejściu unosił się święty zapach ciepłego wypieczonego chleba. Po chlebie w czeluści pieca utrzymywała się jeszcze temperatura w sam raz, by upiekła się drożdżówka Doroty. Dzisiaj na kolację będzie właśnie ten chleb, osełka masła i klin białego sera od pani Burej. Część sera ze świeżą śmietaną została wymieszana z posiekanymi liśćmi czosnku niedźwiedziego. Na słodko do chleba z masłem będą konfitury z leśnych poziomek, które Alicja usmażyła w ubiegłym roku. Puszczkański miód i herbata dobrze pasują do całej reszty. I ciasto drożdżowe z kruszonką.

Z grzybów pierwsze pojawiają się kurki – już na przełomie czerwca i lipca – i rosną aż do połowy listopada. Jednocześnie w dużych ilościach zaczynają pojawiać się koźlarze. Na początku lipca zdarza się całkiem niezły wysyp borowików, rosną pojedyncze maślaki. Na łąkach jagodzisk w nieprzebranych ilościach dojrzewają czarne jagody. Gdzie dociera więcej słońca, rumienią się poziomki. Tu i ówdzie kępkami rosną maliny czerwone, a ostatnio znalazłem przepyszne maliny białe. Masowo kwitną borówki – będzie wielki urodzaj. W ubiegłym roku litrowy słoik borówek Dorota zbierała niecałe pół godziny! Od

połowy sierpnia pojawiają się pierwsze podgrzybki. Pszczelarze stawiają ule na wrzosowiskach. W połowie września są rydze i czeka się na wysyp borowików. Potem suszymy grzyby przy kominku. Dwudniowy zbiór borowików dostarcza suszonych grzybów na cały rok. I jesienne zielonki! Kapelusze smażone na oliwie z odrobiną masła i soli dodanymi pod koniec smażenia, do tego świeżo upieczony chleb – czeka się na te jesienne rarytasy. Chociaż najbardziej smakują mi przyrządzone w ten sposób twarde jesienne maślaki. Ten ich zapach! Czysta jesień. Gdy spadnie śnieg, sarny i jelenie żywią się zimozielonymi pędami roślin, które tu rosną całymi połaciami. Chętnie przegryzają pędy jagód i borówek. Prawie wszędzie na ziemi rośnie jakiś mech. Na lekcję botaniki nazbieraliśmy z moją córką Kasią dwanaście gatunków mchów.

Od wiosny do jesieni czasami śpię w lesie pod gołym niebem. Niekiedy towarzyszy mi Dorota albo Jaś, albo oboje. W paśmie Jaworzyny na Słowacji, gdzie są niedźwiedzie i wilki – też.

Zwierzęta są łagodne.

Choćby dziki – te poczciwe zjadacze kartofli, żołądzi, orzeszków bukowych, owsa i pędraków traktowane są przez ludzi jak jakieś groźne potwory, bo są czarne, duże, silne i aktywne nocą. Czy ktokolwiek słyszał, by dziki były niebezpieczne dla ludzi? A jest ich naprawdę sporo, zdarzają się nawet w miastach.

Gdy polowałem, widziałem las poprzez cel: spotkać zwierzę, podejść je, strzelić. Oczy, uszy w gotowości. Ani chwili na rozluźnienie – na ramieniu załadowany, odbezpieczony sztucer.

Teraz chodzę po lesie ze spokojem w sercu. Jak cudownie jest leżeć pod dużą sosną i grzać się w wiosennym słońcu. Czuję się tu mile widzianym gościem. Czasami mam poczucie, że las odkrywa się przede mną coraz głębiej. Czekam na spotkania ze zwierzętami. Patrzę na nie.

Są takie piękne!

Niedawno w lesie locha prowadząca młode dotknęła mnie swoim „straszonym ryjem”. Stałem pod drzewem, patrzyłem na nie i właśnie wtedy pomalutku, wyprężona jak struna podeszła do mnie i dotknęła wyciągniętej dłoni swoim ciepłym, wilgotnym nosem. Raz... i drugi. Delikatnie. Niezwykłe, niezwykle dotknięcie. A potem położyła się kilka kroków dalej, a za nią jeszcze jedna, bardzo

duża. Pasiaste warchlaki szukały zeszłorocznych żołądzi. Zerkały na mnie swoimi wielkimi ciemnobrązowymi oczami z zawiniętymi rzęsami.

Usiadłem na ziemi. Siedziałem wśród nich kilkanaście minut, odpoczywaliśmy wspólnie. Moje serce, a potem całe ciało wypełnił ciepły spokój. Wszystko było doskonałe. Poczulem się wolny.

Sen

Śnił mi się ojciec. Wiedziałem w tym śnie, że jest już po jego śmierci, ale przecież to właśnie on stał przede mną, tu, żywy. Na głowie miał swoją starą tweedową czapkę z daszkiem. Jego twarz była spokojna, łagodna, lekko uśmiechnięta, trochę melancholijna. Łzawiły mu oczy. Ojciec taką twarz miewał pod koniec życia – z wiekiem cały łagodniał. Miętko patrzył prosto na mnie. Wiedziałem, że rozmawiamy o polowaniu, chociaż nie otwierały się nam usta. Lecz – jak to bywa we śnie – wszystko było jasno powiedziane. Ojciec wiedział, co się wydarzyło – do dzisiaj.

I w tej sennej, spokojnej rozmowie zapanowała niekrępująca, swobodna cisza.

Widziałem, jak cień jego życia boleśnie musnął mu twarz.

Po dłuższej chwili, w tej lekkiej ciszy, ojciec łagodnie, z powściągliwą czułością powiedział wyraźnie:

– Dobrze zrobiłeś, synu.

Patrzyliśmy na siebie jak kiedyś, dawno temu, w środku mroźnej zimowej nocy, rozświetlonej jasnym, przejrzystym światłem księżycowym.

Przypisy

- [1] Według sprawozdania finansowego PZŁ za sezon 2015/2016.
- [2] Według cen skupu płodów rolnych z 2016 roku.
- [3] Za: Główny Urząd Statystyczny, *Leśnictwo 2015*, s. 164,
<http://stat.gov.pl/files/gfx/portalinformacyjny/pl/defaultaktualnosci/5510/1/11/1/lesnictwo>
dostęp: 19.03.2017.
- [4] F. Mowat, *Nie taki straszny wilk*, przeł. R. Stiller, wyd. 3, Warszawa 1997, s. 112–120.
- [5] H. Okarma, *Wilki i duże ssaki kopytne: bezradność ofiar czy wzajemna równowaga?*, IOP PAN (maszynopis).
- [6] Białowiecki Park Narodowy stanowi tylko 17 procent obszaru Puszczy Białowieckiej. W pozostałej części wycina się drzewa i zabija zwierzęta.
- [7] Z. Pielowski, *Badania nad dzikami*, „Brać Łowiecka” 2003, nr 11, s. 26–28.
- [8] Sprawozdanie finansowe PZŁ za rok gospodarczy 2015/2016.
- [9] Według UN Environment Programme;
<http://new.unep.org/Documents.Multilingual/Default.asp?DocumentID=2683&ArticleID=9130&l=en>.
- [10] R. Kendall et al., *An Ecological Risk Assessment of Lead Shot Exposure in No-waterfowl Avian Species: Upland Birds and Raptors*, „Environmental Toxicology and Chemistry” 1996, 15 : 1, s. 4–20; M. Friend, *Field Manual of Wildlife Diseases*, USGS,
http://wildpro.twycrosszoo.org/S/00Ref/bookref36_fieldmanualofwildlifediseases/43/chap
dostęp: 9.08.2014.
- [11] V.G. Thomas, R. Guitart, *Limitations of European Union Policy and Law for Regulating Use of Lead Shot and Sinkers: Comparisons with North American Regulation*, „Environmental Policy and Governance” 2010, vol. 20, s. 57–72. DOI: 10.1002/eet.527.
- [12] D. Wiehle, Z. Bonczar, *Śmiertelność ptaków w warunkach stawów rybnych*, „Notatki Ornitologiczne” 2007, t. 48, z. 3, s. 163–173.
- [13] Według <http://www.zmlenarcik.pl/o-firmie/dzialalnosc/skup-dziczynny/cennik-i-klasyfikacja-dziczynny>, dostęp: 24.01.2017.
- [14] Y. Arthus-Bertrand, *Ziemia z nieba*, Warszawa: Świat Książki, 2002, s. 129.
- [15] „Brać Łowiecka” 2009, nr 8, s. 40–42.
- [16] *Rozmowy Żakowskiego. Michael J. Sandel o wartościach w polityce*, „Polityka” 2014, nr 30.
- [17] „Ile procent strzelanej grubej zwierzyny nie podnosimy? Myślę, że jeżeli chodzi o dziki i jelenie, to minimum 25–30%”, zob. *Przepadłe sztuki*,

http://www.szeremet.pl/moje_publicacje/polowanie/przepadle_sztuki/101-52-111.html,
dostęp: 23.03.2017.

[18] Forum Polskiego Związku Łowieckiego, http://old.pzlow.pl/palio/html.run?_Instance=www.pzlow.pl&_PageID=889&_RowID=21&_Checksum=1330374543, dostęp: 23.03.2017.

[19] W. Galwas, *Po prawdziwej farbie*, „Łowiec Polski” 2007, nr 2, s. 86, 87.

[20] Poniższe cytaty pochodzą z forum: Niechczyja.pl, *Współczesne myśliwstwo [sic!] w Polsce*, <http://niechczyja.pl/faqs/wspolczesne-mysliwstwo-w-polsce/>, dostęp: 31.03.2017.

[21] GUS, *Odstrzał ważniejszych zwierząt łownych*, w: *Leśnictwo 2016*, Zakład Wydawnictw Statystycznych: Warszawa 2016, s. 166; PZŁ, *Odstrzał ważniejszych zwierząt łownych w sezonie 2015/16 z dnia 31.03.2016*, https://www.pzlow.pl/palio/html.run?_Instance=www&_PageID=5&_RowID=1236&cms=yes&_C=C_DZIALY.HODOWLA.STAT dostęp: 10.05.2017.

[22] Z e-maila wysłanego na adres autora.

[23] http://rys.wschowa.info/pliki/BAZANTY_2016-2017.pdf, dostęp: 24.01.2017.

[24] <http://www.bazanty-lowne.com.pl/oferta.html>, dostęp: 9.05.2017.

[25] <http://www.lidzbark.olsztyn.lasy.gov.pl/lowiectwo>

[26] Skrót od myśliwskiego powiedzonka „Darz Bór”.

[27] <http://dzikiezycie.pl/archiwum/2012/lipiec-i-sierpien-2012/radykalizm-jest-agresywny-rozmowa-z-chadem-halsteadem-bosmanem-sea-shepherd>, dostęp: 9.05.2017.

[28] Ten i pozostałe cytaty w rozmowie z Anną Dodziuk pochodzą z książki: A. Dodziuk, L. Kapler, *Nałogowy człowiek*, Warszawa 1999.

[29] Mechanizm nałogowego regulowania uczuć – używka lub nałogowe zachowanie staje się głównym źródłem przeżywanych stanów emocjonalnych, najpierw przyjemności, a z upływem czasu coraz częściej już tylko ulgi czy uśmierzania przykrości. Te sztuczne (nałogowe) sposoby uzyskiwania satysfakcji coraz bardziej wypierają naturalne, „oduczając” osobę uzależnioną od korzystania z tych ostatnich i skazując ją na kurczowe trzymanie się nałogu („Co mi w życiu zostało oprócz palenia papierosów, pracy, mojej Kasi, uprawiania działki?”).

[30] Mechanizm iluzji i zaprzeczania – w miarę jak coraz trudniej rozstać się z narkotykiem – czymkolwiek, co uzależnia – rozrasta się fałszywa świadomość wspierająca nałóg i właśnie w tym kierunku zniekształcająca obraz rzeczywistości. Gdyby nie to, nie do zniesienia byłoby własne zachowanie, sposób życia, podporządkowanie go uzależnieniu, szkody ponoszone przez bliskich i samego siebie. Ale zaprzeczanie, minimalizowanie, racjonalizowanie, koloryzowanie i kilka innych sposobów zniekształcania napływających informacji umożliwiają człowiekowi trzymanie się swego nałogu („Każdy ma swoje nieszkodliwe przyzwyczajenia”, „Przestałbym być sobą, gdybym zrezygnował z...”). Zob. J. Mellibruda, *Psychologiczne mechanizmy uzależnienia i program terapii*, „Świat Problemów” 1996, nr 11 (46), s. 4–15.

[31] Fragment modlitwy z buddyjskiej ceremonii noworocznej [przyp. autora].